

# **Album Jubileuszowy**

1928

1953



## ALBUM JUBILEUSZOWY

Z OKAZJI 25-LECIA  
ZGROMADZENIA  
KSIĘŻY NAJŚWIĘTSZEGO SERCA  
JEZUSOWEGO  
W POLSCE

Przedruk z:  
*„Ecce Cor..” — „Dehonianum”*  
*Tarnów 1954*  
(maszynopis)

Korekta:  
*ks. Józef Lach scj*

Kuria Prowincjalna Księży Sercanów  
Kraków 1992



*Księdzu Kazimierzowi Wieheciowi, Założycielowi Dzieła  
Sercańskiego w Polsce niniejszy zbiór wspomnień, będący  
streszczeniem historii Dzieła wzniesionego Jego pracą  
i ofiarą, jako wyraz wdzięczności i miłości synowskiej*

*poświęcają*

*Wydawcy*



## PRZEDMOWA

Pierwsze dwudziestopięciolecie Prowincji Polskiej Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego, to dla jej członków okres godny ze wszelch miar bacniejszej uwagi. Jak bowiem w życiu człowieka okres dzieciństwa ma niejednokrotnie decydujące znaczenie w ukształtowaniu jego osobowości, wiele potrafi wyjaśnić i nauczyć, tak i w życiu społeczności zakonnej okres pierwszy jej wzrostu, wyciska na jej obliczu niezatarte piętno, decyduje i wyznacza kierunek rozwoju na długie następne lata, a może i dziesiątki lat. Jest przy tym dla potomności wspaniałą szkołą, z której można zaczerpnąć niejedną wartościową naukę, czy wysnuć niejeden życiowy wniosek oświetlający takich czy innych ludzi, ich czyny, zamiary i wysiłki.

I dlatego należało z całym uznaniem przywitać inicjatywę naszej młodzieży zakonnej, aby z okazji jubileuszu podjąć próbę odrysowania, a przez to utrwalenia na papierze obrazu minionego dwudziestopięciolecia. Nie należało się w tym wypadku zniechęcać świadomością, że będzie to niedoskonałe, pod wieloma względami niekompletne — jeżeli ta jednak tylko miałyby wynikać z tego korzyść, że pewne sprawy nie przepadną bezpowrotnie w morzu zapomnienia, już to rekompensowałyby podjęty trud. Tak zresztą sędzić zdają się ci z naszych drogich księży, którzy chętnie zgodzili się na współpracę w zamierzonym dziele.

I dzisiaj możemy z wielką radością przekazać naszym współbraciom owoc tego wspólnego trudu, który zdaje się nie zawiódł związanych z nim nadziei. Oddajemy go naszej młodzieży zakonnej przede wszystkim, która nie była świadkiem trudnego okresu stawiania pierwszych kroków na ziemiach

polских przez nasze Zgromadzenie, aby mogła sobie choć w części uświadomić specjalną opiekę Bożego Serca nad naszym Dziełem od samych jego początków, utwierdzić się w ten sposób w swoim wielkim powołaniu sercańskim i zachęcić do pracy nad jego ugruntowaniem i rozwijaniem.

Składając w ręce naszej młodzieży ten jubileuszowy upominek od ich starszych współbraci, nie można nie podziękować tym wszystkim, którzy swoją pracą i wysiłkiem przyczynili się do jego powstania, tym więcej, że łączyło się to zawsze z największym trudem i poświęceniem. Niech Serce Boże, którego przecież sprawy są po największej części treścią niniejszego albumu, zapłaci hojnie dowodami swojej miłości inicjatorom i autorom tego pięknego dzieła i niech ich przekona, że tak przełożeni jak i współbracia Prowincji Polskiej doceniają w pełni podjęty wysiłek, a za owoc jego są naprawdę serdecznie wdzięczni.

*Ks. Władysław Majka scj*

## WSTĘP

Pomysł „Albumu Jubileuszowego” zrodził się z chęci uświetnienia i upamiętnienia 25 rocznicy przybycia naszego Zgromadzenia do Polski. Zamiarem projektodawców było odmalować — o ile pozwolą na to skromne nasze możliwości — poszczególne etapy tego sercańskiego ćwierćwiecza w Polsce i w ten sposób lepiej uświadomić, młodszym zwłaszcza współbraciom, znaczenie i rozmiary faktu naszego polskiego Sercańskiego Jubileuszu. Sprawa tym więcej była kusząca, że poza jednym bolesnym wyjątkiem, jakim jest śp. ks. Kazimierz, wszyscy ci, którzy patrzyli na same początki, widzieli pierwsze kroki, a potem kształtowali Dzieło nasze w Polsce na przestrzeni tych 25 lat — wszyscy oni są między nami i mogli jako nie budzący najmniejszych podejrzeń świadkowie, na ten temat wiele powiedzieć. Rzecz jest nie do zlekceważenia. Czyż bowiem już dzisiaj, gdy zabrakło między nami śp. ks. Kazimierza, niektóre kartki naszych dziejów nie świecą białymi plamami, których już nigdy prawdopodobnie usunąć się nie da, a to tylko dlatego, że pewnych faktów nie zapisano, choćby tylko w formie luźnego wspomnienia czy korespondencyjnej wiadomości? Choć więc projektanci albumu dalecy byli od myśli zredagowania jakiejś historii Zgromadzenia na przestrzeni ćwierćwiecza, to przecież i pewne „historyczne zamiary” nie były im obce. A może w ten sposób spetryfikujemy jeszcze wiadomości i nie dopuścimy do ich zapomnienia — myśleli inicjatorzy — już to sowiec wynagrodzi włożony w dzieło trud. Sam projekt więc, bardzo prędko przestał budzić zastrzeżenia, trudniejszą była forma tego wykonania.

Pierwotnie miał to być kalendarz. Później od planu tego odstąpiono, godząc się na album, ale przecież i to jeszcze

nie rozwiązywało sprawy, gdyż powstawały tu zagadnienia układu, podziału, długości, formy literackiej i graficznej, różnorodności autorstwa poszczególnych artykułów, a co za tym idzie możliwości powtarzania się, czy nawet i rozbieżności. Po długim namyśle postanowiono w układzie dzieła trzymać się po prostu chronologii — trzymać się podziałów, które czas i wydarzenia historyczne narzucały. Formę natomiast literacką poszczególnych artykułów (wspomnienia, kroniki, szkice itp.), tudzież długości, postanowiono zostawić swobodzie autorów. Prowadziło to nieubłagane do pewnych dysproporcji, do powtarzania się, a niekiedy do niepotrzebnych niejasności, niemniej zyskiwało się na świeżości, bezpośredniości i wierności obrazu opisywanych wydarzeń. Prócz tej ostatniej korzyści, zyskiwało się jeszcze jedną wielką szansę — jeżeli nie narzucało się autorowi ograniczeń formalnych i ilościowych: zyskiwało się mianowicie ochotników do pisania, bez których rzecz jasna, nie było można myśleć o zrealizowaniu zamierzonego dzieła. Ograniczenia zaś i postulaty redakcji natury formalnej i ilościowej byłyby chyba sprawę od tej strony mocno utrudniły. Dlatego proponując poszczególnym księżom opracowanie pojedynczych wycinków naszego ćwierćwiecza, zostawiono im zupełną swobodę w tej pracy, z tym, że nie wykroczą poza chronologicznie określony okres, czy treściowe zacieśnienia.

Tego rodzaju nieograniczona swoboda odbiła się przede wszystkim na treści i podyktowała podział albumu. Podstawą bowiem mogła być już tylko chronologia, a ta kazała podzielić całość na cztery części, poświęcone po kolei: tym, którzy w stosunku do naszego Dzieła w Polsce zasłużyli na miano założycieli, następnie okresowi przedwojennemu, wojennemu i powojennemu. Poszczególne zaś części dzieliły się według tego, na jakim terenie opisywały nasze Dzieło.

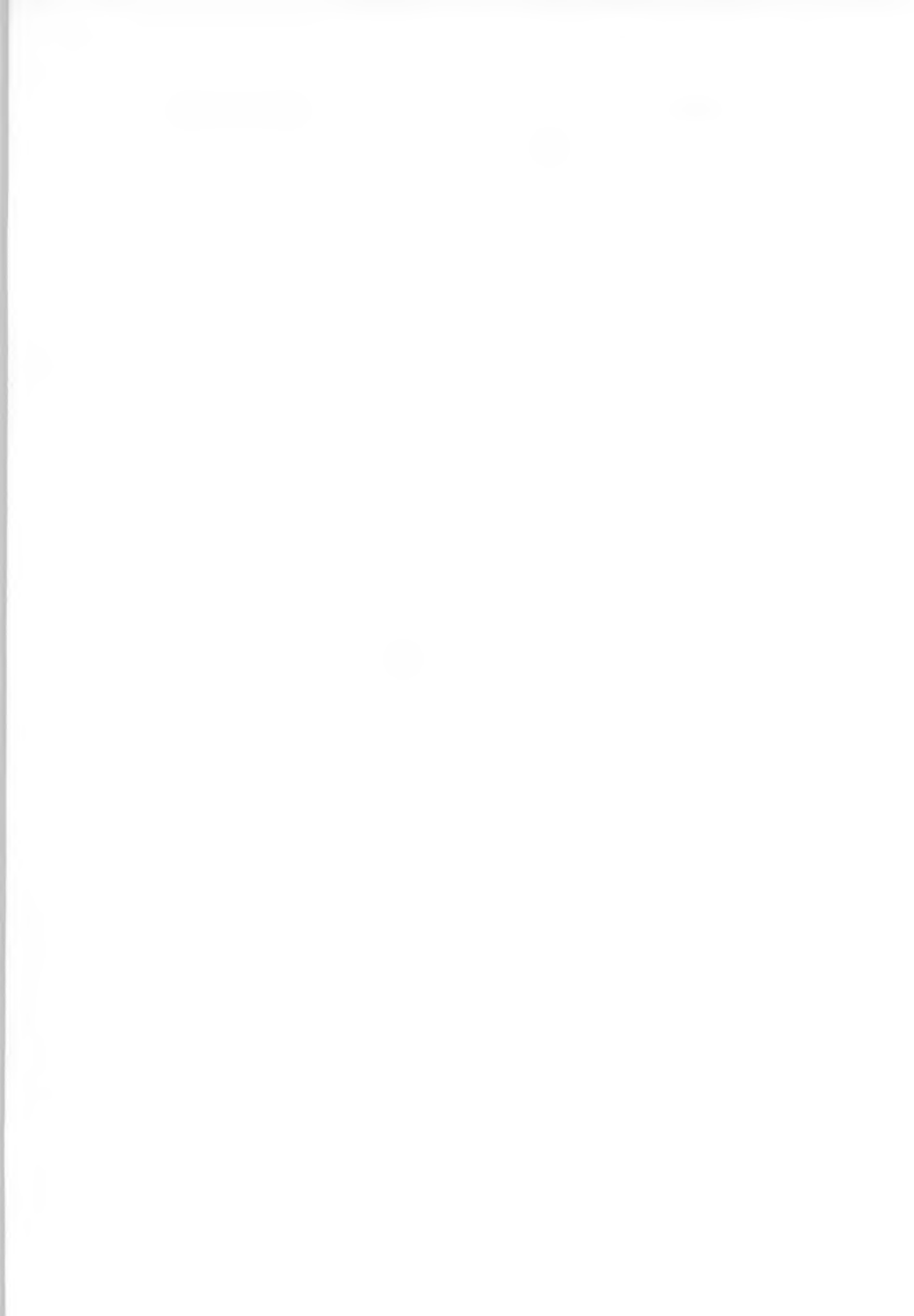
Ponieważ, ze względu na często pamiętnikarski styl poszczególnych artykułów, zaistniało niebezpieczeństwo niemożności osadzenia sobie przez czytelnika omawianego okresu we właściwych ramach czasowych, sporządzono tak przed każdą częścią, jak i przed każdym artykułem coś w rodzaju

komentarza-ramy, które by orientowały od razu, do jakiego okresu dany artykuł należy. Powoduje to wprawdzie nieco powtórzeń, niemniej wpływa zdaje się w dużym stopniu na przejrzystość, czego zlekceważyć nie można.

Zdajemy sobie aż nadto dobrze sprawę z tego, że zamierzonemu przedsięwzięciu daleko do doskonałości, a miejscami może nawet i do poprawności (druk). Jeżeli wszakże ośmielamy się na oddanie w ręce naszych współbraci owocu wspólnego trudu, to — licząc na ich pobłażliwą wyrozumiałość, kierujemy się tym przekonaniem, że w niedoskonały choćby sposób — ale pozwoli on zorientować się — zwłaszcza młodym — jak wyglądało tych 25 lat naszego istnienia na ziemi polskiej, a o to przecież chodziło.

W końcu pragniemy podziękować Przewielebnemu Księdzu Prowincjałowi, z którego szkiców historycznych, odnośnie do początków naszej Prowincji, czerpaliśmy gros wiadomości; dalej Czcigodnym Autorom-Księżom, którzy znaleźli czas i ochotnie podjęli się proponowanych prac; wreszcie i drogim Współbraciom Scholastykom Tarnowskim, którzy przy swoich studiach i obowiązkach, wykonali olbrzymią, choć może niewidoczną dla oka pracę, przygotowującą powyższy album, a w szczególności: introligatorom, drukarzom, grafikom, fotografom i tym, którzy chętnie poświęcali się szczeremu dyktand.

*Redakcja*



**Reparatio**

**Adoratio**

**Amor**



*Sługa Boży Ojciec Leon Jan Dehon Założyciel Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego, urodził się 14 marca 1843 w La Capelle, założył Zgromadzenie 28 czerwca 1878 w Saint-Quentin, zmarł 12 sierpnia 1925 r. w Brukseli.*



## A ZACZEŁO SIĘ TAK...

„Pierwszym Sercaninem, który postawił swe stopy na ziemiach polskich był O. Leon Jan Dehon. Było to w pierwszej połowie sierpnia 1907 roku.

Korzystając z zaproszenia młodego księdza, prawdopodobnie Fina, ks. Wilfrieda von Christiersona, którego poznał w Komisji Indeksu, O. Dehon wybrał się był owego roku do Helsinek, stolicy Finlandii, która podówczas była jeszcze prowincją Rosji carskiej, aby osobiście zbadać możliwości pracy misyjnej w tym kraju, a także i we właściwej Rosji. Mówiło się wtedy bowiem wiele o możliwości powrotu Rosji na łono Kościoła i nasz O. Założyciel w tym okresie żywo tą sprawą się interesował. Cenił on naród rosyjski za jego pobożność i modlił się o jego powrót do jedności, spodziewając się, że za jego przykładem powróciłyby do jedności także inne Kościoły wschodnie.

Podróż ta, rozpoczęta około 20 lipca 1907 roku, zaprowadziła go z Brukseli, przez Kolonię, Berlin, Pragę, Szczecin, Sztokholm do Helsinek, a następnie przez ówczesny Petersburg (Leningrad), gdzie zabawił dwa dni, do Moskwy. Droga powrotna prowadziła przez Smoleńsk, Mińsk, Brześć Litewski i Warszawę.

Pragnęlibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tej jego podróży, szczególnie przez ziemie polskie. Niestety, źródła, które by mogły zaspokoić naszą aż nader uzasadnioną ciekawość, są dla nas w tej chwili niedostępne.

Wiemy tylko tyle, że na jakimś odcinku swej trasy widział on i podziwiał polskie stroje regionalne i przygotowania ludności na powitanie swojego biskupa, przybywającego na wizytację kanoniczną. Co go jednak najbardziej

uderzyło u nas, to nabożeństwo naszego ludu do Matki Najświętszej. Czyżby może był także i w Częstochowie?

Przejeżdżając owego lata przez ziemie polskie, rozdarte podówczas potrójnym zaborem, O. Dehon prawdopodobnie nie przeczuwał, że już w 21 lat później, także w miesiącu sierpniu, pierwsza grupa Sercanów przybędzie do Polski, by tutaj się osiedlić.

Rzecz dziwna, A. Ducamp, w swym dziele „Le Père Dehon et son Oeuvre”, nic o tej podróży nie wspomina, a przecież ona to doprowadziła do założenia naszej placówki w Finlandii, gdyż właśnie już pod koniec tego samego roku 1907 — jak on sam wspomina (s. 446) — dwu pierwszych naszych misjonarzy: księży Buckx i van Gijssel, wyjechało do Finlandii...<sup>1)</sup>

I tu chyba w tej podróży O. Założyciela, upatrywać należy pierwszego ogniwa dziejów naszego Zgromadzenia w Polsce, chociaż sam fakt, iż O. Założyciel przejeżdżał przez ziemie polskie, prawdopodobnie nie wpłynął przyczynowo na jego decyzję, by do Polski wysłać swych księży. Choć niewątpliwie dumą może nas napawać to, że i na naszej ojczyźnej ziemi stanęła stopa Czcigodnego Naszego Założyciela, nie wyjaśnia nam to jednak wcale kwestii, która nas absorbuje, a mianowicie, skąd się wzięli i w jaki sposób, Sercanie w Polsce. W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie, spotykamy się z zupełnie nam nieznanymi nazwiskami ks. prałata Mateusza Jeża oraz ks. Henryka Mayerinka SCJ — chcąc się z nimi zapoznać bliżej, musimy udać się znowu do naszego Czcigodnego Historyka:

„Najśw. Serce posłużyło się fundacją fińską dla przesczepienia naszego Zgromadzenia także na ziemie polskie. A oto jak do tego doszło.

Większą część nielicznej ludności katolickiej Finlandii stanowili podówczas Polacy. Byli to przeważnie żołnierze rosyjskiego garnizonu stacjonowanego w Wiborgu, a pochodzący ze znajdujących się wtedy pod zaborem rosyjskim ziem polskich.

Wobec takiego stanu rzeczy, już w kilka miesięcy po wyjeździe pierwszych misjonarzy do tego kraju, O. Dehon wysłał do Polski, w celu nauczania się języka, jednego ze

scholastyków naszego Zgromadzenia w Lowanium, upatrzono go na przyszłego misjonarza Finlandii.

Co więcej, nieco później — zdaje się w roku 1910 — także jeden z wymienionych wyżej misjonarzy, ks. Buckx, również przybędzie do Krakowa w tym samym celu.

Owym scholastykiem, który przybył do Krakowa i który w przeszczepieniu Zgromadzenia na ziemię naszą ważną, jak zobaczymy, odegrał rolę, był ks. Henryk Mayerink. Był on narodowości holenderskiej. Liczył podówczas lat 25...

...Wysyłając go do Polski O. Dehon prawdopodobnie podsunął mu tę myśl, by starał się o zdobycie kilku powołań, które by z czasem mogły stać się zalążkiem przyszłej polskiej fundacji.

Zjawił się on w Krakowie w listopadzie 1908 roku i pozostał do pierwszych dni lipca roku następnego, czyli około 8 miesięcy. Przez cały czas pobytu w Krakowie mieszkał przy ul. Jabłonowskich 18 (II p.), u ks. Matusza Jeża, katechety jednego z krakowskich gimnazjów”.

Niestety, pomimo starań czynionych w celu nawiązania kontaktu z ks. Mayerinkiem, przebywającym obecnie w Szwecji, nie zdołano skomunikować się z nim listownie, dlatego też trudność, w jaki sposób O. Dehon nawiązał kontakt z Krakowem, pozostaje nie rozwiązana.

Ks. Mayerink przebywał więc w Krakowie i uczył się pilnie języka polskiego, o czym tak opowiada ks. Władysław Majka:

„Jego znajomi z owego czasu, dziś jeszcze wspominają, jak niekiedy z przejęciem deklamował «Litwo Ojczyzno moja», wymawiając przy tym pierwszy z tych wyrazów «Lidwo».

Opowiadają również, jak to pewnego razu z gazetą w rękę przybiegł rozentuzjasmowany z miasta, już od progu oznajmiając, że królowa Julianna powiła «królowkę». Zartowano dość długo z tego językowego potknięcia się”.

Br. Mayerink opuścił Kraków w lipcu 1909 roku, ale nie sam. Wyjeżdżając do Holandii, zabierał ze sobą pierwszych Polaków, którymi byli: Bronisław Jeż (bratanek księdza Mateusza Jeża), Woźniak Józef, Michał Dula oraz Pfeiffer. Jeżeli

chodzi o drugiego z nich, to żyje on jeszcze i przebywa w Katowicach; z nim też kontaktował się Czcigodny nasz Historyk w celu zasięgnięcia pewnych szczegółów dotyczących ks. Kazimierza Wiechecia. Chłopcy ci, mający stanowić pierwszy narybek fundacji polskiej, zostali przewiezieni do Lowanium, gdzie też zostali przez całe wakacje, w czasie których przybył do nich jeszcze jeden kandydat na sercanina, Polak, Dula, który jednak po kilku dniach powrócił do Polski. Ci pierwsi małop seminarzyści polscy naszego Zgromadzenia, rozpoczęli rok szkolny 1910/11 w małym seminarium w Tervuren.

Gdzieś na początku roku 1910 przybył do Krakowa po raz drugi br. Mayerink. Podróż ta o tyle jest ważna dla nas, że z niej to właśnie przywiózł br. Mayerink do Tervuren chłopca, który stać się miał założycielem naszej prowincji. Chłopcem tym był śp. ks. Kazimierz Wiecheć. Wraz z nim przybył do Belgii Kowalski, a w jakiś czas potem Stanisław Spiel, Stanisław Olas, oraz Tadeusz Teslar. Oprócz ks. Kazimierza Wiechecia, żaden z powyższych chłopców nie wytrwał w Zgromadzeniu, ale jedni wcześniej, drudzy później, opuścili mury małego seminarium czy też nowicjatu.

Wraz ze wstąpieniem ks. Kazimierza Wiechecia do małego seminarium, rozpoczęła się już w ścisłym sensie tworzyć historia naszej Prowincji.

Warto jeszcze nadmienić, że ks. Henryk Mayerink, po paru latach pracy w Finlandii, około roku 1912, został przeniesiony do Szwecji, gdzie znajomość języka polskiego szczególnie pomogła mu w pracy wśród robotników polskich. W roku 1938 Zgromadzenie nasze wycofało się z terytorium Szwecji, jednak ks. Mayerink pozostał tam nadal na życzenie Stolicy Świętej i mianowany prałatem, jako kapłan świecki, pracuje w parafii Chrystusa Króla w Goeteborgu.

Ks. Kazimierz Wiecheć przebywając za granicą wstępował powoli na szczeble godności kapłańskiej. Bóg nie szczędził mu krzyżów, wśród których samotność zwłaszcza, sprawiła biednemu Polakowi wiele cierpienia. Odczuwał ją boleśnie, szczególnie wobec braku wytrwałości ze strony kolegów Polaków. Toteż w kilka lat później „powtarzał on niekiedy,

pozyskanym przez siebie dla Zgromadzenia polskim młodzieńcom, słowa — które na szczęście nie miały się sprawdzić — «przyjdzie czas, że wszyscy mnie opuścicie i na nowo będę sam».

Studia swe odbywał wśród niezliczonych trudności, między innymi i nadszarpnięte zdrowie groziło mu ich przerwaniem, ale mimo wszystko dobił do celu i w dniu 25 lipca 1920 roku otrzymał święcenia kapłańskie w Bolonii we Włoszech.

„Święcenia kapłańskie ks. Wiehecia i jego przyjazd na prymicje do Polski w roku 1920, to punkt zwrotny w historii naszych początków” — pisze ks. Majka.

I rzeczywiście. Od tego bowiem czasu rozpoczyna on odbywać „wyprawy rekrutacyjne” do Polski, chcąc zwerbować polską młodzież do naszego Zgromadzenia. Trudności nie brakowało. Wojenne czasy, jakie przeżywała Polska, nie sprzyjały bynajmniej jego akcji. Nie zrażał się jednak. W czasie jednej z wypraw, przybywa do Myślenic (sierpień 1920) i owocem tej wyprawy jest ks. Julian Lubowiecki (przebywający obecnie w Prowincji Ameryki Pn. naszego Zgromadzenia — por. Elenchus). Wyprawa w okolice podtarnowskie, daje mu nowego kandydata w osobie ks. Ignacego Stoszki. Przez księdza Juliana Lubowieckiego został pozyskany jeden jeszcze kandydat, którym był ks. Władysław Majka. W Dzień Zaduszny roku 1920 cała trójka naszych pierwszych Sercanów, wyjechała z księdzem Wieheciem do Włoch. W ten sposób rozpoczął się nowy rozdział historii naszej Prowincji. Oddajmy na chwilę głos Historykowi naszej prowincji:

„Podczas ostatniego roku swych studiów teologicznych w bolońskim scholastykacie ks. Kazimierz Wieheć, pomimo pochłonięcia nauką — nie umiał on niczego czynić połowicznie — sprawy przeszczepienia Zgromadzenia na ziemię polskie nie zasypiał. Na jego prośbę ks. Matusz Jeź, wciąż jeszcze przebywający w Janowie na Podlasiu, umieścił w «Gazecie Kościelnej» (dwutygodniku wychodzącym wtedy we Lwowie, a organie duchowieństwa polskiego, którego był stałym korespondentem), artykuł-odezwę zatytułowany „Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego”.

W artykule tym ks. Mateusz Jeź zachęcał młodych księży, którzy by usłyszeli w swej duszy głos powołania, by wstąpili do nas i w ten sposób przyśpieszyli chwilę przeszcze-  
pienia do naszej Ojczyzny tego Zgromadzenia, poświęconego Najśw. Sercu Jezusowemu<sup>2)</sup>.

Z okazji otrzymania egzemplarza „Gazety Kościelnej” z wymienioną odezwą, ks. Kazimierz Wieheć napisał do jej autora list z podziękowaniem, w którym między innymi donosił, iż pod koniec czerwca, znów wybierze się do kraju na poszukiwanie powołań.

Od roku 1921, ks. Kazimierz Wieheć uczynił wiele wypraw rekrutacyjnych do Polski i za każdym razem nowicjat włoski w Albisoli zapętniał się polskimi nowicjuszami. Wielu z nich nie wytrzymało, propozycja czyniona w kraju wstąpienia do klasztoru, nęciła ich egzotycznością wyjazdu za granicę, z chwilą jednak zetknięcia się z życiem zakonnym, załamywali się i musiano ich po jakimś czasie wysyłać do Polski. Ciężkie to były czasy dla księdza Wiehecia. Nie zrażał się jednakowoż i tej jego wytrwałej pracy zawdzięczamy drogiego Brata Paschalisa (Mikołaja Świdra) przywiezionego do Włoch przez Księdza Kazimierza w roku 1921, dalej księdza Mariana Cichonia w roku 1922 (przebywa on obecnie w Szwajcarii); lata 1924 i 1925 są nazwane przez naszego Historyka „chudymi”, ponieważ wszyscy kandydaci, którzy wstąpili w tych latach do Zgromadzenia, nie wytrwali w swym powołaniu, a często osobą swoją wiele kłopotu przysporzyli ks. Wieheciowi.

Trzy ostatnie jego wyprawy rekrutacyjne, w latach 1926–1928 przyniosły nam wiele cennych powołań, z których każde wiele przyczyniło się do rozwoju Zgromadzenia w Polsce.

Nie można jeszcze opuścić w historii naszych początków faktu pierwszorzędnego znaczenia, jakim była bez wątpienia obecność dwóch polskich scholastyków przy śmierci Czci-  
godnego Ojca Założyciela. Było to w roku 1925. W sierpniu tegoż roku, Czcigodny Ojciec Dehon zapadł na ciężką chorobę jelit i w krótkim czasie choroba zwałała go z nóg. Czwartego sierpnia odprawił ostatnią Mszę św. w swym życiu, do której usługiwał mu, przynajmniej w jej początku, polski scholastyk

bawiący w owe wakacje w brukselskim domu naszego Zgromadzenia. Scholastykiem tym był ks. Majka Władysław. Drugi zaś scholastyk polski, ks. Stoszko Ignacy, pełnił wtedy funkcję furtiana domu brukselskiego, jak sam o sobie opowiada<sup>3)</sup>.

Nadszedł tragiczny dzień 12 sierpnia 1925 roku. Tuż przed południem, gdy wszyscy zebrani byli na południowym rachunku sumienia w chórze, dzwonek oznajmił, iż zbliża się koniec życia Drogiego Ojca. Pośpieszyli wszyscy do wezłowania umierającego. I tu właśnie przypadła nam w udziale łaska, którą dało nam Serce Boże, byśmy silniej uwierzyli w swe posłannictwo; łaska błogosławieństwa, ostatniego błogosławieństwa, dokonanego stygnącą ręką Czcigodnego naszego Ojca Założyciela. Dwu Polaków, młodych, nieświadomych może jeszcze swego powołania i wybrania, otrzymało błogosławieństwo. Mieli nieść je na ziemię ojczystą, by pomnożyło się ono w wielu młodych duszach i zakwitło obfitością powołań wynagrodzicieli. Chociaż nie byliśmy świadkami tej sceny, to jednak niezmiernie nas wzrusza fakt powyższy i tak chcemy wierzyć, że błogosławieństwo Naszego Drogiego Ojca nie było czystym przypadkiem, czy zbiegiem okoliczności, ale że było znakiem specjalnego umiłowania i wybrania, który zapowiadał nam wspaniałą przyszłość. Cięży — można powiedzieć — na nas to błogosławieństwo i oby rodziło wielkie owoce, godne naszego powołania.

Tak więc zaczęła się „Sercańska Sprawa” rodzić w łonie serc nielicznej, lecz gorącej garstki Polaków. Oni też mieli ją przenieść w roku 1928 na ziemię polskie, na ziemię prastarego Krakowa. Tutaj poprzez Dom Księży Emerytów (przy ul. św. Marka 10), poprzez Koszykarską 7, zdobyli wreszcie polscy Serkanie własne swe gniazdo, dzisiejszy dom przy ulicy Saskiej 2.

*Br. Adam Jerzy Włoch SCJ*

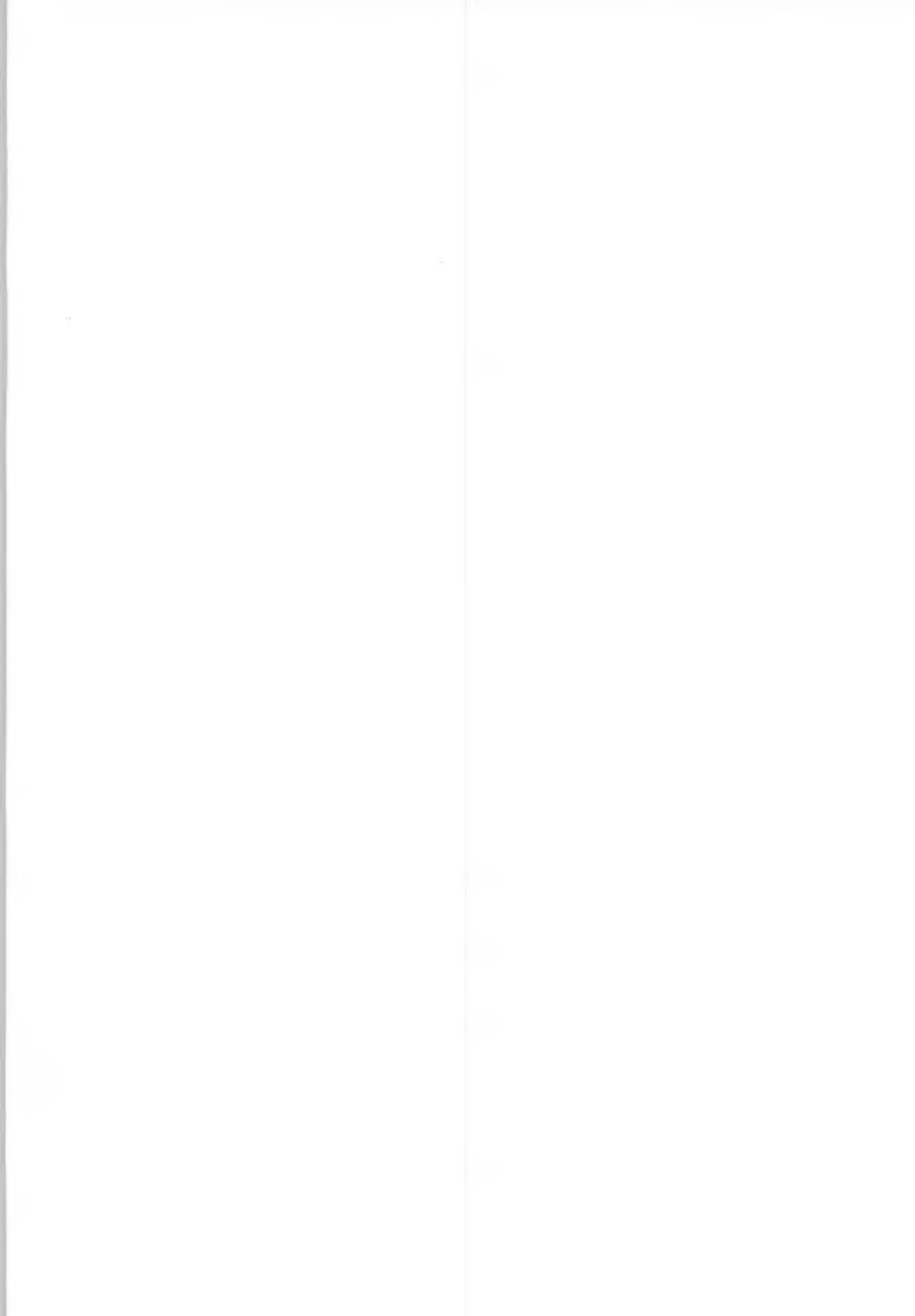
#### Przypisy

- <sup>1)</sup> Pierwszym Historykiem naszej Prowincji, jest ks. Władysław Majka SCJ, który napisał w obecnym czasie „Początki Prowincji Polskiej Księży Najświętszego Serca Jezusowego”, na której to pracy oprzemy nasze wiadomości dotyczące początków historycznych naszej Prowincji.

Wszystkie też cytaty, z których właściwie składa się powyższy artykuł, zaczerpnięte zostały z owego rysu historycznego Przewielebnego Księdza Władysława Majki.

- 2) Artykuł pióra ks. Mateusza Jeza zatytułowany „Zgromadzenie Księży Serca Jezusowego” znaleźć można w drugim numerze „Ecce Cor...” z roku 1952.
- 3) Por. „Wspomnienie o Ojcu Założycielu,” — ks. Ignacy Stoszko oraz „Wspomnienie o O. Założycielu” — ks. Władysław Majka w: „Ecce Cor...” nr 3, rok 1951 oraz osobnej broszurce „Wspomnienia o O. Założycielu” — „Ecce Cor”, 3 — 1951.

# **ZAŁOŻYCIELE**



Z początkami każdego powstającego dzieła związane jest imię jego założyciela czy założycieli. Jak nie ma bowiem rzeczy, która by powstała sama, tak nie ma dzieła bez założyciela, bez tego czy tych, których ofiara i praca zrosiły obfitym potem pierwsze stadia jego istnienia. Ludzie ci zwyczajnym porządkiem rzeczy muszą po jakimś czasie, pełnym trudu i wysiłku, opuścić tę ziemię. Imiona ich jednakowoż związane zostają nieodwołalnie z dziełem, któremu poświęcili swe życie; duch ich żyje w nim i są nieśmiertelni w pamięci tych, którzy tworzą żywe komórki utworzonego przez nich dzieła.

W roku bieżącym mija 25 lat od chwili, gdy stopa Sercanów polskich stanęła na ziemi polskiej. Niewielki to okres czasu, ale niestety zdążyliśmy w tym krótkim okresie stracić tego, który dołożył wszelkich starań i poniósł wielkie ofiary w tym celu, byśmy dzisiaj mogli jako Sercanie polscy figurować na kartach historii Kościoła. Rok 1950, był tym rokiem smutnym, który zabrał z naszego grona Drogiego Księdza Kazimierza Wiechecia. Czas robi swoje i dzisiaj są już w naszej Prowincji członkowie znający księdza Kazimierza tylko z fotografii. My starsi, znaleźmy go troszkę więcej, spotykaliśmy się z nim codziennie. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, kim on był dla nas, i nie zastanawialiśmy się nad tym, co uczynił dla nas i dla naszego dzieła w Polsce Drogi Ksiądz Kazimierz. Dopiero gdy nadeszła chwila jego śmierci, gdy zobaczyliśmy w oczach najstarszych współbraci-księży łzy, gdy spostrzegliśmy ten ogólny wielki żal, który świadczył o czymś więcej, niż o zwykłej miłości braterskiej, zaczęliśmy rozumieć, iż straciliśmy kogoś drogiego, kogoś, kto był naprawdę ojcem naszej małej polskiej Sercańskiej

Rodziny. I wtedy trumna, którą dźwigaliśmy na swych barkach na cmentarz Podgórski ciążyła nam bardzo, gdyż nieśliśmy drogie zwłoki ojca na miejsce wiecznego spoczynku.

Gdy w rok po śmierci ks. Kazimierza znalazłem się w Pychowicach, rodzinnej wiosce jego, i wdałem się w rozmowę z mieszkającą tam jeszcze jego siostrą, prostą kobietą, usłyszałem z jej ust zdanie, które wypowiedziała ze łzami w oczach: „I po cóż się mu zdało tyle pracować, tyle mordegi i poniewierki za granicą, po to by tak szybko skończyć?” — Co miałem odpowiedzieć? — Czyż miałem argumenty, którymi mógłbym przekonać tę prostą, starszą kobietę o tym, kim był dla nas drogi zmarły? Czy by mnie zresztą zrozumiała? Prowadząc obojętną rozmowę doszliśmy do ubogiej chaty, gdzie się urodził i wychował ks. Kazimierz Wiecheć. Tutaj dopiero, gdy zabrałem się do fotografowania z jednej i drugiej strony nędznej naprawdę dzisiaj chałupy, usłyszałem skierowane do siebie nieśmiałe pytanie: „Czy Kazik był u was kimś wielkim?” — Jakoś rozwiązał mi się język i sam dziwiłem się sobie, że aż tak wymowny potrafiłem być w tej sprawie. Wzruszyła nas wielce ta rozmowa. Biedna kobiecina płakała. Przy rozstaniu rzekła mi po prostu: „To może dobrze, że Kazik poszedł na księdza, niech mu Bóg pamięta to jego poświęcenie!”

Nieznany był dla wielu ks. Kazimierz oraz jego wkład w polską sercańskość; teraz wiemy, a więcej jeszcze się domyślamy. Serce Jezusowe było jednak zawsze z nim i widziało jego wysiłki, cierpienia i trudy — oceniło więc już dawno z pewnością to wszystko, czego może wielu spośród nas nie doceniło.

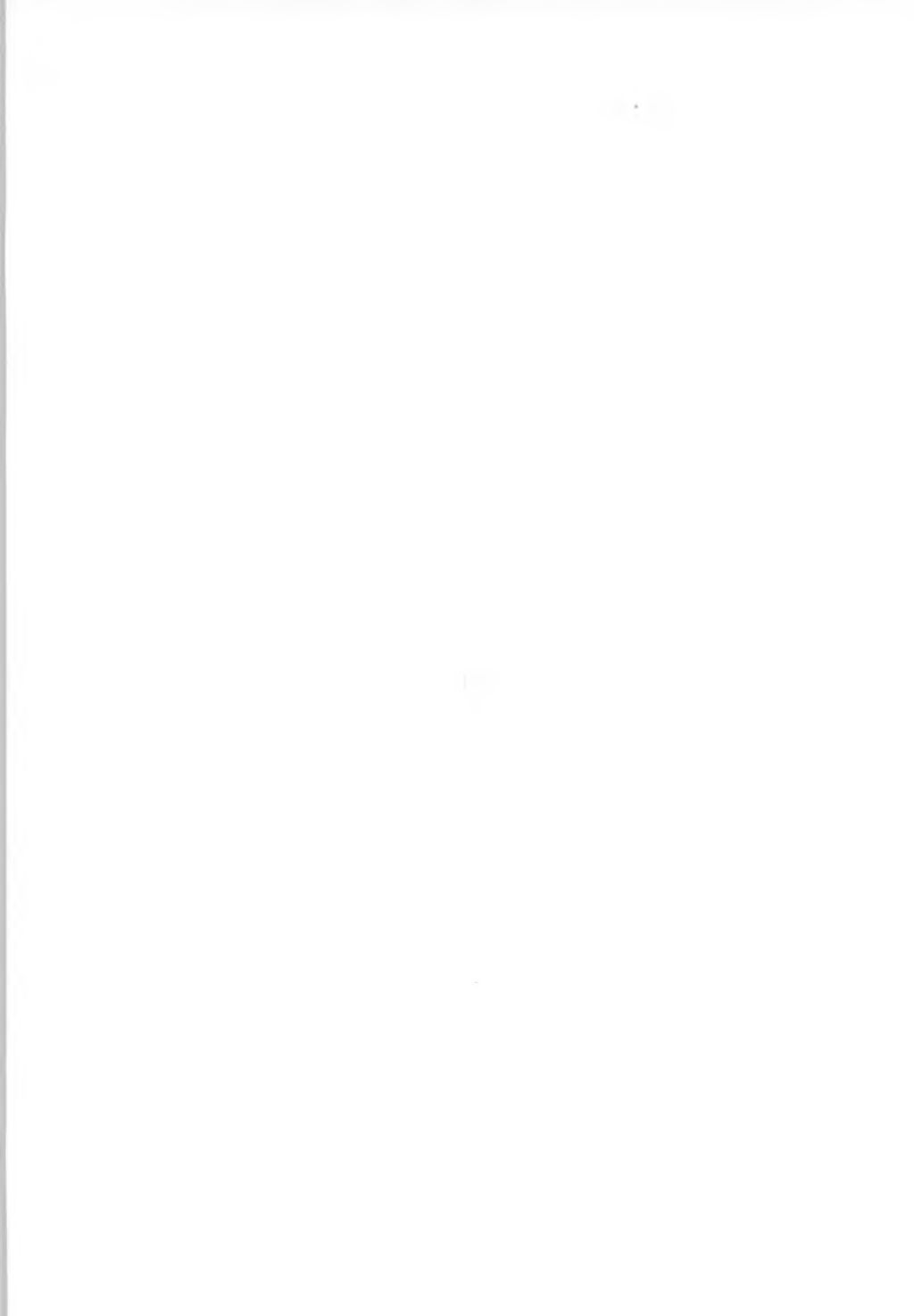
Obok nazwiska ks. Kazimierza Wiehecia, słyszymy często wymieniane inne nazwisko, któremu przydaje się przydomek „drugiego założyciela naszej Prowincji”. To nazwisko ks. Mateusza Jeża. Przew. ks. Majka w swej broszurce „Nasza Droga” tak pisze o nim: „Wśród nich (Dobroczyńców naszch dusz i naszego dzieła), na jedno z naczelných miejsc wysuwa się postać śp. ks. prałata Mateusza Jeża, pierwszego w Polsce dobroczyńcy naszego Dzieła. Ze względu na rolę łącznika jaką odegrał w pierwszych kontaktach naszego Zgro-

madzenia ze społeczeństwem polskim, sprawiedliwość każe nam uznać go za jednego ze współfundatorów naszej Polskiej Prowincji.

„Przypomina nam się i to, że w pierwszych, tak ciężkich po naszym przesiedleniu się do kraju latach, jak książeczka oszczędnościowaks. prałata, z zupełnym zaufaniem, przechodziła, niejeden raz, do rąk ks. Kazimierza Wiechecia. A chodziło tu przecież o grosz z takim trudem przez ubogiego katechetę zebrany na lata starości, na której proggu już podówczas się znajdował”.

Teraz nie dziwnym będzie nam widzieć w części poniższej, zatytułowanej „Założyciele” obok postaci ks. Kazimierza Wiechecia, również i postać ks. Mateusza Jeża. Tego domaga się sprawiedliwość. Postać ta jest młodej generacji naszej Prowincji zupełnie nieznana, z chęcią więc zapoznamy się z nią i postaramy się oddać jej sprawiedliwość. Pokażemy, że umiemy nie tylko korzystać z bratniej pomocy, ale że i odwdzięczyć się umiemy przed Boskim Sercem.

Oto dwie postacie ludzi już nieżyjących, a jednak żywych w naszych sercach i to nie tylko tych, którzy je znali, ale w sercach wszystkich sercanów polskich. Przez zapoznanie się z nimi, wchodzimy we właściwą historię naszej Prowincji. Z nazwiskami ich spotkamy się niejeden raz na dalszych kartach niniejszego albumu...



## Ks. KAZIMIERZ WIECHEĆ

Postacią, która musiała głęboko wyryć się w pamięci każdego, kto się z nią spotkał, była bezsprzecznie, postać księdza Kazimierza Wiehecia. Było w niej coś, co nakazywało szacunek, co pociągało, co pozwalało wnioskować o niepospolitości tego człowieka. Zdania mogą być podzielone, jeśli chodzi o pewne rysy charakteru, ale całość stanowi wielki blok, w którym rzucają się w oczy mistrzowskie cięcia odwiecznego artysty wykuwającego szlachetne piękno. Na każdym kroku, w każdym pociągnięciu, wydobywała się u niego swoista osobowość, której nie można było lekceważyć, bo świadczyła o oryginalności, jakiej u innych nie można było dostrzec nawet śladu. Są ludzie, którzy posiadają pewne wspólne cechy, coś co można podporządkować pod jeden mianownik, coś co pozwala doszukać się jakiegoś podobieństwa. Nic z tego nie widzimy u ks. Kazimierza. U niego tchnęła we wszystkim dziwna osobowość, która czyniła go czasem dla otoczenia niezrozumiałym. Były w nim na pierwszy rzut oka pewne sprzeczności, pewne głębokie kontrasty, które jednak nie raziły same w sobie, przeciwnie, uwypuklały niejako całość. Dzisiaj, kiedy spoglądamy na jego postać z perspektywy paru lat, jaśniej widzimy owe światłocienie, bez których jego osoba przejawiałaby się jako wyblakły, tuzinkowy portret, naszkicowany niewprawną ręką wędrownego samouka. Dziś jego postać tężeje, krystalizuje się; zanika w niej to, co uważać można było za słabe lub nawet ujemne, a pozostaje tylko to, co sprawiedliwość każe ocenić dodatnio — sprawiedliwość zabarwiona ludzką wyrozumiałością.

Podkrakowskie Pychowice, wchodzące w skład ogromnej ongiś parafii św. Józefa na Podgórzu, są rodzinną wioską

ks. Kazimierza. Jako czwarty z sześciorga dzieci małorolnego chłopa, urodził się 29 lutego 1896 roku. Niepokaźna chata, w której ujrzał światło dzienne, stoi jeszcze, zgrzybiała ze starości. Zaci ni jego rodzice zajmowali się po części uprawą lichej puchowskiej gleby, po części dorabiali czy przez pracę dorywczą ojca w kamieniołomach, czy też przez skrzętną zapobiegliwość matki donoszącej do miasta mleko, masło, nabiał. Życie w chacie Wiecheciów zaczęło układać się względnie pomyślnie, kiedy zaszedł wypadek, który zburzyć miał szczęście rodzinne tych pracowitych ludzi. Rodzic ks. Kazimierza był na wskroś zacnym, uczciwym i uczynnym człowiekiem. Zwróciła się do niego pewna osoba z prośbą o pomoc w postaci pożyczki w wysokości 300 reńskich. Suma ta, jak na warunki chłopskie i na owe czasy, była dość poważna. Miał p. Wieheć małe oszczędności, dołożył do nich grosz uzyskany ze sprzedaży części inwentarza, pożyczył nawet coś od sąsiadów i okrągłe trzysta koron wręczył proszącemu. Niestety zawiódł się haniebnie! Osoba owa nadużyła zaufania, choć jej stanowisko było najlepszą rękojmią uczciwości... Pieniądze przepadły, a zacny p. Wieheć tak to sobie wziął do serca, że ze zgryzoty wkrótce umarł, pozostawiając nad-szarpięte materialnie gospodarstwo i sześcioro nieletnich dzieci biednej wdowie.

Przedwczesna śmierć ojca była dla małego Kazimierza Wiehecia ciosem; oderwała go od matki i reszty rodzeństwa. Zaopiekowali się nim, bardzo zresztą troskliwie, bezdzietni stryjowie, Franciszkowie Wieheciowie, mieszkający w samym Krakowie. Znalazł tutaj, biedny sierota, atmosferę pełną ciepła, bo p. Franciszek kochał swego chrześniaka i bratanka zarazem iście po ojcowsku, a zacna stryjenka otaczała go szczególnymi względami. Nie pozostał Kazio dłużny swoim zacnym opiekunom i późniejszymi laty okazywał w miarę możliwości, swoją wdzięczność owdowiałej stryjence. Stryjostwo dbali o niego jak o własnego syna. Zapisali go do szkoły powszechnej, a następnie umieścili w gimnazjum. Zdolny i żywy chłopiec, radził sobie świetnie w nauce. Niestety, jak sam później powiadał, pod koniec trzeciej klasy gimnazjalnej,

naraził się jednemu z profesorów. Przyczyną tego była choroba oczu. Od młodych lat był O. Kazimierz krótkowidzem. Któregoś dnia profesor matematyki napisał na tablicy jakiś wzór i kazał go odczytać Kaziowi. Ten zaczął czytać jak mógł. Profesor był przekonany, iż uczeń z niego drwi... Nie pomogły żadne tłumaczenia. Profesor nie wierzył i zakarbował sobie ucznia, nie tylko na ten rok, ale i na przyszły. Życie stało się wtedy dla Kazia nieznośne. Stałe szykany w szkole działały nań deprymująco; postanowił wtedy opuścić gimnazjum i zwierzył się z tym swojemu katechecie, ks. Mateuszowi Jezowi.

I tutaj w życiu młodego ucznia gimnazjum nastąpił zasadniczy zwrot. Ks. Jeź był w swym czasie w kontakcie z przełożonymi naszego małego seminarium w Tervuren. Wyśłał już tam kilku młodych Polaków. Zaproponował wyjazd do Belgii Kaziowi. Ten przyjął skwapliwie propozycję i w połowie roku szkolnego 1910 wyjechał do Belgii, w towarzystwie dwu jeszcze innych kolegów.

W Tervuren spotkał już Kazio innych rodaków. Życie toczyło się tam spokojnym trybem. Trudność dla przybyszów z Polski stanowiła, szczególnie na początku, dwujęzyczność tego domu. Oprócz francuskiego używano tu również flamandzkiego. W krótkim stosunkowo czasie opanował Kazio oba języki. Nie mówiąc o francuskim, którym władał wspaniale, postugiwał się również i flamandzkim tak dobrze, iż z rodzonym Flamandczykiem mógł iść w zawody w wypracowaniach literackich. Wybijał się i w innych przedmiotach, szczególnie w matematyce, tak że uchodził za jednego ze zdolniejszych alumnów. Sam z własnej chęci, bez niczyjej pomocy, nauczył się grać na fisharmonii. Życie seminaryjne odpowiadało mu całkowicie, jak oświadczył jego kolega z ławy szkolnej ks. Collignon, późniejszy prowincjał holenderski pisząc: „Kazik był najwięcej uzdolnionym, najuczciwszym, najwięcej poważnym, a przede wszystkim najpobożniejszym spośród współuczniów Polaków.

Studia gimnazjalne ukończył w czerwcu 1914 roku i razem z jednym z dziesięciu Polaków, którzy przewinęli się

przez Tervuren — z Józefem Woźniakiem — wstąpił do naszego nowicjatu. Inni Polacy wykruszyli się powoli. Nie wszyscy przyjeżdżali do Belgii ze szczerymi zamiarami. Pewnego rodzaju romantyzm właściwy Polakom, był w wielu wypadkach bodźcem wyprawy za granicę, nie tyle po naukę, ile po wrażenia. Dwu z takich kandydatów, po paromiesięcznym pobycie w Tervuren „drapnęło” do Anglii, do Londynu, skąd „per fas nefas” policyjnie odstawiono ich do Krakowa... A i ten ostatni Polak, który z Kaziem wstąpił do nowicjatu w Belgii, nie wytrzymał w Zgromadzeniu. Kazio pozostał sam, co może było powodem, iż później we Włoszech, często powtarzał młodym kandydatom te słowa: „Przyjdzie czas, że wszyscy mnie opuścicie i znów będę sam...”

19 czerwca 1914 roku przywdział Kazio sutannę, a 23 w Brujelette rozpoczął postulat, który w zasadzie trwał do 3 czerwca 1916 r. Bezpośrednią przyczyną tego była pierwsza wojna światowa. Nasz postulant nie otrzymał „litterae testimoniales” z Polski. Pozwolono mu w trzech miesiącach postulatu odprawiać wszystkie ćwiczenia nowicjusza z tym przeświadczeniem, iż Stolica Święta kiedyś sankcjonować będzie wynikające stąd nieregularności. Po roku wysłano go bez ślubów do Tervuren na dalsze studia filozoficzno-teologiczne i dopiero w czerwcu 1916 roku, kiedy nadeszły pożądane dyspensy, złożył swoje śluby zakonne.

W nowicjacie br. Kazimierz, który przybrał imię Jan Ewangelista, świecił przykładem dla innych. Jego rzutkość była zadziwiająca, jego zaradność i zapobiegliwość nadzwyczajne. Powierzono mu ogród i sprawy gospodarcze. Wywiązywał się ze swego zadania wspaniale. Niemcy nachodzili nowicjaty, szukając ukrytej żywności. Br. Kazimierz tak cudownie „dekował” skąpe zapasy nowicjackie przed zachłannością teutońską, iż wyspecjalizowane komisje rekwizycyjne opuszczały dom... z próżnymi rękami. O Jacquemin, ówczesny mistrz nowicjatu, tak pisze: „Podczas swego pobytu w Brujelette, drogi br. Kazimierz był ministrem. Był on zawsze nader budującym; bardzo pobożny i pełen poświęcenia”.

Najcięższy okres życia kleryckiego przeżył br. Kazimierz w Tervuren podczas studiów filozofii. Wytężona praca o głodzie i chłódzie, niepewność o jutro, wyczerpały go nerwowo. Zapadł poważnie na zdrowiu. W roku 1917 otrzymał tonsurę, ale zdrowie nie pozwalało na dalsze studia. Przyplątała się do nerwowości choroba oczu... i wtedy wybrał się, po siedmiu latach pobytu za granicą, do kraju. Przełożeni przekonani byli, że do Zgromadzenia już nie wróci. Nie lada perypetii trzeba było, by dostać się do Polski. Ale br. Kazimierz nigdy i niczym się nie zrażał. Wylądował szczęśliwie w Krakowie i tu zacna stryjenka postawiła go na nogi. Po wyzdrowieniu czyni starania o paszport i wizę powrotną do Belgii. Daremne trudy! Zapisuje się więc na Uniwersytet Jagielloński i ucze- szcza na wykłady teologii. W roku 1918 zdobywa paszport. Okrężną drogą przez Czechosłowację, Szwajcarię i Francję ma zamiar dotrzeć do Belgii... Na granicy czeskiej spotyka go pierwsze niepowodzenie. Straż graniczna wysadza go z pociągu do Pragi, wypisując mu w paszporcie wyrok: „Zurck nach Krakau”. Br. Kazimierz nie wraca jednak do Krakowa. Chyłkiem poprzez tory, dopada pociągu. Z paszportu wydzie- ra kartkę z wyrokiem nieużytego Czecha... Po wielu prze- prawach, któregoś pięknego dnia zjawia się w Lowanium, gdzie w międzyczasie uruchamiano od nowa nasz scholasty- kat. Tutaj w 1919 roku w czerwcu, kończy drugi rok teologii.

Niepospolite zdolności i sumienna pracowitość zwracają na niego uwagę przełożonych. Postanowiono wysłać go na dalsze studia do Rzymu. W październiku tegoż roku wyjeżdża do Włoch. Nie dociera jednak do stolicy chrześcijaństwa. Z powodu braku miejsca w naszym domu rzymskim, zatrzy- muje się w Bolonii. Tutaj kończy trzeci rok teologii i 25 lipca 1920 roku otrzymuje święcenia kapłańskie. Nareszcie po tylu latach tułaczki, doświadczeń i trudności stanął u ołtarza pańskiego. A chociaż serce krwawiło mu jeszcze i łzy niezu- pełnie obeschły po stracie matki, która nie doczekawszy się prymicyjnej Mszy św. syna zasnęła w Panu trzy miesiące przed święczeniami, czuł w sobie zadowolenie i wdzięczność dla Boga, czego wyrazem jest werset psalmu, widniejący na

obrazku prymicyjnym: „Ojciec mój i matka opuścili mnie; Pan wszelko wyniósł mnie”.

Z końcem lipca 1920 roku zjawia się O. Kazimierz w Krakowie. Przybywał tu nie tylko po to, by na grobie ojca i matki odmówić modlitwę kapłana za zmarłych rodziców, by uradować serce zacnej stryjenki, która mu była prawie matką, by ucieszyć braci i siostry swoim widokiem. Wytknął sobie inny cel życia. Jako pierwszy kapłan Polak w Zgromadzeniu, czuł spoczywający na sobie obowiązek przeszczepienia dzieła sercańskiego na odrodzone ziemie polskie. Miał więc zamiar poszukać sobie przyszłych współpracowników i dlatego ta pierwsza jego podróż do kraju po święceniach była podróżą rekrutacyjną. Szukać powołań w Polsce, oto co mu leżało na sercu.

Nie wszystkie jego zamiary dały się zrealizować. Liczył on na to, iż znajdzie wśród duchowieństwa polskiego jednostki, które urzeczone ideą wynagrodzenia, pośpieszą w szeregi synów Ojca Dehona. Zawiodł się jednak. I oto umysł systematyczny, jaki go zawsze cechował, kazał mu zwrócić wzrok raczej na młodzież gimnazjalną, która kształcona w naszych domach za granicą, wróciłaby do Polski i z nim wspólnie pracowała na niwie sercańskiej. Droga to dłuższa, ale pewniejsza, jak się później okazało, jedyna. A chociaż dla Ojca Kazimierza kryła ona niejedną ostry cierń, niejedną przykry zawód, nie zawahał się na nią wstąpić.

Wypraw rekrutacyjnych było kilka. Zaraz po prymicjach udało mu się zawieźć do naszego nowicjatu w Albisoli trzech młodzieńców polskich, którzy wszyscy doszli do kapłaństwa. Gorzej było z innymi wyprawami. z niektórych nie pozostał nikt w Zgromadzeniu... Tak, jak ongiś w Belgii, znaleźli się obecnie i we Włoszech tacy, którzy ujmę przynieśli imieniowi polskiemu, a Ojcu Kazimierzowi wstyd i ból... Ale to go nie zrażało. Wracał corocznie do Polski uparcie wierząc, iż cel, który sobie wytyczył, zostanie osiągnięty. Wytrwał i zwyciężył...

Warto może zrobić małe zestawienie wyników, uzyskanych z owej dorocznej rekrutacji. Przez Albisole przewinęło się 24 Polaków kleryków i braci. Pozostało z nich w Zgromadzeniu 11, czyli przeszło 40%... Wynik bezsprzecznie zadowalający,

jeśli rekrutacja belgijska wykazuje się stosunkiem 1:10, a niektóre roczniki naszych wychowanków płaszowskich z czasów międzywojennych wykazują okrągłe zero... Wprawdzie wyjeżdżający do Włoch to młodzieńcy, a nie dzieci jeszcze i jechali wprost do nowicjatu; wszelako zbierani oni byli z różnych środowisk, często bez żadnego pojęcia o życiu zakonnym.

Po czwartym roku teologii miał O. Kazimierz udać się do Rzymu na dalsze studia. Sam Ojciec Założyciel to mu przyobiecał. I znów inaczej ułożyły się warunki. Oto Prowincja Włoska była dopiero w powijakach. Brak jej było personelu. Rektor naszego małego seminarium upatrzył sobie świetnie władającego językiem włoskim, O. Kazimierza, na generalnego prefekta. Znał on go już dobrze, bo jako kleryk zastępował przez pewien czas prefekta w Albino. O. Kazimierzowi uśmiechał się Rzym, ale nie odmówił prośbie O. Santulliego... Dawano mu również do zrozumienia, iż zaciągnął względem Prowincji Włoskiej pewne zobowiązania za dwuletnie studia... opłacane skrupulatnie przez O. Założyciela i... że grupa Polaków żyje na koszt Włochów. Zapomniano wtedy o tym, jak pierwsi Włosi podobnie żyli w Belgii... I oto widzimy go w Albino, pracującego z heroicznym samozaparciem. Trzymał on w garści całą dyscyplinę nad niesfornym elementem zebrany z całych Włoch. Uczył przy tym francuskiego i matematyki, a równocześnie pomagał dorywczo w duszpasterstwie w sąsiadujących z Albino parafiach. Zyskał sobie tam sławę dobrego mówcy, co dla obco krajowca wśród Włochów nie jest rzeczą łatwą...

Dwa lata później ks. Duborgel prosi o przystanie mu O. Kazimierza do Bolonii. Zaczęto wtedy budowę nowego scholastykatu przy Via Derna. Lepszego pomocnika trudno było znaleźć w tym wypadku! Ile nocy nie przespanych, ile trudu, ile wysiłku, ile również rozczarowań spotkało O. Kazimierza w Bolonii, o tym on sam tylko wiedział, a niektórzy coś o tym przypuszczali. Oddano mu jednak sprawiedliwość, bo sami Włosi powiedzieli bez przekąsu, że „jeżeli posiadają piękny scholastykat, to zawdzięczają go tytanicznej wprost pracy biurowej O. Kazimierza”.

O. Santulli tymczasem, urgował przełożonych o zwrot „pożyczonego” na czas budowy scholastykatu bolońskiego O. Kazimierza. Bez niego nie mógł się żadną miarą obejść. Toteż zaledwie ukończono budowę, wraca O. Kazimierz do Albino i tam już pozostaje do ostatecznego wyjazdu na fundację do Polski. W roku 1926 otrzymuje nominację na socjusza mistrza nowicjusów. Piastuje ten urząd całe... trzy czy cztery tygodnie... O. Santulli wyciąga go z nowicjatu do Albino...

2 lutego 1928 roku, było to w południe, wpadł do mnie do biura O. Kazimierz. Był rozpromieniony!

— Jadę do Rzymu, a z Rzymu do Polski! — zawołał od progu.

Pokazywał mi list Ojca Generała. Oto nareszcie zaczniemy w Polsce! Pobiegłem zaraz do pokoju br. Cichonia, który przebywał wtedy w Albino na urlopie zdrowotnym. Mój Boże! — Trudno było sobie wyobrazić naszą radość, wszak o tym ciągleśmy myśleli i stale mówili! Poszliśmy do O. Kazimierza. On już gotował się do drogi. Nie miał czasu na długą rozmowę, spieszył się na pociąg.

— Módlcie się — rzucił na pożegnanie. Za kilka dni wracam, albo z niczym..., albo z wszystkimi upoważnieniami.

Wrócił do Rzymu i w kilka dni później zegnaliśmy się życząc mu błogosławieństwa w nowej pracy. Obiecał nam pisać, a my jak we śnie, towarzyszyliśmy mu w jego podróży. Pierwszą kartkę otrzymaliśmy z Krakowa. Przynosiła ona tylko pozdrowienia... Druga kartka nadeszła z Łodzi... Trzecia z Wilna, a potem długie milczenie..., aż dopiero podczas letnich wakacji zjawił się on sam, ale znalazł mnie już w Bolonii, a brat Cichoń siedział wtedy w Alpes Maritimes w sanatorium. Z Włoch miał zamiar pojechać do Francji i Belgii po „zastrzyki”...

Ile zabiegów, ile zdrowia kosztowała go pierwsza fundacja w Płaszowie, nie potrzebuję wspominać. Znają to jedni jako naoczni świadkowie, a drudzy z opowiadania. Zjadł Płaszów, po części O. Kazimierza, wyczerpał go nerwowo, pociągnął w wir życia, pchnął na drogę wyniszczenia. Za tę cenę stanęła nasza pierwsza placówka na ziemiach polskich.

Z Domu Emerytów przy świętym Marku, na Koszykar-  
ską, z Koszykarskiej na Saską, z Saskiej przez Włochy  
w 1935 roku do Belgii, z Belgii, po przeszło roku do Fel-  
sztyna, z Felsztyna po wrześniowej katastrofie do Płaszowa,  
z Płaszowa w czasie wojny do Prus, aby ostatecznie osiąść  
na starych śmieciach płaszowskich, a skończyć jako „hortu-  
lanus”, patrząc na Dzieło sercańskie, które on zapoczątkował  
w Polsce, a które rozrasta się dzięki wspólnemu wysiłkowi  
tych, których do Zgromadzenia zaprowadził, albo którym  
Zgromadzenie przybliżył.

Jak piorun z jasnego nieba spadła na polską sercańską  
Prowincję wiadomość o nagłym (prawie) zgonie O. Kazimierza.  
Czym był dla mnie lakoniczny \*telegram ...; „Zmarł Ks. Wie-  
cheć. Pogrzeb w czwartek”. Nie mogłem wystawić się. Przed  
uroczystością Niepokalanego Poczęcia wyjeżdżałem z rekole-  
kcjami w kaliskie, stamtąd udawałem się do Kostuchnej pod  
Katowicami. Żegnając się z O. Kazimierzem, nie przypuszcza-  
łem, iż go już nie zastanę przy życiu. Wprawdzie żalił się na  
jakieś dolegliwości, ale przecież jego wygląd zaprzeczał wszel-  
kiej chorobie. A jednak, śmierć przyszła, przyszła jak złodziej...  
W uroczystość Niepokalanej odprawił jeszcze Mszę św., potem  
się położył. W ostatnich czasach częściej się to przytrafiało,  
tak że nie wzbudziło to poważniejszej troski i obaw. Tymczasem  
inaczej się rzecz miała! Przeniesiono chorego z pierwszego  
piętra na drugie do osobnego pokoju. Ogromne osłabienie  
ogarnęło jego wszystkie członki. Coś w rodzaju paraliżu nie  
pozwalało mu mówić. Zawezwano lekarza, który stwierdził  
wylew krwi do mózgu... Ówczesny magister nowicjuszy przy-  
szedł z Olejami świętymi, i Chory miał oczy otwarte, patrzył  
przytomnie, rozumiał wszystko, chciał coś mówić lecz nie mógł.  
Ucałował z rozrzewnieniem podany mu krzyżyk z odpustami  
na godzinę śmierci. Czuwano przy nim dniem i nocą. Bracia  
Borowy i Szewc, pełnili przy nim służbę opiekunów-pielęgni-  
arzy. Kolejno zmieniali się u jego wezgłowia księży. O północy  
jedenastego grudnia opuścili jego pokój księży Zawadziński  
i Marekvia i wtedy posłyszeli jakiś hałas, jakby trzaśnięcie  
drzwiami.

— „Śmierć idzie” — wyszeptał trwożnie ks. Marekwia... Wrócili do pokoju chorego. Leżał z zamkniętymi oczyma, ale oddychał, ciężko oddychał. Uspokojeni, zdali czuwanie dwom młodszym współbraciom, księżom Tadeuszowi Wietesze i Wiktorowi Kubinie. Ci roztoczyli opiekę nad chorym podając mu od czasu do czasu łyżeczkę mleka, poprawiając pościel, lub pomagając mu obrócić się na jeden czy drugi bok. Nad ranem jęczenie chorego ucichło. O. Kazimierz o własnej sile odwrócił się na lewy bok i zamilkł. Spojrzeli obaj czuwający po sobie i nagle... zrozumieli, iż to agonia... Zapukali do sąsiedniego pokoju. Ks. Zawadziński zerwał się jednym susem na nogi, pojął w mgnieniu oka co się dzieje, wpadł do chorego, wsunął w jego rękę gromnicę... Konanie było krótkie i piękne; lekkie drganie ust i serce przestało bić na zawsze... Była godzina 4<sup>50</sup>, dzień 12 grudnia 1950 roku... O. Kazimierz liczył lat 54...

Dzwonek poranny tej samej chwili budził płaszowską wspólnotę na nowy dzień. O. Kazimierz już go nie słyszał... Spał wiecznym snem... Śmierć rozlała na jego twarzy niewinny spokój, łagodność, pogodę i dobroć... A może w pewnym momencie, odzyskawszy błysk przytomności wspomniał słowa, które powiadał czasem do młodych konfratrów we Włoszech: „Wy wszyscy mnie opuścicie i znów pozostanę sam”. Nie spełniła się jego przepowiednia; nie wszyscy go opuścili, nie pozostał sam...

Kiedy zajechałem przed dom, tłumy tłoczyły się w bramie na oścież otwartej. Wpadłem na kogoś z konfratrów i rzuciłem pytanie:

— „Gdzie leży?”

— „W poczekalni” — padła odpowiedź.

Jedną z poczekalni zamieniono na kaplicę żałobną. I tam, na wysokim podniesieniu, stała otwarta trumna. Zaczekano na mnie i nie zamknięto wieka, choć będąc najdalej od domu, mogłem nie przyjechać na oznaczoną godzinę. Szczerze byłem za to wdzięczny, bo pragnąłem gorąco zobaczyć go raz jeszcze ostatni... W złotych blaskach jarzących się świec, w kwiatkach, tonęła cała prowizoryczna kaplica żałobna. Białe kwiaty, chryzantemy... jego chryzantemy, a on wśród

nich cichy, spokojny, z dobrotliwą łagodnością w zastygłej, lecz żywotnością tchnącej twarzy, leżał wspaniały... „Hortulanus”... Uklęknąłem u trumny, w sercu czułem ból, a piersią szarpnął szloch... A kiedy wstałem, kiedy rzuciłem okiem na drogie martwe rysy, kiedy spojrzałem na oplecione różańcem spracowane dłonie ze śladami świętej matki ziemi u obwódok palców, skłoniłem głowę, łzy posypały się na te ręce, które nie znały nigdy odpoczynku...

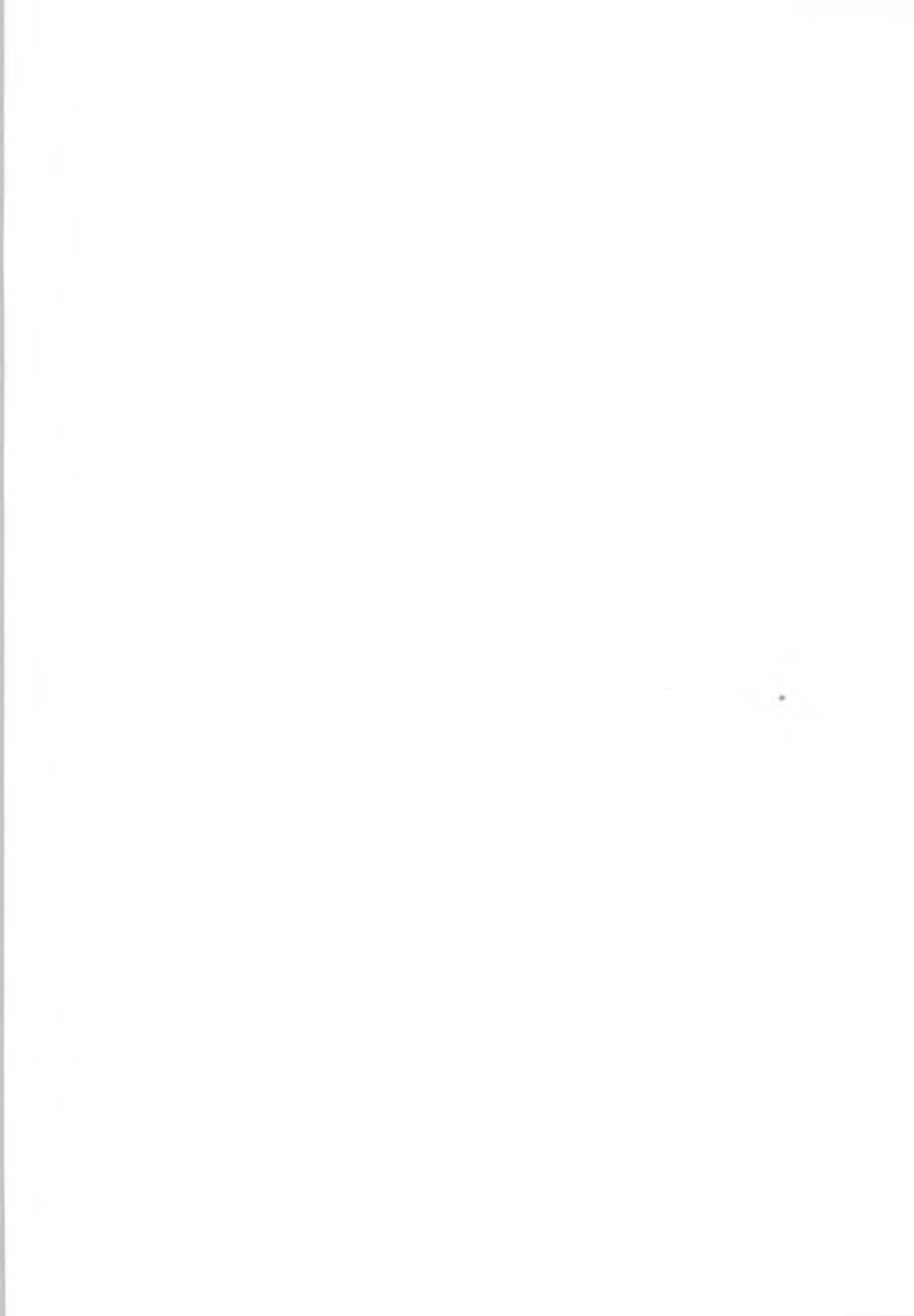
Eksportację zwłok, Officjum defunctorum, Mszę św. żałobną, uroczyste egzekwie, drogę na cmentarz widziałem jak przez mgłę... Z wszystkich naszych domów przybyły delegacje... Trumnę nieśli i księża i klerycy i bracia... Wszyscy, jak przystało..., a czynili to z namaszczeniem, bo była to ostatnia przystuga dla O. Kazimierza.

Tłumy Płaszowian towarzyszyły mu na cmentarz, choć dzień to był roboczy i z trudem niektórzy mogli uzyskać zwolnienie z pracy w przedpołudniowych godzinach. Płaszów okazał mu wdzięczność za wiele, bardzo wiele — za serce, za przyjaźń, za wszystko co dla niego zdołał.

I spoczął na Krzemionkach. Kiedy opadły pierwsze grudki ziemi na wieko trumny spuszczonej w zimny grób, kiedy z piersi współbraci, drgających bólem rozległo się ostatnie *Salve Regina*, duże i liczne łzy wsiąkały w cmentarny piasek...

Odszedł od nas, on pierwszy, on ojciec naszego Dzieła w Polsce, śpi wiecznym snem na Krzemionkowskim cmentarzu. Na mogile jego czyjaś ręka postawiła drewniany, prosty krzyż. Czekają na grobowiec wspólny, gdzie wokół jego trumny spoczną wiankiem ci, których zawiódł do Zgromadzenia, albo którym Zgromadzenie przybliżył...

*Ks. Franciszek Nagy SCJ*



## KS. PRAŁAT MATEUSZ JEŻ

Jedną z najpiękniejszych postaci wzmożonego ruchu organizacyjno-religijnego, jakim zatętnił gród podwawelski w pierwszej ćwierci naszego stulecia, był niewątpliwie ks. prałat Mateusz Jeż. Kapłan o złotym sercu i jasnej duszy, pełen gorliwości i dynamizmu, wszędzie gdzie apostolski trud potrzebował pracownika, stawał na szafcu, by słowem mówionym i pisany, wpływem swoim i rzetelnym wysiłkiem zdierać się dla idei Chrystusowej. Inteligencja niepospolita, siła woli, pracowitość sumienna sprawiały, iż odcinek na którym on pracował, zakwitał i wydawał bujne plony.

A różnoraka była jego praca. Jako młody kapłan pracuje niestrudzenie w charakterze wikarego krakowskich parafii. Zauważono wtedy, iż młody wikary wywierał dziwny wpływ na młodzież i niebawem widzimy go na odpowiedzialnym stanowisku nauczyciela religii szkół średnich. Czuł się tutaj w swoim żywiole. Natura prosta, bezpośrednia, bogata w dane przyrodzone — w krótkim czasie podbił serca swoich uczniów. I wtedy mógł rozwinąć cudowną działalność kapłańską wśród tej młodzieży, która cenić go poczęła nie tylko jako fachowca-nauczyciela, ale przede wszystkim jako kapłana wychowawcę.

Nic więc dziwnego, iż z czasem stał się on jedną z najpopularniejszych osobistości Krakowa. Trzydziestoletnia praca w szkolnictwie wywarła przemożny wpływ na liczne zastępy tej młodzieży, która przeszła przez jego ręce i która do naszych czasów wspomina z miłością i szacunkiem tego, który dla niej był mistrzem i wzorem.

Któregoś z owych końcowych dni czerwca, goniąc za sprawunkami po śródmieściu, zawieruszyłem się na ul. Reformackiej, i dobrze się stało. Zlecono mi bowiem wstąpić

do Domu Księża Emerytów przy ul. św. Marka, aby zaprosić na uroczystość Serca Jezusowego „żelaznego gościa”, ks. prałata Jeża. Właśnie zagłębiać się miałem w bramę, kiedy wytoczyła się z niej wspaniała postać poszukiwanego.

— „A?! ksiądz prałat?” — zawołałem uradowany — „moje uszanowanie! Jakże bardzo się cieszę...!”

— „I co słyhać w Płaszowie?” — przerwał mi z szerokim uśmiechem na czerstwej twarzy.

Kilka zdawkowych odpowiedzi i uderzyłem w sedno sprawy. Wprawdzie na ulicy, ale dlatego by nie fatygować ks. prałata po schodach na piętro, zaprosiłem go serdecznie na naszą patronalną uroczystość.

— „Ależ naturalnie, naturalnie” — wykrzyknął — „Przyjdę do Płaszowa, do Sercanów zawsze chętnie spieszę, bo tam czuję się jak u siebie...”

Podziękowałem mu i już miałem się pożegnać, kiedy zapytał mnie dokąd idę. Odpowiedziałem, i wtedy on rzekł:

— „No! — to pójdziemy kawalek razem...”. Jeszcze nie weszliśmy na Sławkowską, kiedy jakiś elegancki mężczyzna z roześmianymi oczyma natknąwszy się na nas radośnie zawołał:

— „A! ksiądz prałat! Jak strasznie się cieszę...!”

— „Jak się masz, chłopcze, — odpowiedział ks. prałat, podając jegomościowi rękę, którą ten ze czcią przycisnął do ust.

Wymieniliśmy kilka słów serdecznych, gorących, przyjacielskich i pożegnaliśmy się.

— „To p. dyrektor banku” — rzucił mi ks. prałat. „Porządny człowiek. Były mój uczeń”.

...Na Sławkowskiej szedłem już z kapeluszem w rękę, bo od stałego uchylenia go mogła być mnie zabołek prawica, a na A-B myślałem już tylko o tym, by jak najrychlej dać nura w boczną ulicę, bo ukłonem, powitaniem, wykrzykiem nie było końca. A zapewnić mogę uroczyście, że nie mnie się tak rżęsiście kłaniano...

Oj! popularnym był w Krakowie ks. Mateusz Jeż! Od pół wieku znał go podwawelski lud. Znano go jako wikarego,

znano jako nauczyciela, znano jako Dyrektora Adoracji dla Kapłanów, i Ligi częstej codziennej Komuni św.; znano jako Przełożonego Generalnego Arcybractwa Straży Honorowej i Adoracji Wynagradzającej; znano jako Przewodniczącego Krajowego Dzieła św. Piotra Klawera i Kierownika Związku Misyjnego Polek; znano jako kaznodzieję i konferencjonistę, jako pisarza, publicystę i... poetę. Cieszył się ogólnym uznaniem, szacunkiem i był podziwiany za tak przeróżną pracę. Spotkało go wyróżnienie za tak liczne trudy: † łańcuch kanonicki, papieska szambelania, fiolety prałackie. Staruszek zbierał teraz owoce trudu i znoju na kapłańskiej niwie.

Nie było uroczystości ważniejszej u nas w Płaszowie, by mogło zabraknąć na niej ks. prałata Jeża. Wśród przyjaciół, jakich mieli Sercanie, on niewątpliwie wysuwał się na pierwsze miejsce. Znają go wszyscy starsi współbracia, znają z jego częstych bytności na Koszykarskiej, a później na Saskiej. Zjawiał się w naszym gronie przemiły ten przyjaciel, przynosząc pogodę, szczęście, serdeczność. Otaczaliśmy go kołem, a on pełen humoru, opowiadał nam wesołe dykteryjki, stawiał zagadki, sypał dowcipami i prawie zawsze... zasypywał nas swoimi wydawnictwami, publikowanymi wierszem i prozą... Był nam przyjacielem, był zawsze mile widzianym gościem.

Skąd ta przyjaźń, skąd owo tak serdeczne przywiązanie? Skąd w ogóle znajomość i zażyłość?

Stosunki łączące ks. Jeża z Sercanami sięgają czasów, kiedy o osiedleniu się naszym w Polsce zaledwie można było marzyć. W jaki sposób zostały one nawiązane, pozostaje na razie jeszcze tajemnicą. Kiedyś, gdy ktoś z naszych będzie miał możliwość zaglądnąć do archiwów Zgromadzenia, rąbek tej tajemnicy zostanie odsłonięty...

Bezpośrednie zetknięcie się ks. Jeża z synami O. Dehona datuje się co najmniej z roku 1908. Tego bowiem roku zjawił się w Krakowie młody Sercanin holenderski, kleryk Henryk Meyerink. Przebywał tu po to, by nauczyć się języka polskiego, aby następnie, otrzymawszy święcenia kapłańskie, udać się do Finlandii, gdzie dwu jego rodaków pracowało już od paru miesięcy wśród katolików rozsianych po krainie

tysiąca jezior. Właśnie O. Założyciel przyjął nową placówkę misyjną w protestanckiej Finlandii i Henryka Meyerinka miał zamiar podostać do pomocy OO. van Gijssel'owi i Buckx'owi, którzy już tam pracowali. Większość katolików przebywających wtedy w Finlandii stanowili żołnierze stacjonujący w różnych garnizonach i twierdzach fińskich, pochodzący z ziem polskich spod zaboru rosyjskiego. Im to w pierwszym rzędzie chciano zapewnić stałą opiekę duchową i dlatego znajomość języka polskiego była dla misjonarzy konieczna.

Kleryk Meyerink, jadąc do Krakowa, nie udawał się w nieznane. Miał on zapewniony dach nad głową i to nie gdzie indziej... tylko w domu księdza Jeża, który wtedy mieszkał przy ul. Jabłonowskich, pod numerem 18.

Od tej pory „baza” sercańska w Krakowie, aż do ostatecznego osiedlenia się naszego w Polsce będą gościnne progi ks. Jeża. Tutaj zatrzyma się jakiś czas późniejszy wikariusz apostolski Finlandii O. Buckx i prawdopodobnie O. van Gijssel; tutaj zatrzymywać się będzie prawie zawsze w czasie podróży rekrutacyjnej senior i fundator nasz w Polsce, O. Kazimierz Wiecheć, uczeń ks. Jeża, skierowany przez niego do naszego juwenatu w Belgii; z domu tego zacnego kapłana wyrusza nasza pionierska czeladka na Płaszów...

W jaki sposób zaciągnięte zostały więzy znajomości między naszym Zgromadzeniem a ks. Jeżem, nikt z nas żyjących nie wie. Tuż przed samą wojną napisał pierwszy magister nowicjuszków z Felsztyna list do ks. Jeża prosząc o informacje w tej sprawie... Odpowiedź nadeszła właśnie w chwili opuszczania nowicjatu przez naszych nowicjuszy, udających się na tułaczkę w straszne dni września, pełne zamieszania i chaosu i... jak wiele innych cennych rzeczy, zawieruszyła się... Potem, może zaniedbano coś w tej sprawie i dzisiaj obaj ci, którzy by mogli udzielić wyczerpujących informacji, już nie żyją... Możemy więc snuć tylko pewne przypuszczenia, sugestywne bez wątpienia, ale oparte jedynie na danych pośrednich.

I tak: ks. Jeż był jednym z tych kapłanów, których pochłoneła idea adoracji wynagradzającej. Żył on w kontakcie

ze zgromadzeniami zakonnymi, które w szczególny sposób realizowały tę ideę. Jednego ze swoich siostrzeńców skierował do Włoch, do Księży Sakramentynów, z tym przeświadczeniem, iż zostawszy kapłanem, przywiezie do Polski adorację wynagradzającą. Bratanka znów wysłał do Belgii, do Sercanów z tą samą myślą... Niestety, obaj zawiedli nadzieje zacnego wuja i stryja... Może był on w łączności listownej z O. Założycielem, a może O. Dehon, czasu swojej podróży do Finlandii w roku 1907, wracając poprzez Rosję i Polskę (via Petersburg, Moskwa, Mińsk, Brześć Litewski, Warszawa) zawadził i o inne miasta Polski jak Częstochowa i oczywiście... Kraków i zetknął się wtedy z ks. Jeżem? A może ks. Jeż, który bywał za granicą na różnych kongresach i zjazdach, poznał tam albo samego O. Założyciela, lub przynajmniej któregoś z jego synów...

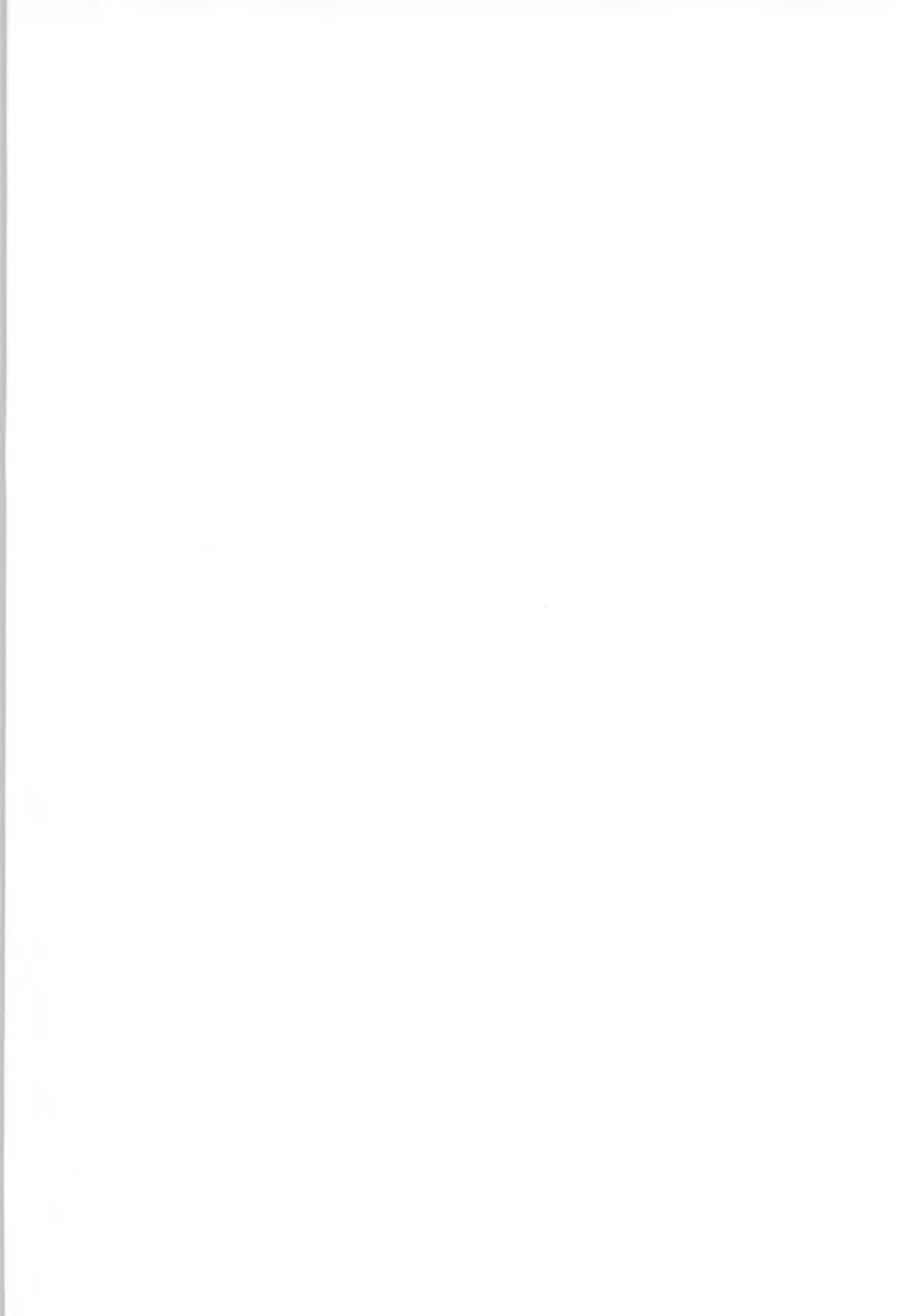
Przypuszczenia te może nam niedaleka przyszłość rozświetlić. W każdym razie istniały dawniejsze przyjazne stosunki z ks. prałatem Jeżem i nic dziwnego, iż z chwilą naszego zjawienia się w Polsce, u niego znaleźli fundatorzy naszej Prowincji czasowy przytułek i oparcie, a dawna przyjaźń nie tylko nie ostygła, ale nabrała żywotności. Nie przesadzę twierdząc, że w początkach naszych w Krakowie nieraz ks. prałat Jeż był całą naszą podporą, w takim stopniu na jaki go stać było.

We wzajemnym obcowaniu cechowała tak ks. Jeża, jak i nas prostota i szczerść, rodząca głębokie zaufanie. A ufał nam ks. prałat więcej niż własnej rodzinie. I nie zawiódł się na Sercanach! W licznych wypadkach, szczególnie zaś w ostatniej chorobie, mogliśmy okazać mu naszą wdzięczność. U wezłowią chorego przyjaciela spędził dni całe nie kto inny, tylko Sercanin, śp. O. Kazimierz, którego ustanowił wykonawcą ostatniej swojej woli, z pominięciem własnego siostrzeńca, kapłana. O. Kazimierz spełnił wszystko, co względem najlepszego ojca mógłby spełnić kochający i oddany syn... On zajął się pogrzebem, łącznie ze współbraćmi urządził mu uroczyste egzekwie w kościele OO. Reformatów, on odprowadził go na cmentarz rakowicki...

Ze śmiercią ks. prałata Jeża, która nastąpiła 10 lutego 1949 roku, straciliśmy serdecznego przyjaciela. Nie urwała się jednak wtedy więź, która nas wzajemnie łączyła, bo pamięć o nim żyje wśród nas i nadal żyć będzie. A kiedy odmawiamy modlitwy za zmarłych dobroczyńców, w nich wyliczamy i dzisiaj śp. ks. prałata Mateusza Jeża...

*Ks. Franciszek Nagy SCJ*

**POCZĄTKI**  
**1928 — 1939**



Po zapoznaniu się z założycielami Dzieła, a zwłaszcza z postacią O. Kazimierza Wiehecia, stworzyliśmy sobie niejako podstawę, na której oprzeć możemy początki historii naszej Prowincji. I tutaj niejednokrotnie spotykamy się z faktami, które znane nam będą już z treści poprzedniej części, wszystko jednak zazębia się, wychodząc z pierwszych początków dziejowych Sercanów Polskich. Na naczelne miejsce wysunie się osoba O. Kazimierza. On to bowiem w tym okresie wykonywał pracę olbrzyma, kładąc fundamenty pod przyszłą Prowincję Polską. Ale obok tej drogiej nam sylwetki, pojawiają się inni, pozyskani przez niego dla Dzieła, młodzi budownicy polskiej sercańskości.

Zaczyna tworzyć się historia. Narastające coraz to nowe jej warstwy stają się bogatszymi w fakty. Historia ta z chwilą osiedlenia się Sercanów polskich na ziemiach ojczystych rozgałęzia się; powstają jakby dwa tory: jeden, właściwy, obejmuje dzieje grupy przebywającej w Polsce, drugi natomiast obejmuje dzieje grupy, do której należeli przeważnie scholastycy odbywający swe studia za granicą.

W grupie polskiej wybijali się na pierwsze miejsce po ks. Wieheciu: — ks. Ignacy Stoszko, który w roku 1932 w Strassburgu zdobył stopień doktora św. teologii, pisząc dzieło w języku francuskim pt., „L'Apologetique de St. Augustin”, a powróciwszy do Polski zostaje mianowany w roku 1939 Superiorem Regionalnym Zgromadzenia Sercanów Polskich. Trzeba zaznaczyć, iż Serkanie Polscy posiadający nazwę „Coetus Polonicus” przynależeli do tzw. „Communitates R.P. Superiori Generali”.

— Ks. Julian Lubowiecki, należący do pierwszych naszych polskich księży. Niestety nie przebywał on długo w Po-

lsce, gdyż już w roku 1932 wyjechał do Kanady w celu pracy misyjnej.

— Ks. Władysław Majka, który w roku 1937 otrzymał nominację na rektora nowo powstałego pierwszego domu nowicjatu w Polsce, w Felsztynie, a zarazem i pierwszego mistrza nowicjuszków polskich. Urząd Rektora piastował do wybuchu wojny, a magistra nowicjuszków do roku 1953, w którym to roku objął Prowincję jako przełożony prowincjalny.

Obok tych trzech naszych pierwszych księży, ważne miejsce zajmuje ks. Franciszek Nagy, który był kolejno prefektem chłopców w Płaszowie, katechetą, a potem piastował urząd ekonoma naszego domu macierzystego w Płaszowie, a następnie ekonoma domu felsztyńskiego, aż do swego wyjazdu do Brazylii, tzn. do marca 1938 roku. On też ze strony Zgromadzenia był stroną podpisującą kontrakt dzierżawy domu felsztyńskiego.

Następnie idzie grupa złożona z trzech księży, a mianowicie: ks. Michał Wietecha, który pełnił urząd wiceprefekta, a następnie prefekta w Płaszowie; dalej ks. Franciszek Zawadziński, również pełniący w Płaszowie urząd wiceprefekta oraz drugiego radnego domu płaszowskiego. Najmłodszy z tej grupy to ks. Wincenty Turek, wyświęcony we Francji w roku 1937.

Nie ma potrzeby zresztą wymieniać ważniejszych naszych przedwojennych księży, albowiem każdy z nich był bardzo ważny w tej małej sercańskiej gromadzie, która dopiero co, tak można powiedzieć, wychodziła z powijaków. Cała więc grupka sercańska składająca się z ośmiu księży odgrywała i odegrała rolę w pionierskiej pracy Zgromadzenia na ziemiach polskich.

Gdy już mówimy o ważności poszczególnych osób, nie możemy pominąć i drogiego brata, dzisiaj seniora braci konwersów polskich, Paschalisa. Osoba jego związana jest prawie że od samych początków z powstaniem polskich Sercanów. W „Początkach Prowincji Polskiej Księży Najśw. Serca Jezusowego” czytamy o nim: „Z polecenia Przełożonych odwiózł

on do Krakowa (z Włoch) pewnego kandydata, nie nadającego się na brata.

Konwojent ten, przy tej okazji, zbudował swoich współbraci tym, że pomimo, iż zupełnie niespodziewanie znalazł się w kraju, nie uległ pokusie, by odwiedzić swoją rodzinę. A miałyby co w domu opowiadać. Wszak mieszkał we Włoszech i w klasztorze był od pięciu już przeszło miesięcy.

Zacny ten brat pochodził z Przybyszówki, wioski odległej o 3—4 km od Rzeszowa. Z ks. Kazimierzem Wieheciem spotkał się on po raz pierwszy w lecie 1921 roku, u OO. Bernardynów w Rzeszowie. A oto w jakich okolicznościach.

Ks. Wieheć przyjechał był wtedy do Staromieścia, podmiejskiej, rzeszowskiej wioski, skąd zgłaszał się do Zgromadzenia pewien młody kapłan i zatrzymał się w wymienionym klasztorze. Wdawszy się w rozmowę z jednym z tamtejszych braci, organistą, dowiedział się od niego, że w warsztatach kolejowych pracuje pewien 26-letni ślusarz, nazwiskiem Mikołaj Świder, który pragnie wstąpić do klasztoru na brata zakonnego. Na prośbę ks. Wiehecia, jego interlokutor posłał do niego, aby po pracy przyszedł do klasztoru. Tam to, w klasztorze OO. Bernardynów, w celi owego brata organisty, ks. Kazimierz Wieheć i ten, który miał zostać bratem Paschalisem, spotkali się po raz pierwszy. W kilka tygodni potem nowy kandydat był już w Albisoli...”

Drugą bardzo ważną spośród braci polskich postacią jest br. Żurek, zwany powszechnie bratem Alojzym, chociaż imię jego zakonne brzmi Stanisław. Jest to pierwszy polski brat. Pomimo, iż jest on drugim z kolei wśród braci polskich, to jednak zupełnie słusznie przysługuje mu przydomek „pierwszego”, a to dlatego, że był on pierwszym bratem, który odbył swój nowicjat w polskim nowicjacie w Felsztynie i tam też złożył swą pierwszą profesję, stąd więc uzasadnionym jest nazwanie go „pierwszym polskim bratem”.

Od roku 1938 ks. Kazimierz Wieheć prowadzi ekonomat domu felsztyńskiego i jest równocześnie prefektem tamtejszego „scholastykatu”. Odegrał on już swoją rolę i zaczyna usuwać się na dalszy plan wśród Sercanów polskich. Znany

był większości młodszej generacji naszej Prowincji jako ks. Wiecheć „ogrodnik”.

Tuż przed samą wojną, w roku 1939, obejmuje urząd rektora domu płaszowskiego ks. Michał Wietecha.

Grupa Polaków przebywających za granicą w okresie przedwojennym była dość znaczna, i ona również tworzyła swoją historię. Rzućmy tak z perspektywy spojrzenie nasze na nią.

W Elenchusie naszego Zgromadzenia w rubryce „Necrologium Provinciae Polonicae” widzimy dwa nazwiska polskie, oczywiście, ale zupełnie nam nie znane; są to nazwiska ks. Szymańskiego oraz brata Zjeźdrzałki. Jeżeli ks. Wiehecia i jego najbliższych współbraci polskich zwiemy pierwszymi Sercanami polskimi, to ks. Szymańskiego i brata Zjeźdrzałkę musimy nazwać chyba „najpierwszymi”.

Z postacią ks. Szymańskiego i jego doprawdy tragiczną śmiercią, zapoznamy się przez jeden z artykułów poświęconych jego osobie w niniejszej części albumu. Natomiast słów parę poświęcić wypada bratu Zjeźdrzałce, o którym niestety tak mało wiemy, iż nie można było myśleć o skreśleniu charakterystyki, chociaż by tylko w grubszych zarysach, jego osoby.

Z dokumentów pisanych, odnoszących się do jego osoby, posiadamy zaledwie list jednego z naszych księży z Prowincji Belgijsko-Luksemburskiej, streszczający w 20 wierszach maszynopisu życiorys brata Kazimierza Zjeźdrzałki. „Bien peu mais j'ai rassemble ce que j'ai trouve...” — pisze tenże ksiądz.

Brat Kazimierz Zjeźdrzałka urodził się w roku 1882 — gdzie — nie wiadomo, w Polsce na pewno, a w poznańskim prawdopodobnie. Nowicjat odbywał w Sittard i 5 września 1910 roku złożył swe pierwsze śluby. W październiku 1912 roku wyjeżdża w towarzystwie jednego z księży z Prowincji Niemieckiej do Kongo Belgijskiego. Tam też na placówce misyjnej w St. Gabriel pozostaje do roku 1914. W tymże roku zostaje przeniesiony na inną placówkę, którą jest Yanninghen. Pod koniec roku 1914, ze względu na swój stan zdrowia jest zmuszony opuścić Kongo i przyjechać do Rzymu wraz z ks. Lacroix. Przez jakiś czas pozostaje w Europie, albowiem odmawiano jego prośbie powrotu do pracy w Afryce.

Uzyskuje w końcu pozwolenie na wyjazd i udaje się na powrót do Kongo Belgijskiego. Tym razem zostaje przydzielony do dużej stacji misyjnej Stanleyville (rive gauche) i tutaj pozostaje do roku 1919. W tym to roku w sierpniu, z bratem Schepers powraca do Europy, do Anvers.

W owym czasie Zgromadzenie nasze rozpoczynało pracę misyjną w Kamerunie. W związku z tym Czcigodny nasz O. Założyciel szukał ochotników do tejże pracy. Poczciwy i ofiarny brat Kazimierz Zjeżdżałka, zgłasza swą kandydaturę i pod koniec roku 1920 wyjeżdża do Kamerunu, by tam pozostać już aż do śmierci.

Jeśli chodzi o jego pracę na misjach, to specjalnością jego było podobno budownictwo. Wiele też, według opowiadań, nabudował tak w Kongo Belgijskim, jak i w Kamerunie. Poza tym trudnił się szoferstwem, które to zajęcie przyczyniło się do jego śmierci. Zginął bowiem 24 lutego 1938 roku w wypadku samochodowym. Tak więc zarówno ks. Szymański jak i brat Zjeżdżałka, tragiczną śmiercią zeszedli z tego świata...

Wiemy coś niecoś z opowiadań naszych księży, iż brat Zjeżdżałka, kwestował w Polsce na rzecz Zgromadzenia. Z powodu tejże kwesty spotkały go dość duże nieprzyjemności, gdy pewnego razu gdzieś w Poznańskim, jakaś służąca — w przypływie uczuć religijnych — zaofiarowała mu dość dużą sumę pieniędzy, zebranych na czarną godzinę. Po niedługim czasie, władze policyjne polskie, rozesłały listy gończe za zakonnikiem, który wykorzystał biedną, a zbyt „pobożną” służącą. A stało się to wskutek zastygnięcia ofiarnych uczuć owej służącej. W jakiś sposób dowiedział się brat Zjeżdżałka i całą sprawę wyjaśnił. Gorzej jednak było z pieniędzmi, które przesłane zostały już za granicę. Zdołał je jednak, nie bez trudności i wstydu, wydobyć oraz zwrócić ofiarnej właścicielce...

Tu tyle o „najpierwszych Sercanach”... I gdy to wszystko się działo, nowe już warstwy historii narastały, tworząc dzieje emigracji polskiej za granicą. A tworzyły ją najpierw osoba ks. Kazimierza Wiechecia, następnie trzech pierwszych naszych księży: ks. Juliana Lubowieckiego, ks. Ignacego Stoszki oraz ks. Władysława Majki, a potem tych, którzy nieprzerwa-

nym szeregiem szli zasilając zastępy Sercańców polskich. A szli oni, jak pisze autor „Naszej Drogi”, poprzez Albisole, Albino, Bolonię, Rzym, Oropę, Castelfranco, Strassburg, Brukselę, Brugelette, Lowanium, Sittard, Amiens, Lille, Dieudome i wiele innych jeszcze ośrodków zagranicznych.

Odnośnie jednego z pierwszych naszych księży, a mianowicie ks. Lubowieckiego, trzeba by zaznaczyć, iż przebywa on po dziś dzień za granicą, a nawet nie należy do naszej Polskiej Prowincji. Aktualnie należąc do Prowincji Ameryki Północnej przebywa w scholastykacie tejże Prowincji w Hales Corners.

Ostatni z naszych księży przedwojennych, z których jeden otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1937, a drugi już w okresie wojny, odbywali swój nowicjat w Albisoli jak wszyscy nasi księża pierwszej generacji, na studia jednak zostali wysłani do Lille we Francji. Byli to księża: Wincenty Turek oraz Stanisław Michalik. Następni po nich księża, wówczas jeszcze scholastycy Kierpiec, Rychlicki i Gąsiorek wyjeżdżają do nowicjatu w Brugelette, a nie do Albisoli. Studia swe odbywają w Lowanium.

Od roku 1937 polscy kandydaci do Zgromadzenia nie muszą już wyjeżdżać za granicę, by przejść okres próby, albowiem po wydzierżawieniu domu w Felsztynie, utworzono nowicjat, w którym w tymże samym roku, po obłóczynach mających miejsce w Płaszowie, którym przewodniczył J. E. Ks. Bp. Cobben, rozpoczęli nowicjat dzisiejsi księża: Kubina Roman, Rudzok Karol, Marekvia Władysław, Kmiecik Włodzimierz, Dionizy Bucki, Anatol Pieczara, Stanisław Nagy, oraz brat Alojzy Żurek. Po ukończeniu nowicjatu, wyżej wspomniani, pod bacznym okiem ks. Kazimierza Wiechecia, odbywali w Felsztynie swe studia humanistyczne.

Taki stan naszego polskiego zgromadzenia sercańskiego, zastała katastrofa wrześniowa w 1939 roku...

## POLSCY SERCANIE WE WŁOSZECH 1918–1935

Aczkolwiek emigracja belgijska, ta najstarsza, sprzed pierwszej wojny światowej, do której impuls dał śp. O. Założyciel, a która została zorganizowana i przeprowadzona przez ks. Meyerinka, członka Prowincji Holenderskiej, przy wydatnej pomocy śp. ks. prałata Mateusza Jeża, nie ziściła w pełni pokładanych w niej nadziei, to przecież dała Zgromadzeniu Księży Najśw. Serca Jezusowego jednego członka narodowości polskiej — śp. ks. Kazimierza Wiehecia. On to w zamiarach opatrności Bożej miał się stać kamieniem węgielnym przyszłej Prowincji Polskiej Księży Sercanów. Wrószszy w konar francusko-belgijski naszego Zgromadzenia i z niego, jakby u samego źródła czerpiąc pierwsze sercańskie soki, resztę swego wyrobienia otrzyma na ziemi włoskiej, dokąd też w przyszłości kierować będzie polskich kandydatów do Zgromadzenia.

Przedstawię pokrótce jak doszło do przyjazdu do Włoch brata Kazimierza Wiehecia, a następnie streszczę historię pierwszej emigracji sercańsko-polskiej do tego kraju w okresie między dwoma wojnami (w latach od 1918 do 1935), która stanowi właśnie przedmiot niniejszego artykułu.

1. Droga br. scholastyka Kazimierza Wiehecia z Belgii przez Polskę do Włoch

Po skończeniu studiów filozoficznych w Belgii (Tervuren), gdzie w połowie roku 1917, młody br. Kazimierz na skutek bardzo ciężkich warunków materialnych, jakie tam zapanowały, musiał przerwać dalsze studia i udać się najprzód do Brugelette na odpoczynek, ale ponieważ poprawa mimo to nie nastąpiła, z polecenia przełożonych wyjeżdża do Polski, by tam, w stronach rodzinnych, przy lepszych

warunkach bytowania odzyskać utracone zdrowie. Jakoż w istocie, pobyt w ojczystym kraju wpłynął korzystnie na samopoczucie br. Kazimierza i pokrzepił jego siły tak dalece, że nawet zaczął uczyć na wykłady teologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, by nie tracić cennego czasu. Z chwilą gdy zaś i warunki polityczne zaczęły się coraz lepiej układać, wybiera się w drogę powrotną na Zachód, by po nader uciążliwej, pełnej przygód podróży, przez Wiedeń i Berno Szwajcarskie, gdzie doznał prawdziwie ojcowskiej i przyjacielskiej pomocy i opieki ze strony tamtejszego nuncjusza papieskiego Mgra Maglione, przybyć do Albino, siedziby małego seminarium Prowincji Włoskiej.

W międzyczasie kontaktuje się br. Kazimierz ze swymi przełożonymi w Belgii, czekając na dalsze rozkazy odnośnie swej osoby.

Otrzymuje wtedy od O. Założyciela polecenie, by udać się na dalsze studia teologiczne do Rzymu, gdy wtem wyłania się nowa przeszkoda, jakich tyle na swej ciernistej drodze życia napotkał śp. ks. Kazimierz. Tym razem doznał jej ze strony naszych księży włoskich, którzy wznosząc zręby swojej prowincji, znajdowali się wtenczas w wielich kłopotach pod względem personelu. Oni to, obserwując młodego scholastyka polskiego, do którego coraz wyraźniej zbliżała się perspektywa kapłaństwa i dostrzegając w nim wiele niepoślednich zalet i zdolności, oraz dobre wykształcenie humanistyczne, doszli wnet do przekonania, że mógłby on w krótkim czasie stać się dla nich doskonałym materiałem na profesora i wychowawcę. Dość na tym, że dzięki swoim zabiegom uzyskali to, że br. Kazimierz, zamiast do Rzymu, wysłany zostaje do Bolonii na Via Nosadella, skąd będzie uczył wraz ze scholastykami włoskimi na teologię świętą do Seminarium Regionalnego, przy Via dei Mille. Po dwóch latach studiów otrzymuje święcenia kapłańskie dnia 25 lipca 1920 roku. Jest to data niezmiernie ważna, szczególnie dla naszego osiedlenia się w Polsce. Bo oto po dziesięciu latach prób i oczekiwań dojrzał do kapłaństwa Polak-Sercanin, który w tym charakterze będzie mógł niebawem rozwijać akcję

rekrutacyjną, bardziej skuteczną, bo na niepomierne lepszych opartą przesłankach niż ta pierwsza do Belgii, gdyż spocznie ona w rękach kapłana lepiej znającego młodzież narodu, do którego wspólnoty sam przynależy i mogącego i umiającego lepszymi sposobami dotrzeć do młodzieży (a takimi były bezsprzecznie kontakty z księżmi profesorami względnie proboszczami). A w większym może jeszcze stopniu osobiste poznanie rodzin i środowiska przyszłych aspirantów do Zgromadzenia.

Do tej, tak ważnej sprawy przystąpi ks. Kazimierz z wrodzoną sobie energią i temperamentem, już z okazji swoich prymicji w Polsce. Odprawił je najpierw w kościele parafii dębnickiej, do której została przyłączona jego rodzinna wioska Pychowice, wchodząca przedtem w skład parafii św. Józefa w Podgórzu.

Nie miał, niestety, ks. Kazimierz szczęścia, jakiego doznaje neoprezbiter, gdy na głowach swych drogich rodziców może złożyć swe pierwsze kapłańskie błogosławieństwo. Odumarli go oni jeszcze w dzieciństwie. Dlatego też mógł ks. Kazimierz umieścić jako motto na prymicyjnym obrazku-pamiętce, w pełni ich prawdy te wzruszające słowa Psalmisty: „Pater meus et mater mea dereliquerunt me: Dominus autem assumpsit me” (Ps 26).

## 2. Kolejne fazy emigracji

Przeżywając w podniosłym nastroju pierwsze tygodnie i miesiące swego kapłaństwa, rozgląda się równocześnie neoprezbiter ks. Kazimierz wokół siebie w poszukiwaniu młodzieńców, do których mógłby skierować, jak ongiś Chrystus do swoich Apostołów, te przynaglające słowa; „Veni, sequere me”, by w ten sposób mogli i oni kiedyś po latach stać się uczestnikami podobnego szczęścia i radości, a z kolei współpracownikami tego samego co i on Zgromadzenia.

Pierwszymi młodzieńcami, na których spoczęło jego dobrocią promieniujące oko kapłana-Sercanina, a którzy mieli kiedyś stać się wraz z nim „robotnikami” pierwszej rodziny na ziemi polskiej, byli: Ignacy Stoszko (obecny proboszcz naszej parafii w Płaszowie), Władysław Majka, (który w tej

chwili dzierży w swych rękach ster Prowincji Polskiej) i Julian Lubowiecki (dziś członek Prowincji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej). Pierwszy z tej trójki pochodził z pow. brzeskiego, dwaj ostatni z pow. myślenickiego. Pod względem wieku, dwóch pierwszych miało po 16 lat, trzeci zaledwie 14 i kilka miesięcy. Wieść niesie, że co do jednego z dwóch pierwszych, ks. Kazimierz żywił pewne obawy z powodu jego nikłego wzrostu i mizernego wyglądu. Sprawę jego miał poprzeć ks. kanonik Gałuszkiewicz, duszpasterz w Gaju koło Krakowa i ks. Kazimierz dał się przekonać...

Od zwerbowania jednak tych pierwszych trzech kandydatów do ich wyjazdu za granicę upłynęło parę miesięcy. By nie tracić czasu i nie zostać, jak się to mówi, „na lodzie” w wypadku nieuzyskania od władz państwowych pozwolenia na wyjazd, w tych powojennych, pełnych jeszcze zamieszania czasach, wyżej wymienieni młodzieńcy uczęszczają w dalszym ciągu do swoich gimnazjów; najstarszy z nich przechodził jakby jakąś kwarantannę na Zakrzówku w bursie, którą prowadził dla młodzieży ceniony ksiądz społecznik, i zdaje się, że nawet profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. Gołda. Stąd uczęszcza do gimnazjum Nowodworskiego. Z powodu trudności materialnych, częstym wówczas gościem na stole była kapusta, karpiele itp. warzywa. Kto wie, czy nie od tego czasu datuje się zamiłowanie do tych artykułów u tego, wyżej wzmiankowanego młodzieńca, którą jak kiedyś, pomimo swego doktoratu ze świętej teologii, tak świetnie rozwinie, zwłaszcza w czasie okupacji niemieckiej, ku wielkiemu zadowoleniu podniebienia swych konfratrów. „Wszystko się w życiu przydać może”.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany moment odjazdu, gdzieś koło Zaduszek. Trasa podróży prowadziła przez Czechy, Wiedeń, Górną Austrię, Tarvisio, Wenecję, Mediolan do Albisola Superiore. Tu, w cichym, przemiłym zakątku, w kotlinie górskiej z wylotem na piękne, włoskie morze, w okolicy Savony, znajdował się, podobnie jak dziś, nowicjat Prowincji Włoskiej naszego Zgromadzenia.

Okres nowicjatu przeżyli pierwsi polscy nowicjusze na ziemi włoskiej w na ogół bardzo trudnych warunkach ma-

terialnych, darzeni jednak ciepłem wielkiej życzliwości, tak ze strony ówczesnego ojca magistra a zarazem rektora, śp. ks. Duborgela, zwanego potocznie „Padre Luigi”, jak i wszystkich współnowicjuszków włoskich. Pierwszą profesję zakonną złożyli wszyscy trzej dnia 10 marca 1922 roku. Niebawem po profesji nastąpił ich wyjazd: br. Stoszko z br. Lubowieckim zostali wysłani do naszego scholastykatu w Bolonii przy Via Nosadella, brat zaś Majka do Albino, gdzie doskonalili się w języku włoskim i uzupełniali swoje studia gimnazjalne. Po wakacjach bracia Stoszko i Majka uczęszczać zaczęli do liceum przez lata szkolne 1922/23 i 1923/24, gdzie przerabiali pierwszą i drugą klasę licealną (wraz z filozofią), po czym wyjechali na uniwersyteckie studia teologiczne do Strassburga we Francji. Za nimi podąży również br. Lubowiecki, ale dopiero rok później, to jest w 1925, pracując na razie przez wakacje 1922 oraz rok szkolny 1922/23 w biurze w Rzymie na rzecz wybudowanej tam przez ks. Gasparri świątyni ku czci Chrystusa Króla, a w latach 1923/24 oraz 1924/25 przerabiając z kolei pierwszą i drugą klasę licealną.

Święcenia kapłańskie otrzymali: br. Stoszko z br. Majką w marcu 1928 roku, br. Lubowiecki zaś w roku 1929.

Ale wróćmy jeszcze do czasu, kiedy ci trzej pierwsi nowicjusze przechodzą swą formację zakonną w nowicjacie.

Ks. Kazimierz kończy tymczasem czwarty rok św. teologii i zostaje skierowany przez przełożonych do Albino w charakterze profesora języka francuskiego, którym władał doskonale, i profesora matematyki oraz śpiewu. Stąd będzie on przedsięwziął wyjazdy do Polski po nowych kandydatów.

I tak drugi raz z kolei udał się tam w czasie wakacji w 1921 roku. Bo jakkolwiek z trzech pierwszych kandydatów był na razie zupełnie zadowolony, to nie mógł przecież przewidzieć jakie będą ich dalsze koleje: czy wszyscy trzej dotrą do kapłaństwa i wytrwają w powołaniu sercańskim.

Tym razem udało się zebrać grupę złożoną z pięciu kandydatów; dwóch na braci: byli to Świder Mikołaj i Furman, obaj z powiatu rzeszowskiego, a trzech na księży: Stopa

i Piechota z Krakowa i Zańkowski Paweł z kieleckiego. Niestety już w parę tygodni po przyjeździe do Albisoli Świder Mikołaj (w Zgromadzeniu późniejszy br. Paschalis) odwiózł z powrotem do Polski Furmana, Stopę i Piechotę; Zańkowski zaś utknął w drodze (na filozofii) na tle jakiegoś rozstroju psychicznego i wystąpił ze Zgromadzenia w 1923 r.

Został więc z tego drugiego rocznika tylko jeden, wspomniany przed chwilą, poczciwy nasz br. Paschalis, obecnie najstarszy wiekiem członek Prowincji Polskiej, a profesją zakonną jeden z najstarszych. Jemu to w przyszłości przypadnie ta, raczej smutna rola „konwojenta” do ojczyzny tych kandydatów polskich, którzy, jak się to dzisiaj mówi, utknęli „w wąskim gardle”. Wobec tak szybkiego wykruszania się tego drugiego rocznika, trzeba było myśleć o nowych nabytkach.

Trzeci wyjazd ks. Kazimierza w tym celu do Polski uwieńczony został pomyślnym skutkiem: przywiózł wtedy ks. Kazimierz Mariana Cichonia z Izdebnika koło Kalwarii. Odbywał on przez trzy miesiące nowicjat pod kierunkiem ks. Duborgela, a resztę pod kierownictwem ks. Gelasio Paladino, nowego magistra.

Pierwszą profesję zakonną złożył pierwszego grudnia 1923 roku. W toku studiów licealnych w Bolonii zapadł na zapalenie płucnej i musiał dla poratowania zdrowia powrócić do Polski przez Albisole, pod jesień 1927 roku. Spędziwszy w Cieszynie u rodziców parę miesięcy na odpoczynku, wraca przez Albisole znowu do Włoch. W lutym 1928 roku, przywozi z sobą do nowicjatu aspiranta Andrzeja Dziedzica z Cięciny koło Żywca, który jednak nie został w Zgromadzeniu, występując z niego już w Polsce, z naszej pierwszej siedziby przy ulicy Koszykarskiej. Z Albisoli wyjechał br. Cichoń do Albino, a stamtąd O. Philippe, Generał, wysłał go do Francji, do sanatorium dla zakonników, skąd po dziewięciomiesięcznym pobycie wraca z powrotem do Albino. W jesieni 1929 roku pokrzepiony na zdrowiu uda się do Bolonii, by kontynuować przerwane wskutek choroby studia. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1933 roku. Od 1934 roku pracował ofiarnie w Polsce, mimo iż często zapadał na zdrowiu. W roku 1939,

podczas katastrofy wrześniowej dotarł poprzez Węgry z grupą naszych młodych uciekinierów z Felsztyna do Włoch opiekując się nimi i tam jeszcze jakiś czas, by później, na zaproszenie O. Generała udać się na kurację do Szwajcarii, gdzie dotąd przebywa, pracując jako duszpasterz wśród emigracji włoskiej.

Z wyprawy do Polski w roku 1923 przywiózł ks. Kazimierz do nowicjatu w Albisoli Wielgusa Józefa, Ambroziaka Józefa, Giskę Józefa (przechrztę żydowskiego) i Kudasa Kazimierza. Z tej grupy do kapłaństwa w Zgromadzeniu doszedł tylko Wielgus Józef, który po okupacji niemieckiej wystąpił ze Zgromadzenia w 1946 roku, pracując na ziemiach odzyskanych jako duszpasterz, gdzie też umarł w lecie 1950 roku i pochowany został w rodzinnym Sieprawiu.

W 1924 czy 1925 roku przywiózł ks. Kazimierz Rajczewskiego z Pacanowa, który jednak już w 1926 roku był z powrotem w Polsce.

Szósty z kolei rocznik z 1926 roku składał się z czterech kandydatów. Byli nimi: Cichoń Izidor z powiatu rzeszowskiego, Zawadzki Marian z Krakowa, Nagy Franciszek z Bierunia Staroego i Solak Franciszek z Tarnowa. Z tej czwórki po paru tygodniach ubył Zawadzki; pozostali trzej odbyli swój nowicjat pod kierunkiem ks. Gelasio Palladino, od ostatniej dekady września w 1926 do lipca 1927 roku. Od lipca zaś do końca pod kierunkiem ks. Duborgela, któremu przez ostatnie trzy miesiące (od października 1927 roku), pomagał w charakterze socjusza ks. Ceresoli Paolo Lorenzo. Profesję zakonną złożyli wspomniani wyżej trzej polscy nowicjusze w czasie „pasterki” 1927 roku na ręce ks. Duborgela, który wygłosił przy tym piękne okolicznościowe kazanie w naszym tamtejszym Sanktuarium. Parę dni po profesji br. Nagy Franciszek został wysłany do Albino na dyżurnego wychowanków, bracia Cichoń i Solak do Bolonii: pierwszy do pracy w biurze, drugi do drugiej licealnej, w Seminarium Regionalnym. W sierpniu 1928 roku ubył z tej trójki Cichoń; odwiózł go znów do Polski stały „konwojent” br. Paschalis, jadący tym razem na stałe do naszego pierwszego

domu w Płaszowie, przy ulicy Koszykarskiej 7. Br. Nagy Franciszek po przyjeździe z Albino do Bolonii uczęszczał przez dwa lata na filozofię do OO. Dominikanów, by w 1930 roku udać się do Strassburga za br. Solakiem, który tamże został wysłany w 1929 roku po ukończeniu trzeciej klasy licealnej. Studia teologiczne odbywali tam razem przez trzy lata, przy czym br. Solak otrzymał święcenia kapłańskie w 1932, a br. Nagy Franciszek w 1933 roku.

W roku 1927 przywiózł ks. Kazimierz z Polski nową grupę aspirantów: Wilczyńskiego Jana z Dębicy, Zawadzińskiego Franciszka z Bolechowic koło Krakowa i Wietechę Michała z Glinika Polskiego koło Jasła. Jasiu Wilczyński panicznie się bojąc trzynastki, którą chciano mu w nowicjacie oznaczyć bieliznę, wyjechał z powrotem do Polski po paru tygodniach. Dwaj pozostali po odbyciu swego nowicjatu i złożeniu ślubów (18 listopad 1928) otrzymali od przełożonych skierowanie; Wietecha Michał do Albino do pracy w biurze i dyżurów wychowanków, br. Zawadziński do naszego scholastrykatu w Bolonii, również do kilkumiesięcznej pracy biurowej. W roku szkolnym 1929 uczęszczał na filozofię w Bolonii. W roku zaś 1930 br. Wietecha Michał wyjechał do Polski do naszego pierwszego domu, skąd uczęszczał najprzód do gimnazjum Salezjanów na Dębnikach, a następnie do gimnazjum państwowego, gdzie złożył egzamin maturalny. W roku 1932 wyjechał do Lille we Francji na studia teologiczne. Br. Zawadziński kontynuował tymczasem swoje studia filozoficzno-teologiczne w Bolonii. Jeden i drugi konfrater, otrzymali święcenia kapłańskie w 1935 roku.

Ostatnią grupę wchodzącą w skład pierwszej emigracji Sercanów polskich do Włoch stanowią: Turek Wincenty i Michalik Stanisław. Przywiózł ich ks. Kazimierz do Albisoli w sierpniu 1928 roku. Po odbyciu nowicjatu i złożeniu pierwszej profesji zakonnej dnia 25 grudnia 1929 roku wyjechali do Krakowa i zamieszkali w domu naszym na Koszykarskiej. Tu uzupełniali studia średnie, by w 1932 roku wyjechać do Lille na studia filozoficzno-teologiczne. Br. Turek wyświęcony został na księdza w roku 1937, br. Michalik natomiast miał

dopiero za drugiej polskiej emigracji do Włoch otrzymać tam święcenia kapłańskie w roku 1943.

Tym ostatnim rocznikiem zamyka się pierwsza emigracja włoska polskich Sercanów. Bo, aczkolwiek w roku 1939 wysłani zostali do nowicjatu w Albisoli Majka Julian i Franciszek Komendera, którzy zresztą za kilka lat mieli opuścić Zgromadzenie, to jednak ich wyjazd do Włoch nastąpił już w innych warunkach niż poprzednie.

W sumie, poza ks. Kazimierzem, pierwsza emigracja objęła 24 osoby. Spośród nich wrosło w Zgromadzenie 11, a więc bez mała 50%. Spośród nich 9 przebywa i pracuje obecnie w Polsce, stanowiąc ciągle jeszcze trzon Polskiej Prowincji. Prawie wszyscy z nich przewinęli się przez Francję i Belgię odnosząc stąd wiele korzyści dla całokształtu własnego wyrobienia sercańskiego.

### 3. „Misericordias Cordis Jesu in aeternum cantabo”

Gdy dzisiaj z perspektywy 30 przeszło lat próbujemy okiem ducha przemierzyć znowu ten szlak, którym kolejno podążały z Polski do Italii grupki młodzieży pragnącej wstąpić do Zgromadzenia Serca Jezusowego i wędrujemy wyobraźnią po tych miejscach tak dobrze nam znanych i wpatrujemy się w sylwetki tych osób, wśród których i z którymi żyliśmy w okresie naszej formacji sercańskiej na ziemi włoskiej, to nasuwa się wiele refleksji i różne budzą się uczucia.

1. Na pierwszym wszakże miejscu uczucie najgłębszej wdzięczności dla Bożego Serca. Bo przecież nie sama tylko ciekawość, czy żądza przygód lub inne tym podobne pobudki były przyczyną tego zrywu młodzieży polskiej, która wprost z ław szkolnych, w tak młodzieńczym nieraz wieku, opuszczała dobrowolnie, tak drogie każdemu gniazdo rodzinne, dobrych kolegów, wypróbowanych przyjaciół, by iść w nieznanne kraje wśród obcych ludzi i to na długą rozłąkę. Ale był to zew Bożego Serca, to „sequere me”, które już może w dzieciństwie dosłyszała, choć bliżej nieokreślone, miało — w wybranym przez Opatrzność momencie — o władnąc swą nieprzerwaną siłą sercem młodzieńczym i pociągnąć je do Zgromadzenia.

2. Z kolei wdzięczna pamięć, zwłaszcza „ad aras”, dla tego, którego już niestety, nie ma wśród nas i któremu nie danym było od Boga święcić z nami to 25-lecie, a któremu po Bogu najwięcej mamy do zawdzięczenia, żeśmy się stali członkami i dziećmi drogiej nam Matki Zgromadzenia. Bo śp. ks. Kazimierzem, jako swym narzędziem, posłużyło się Boże Serce, by nas wprowadzić do Zgromadzenia i dało nam go jako opiekuna i przewodnika.

3. Szczera, głęboka wdzięczność na koniec i dla tych wszystkich księży i współbraci, z których pierwsi, jako nasi wychowawcy, wszczepiali nam autentycznego ducha O. Założyciela i świecili przykładem życia i pracy w duchu sercańskim, a przede wszystkim śp. ks. Duborgelowi, drugim zaś, że mimo różnic temperamentu i zapatrywań potrafili wytworzyć wokół nas atmosferę prawdziwej życzliwości i serdeczności, co było dla nas niemałą podporą i siłą, w trudnych zwłaszcza chwilach.

*Ks. Franciszek Solak SCJ*

## PŁASZÓW

Płaszów w 1928 roku to chyba najbardziej zaniedbana i opuszczona dzielnica Krakowa. Błonia gęsto porośnięte szumiącymi wierzbami, stada bydła pasącego się pod opieką wyrostków, stadka gęsi skubiących trawę, nieliczne domy kryte przeważnie strzechą, brak elektryczności, wodociągów, bitej drogi i ścieżki wysypane czarnym szutrem sprawiały, że Płaszów miał raczej wygląd małej wioski niż dzielnicy wielkiego Krakowa. Gdy się ten obraz uzupełni stacją kolejową z gęstymi obłokami dymu lokomotyw, gdy się doda jeszcze kilka cegielni ciągle dymiących, oraz doły powstałe po wydobyciu gliny do owych cegieł, to będziemy mieli jakie takie wyobrazenie ówczesnego Płaszowa.

Płaszów należał do parafii św. Józefa w Podgórzu. Była to jedna z najliczniejszych parafii na terenie diecezji krakowskiej — 36 000 dusz. Do kościoła w Podgórzu było daleko, dlatego większość Płaszowiaków uważała się za zwolnioną z obowiązku uczęszczania na Mszę św. w niedziele i święta. Księdza widywano tu bardzo rzadko. Katecheta uczący w szkole na ul. Saskiej dochodził z miasta ze dwa razy na tydzień. W takich warunkach sekciarstwo i pijaństwo zbierały obfite plony. Mnożyli się starokatolicy, narodowcy, badacze Pisma św. Szynek zaś poił Płaszowiaków, pozbawionych kulturalnych rozrywek. Częste bójki sprowadzały nieraz karetki pogotowia z Krakowa. Obsługa tych karetek była przyjmowana tak nieprzychylnie, że bardzo niechętnie przyjeżdżały one do Płaszowa.

Taki Płaszów nie bardzo odpowiadał planom ks. Wiechecia, który w niedzielę palmową, 1 kwietnia 1928 roku, przyjechał na stałe do Polski, a ówczesny ks. abp krakowski Adam Sapieha ofiarował mu tę właśnie dzielnicę. Dlatego,

szukając lepszych warunków, robił wypadki z Domu Księży Emerytów przy ul. św. Marka 10, gdzie zamieszkał u ks. Mateusza Jeża, będącego dyrektorem tegoż domu. Ks. Kazimierz miał być nawet w Wilnie. Początkowo zaś miał zamiar osiedlenia się w Poznańskim. Nic jednak lepszego nie znalazł, a gdy ks. abp Sapieha dał poznać, że nic lepszego ks. Kazimierzowi dać nie może, musiał tenże zgodzić się na Płaszów. Tego samego dnia co i O. Wiecheć (18 IV) przyjechali dwaj inni młodzi Sercanie polscy na prymicje do rodzinnych parafii. Byli to ks. Władysław Majka i ks. Ignacy Stoszko. W niedługim czasie odjechali oni za granicę, a ks. Kazimierz został sam. Zabiegał pewnie tu i tam szukając funduszków na budowę domu. W środę 1 sierpnia zawiózł do nowicjatu braci: Turka i Michalika. Około 20 tego samego miesiąca wrócił do Polski. W kilka dni po nim przyjechał br. Paschalis, który od tego czasu stale miał w Polsce już pozostać. W międzyczasie ks. Kazimierz ustawicznie starał się, o to tymczasowe mieszkanie w Płaszowie, to o budowę własnego domu na ulicy Saskiej. Wreszcie dom na Koszykarskiej pod numerem 7 został opuszczony i 22 września pod wieczór przeprowadzono się z Domu Księży Emerytów. Był to dom parterowy o kilku pokojach. Umieszczono się w nim jakoś i zaczęło się regularne życie zakonne. Wspólne ćwiczenia i Msze św. odprawiano w Ochronce, w kaplicy SS. Służebniczek. Oczywiście nie przelewało się w tym pierwszym domu Sercanów na ziemiach polskich. Kuchnia była bardzo skromna. Śniadania, podwieczorki ograniczały się najczęściej do kawy — pewnie niezbyt słodkiej — i kawałka suchego chleba. Młodzi Sercanie musieli przez okres dwu jesieni zebrać o zboże w rodzinnych wioskach.

Płaszowiaci na ogół dość przychylnie ustosunkowali się do nowego faktu. Nie brakowało jednak zelżywych przezwoisk i czynów. Nieraz zasmarowano błotem okna ks. Kazimierza; księży udających się do Ochronki na ćwiczenia duchowe spotykały czasem mało przyjemne zaczepki pijaków, a czasami wesołe przygody z pijakami. Większa część Płaszowia-

ków należała jednak do przyjaciół Sercanów, a w najgorszym razie do biernych widzów. Szczególnie życzliwie ustosunkowały się rodziny: Warzechów, Ziębów, Zemlaków, Śmietanów, Manieckich, Okoniów, Blidzyńskich, Kawalerowiczów, Kielmanów z dworu płaszowskiego i Cieślików — kierowników szkoły na ul. Saskiej.

W miarę możliwości zorganizowano na nowej placówce pracę duszpasterską. W niedziele i święta w kapliczce SS. Służebniczek odprawiano Msze św. Jeżeli nie pomieścili się w małej kapliczce uważano, że były tłumy. Ks. Władysław Majka objął stanowisko katechety w szkole na ul. Saskiej i w szkole Żeńskiej im. Królowej Wandy w Podgórzu na ul. Józefińskiej.

W roku następnym miały miejsce pierwsze prymicje w domu sercańskim. Szczęśliwym prymicjantem był ks. Lubowiecki. Wprawdzie uroczysta Msza św. prymicyjna została odprawiona w Ochronce, ale skromne przyjęcie odbyło się w domu na Koszykarskiej. Tak więc już czterech Sercanów mieszkało na stałe w Polsce.

W styczniu 1930 roku przyjechali neoprofesi, bracia Turek i Michalik. W lipcu tegoż roku przyjechał po ukończeniu pierwszej klasy licealnej w Bolonii, br. scholastyk Michał Wietecha. W tymże miesiącu przyjechał także ks. Stoszko, ale po trzech miesiącach odjechał dla ukończenia doktoratu.

Ponieważ trzech braci scholastyków na stałe miało zamieszkać w Polsce, trzeba było pomyśleć o studiach dla nich. Bracia: Turek i Michalik korzystali z lekcji profesorów dochodzących z miasta. Br. Wietecha uczęszczał natomiast do seminarium Księży Salezjanów na Dębnikach, a w roku następnym do V Gimnazjum w Krakowie. Tymczasem zabiegi ks. Kazimierza około budowy własnego domu zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, i w samo święto Najśw. Serca Jezusowego położono pierwszy kamień w fundamenta. W niedzielę zaś 16 sierpnia, odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego. Dochowało się jedno z zaproszeń na tę uroczystość. A oto jego treść:

## Zaproszenie

W niedzielę dnia 10 sierpnia 1930 roku o godz. 10<sup>00</sup> przed południem odbędzie się uroczystość POŚWIĘCENIA KAMIENIA WĘGIELNEGO pod budującą się kaplicę i Seminarium Księży Najśw. Serca Jezusowego w Płaszowie (naprzeciw szkoły). Poświęcenia dokona Najprzewielebniejszy Ksiądz Metropolita Krakowski Adam Stefan Sapieha. Na tę uroczystość uprzejmie zaprasza się P.T. .... celem wpisania się do aktu fundacyjnego, który będzie przechowany w kamieniu węgielnym.

*Ks. Dr Józef Niemczyński*  
prob. parafii  
św. Józefa w Podgórzu

*Ks. Kazimierz Wiecheć SCJ*  
rektor XX. Najśw. Serca Jezusowego  
w Płaszowie

Komitet Honorowy: Bidziński A., Brzozowski L., Bosek J., Cieślik F., Górka K., Kawalerowicz W., Kawalerowiczowa M., Lalik A., Lachnitt Wł., Lorek J., Łączny W., Maniecki J., Maniecki M., Michno J., Okoń S., Śmietana J., Starestka S., Suder T., Warzecha St., Warzechowa R., Wojciechowski J., Zemlak Sz., Ziemba Fr. ... Uroczysta suma miała być odprawiona przy połowym ołtarzu, który miał być umieszczony na miejscu dzisiejszego wielkiego ołtarza, ulewa jednak nie pozwoliła na to i suma, którą odprawiał jeden z OO. Redemptorystów, została odprawiona w szkole na korytarzu (czy przypadkiem ulewa ta nie była wylewem bezsilnej złości szatana?).

W dalszej budowie wspomagali ks. Kazimierza śp. ks. Mateusz Jeż, z którego książeczki PKO nieraz O. Kazimierz korzystał. Chętnie pożyczala pieniędzy i podpisywała weksle ks. Kazimierza śp. Rozalia Warzechowa. Nieco ofiar wpłynęło pewnie także i z samego Płaszowa. To wszystko było jednak kroplą w morzu i ks. Kazimierz musiał wysilać całą swą przedsiębiorczość i energię, by zdobyć potrzebne fundusze. Dla zmniejszenia kosztów budowy założono coś, co szumnie nazwano „cegielnią” przy ul. Gromadzkiej. Było to po prostu kilka szop: cztery słupy i dach. Służyły one za suszarnię cegieł

po wyjęciu ich z formy. W razie deszczu pędzili wszyscy z Koszykarskiej zbierać ją, by nie zmokła. Podeschniętą cegłę przewożono do drugiej „cegielni”, która była w dzisiejszym ogrodzie przy ul. Saskiej — pierwsza działka naprzeciw kaplicy. Tu układano ją w piecu i zapalano ogień. Płomień musiał objąć cały piec; technicznie nazywano to „hyc”. Nieraz dach się zapalił. Wtedy wiadra i szmaty były w robocie. Cegłę wypalano dzień i noc. Ogień musiał sam wygasnąć. Oprócz pracy w jednej i drugiej „cegielni” ówcześni scholastycy wozili żwir i piasek z Wisły. Osobny dział ich prac stanowiło pilnowanie w nocy nagromadzonego materiału. Najlepiej spisywał się tu br. Paschalis. Spał on sobie w najlepsze, a Płaszowiacy wyciągali deski spod niego. Pewnego razu wyniesiono go śpiącego wraz z deskami na błonia.

Roboty posuwały się szybko naprzód tak, że koło uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny pan Serwin kończył układanie dachówek. Spieszono się z tym, by zabezpieczyć mury przed zamoknięciem. Wiosną 1931 roku zakładano okna — p. Midor — oczywiście także na weksle. Sami klerycy je gruntowali. Najpierw ukończono kuchnię, poczekalnie i kilka pomieszczeń na pierwszym piętrze od ogrodu. Serce Jezusowe błogosławiło w pracy i zabiegach tak, że 1 maja przeprowadzono się na Saską. Ten pierwszomajowy pochód Sercanów na Saską był koniecznością. Dom na Koszykarskiej był bowiem wydzierżawiony tylko do 1 maja włącznie. Różne braki w wykonczeniu usuwano powoli.

Tak więc przy pomocy i błogosławieństwie Serca Jezusowego dom coraz bardziej stawał się klasztorem, coraz bliższe czyniono przygotowania do przyjęcia tych, którzy przez siedem lat przedwojennego istnienia mieli napępniać jego mury swą radością i życiem. Myśl o nich przyświecała ks. Kazimierzowi i naszym pierwszym księżom.

We wrześniu, w przeddzień przyjazdu pierwszych wychowanków, bracia scholastycy (Wietecha, Turek i Michalik) wyjechali do Lille na studia filozoficzno-teologiczne.

Już przedtem dano ogłoszenie w prasie o otwarciu małego seminarium Misyjnego Księży Najśw. Serca Jezusowego.

Dzięki temu, a także dzięki ustnym informacjom wśród znajomych, na początku roku szkolnego 1932/33 zebrano około 40 chłopców. Utworzono z nich trzecią, czwartą i piątą klasę gimnazjalną starego typu. W rozdzielaniu na klasy kierowano się dotychczasowym wykształceniem. Wychowankowie nosili granatowe rogatywki z białą-żółtą otoką (potem zamieniono na zwykłe czapki gimnazjalne). Mundurków gimnazjalnych nie noszono, choć oczywiście zakazu nie było. Były dzieciaki, ale byli i „panowie” pod wąsem, którzy swym młodszym kolegom kazali mówić do siebie per pan. Trwało to jednak tak długo dopóki ks. Kazimierz tego nie zauważył i nie ośmieszył („Wy panowie? Smarki!!!”).

Czwartek był wolny od nauki. W tym dniu była tylko lekcja gimnastyki — prowadził ją wąsaty legionista — i śpiewu. Po południu bractwo szło na przechadzkę. — W sobotę po południu sprzątało się dom, robiono także porządki osobiste, potem grano w piłkę na błoniach i oddawano się lekturze. Co drugi czwartek wychowankowie szli spowiadać się do OO. Redemptorystów na tzw. Górkę. Pochód odbywał się parami pod opieką któregoś z księży lub kleryków.

Kaplica domowa zajmowała trzy sąsiednie pokoje na pierwszym piętrze (dzisiejszy pokój ks. Franciszka Nagyego, aż do br. Antosia). Z czasem, gdy wychowanków przybyło, powiększono kaplicę o czwarty pokój. Przed Mszą św. lub po niej głoszono wychowankom egzorty. Najczęściej głosił je ks. Ignacy Stoszko. Bardzo często zaczynały się one od takiego komplementu pod adresem wychowanków: „Chłopcy! Wy jesteście jak te barany...”. Zdaje się, że tylko tyle utkwiło w pamięci wrażliwych na słowo Boże wychowanków.

W okresie Wielkiego Postu odbywały się trzydniowe rekolekcje. Starsi i zdolniejsi wychowankowie głosili nauki w czasie nabożeństwa majowego w kaplicy domowej.

Refektarz znajdował się w piwnicy. W czasie kolacji, a niekiedy i w czasie obiadu była lektura.

Urządzano sporo przedstawień dla publiczności z Płaszowa i gości. Artystami byli wychowankowie i młodzież pła-

szowska. Przedstawienia organizował głównie ks. Franciszek Nagy.

Na wiosnę i w jesieni miały miejsce całodniowe przedchadzki, które — rzecz zrozumiała — były bardzo lubiane przez wychowanków.

Ferie świąteczne i wakacje spędzali wychowankowie w domach rodzinnych. Opłata za utrzymanie wynosiła 50 złotych miesięcznie. Większość jednak wychowanków miała większe lub mniejsze zniżki. Resztę potrzebnych funduszy zbierano od dobroczyńców. Jeden z żeńskich klasztorów w Krakowie podzielił się z nami swymi najlepszymi dobroczyńcami. Ten bezinteresowny czyn zacnych zakonnic stał się początkiem kwesty.

Z tego krótkiego szkicu nietrudno zauważyć, że większość urzędzeń w życiu powojennego małego seminarium miało swe oparcie w tradycji sięgającej pierwszych pionierskich lat istnienia. Z pierwszych wychowanków wytrwali do końca i dziś są księżmi: Kierpiec, Rychlicki, Gąsiorek, Rudzok, Kmiecik, Bucki, Marekvia Wł., Kubina R., Pieczara, Nagy Stanisław.

W czerwcu 1935 roku miały miejsce pierwsze w Polsce obłóczyny sercańskie (Kierpiec, Rychlicki, Gąsiorek i inni). Uroczystość ta wypadła bardzo szumnie. Zaproszono wielu gości, rodziny szczęśliwców i profesorów. Po dwóch miesiącach postulatu wyjechali oni do nowicjatu w Brugelette.

Należy podać przynajmniej nazwiska profesorów uczących w małym seminarium przez cały czas przedwojennego istnienia: Bielak, Dzik, Grzech, Kisner, Klink, Kopczyński, Kornecki, Meisner, Podgórn, Stępień, Studziński i Zawadzki.

Tymczasem liczba księży powoli wzrastała. W lipcu 1932 roku miał prymicje ks. Franciszek Solak. W lipcu następnego roku ks. Marian Cichoń. W grudniu tegoż roku ks. Franciszek Nagy. W lipcu 1935 roku ks. Michał Wietcha i ks. Franciszek Zawadziński. We wrześniu 1937 roku ks. Wincenty Turek. Mała liczba księży sprawiała, że musieli pracować ponad normę.

Musieli borykać się nie tylko z bieżącymi trudnościami ale także spłacać długi zaciągnięte na budowę Zakładu.

Ówcześni rektorzy (ks. Majka, ks. Stoszko i ks. Wietecha) z trudem wiązali koniec z końcem. Ks. Stoszko zaciągnął za swego rektoratu pożyczkę 2000 złotych w Powiatowej Kasie Oszczędności. Dopiero ten dopływ pieniędzy dopomógł mu stanąć jako tako na nogach. Potem zorganizowana na szeroką skalę kwesta (ks. Wietecha) zasilala suchotniczą kasę sercańską. Pozwoliło to na spłacenie długów, a nawet na budowę, a raczej na powiększenie Zakładu. Niestety, nagromadzony piasek i cegłę zagarnęli Niemcy w czasie okupacji. Wspomnieć tu także należy o długotrwałym ekonomie ks. Solaku, który po kilka razy dziennie musiał biegać do miasta. Nie na próżno jednak biegał, bo mimo skromnych zasobów pieniężnych spiżarnie i piwnice były wypełnione.

20 czerwca 1937 roku został otwarty nowicjat w Felsztynie. Udało się tam czterech księży: ks. Kazimierz, ks. Majka, ks. Fr. Nagy i ks. Cichoń. Pierwszymi natomiast nowicjuszami w Felsztynie byli dzisiejsi księża: Rudzok, Kmiecik, Bucki, Marekwia Wł., Kubina R., Pieczara i Nagy St. Następna grupa nowicjuszy powiększyła nowicjat dopiero w czerwcu 1939 roku. Został z niej tylko obecny ks. proboszcz we Florynce i Binczarowej, ks. Stefan Mytnik.

Młoda placówka polskich Sercanów utrzymywała ścisły kontakt z naczelnymi władzami Zgromadzenia. Każdego prawie roku przyjeżdżał ktoś z Rzymu dla przeprowadzenia wizytacji i ściślejszego związania pędu z macierzą.

I tak w 1932 roku, na kilka dni przed Bożym Ciałem, przyjechał Ojciec Generał Józef Philippe. Pooglądał budowę, dał niejedną radę i pobłogosławił zabiegom swych synów. W Uroczystość Bożego Ciała prowadził procesję u OO. Redemptorystów na Górcie. Niedawno zmarły Ojciec Generał Wilhelm Govaart wizytował polską placówkę w czasie wakacji 1935 roku. W roku następnym przyjechał w zimowych miesiącach Ekonom Generalny Zgromadzenia ks. Duborgel. Krótco bawił w Polsce, gdyż pachniało wojną. Miał szczęście, że wyjechał z Polski ostatnim pociągiem przed wybuchem wojny.

Choć w kilku słowach należy wspomnieć o kaplicy publicznej. Z grubsza zostaje ona wykończona na październik

1938 roku tak, że nabożeństwo różańcowe mogło się już w niej odprawiać. Już w listopadzie odbyły się misje. Wtedy to przybyła do Sercanów Matka Boża Płaszowska. Obraz Jej podarował ojciec naszego ks. Mariana Cichonia. 11 listopada odbyło się uroczyste wprowadzenie obrazu do kaplicy. Prowizoryczny ołtarzyk zrobił jeden z późniejszych wychowanków, Lewczuk. Pani Warzechowa ozdobiła go. Ustawiono go na miejscu dzisiejszego ołtarza świętej Teresy od Dzieciątka Jezus frontem do ludzi. Na niesporach tego dnia urządzono zbiórkę na postawienie stałego ołtarza Matki Bożej. Zrobiono zdjęcie obrazu, a fotografie sprzedawano jako cegiełki na ołtarz. Z początkiem maja 1932 roku ołtarz był gotowy. Oczywiście w kaplicy nie było prawie nic. Ówczesny proboszcz z Izdebnika, ks. Sadowski, podarował puszkę na komunikanty i kadzielnicę oraz wypożyczył na czas nieokreślony monstrancję. Lichtarze i inne drobiazgi były wyzebrane tu i tam. Stacje Drogi Krzyżowej podarowali OO. Redemptoryści.

Są one do dnia dzisiejszego. Erekcji Drogi Krzyżowej dokonano w Pierwszy Piątek Wielkiego Postu 1932 roku. Początkowo wielki ołtarz był prosty: mensa, która dziś znajduje się w kościele stadnickim, i gipsowa figura Serca Jezusowego nad ołtarzem. W 1937 roku (a może 1938?) śp. Cichoń, brat naszego ks. Mariana, namalował obraz do głównego ołtarza. Niestety, aż do zbudowania nowego ołtarza po wojnie, nie został obraz ten wykończony. Parafię utworzono 1 stycznia 1939 roku. Pierwszym proboszczem został ks. dr Ignacy Stoszko, miłościwie rządu sprawujący nad duszami Płaszowiaków do chwili obecnej.

We wrześniu 1939 roku, z chwilą wybuchu wojny, prawie cała osada domu płaszowskiego poszła na tułaczkę. Zostali tylko księża: Solak i Zawadziński. Ucieczka przed Niemcami miała także swoje tragiczne chwile. Obecnego ks. rektora Michała Wietechę prowadzono już na rozstrzelanie. W ostatniej dopiero chwili sprawa się wyjaśniła i to uratowało ks. rektora od zarzutu szpiegowania na rzecz Niemiec. Za to ks. Stoszko Ignacy zaawansował na proboszcza w parafii Gorzków koło Krasnegostawu w Lubelskim. Ale to już do nas nie należy.

Przez mury Zakładu przepłynęło w ciągu siedmioletniego istnienia przed wojną, kilkuset wychowanków. Mały procent z nich został w Zgromadzeniu. W znacznej mierze stało się to — zwłaszcza wśród najmłodszych roczników — na skutek wojny. W pierwszych dniach września zginął na przykład Józek Sopiarsz, góral, który skończył trzecią klasę i pojechał jak inni wychowankowie na wakacje. Gdy Niemcy weszli do jego wioski i z jakichś powodów chcieli zabić jego ojca, wtedy on zasłonił go sobą i zginął od kuli przeznaczonej ojcu. I ci jednak, którzy odeszli z Zakładu, by już nie wrócić, są na ogół wartościowymi ludźmi. Są niestety i tacy, którzy przynoszą ujmę Sercanom, tacy zawsze i wszędzie się znajdują. Wszyscy jednak, którzy odeszli mile wspominają piaszowskie czasy, niektórzy chcieliby powrócić, ale niestety...

*Ks. Adolf Jańczak SCJ*

## FELSZTYN

Gdy przychodzi rzucić na papier to, co pozostało jeszcze z onych dni, składających się na dwuletnie zaledwie istnienie naszego nowicjatu w Felsztynie, prócz gwałtownie cisnącego się natłoku najróżniejszych wspomnień nasuwa się równocześnie pewna trudność. Czy dać upust pracującej żywo i rzewnie pamięci i tak jak cudowna ta czarodziejka wyczarowuje go przed oczyma wyobraźni snuć opowieść o tamtych czasach, ludziach, rzekach i lasach, radościach i smutkach, czy też próbować tę rozlewistą rzekę ująć w możliwie uporządkowane ramy zdarzeń, okoliczności, ludzi? Jeżeli to drugie — zyska się na prawdzie opisywanych zdarzeń i na ich naturalności, ale zamażą się ogólne kontury i wyrazistość całego obrazu tego etapu historii naszej Prowincji. Gdy wybrać pierwszą ewentualność — zyska się na przejrzystości, ale za cenę uroku kryjącego się w nastrojowej gawędzie o ukochanej przeszłości. I co tu wybrać? Gdyby nie fakt, że może się to przydać komuś innemu także, a nie tylko tym, którym danym było zaludniać sobą tamte czasy...

Jednak jeśli ma się pomóc i nie znającym tego obrazu, pozostaje tylko jedno: spętać ten potok serdecznych wspominków klamrą jakiego takiego porządku, który by pozwolił nam, którzyśmy tam byli, może niejedno jeszcze przypomnieć, a tym, którym nielitościwy los poskapił szczęścia przeżywania tamtego świata, dać bledziuchny obraz tego, co stracili..., tak stracili... bez najmniejszej przesady stracili.

*Felsztyn, miasto bogatej przeszłości*

Gdy cię kiedyś wędrowcze życie zaprowadzi na wschód od Przemyśla, gdy ci wlec się rozkaże na dalsze do Lwowa, wtedy podziękuj losowi, bo szlak, który ci przyjdzie odbywać przemierzyły sprawy i ludzie, o wiele ponad twoją zwykło-

śmiertelniczą głową wzrastające. A gdy już nakołowawszy do syta wijącym się w niezliczonych skrętach poprzez chude łąki, pola i wytlące po największej części lasy, zdobiące kosmykami zieleni regularne pagórki, dychawicznym pociąganiem dobrniesz wreszcie do sławnego Jezuitami Chyrowa — wtedy bacz, żeś znalazł się w sąsiedztwie matecznika historii, w jednym z nielicznych centrów świata, na przecięciu wielkich spraw tej ziemi. Jeżeli nie wierzysz, poczytaj cierpliwie...

Niejednej dziejowej burzy przyglądały się strome, poprzekładane skibami rzeczego piasku gliniaste brzegi Strwiąża. I gdyby tak, jak oślicy Balaama dozwolił mi ktoś przemówić, sporo mogłaby naopowiadać; o skośnookich synach Mongolii i Krymu, o zakutych w żelazo ciężko traktujących okoliczne gościńce hufcach polskiego rycerstwa, o Węgrach i Siedmiogrodzianach, Czechach i Wielkorusach. Bo kto tu nie mieszał błota wielkich, prowadzących ze wschodu na zachód szlaków handlowych.

Od zarania dziejów ziemia ta żyje bujnym nad wyraz życiem; na przemian — to tętni życiem, to kapie się w bólu, to syci pokojem i dobrobytem, to wije się w konwulsjach wojny i nędzy... Toteż gdzie stąpić, tam zda się krew spod stopy tryska, albo w proch rozsypuje się dawnych czasów pamiątka. Obok bramujących resztki odwiecznych zamczysk, potężnych rowów obronnych, napotkasz — by wierzyć legendzie — tatarskich chanów mogiły, obok obrosłych jak bluszczem historią kościołów — nagrobki wspaniałe, urzekające kunsztem i drogocnością materiałów. Tu żyli ludzie, a żyli pełną piersią, całą gamą życia, na jakie stać było człowieka. Ale też i natura nie szczędziła temu zakątkowi hojnego uposażenia; bogate zielenie, poprzyklepiane do drogi na świat, jaką przez długi czas dziejów ludzkich stanowiła rzeka, zapewniały człowiekowi dobrobyt i radość życia, potężne zaś lasy i urwiste jary dawały bezpieczne schronienie, gdy przebrało się miarę w używaniu świata.

Jednym z bujniejszych ośrodków tego życia, była nieznana już dzisiaj prawie, mała galicyjska miejscina leżąca nad Strwiążem na drodze z Chyrowa do Sambora — Felsztyn.

Gdy podejść do niej od strony zachodniej, stare, drewniane, zda się ostatkiem sił stojące wiejskie chałupiny, niczym nie przypominają tętniącego tu ongiś życia. Dopiero rozległy rynek z rozklekotanym ratuszem, budzić może podejrzenia, że nie zawsze tu było tak pusto, spokojnie i... brudno. Gdy się zaś przejdzie tę jedną z nielicznych pozostałości wielkich dni Felsztyna, jaką jest imponujący swymi rozmiarami rynek i zwróci się nagle w kierunku południowo-wschodnim, wtedy nagle, niczym cudowna fata morgana wystrzeli przed zdumionym wzrokiem potężna obronna baszta, ocieniająca swym ogromem stojący obok mile, choć nieco melancholijnie wyglądający kościół. Jesteśmy na szlaku historii.

Chociaż potężna baszta, pięknie wykończona, w lewej części zbudowana została już w naszych czasach, chociaż z gotycka rysujący się kościół po wiele razy bronić się musiał zębowi czasów i niewiele zostało mu z tamtej wielkiej epoki Felsztyna, bo przecież znaleźć można tak we wspaniałej baszcie jak i w po wiele razy odbudowywanym kościele wiele wspaniałych śladów świadczących o tym, że żyło się tutaj wielkim życiem. Głęboka fosa okalająca rozległą płaszczyznę, na której obecnie stoi baszta i kościół, a kiedyś piętrzyło się potężne zamczysko, liczne pomniki dzieła najwybitniejszych mistrzów włoskich zdobiące dzisiaj jeszcze felsztyński kościół, są tego bardzo wymownym dowodem.

Felsztyn zresztą nie sam w tej okolicy żył wielkim życiem Jagiellonów i Wazów. Niedaleko, bo w odległości zaledwie kilku kilometrów na południe, tuż nad brzegiem Strwiąża leży mniejsza jeszcze od dzisiejszego Felsztyna wioszczyna Laszki Murowane, która oprócz stojących obok siebie w wielkiej, mogłoby się zdawać, zażyłości kościoła i cerkwi, ma jeszcze jedno curiosum: ruiny znacznie potężniejszego rozmiarami niż felsztyński zamczyska. Kilkaset pokoi posiadał ten wspaniały kasztel, z którego dzisiaj pozostały już tylko rowy i wały potężne, oraz skrawek ceglanego muru, któremu widać długi jeszcze przeznaczony żywot, jeżeli bocian gniazdo swe na nim założył. Ale ani potęga wałów, ani ogrom zamkowego dziedzińca nie mogą iść w porównaniu

z tym, co historia przeznaczyła, by się dokonało na dworze wojewody sandomierskiego, ambitnego Jerzego Mniszcha w Laszkach Murowanych. To tutaj właśnie postanowiono sławne małżeństwo dumnej Maryny z przebiegłym Samozwańcem; to stąd również wyjeżdżał orszak weselny do opanowania Moskwy; to tutaj prawdopodobnie dobijano targu w sprawie uznania drugiego Samozwańca i tutaj chyba niespokojny wojewoda doczekał się oskarżenia o zdradę stanu przy końcu swojego bujnego żywota. Dziś na tym wszystkim porosła trawa, ale stąpający zwłaszcza po raz pierwszy, wędrowiec, nie może opanovać wzruszenia: przecież to tworzyło historię.

Zamek Mniszchów nie jest jednak jedyną pamiątką wielkiej przeszłości okolic Felsztyna. Na południowy zachód bowiem od miasteczka miała swoje rodowe gniazdo inna magnacka rodzina, do której zresztą należał i zamek felsztyński, a mianowicie rodzina Herburtów. O ile zamek Mniszchów obronność swą zawdzięczał bezpośredniej bliskości Strwiąża, o tyle zamek Herburtów niedostępnym był z racji położenia swojego na wyniosłej górze, którą niełatwo dzisiaj jeszcze co słabszemu piechurowi sforsować. A cóż dopiero mówić o zdobywaniu.

Herburtowie, jedna z wybitnych rodzin magnackich w XV i XVI wieku, nazwę swą brała nie od Dobromila, ale właśnie od Felsztyna, który w owych czasach nazywał się zresztą Filsztynem. Historia Polski przechowała pamięć o nich jako o Herburtach z Fulsztyna, a kilkakrotnie napotykaemy na nazwisko Herburtów w dziejach tak świeckich jak i kościelnych naszego narodu. I tak Jan Szczęsny, przyjaciel wielkiego Zamojskiego oddał Ojczyźnie wybitne zasługi postępując po wiele razy do różnych krajów, a po usunięciu się z życia politycznego, poświęcając się pracy wydawniczej, wydając między innymi dzieła takich autorów jak Orzechowskiego, Kadłubka i Długosza.

Jeszcze bardziej Herburtowie zapisali się w naszych dziejach kościelnych. Wybitny biskup Walenty Herburt, nie tylko, że był ogromnie szanowany w kraju, ale cieszył się

wielkim uznaniem podczas Soboru Trydenckiego. Zastąpił przy tym jako gorliwy biskup przemyski i niestrudzony obrońca czystości wiary przeciwko innowierstwu. Grób jego znajduje się właśnie w kościele felsztyńskim.

Wybitną rolę na polu życia kościelnego odegrał jeszcze inny przedstawiciel tej rodziny, Jan Hubert, prawnik i dziejopisarz, mający za sobą kilka wybitnych pozycji piśmienniczych. Przy okazji nie od rzeczy będzie może wspomnieć, że nie tylko magnacka rodzina Herburtów zapisała się jako felsztynianie w naszych dziejach. Może niejednemu nie wiadomo, że za ojca muzyki polskiej uważa się Sebastiana Felsztyńskiego. Wybitna ta postać w polskim świecie naukowym XVI wieku, pracą na uniwersytecie Jagiellońskim odegrała wybitną rolę na terenie naszej narodowej muzyki. Prócz pracy kompozytorskiej, oddał się i pracy wychowawczej, a do uczniów jego zaliczają się tak wybitni przedstawiciele naszej muzyki jak Wacław Leopolista i Grzegorz z Szamotuł. Felsztyński pochodził z Felsztyna, co wskazuje niedwuznacznie na to, że wokół magnackiego zamku Herburtów kwitło zamożne życie mieszczańskie, które pozwalało sięgać swoim przedstawicielom po tugi profesorskie na wszechnicy Jagiellońskiej. A na to nie mógł się zdobyć byle kto w ówczesnej Polsce.

Przeszłość więc tej niepozornej miejsciny, której po magnatach polskich przypało z kolei gościć polskich Sercanów, stanowiła godną tradycję dla naszego Nowicjatu.

#### *Dworek w zieleni i ciszą spowity*

Strwiąż, według niektórych będący de facto Dniestrem, do którego — by wierzyć geografom — wpada gdzieś za Starym Samborem, toczy swoje dość skąpe jeszcze koło Felsztyna wody szeroką doliną. Jej regularne ramy stanowią dwa pasma sfalowanych przestrzeni, z których jedna, południowa przechodzi w dość wysokie już pasmo Czarnochory, a druga, północna, spada w łagodną równinę Sanu. I na tym właśnie północnym zboczu bramującym dolinę Strwiąża, w odległości jakichś 800 metrów od rzeki, wśród ogromnego, z dala widzianego kapelusza zieleni, stał dworek nie z drzewa, ale jak tamten Mickiewiczowski świecący z dala swoimi

białymi murami i bramą stale otwartą, zapraszającą w gościnę. Duży nie był, z dala jednak od południowej strony zwłaszcza, gdy zalany słońcem błyszczał pośród niezmiernie bujnej zieleni wspaniałego parku, robił wrażenie bardzo pojemnego. I takim był rzeczywiście; na dole mieściła się kaplica, duży jak na nasze potrzeby refektarz, który od kuchni oddzielało dość spore mieszkanko. Tak wyglądał parter od strony południowej. Od strony zaś północnej tylko niewiele miejsca zajmowała jeszcze klatka schodowa, w zasadzie jednak dysponowało się taką samą prawie ilością miejsca co od strony południowej. Na piętro prowadziły szerokie schody, które nieraz były widownią głęboko przeżywanych tragedii różnego autoramentu domowych zwierchności, tych zwłaszcza spod znaku szmaty i szczotki. Ksiądz rektor bowiem i w jednej osobie mistrz nowicjatu, królował w bezpośrednim sąsiedztwie wymienionych schodów, w samym można powiedzieć środku naszego przybytku. Każde więc otwarcie jego drzwi otwierało mu nieuchronnie rozległy widok na te nieszczęśne schody. A że wtedy jeszcze wiek mu na barkach nie ciążył (co najwyżej dawała się we znaki angina) i okularów, żeby lepiej widzieć nie musiał wcale zdejmować, więc też z łatwością wyłapywał każde mniej gorliwe urzędowanie odpowiedzialnych czynników domowego ministerstwa porządków. No i oczywiście najczęściej odbywało się doraźne aplikowanie odpowiedniej porcji nowicjackiej driakwi, która do najśodszych — jak mówili znawcy w tej dziedzinie, z których jeden zwłaszcza miał specjalne doświadczenie — nie zawsze należała.

Na piętrze sypialnie, pokój ks. Wiechecia, skąpane zawsze w promieniach słońca, studium z balkonem niezapomnianym, jakiś jeden, drugi pokoik i ot cały nasz felsztyński przybytek.

Ale czymże byłby obraz naszego nowicjatu, gdyby nie napisać o jego wspaniałym parku? — Pawiem któremu wyskubano ogon, lwem, któremu ostrzyżono grzywę? Dlatego choć słów parę o tej największej wspaniałości naszego Felsztyna, — naszym parku.

Czegóż tam doprawdy nie było; aleje i trzęsawisko z dzikimi kaczkami, ogród warzywny i staw rojący się tłustymi karpiami, grzędy truskawek, lasek brzoźkowy, puszczańskie ostępy i niemalże regularny francuski ogród strzyżony. A drzew jaka mnogość...

Od gościńca ostaniany był nasz nowicjat rzędem potężnych, rozłożystych lip, za którymi w stronę domu ciągnęło się coś w rodzaju zagajnika, czy mieszanego rzadkiego lasu, w którym można było znaleźć obok młodziutkich brzoźek i rozłożyste klony i sosny i strzeliste tuje. Te ostatnie zresztą liczne w naszym parku po obu stronach domu, najwspanialej prezentowały się przy głównej alei, prowadzącej z szosy do domu, stanowiąc — w wieczory zwłaszcza księżycowe — jakby czerwony szpaler strzelistych gotyckich wież prowadzących do jakiegoś zakłętego średniowiecznego zamczyska. Szpaler ten kilkadziesiąt metrów długi, przed domem rozszerzał się w potężną głowicę, obejmując sobą wielki okrągły klomb, a dalej cały dom od strony północnej, aby urwać się po stronie południowej i w ten sposób odsonić i do słońca wystawić całą południową właśnie stronę zabudowań.

O ile stronę północną parku można by określić jako mieszaninę regularnie prowadzonego parku ze zwykłym polskim lasem, to strona południowa była już tylko tym ostatnim. Tu nie było schematycznego porządku, tu drzewa wydawały się same wybierać miejsce swego stałego zamieszkania, gdzie im bardziej odpowiadało, gdzie sposobniejsze znalazły warunki. Odnosi się to zwłaszcza do drzew znajdujących się nieco bliżej poziomu, na którym stał dom; im bardziej zresztą w dół tym więcej w parku naszym było zwyczajności, naturalności, dzikości. To samo odnosi się do części parku rozciągającej się na wschód od budynku. Znalazłbyś był i dęba stuletniego i strzelistą, jakby mchem porośłą krótkimi zwyrodniałymi gałązkami lipę goszczącą na swym wierzchołku jedną z atrakcji nowicjackich — bocianią rodzinę. Były tam i kaliny i tuje i inne jeszcze drzewa. Lipa tym do historii przeszła, że tak była pochylona, iż jeden z ówczesnych Sercanów spacerując po niej, różaniec nabożnie odmawiał. Była tam druga jeszcze history-

czna lipa, przy której wykopywaniu przezacny O. Kazimierz o mało co kaleką nie został, gdyż cały ciągnący ją po podęgnięciu zespół liczący chyba wszystkich co bardziej zwalistych kleryków... — (lepiej dać spokój nazwiskom), zwałił się razem z nieszczęśliwym na ostatniego w ogonku — O. Kazimierza. Pamiętam jak dzisiaj: aż zadudniło gdy potężne drzewo runęło na ziemię, ale jakieś stłumione resztką sił wydobyte na słyszenie publiczne oj, jooj, leżącego pod dobrze spiętrzoną górą kleryckiej braci O. Kazimierza o wiele donioślej niosło się po naszym nowicjackim przybytku. Śmiechu potem było chyba na tydzień cały.

Grzechem byłoby wyliczając nowicjacki drzewostan nie wspomnieć o sławnej, alei grabowej, stanowiącej obramowanie od strony wschodniej naszego parku. Stumetrowy ten zielony korytarz był przystanią na deszcz i na skwarną pogodę. O, ileż tam miłych chwil spędziliśmy, ile nabożnie odmówiliśmy różańców, ile razy uciekaliśmy przed bacznym okiem pocziwego O. Kazimierza, który ze swoimi słabymi oczyma, żadną miarą nie był w stanie dostrzec kto jest na drugiej stronie grabowego tunelu.

Wylot tej alei od strony południowej prowadził do nastrojowej, nad stawem położonej altany, obrzeżonej potężnymi bukami, które w ostatnie zwłaszcza lato wysłuchiwać musiały wbijania do naszych głów czeskiego hymnu narodowego, którego uczył nas zacny ks. Jerzy Brezan, uchodźca z Czechosłowacji. Myśmy odwdzięczyli się za jego „kte domow moj”, naszym tradycyjnym „Góralem” i „Czerwonym Pasem”. Oj, naśpiewaliśmy się w to ostatnie lato naśpiewali, jakby przeczuwając, że to już ostatni raz...

Nad stawem rosły tradycyjne olchy na spółkę ze śliwami, które zwłaszcza pierwszej jesieni były pilnie odwiedzane... Między stawem leżącym we wschodniej części parku, a zamykającą naszą posiadłość wartką młynówką, znajdowała się najdziksza część naszego nowicjackiego obejścia. Prawdziwy ostęp, do którego wejść było można tylko przez kilka tygodni najskwarniejszego lata. Jeszcze dzisiaj stoją przed oczyma gromadki dzikich kacząt, z resztkami jajka na ogonach, uga-

niające się między moczarami. Ktoś miał ochotę takiego jednego noworodka złowić, nie pamiętam jak się dokładnie skończyło, w każdym razie z łowów wrócił z niepyszną miną.

Jeden z najbardziej, a właściwie najbardziej egzotycznym okazem był rzadki u nas w Polsce tulipanowiec. Wysokie to drzewo z pięknymi szerokimi i grubymi liśćmi, miało wspaniałe kwiaty. Były one chyba trochę podobne do kwiatu lili wodnej, choć bardziej kolorowe i chyba jeszcze większe.

Choć żal człowiekowi, to jednak nie sposób dłużej w tym pobieżnym szkicu krażyć po felsztyńskim parku, boć przecież tyle jeszcze dziwów o życiu nowicjackim czeka na to, by im pomnik na papierze zbudować. Na zakończenie, dla pełności obrazu, wspomnieć tylko jeszcze wypada o tych dziesiątkach najróżniejszych gatunków krzaków różanych, od najbardziej pospolitych do przepięknych herbacianych i niepokalanie białych, które otaczały prawie cały dom dookoła. I co z tego wszystkiego zostało? — Czy kiedyś da Pan Bóg zobaczyć? A tak by się chciało raz jeszcze bodaj popieścić wzrokiem ten, tak miły widok. O — jakżeż zrozumiałym jest teraz dla mnie Mickiewicz, gdy z dala od przyrody ojczyściej śpiewa rzewnie:

*Drzewa moje ojczyście. Jeśli Niebo zdarzy,  
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy  
Czyli was znajdę jeszcze, czy dotąd żyjecie?  
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię.*

(Pan Tadeusz)

„O roku ów”

„Któż z nas tych dni nie pomni”, górnych i chmurnych dni nowicjackiej kwarantanny. Wprawdzie czekał człowiek z utęsknieniem na dzień profesji, na dzień „wyzwolenia” do życia scholastyków, ale przecież, gdy to wszystko minęło, gdy zaczęło się wracać myślą do tych chwil nieraz i trudnych, i ciężkich, i bolesnych, to jednak wspomnienia były i są tylko niewymownie rzewne.

I nie dziwota, boć przecież tych 15 miesięcy twardego nowicjackiego życia, to było 15 miesięcy młodościowej walki o najwspanialsze ideały. Do tej pory przez tych lat 16, 17, 18,

przez które plątał się człowiek po świecie, cóż to było za życie? — Odrobina powierzchownych wrażeń, garść dziecięcych planów, trochę krótkotrwałego i powierzchownego smutku, dość dużo gorącej, ale także płytkiej radości i to chyba wszystko, co przeżył człowiek przed nowicjatem. Teraz natomiast, gdy zamknięto go w tych dostojnych murach, gdy zaczęto mu raz po raz zaświecać w oczy najpoważniejszymi problemami człowieka bytu, gdy zaczęto go zmuszać, aby swój bardzo jeszcze dziecinny umysł zaprawiał do najbardziej zasadniczej dla człowieka refleksji, człowiek zaczął żyć po raz drugi, żyć świadomie, twórczo... Jakżeż to wszystko było wspaniałe; te gwałtowne porywy, ten gorący zapach, te chwile bolesnych załamań, ta namacalna, widoczna praca Bożej łaski. Przecież tamte dni tkwią jeszcze w nas dzisiaj; przecież to one wykształciły w zasadniczych rysach duchową sylwetkę; przecież to one zadzierzgnęły tę przedrogą więź, jaka łączy nas z Bogiem, z ludźmi, ze Zgromadzeniem. Cóż więc dziwnego, że dzisiaj, gdy się jest niby dojrzałym, gdy pozornie opadły te wysokie fale nowicjaciego, młodzieńczego zapachu, gdy na wiele rzeczy zdaje się patrzeć bezlitośnie trzeźwo, oceniając niekiedy zgoła inaczej niż wtedy — mimo wszystko tamte dni pociągają ku sobie i z lubością stają się przedmiotem naszych wspomnień. Wszak nie będzie już takich dni, w których wszystko nowe, wszystko jest wspaniałe, choć nieskończenie radosne; wszystko się widzi w tak ostrych konturach, jak się już nigdy widzieć nie będzie. I dlatego też rok ten pozostaje dla człowieka rokiem wyjątkowym, rokiem którego ni czas, ni słabnąca pamięć nie zdołają nigdy wtopić bez reszty w bystry strumień naszego życia. Zawsze będzie to „rok ów”.

### *Nieco historii*

Zaznaczyliśmy na początku, że w opowiadaniu naszym pójdziemy raczej za pewnym logicznym porządkiem, że nie będziemy się trzymać ani chronologii, ani tym więcej przypadkowego toku nasuniętego przez pracującą pamięć. Aby jednak ten regularny dość obraz nowicjatu i jego życia nie został pozbawiony ogólnych przynajmniej ram chronologicznych, które też są potrzebne do jego większej wyrazistości,

naszkuje obecnie króciutko dzieje dwuletniego naszego pobytu w Felsztynie.

Poszukiwania za jakimś obiektem, w którym można by było umieścić nowicjat, trwały zdaje się już od wczesnej wiosny 1937 roku. Tym, który znalazł posiadłość mającą nas gościć przez dwa lata, był przewielebny ksiądz Majka. W lecie już tego roku (1937) ostatecznie dzierżawę załatwił ks. Franciszek Nagy. W czerwcu natomiast (24 VI) 1937 roku zajęła do domu felsztyńskiego grupa pierwszych nowicjuszy. Regularne życie nowicjackie zaczęło się trzeciego lipca 1937 roku. Coraz to bardziej jednostajny tryb życia nowicjackiego został zamacony pierwszymi prymicjami w nowicjacie, jakie odprawił 22 sierpnia ks. Turek. Przyjęcie do nowicjatu po rekolekcjach dawanych przez O. Wachowskiego odbyło się 21 września, a w dwa dni potem weszliśmy zupełnie już w nowicjacki regulamin. Przełożonymi w tym okresie byli: rektorem i mistrzem nowicjatu ks. Władysław Majka, jego zastępcą, ekonomem i prefektem ks. Franciszek Nagy. Raz po raz odwiedza w tym okresie nowicjat ks. Cichoń, który też po wyjeździe ks. Nagyego do Brazylii do maja 1938 roku sprawuje jego funkcje. Wielkie rekolekcje, przepisane naszymi regułami, rozpoczęły się 5 maja 1938 roku, a zakończyły się dokładnie 31 maja tegoż roku.

Ks. Cichoń po kilkutygodniowym wypoczynku w Zakopanem przyjechał do nowicjatu z końcem czerwca, a za nim zaczęli powoli ściągać kandydaci do nowicjatu na rok następny.

21 lipca rozpoczęły się pierwsze wielkie wakacje w polskim nowicjacie. Bardzo miłym i drogim urozmaiceniem był przybyły z Płaszowa na ten okres ks. Wielgus, pod którego wodzą nowicjusze z postulantami chodzącymi jeszcze po cywilu, odbyli wiele miłych wycieczek. Tego lata odwiedzili nowicjat i spędzili swoje wakacje w nim bracia scholastycy z Lowanium. Byli nimi: br. Stefan Rychlicki, br. Stefan Kierpiec i br. Adam Gašiorek. Na miesiąc przed profesją, pierwszy rocznik nowicjacki ukończył swe wakacje.

Pierwszą Profesję dziesięciu kleryków złożyło dnia 22 września na ręce ks. Kazimierza Wiechecia, przybyłego z Francji kilka dni przedtem. W dniu profesji otrzymało sutanny 7 postulantów mających być drugim rocznikiem polskiego nowicjatu. Nowo upieczeni scholastycy po dwutygodniowym odpoczynku rozpoczęli naukę w celu uzupełnienia studiów humanistycznych. W związku z tym przybył do nowicjatu ks. Wielgus, który miał im pomagać w nauce. 20 listopada złożyli swoje pierwsze śluby zakonne dwaj bracia konwersi: br. Jan Gerard Jurowski i br. Alojzy Stanisław Żurek. W ten sposób otrzymał ostateczne wykończenie pierwszy rocznik nowicjatu Księży Sercanów na ziemiach polskich.

Razem ze studiującymi scholastykami odbywał regularnie swój nowicjat drugi rocznik, który niestety nie miał skończyć go już w Polsce. Jak w poprzednim roku — przepiękny maj był miesiącem ich wielkich rekolekcji — tak i teraz, które również odpawali pod kierownictwem niezmordowanego O. Wachowskiego. Niestety, staruszek nie był już w stanie dokończyć swego zbożnego dzieła, bo pewnej nocy został dotknięty paralizem. Musiał rekolekcje przerwać i wyjechać do Dziedzic. W czerwcu tegoż roku (21 VI 1939) przybył trzeci rocznik nowicjacki, który kilka dni temu odbył swoje obłóczyny w Krakowie. Miłym gościem, choć równocześnie i zwiastunem tego, co miało dotknąć tyłu z nas, a mianowicie wygnania, był ksiądz z naszego Zgromadzenia, Łużyczanin z pochodzenia, który jednak od dłuższego czasu przebywał w Czechach. Gdy jednak ten kraj został przejęty przez Niemców, musiał on stamtąd uchodzić do Polski, gdzie przyjęliśmy go z otwartymi rękami. Był nim ks. Jerzy Brezan. Przyjechał do nas dokładnie 18 sierpnia. Niezwykle mile również spędzili — tak bracia scholastycy jak i nowicjusze — te ostatnie wakacje w Felsztynie. Niemało przyczynił się do tego wymieniony ks. Jerzy Brezan, a zwłaszcza przybyły w ostatnich dniach lipca ks. Zawadziński. W połowie sierpnia, jakby po to, by w ostatnim jeszcze momencie zwizytować nasz pierwszy polski nowicjat, przybył do Felsztyna ks. Alojzy Delborgo, delegat Ojca Generała. Nikt nie spodziewał się, że

za kilka tygodni będzie on gościł gros naszego nowicjatu w Rzymie. Od pierwszego września wypadki zaczęły lecieć błyskawicznie. 9 września to, niestety, ostatni dzień faktycznej egzystencji nowicjatu. W tym dniu scholastycy, nowicjusze i postulanci opuścili progi ukochanego domu, by niestety nie wrócić już do niego nigdy...

### *Obrazki z tamtego życia*

*Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie  
Z kilku przyjaciół siadłszy przy kominie  
Wyrwał się myślą ku szczęśliwym czasom  
I dumał, myślił o swojej krainie...*

### *Nowicjacki regulamin*

Jak wszędzie na świecie i u nas w nowicjacie, niedziela różniła się od zwykłej tygodniowej szarugi. I nie było tak z przypadku. Przygwożdżony na drzwiach pierwszy regulamin, był porządku tego wiernym i surowym stróżem.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że zwyczajne dni tygodnia były do siebie podobne jak liście na drzewie. Każdy z tych dni bowiem, chociaż był powszedni, różnił się od niedzieli czy święta, miał w sobie coś swoistego, miał tę jakąś nutę, która różniła poniedziałek od środy, wtorek od soboty, a piątek od czwartku.

Najbardziej bezbarwnymi były dwa pierwsze dni tygodnia. Miały w sobie coś ze zwyczajnego, czerstwego chleba, który się spożywa bez entuzjazmu, ale i bez trudu, ot tak, nie zdając sobie sprawy, co człowiek robi. Ciągnęły się też one specjalnie długo, a najbardziej dłużył się chyba wtorek. Zdziwi to może kogoś, wszak po nim miała nastąpić zwyczajna środa. Otóż dla nas środa nie była dniem zwyczajnym. Środa była, żeby ją porównać do czegoś, jakimś punktem ożywczym, w trakcie naszego marszu od niedzieli do niedzieli. Miała coś ze święta, a była przecież dniem powszednim. Powszednim w naszej nowicjackiej środzie było wszystko poza rozmawianym obiadem, a przede wszystkim poza tak drogą każdemu przechadzką.

O, mogłaby młodzież nasza uczyć się od nas, jak zachować ten ważny punkt regulaminu. Już od samego rana spoglądaliśmy przez okno. (Niektórzy przy tej okazji podziwiali podczas rozmyślania kota przyglądającego się, jak biedni nowicjusze drzemali, oparci wygodnie o oparcia ławek. Dowiedzieliśmy się o tej kontemplacji żywej natury uprawianej przez jednego ze współbraci z postawionego mu głośno pytania przez księdza magistra: „Kotaś nie widział?”). Obserwowaliśmy czy kołyszą się poruszane wiatrem gałęzie tui stojących koło domu, czy świeci słońce, czy będzie pogoda, bo przecież od tego zależało, czy pójdziemy na przechadzkę, czy też ślęczeć będziemy w domu.

Przechadzka była dla nas naprawdę odpoczynkiem, toteż gdy tylko skończyliśmy obiad, gdy fachowo, aczkolwiek bez większego entuzjazmu pomyśliśmy garnki, wyruszyliśmy w świat. A były to rzeczywiście wyprawy w świat, bo gdzieśmy nie zaszli i czegośmy nie zwiedzili... Wprawdzie było kilku ofermów, którzy jeden tylko uznawali przechadzkowy szlak — do lasu. Ale i ci, gdy doszli do tego lasu, mieli tam za każdym razem coś nowego. Zasztywali się w coraz to inny kąt, zapychali się coraz to innymi owocami tego lasu. I oni również mogli pełną piersią używać środowiej przechadzki. Przeważna jednak część nowicjackiej braci to były urodzone łazęgi. Toteż gdyśmy tylko wyszli poza obręb parku, jak młodemu żrebackowi zaczęły rozszerzać się nam chrapy. Nabieraliśmy z miejsca zawrotnego tempa i szliśmy na odkrywanie wspaniałości doliny Strwiąża. Nie było w promieniu kilometra jednej kulawej chałupy, żebyśmy jej nie znali. Nie było strumienia, lasu, czy zielonej murawy. Znali też okoliczni mieszkańcy tę grupkę zupełnie dziecinnie jeszcze wyglądających kleryczków, którzy w krótkich (bo wyrastali z nich w przeraźliwym tempie) sutannach, z szerokimi kapeluszami na głowach, zawsze w pośpiechu pędzili przed siebie naprzód w towarzystwie — któż by powiedział? — wstrętnego, obrzydłego, któremu z pyska ciekła piana, a jednak jakżeż drogiego i po swojemu kochającego nas brytana, któremu na imię było Trop.

Dziwne to było psisko i nie sposób pominąć go w tych felsztyńskich wspomnieniach. Obrzydły to był pies i nie łatwo znalazłbyś brzydszego, ale rozum swój miał. Nie wiem, czy sobie ułożył jakiś psi regulamin. W każdym razie, choć niekiedy spóźnił się dzwonnik nowicjacki, Trop punktualnie trzy na pierwszą stał pod naszą bramą, gotowy do wyprawy. Gdy pomywacze opóźniali wyjście na wycieczkę, nasz towarzysz wypraw niecierpliwił się i raz po raz zachodził do kuchni, jakby domagając się i przypominając nowicjackim pomywaczom o obowiązku punktualności. Niekiedy na nasze wycieczki zabierał ze sobą towarzyszkę swojej budy, ogromnego bernardyna, wabiącego się Bela. Ta ostatnia w przeciwieństwie do nieodłącznego towarzysza Tropa, była szczytem psiej urody i elegancji. Zawsze czysta, pyszniła się swą białą-brunatną sierścią, mizdrząc się do nas pięknym, kształtnym pyskiem.

Przy takiej obstawie mogliśmy iść na kraj świata. Nikt nie ważył się słowem nawet surowszym do nas odezwać, bo nasi czworonożni opiekunowie, potrafili z tego wyciągnąć konsekwencje. I tak, gdy raz ktoś tylko w jakiejś niewyjaśnionej sprawie próbował się do nas zbliżyć z zupełnie zresztą życzliwą miną, tylko z nieco za gwałtownym krokiem, Bela nie omieszkała z miejsca wyjaśnić sytuacji donośnym stentorowym „hau, hau”. Zagrała sobie do boju i w dwóch skokach była przy niefortunnym intruzie. Stała na dwóch łapach, dosłownie oko w oko, z przerażonym chłopkiem. Musieliśmy co prędzej perswadować naszej opiekunce, że tym razem bez jej ingerencji się obejdzie, bo i Trop już obrzydliwszą jeszcze uczyniwszy swoją mordę i nabierając rozpędu, gniewnym machaniem swojego brzydkiego ogona szedł w sukurs swojej towarzyszce.

Odważne to były psiska. Jedna tylko plamiła w ich rycerskości skaza: Trop zwłaszcza niechlubną miał pod tym względem kartę — panicznie bał się wody. Może dlatego był taką poczwara. W każdym razie było to u niego doprawdy niezwyčajne, po prostu jakiś psi kompleks. Gdy trzeba było przeprowadzić się wąską kładką przez Strwiąż, nasz Trop dostawał drgawek. Trzeba go było ciągnąć, popychać, by wre-

szcie przewlec go na drugi brzeg. Najczęściej jednak, mimo pękającego mu z bólu serca, małującego się na jego monstrualnym pysku, zostawał samotny na przeciwnym brzegu, czekając naszego powrotu. A już o przejściu wpływ nie było absolutnie mowy.

Ten niechlubny rys Tropa potrafił w bardzo nie rycerski sposób wykorzystywać poczciwy brat Paschalis. Jeżeli bowiem ten swojego rodzaju nowicjusz nie bardzo miał ochotę odejść z kuchni, senior naszych braciszków bał się używać normalnych sposobów do wyproszenia z domu tego rodzaju gościa. Trop bowiem lojalnym był tylko wobec nas, braci nowicjuszów. Kogo innego zaś mógł z łatwością przekonać, że zbójcecka morda i potężne kły nie są tylko ozdobą jego psiej mości. Wiedział o tym z kilku wiele mówiących warknięć Tropa br. Paschalis. Brał po prostu pusty garnuszek i zwracał się z nim w kierunku Tropa. Biednego psinę zaś na ten straszliwy dla niego widok, jakby całe stado piorunów walnęło, zakręcał się gwałtownie na ogonie i pędził jak opętany w kierunku swojej budy. Do następnej przechadzki obrażony nie pokazywał się przy kuchni. Ale gdy tylko zegary w środę i niedzielę były trzy na pierwszą, Trop stał pod drzwiami gotowy do drogi.

Poczciwe to psisko nierozzerwalnie związane jest z najpiękniejszymi chwilami spędzonymi w Felsztynie. Jego sylwetka: długie, cienkie nogi, wychudły również długi tułów, pokryty bladobrudną, brązową sierścią, miejscami mocno wyleniąłą i ogromny, z opadającymi beznadziejnie uszami poczciwy łeb, z którego patrzyły na ogół bezmiernie życzliwe dla nas oczy, będące krańcowym przeciwieństwem jego obskurnej, oślinionej, z wystającymi groźnie zębami mordy — pozostanie nam zawsze w pamięci, razem z naszymi niezapomnianymi przechadzkami.

Z tych cotygodniowych wypraw naszych nie wracaliśmy bynajmniej z pustymi rękami. Pamiętam jak dziś wiadro tłustych, walących bez miłosierdzia ogonami długich szczupaków, któreśmy przywlekli znad stawu. Kiedy indziej, w jesieni, pełne kieszenie orzechów, czy torby grzybów, a bywało na wiosnę że i wronich jajek.

Wyprawy zresztą kierowały się często w dokładnie określonym celu: dwie zwłaszcza na zawsze chyba pozostaną ich uczestnikom w pamięci. Jedna „na wrony”. Efektem jej jednak nie były wcale poczciwe ptasie kumoszki, tylko umoczone buty, sutanny, spodnie — z powodu przeprawy wpływ — która się w pewnym momencie okazała smutną koniecznością. Druga wyprawa była wyprawą „na wiosnę”; też gdzieś uwikłali się jej uczestnicy w brodzeniu po nieodmarzłych jeszcze zupełnie stawkach. W trakcie przeprawy z jednego ładu na drugi, jeden z uczestników zwałił się jak długi w lepkie, chlupiące brudną wodą i żabim skrzekiem błoto. Jak wstał, reszcie nie pozostało nic innego, jak łamać z rozpacz i uciechy ręce. Trudno opisać jak wyglądał... Lusterka bowiem gorliwi scholastycy nie nosili wtedy. W każdym razie bałby się w takiej postaci pojawić między śmiertelnymi. Co prędzej ściągnięto z ofiary ociekającą błotem sutannę. Zasyty go w niedalekich krzakach, no i zaczęto szukać gdzie by do porządku doprowadzić duchowną sukienkę. Okazało się, że pozostawał tylko Strwiąż i wtedy, o rozpacz, gdy starożytnym sposobem zaczęto przyprowadzać do porządku nieszczęśliwą sutannę w cierpliwym na wszystkie krzywdy Strwiążu, z pobliskich pagórków dostrzegli te zbożne zajęcia inni współbracia. Ile potem było domysłów, ile przypuszczeń. Prawda jednak wyszła na jaw dopiero wtedy, kiedy to było już niegroźne z punktu widzenia osobistego bezpieczeństwa tak uczestników owej sławetnej imprezy, jak zwłaszcza najbardziej poszkodowanego. Te groźne zresztą w tym wypadku czynniki chyba dopiero z niniejszej pisaniny o tym się dowiedzą.

Jeżeli już jesteśmy przy przechadzkach, wspomnijmy słowem o ich rozszerzonym wydaniu, jakim bywały okresowe wycieczki całodzienne. To było naprawdę wspaniałe. W porze letniej wychodziło się zazwyczaj wcześniej rano. Szło się długie kilometry, odpoczywało przelotnie u jakiegoś proboszcza, objadając go z kwaśnego mleka, czerstwego chleba, smarowanego świeżym masłem i pędziło się dalej. Wszystko co atrakcyjniejszego w promieniu kilkudziesięciu kilometrów sercańskie wagabundy zdołały w czasie tych wakacji w jed-

nym i drugim roku przeszperać. Aż serce się wyrywa, by podzielić się z potomnością tym całym rwącym potokiem wrażeń, które dziś jeszcze są takie żywe, takie miłe, takie czarujące. Wszak były w nich dni wspaniałej pogody, były burze i pioruny, lekceważone ostentacyjnie przez zmokniętych kleryczków idących odważnie drogą i odmawiających różaniec. Były dni mgliste, a jednak ogromnie radosne. Były wyprawy w nieznane, bez celu i bez planu. Było niekiedy głodno, bo nie sposób było dotrzeć do osiedli ludzkich, takeśmy się zaszywali w jary, w lasy, rozłogi. Zawsze jednak, naprawdę zawsze, było radośnie, beztrosko, a przy tym po Bożemu. Wracało się do domu zmęczonym wprawdzie, ale wypoczętym, zrywającym się już na drugi dzień na nowe wyprawy, na nowe wrażenia.

Ale wróćmy do naszego nowicjackiego tygodnia. Po półświątecznej środzie następował najciekawszy bodaj dzień w tygodniu — czwartek. Tym, co o wadze tego dnia decydowało, była spowiedź święta i godzina święta. W tamtym polskim nowicjacie, godzina święta nie wystarczała za adorację i dlatego też przed południem bywały w początkowym okresie trzy grupy półgodzinnej adoracji. Po południu, gdzieś koło godziny czwartej, przyjeżdżał nasz spowiednik z pobliskiego Chyrowa, który bawił do godziny piątej. Ledwieśmy ochłonęli z poważnych wrażeń spowiedzi tygodniowej, dzwonek wołał nas na godzinę świętą z nieodłączną od niej oczywiście prostracją.

Jak wszędzie, tak i tutaj nie można obejść się bez pamiątek. Jeden z gorliwszych nowicjuszów tak głęboko przeżywał fakt świętej prostracji, że choć dzwonnik wybił sobie pęcherz na palcu od gwałtownego pukania, to wcale nie przekonało wołanego, by podniósł się z prochu. Jego towarzysz już dawno klęczał na swym miejscu, gdy inny z konfratrów gwałtownym pociągnięciem za sutannę obudził go z mistycznej zadumy i purpurowego z przeżyć odprowadził na swoje miejsce.

Zupełnie inny wydźwięk miał nowicjacki piątek. Co tu dużo gadać. Było w nim coś smutnego, melancholijnego, a by-

to tak, wyznajmy szczerze, nie tylko dlatego, że był to dzień śmierci Boskiego Zbawiciela. Gdy się człowiek obudził w tym dniu, prócz zimna, które kąsało, czuł od samego rana na swoich plecach guzki twardej dyscypliny. To zaś oczywiście tylko bardzo zaawansowanych na drogach Bożych mogło przyprawiać o uczucia radości i wesela. Wszyscy inni odczuwali to zgoła inaczej.

Na ten mroczny nieco charakter piątku składała się jeszcze inna sprawa, a mianowicie milczenie na rekreacji po podwieczorku. Dla nas, zgłódniałych gadania, to mogło jednak stanowić zmorę i stanowiło niestety. Nie należy jednak bynajmniej myśleć, żeśmy dyscyplinę traktowali tylko jako zło konieczne. Pierwszy raz odbywane to ćwiczenie pamiętam jak dzisiaj, wywołało ogromne wrażenie (Nb. Zdrowański podczas niego na głos odmawiał wtedy ks. Franciszek Nagy, chodząc upiornie po korytarzu.). Wrażenie to było jednak wrażeniem na wskroś religijnym. Dzięki niemu także wchodziło się w ostatni dzień tygodnia z jakąś dziwną lekkością, z jakąś rześką, choć dopiero rozchylającą się radością.

Sobota. Określiłbym ten dzień w nowicjacie jako dzień pogodny. A pogoda ta miała swoje główne źródło w tym, że był to dzień Matki Bożej. Prawda, cieszyło człowieka i to, że sobota była wigilią niedzieli, że będzie vivat na kolacji i na obiedzie, no i że będzie przechadzka. Ale to było jednak naprawdę drugorzędne źródło tej sobotniej nowicjackiej pogody. Dziwne, jak niektóre ćwiczenia duchowne, zwłaszcza gdy urywały młodemu człowiekowi jego tak cenioną rekreację, były uciążliwe; kwadrans natomiast Najświętszej Paniienki w każdą sobotę nic nie miał z trudu, uciążliwości, wysiłku. To był bezsprzecznie jeden z zasadniczych elementów tej naszej felsztyńskiej, nowicjackiej radości.

I oto cały tydzień. Byłoby tu jeszcze było do napisania, i szkoda niestety, że napisane nie zostanie. Ale na to już rady nie ma. Niektóre fragmenty tamtych dni, jak zresztą wiele z naszego życia, musi pochłonąć bezlitosny czas zapomnienia.

Nigdzie chyba tak wyjątkowym dniem w tygodniu jak w nowicjacie nie była dla nas niedziela. To był naprawdę

dzień Boży, dzień spoczynku, dzień modlitwy. Dzień ten w pamięci maluje się jako ogromnie spokojny, dostojny, prześiąkły atmosferą zalanego słońcem parku, atmosferą ciszy, radosnego skupienia i modlitwy. Choć było w nim dużo rekreacji, a więc rozmowy, podniesionych głosów, beztronskiego śmiechu, to jednak nie mąciło to wszystko tej błogiej atmosfery dnia świątecznego. W początkowym okresie i w niedzielę mieliśmy adorację. I to do pewnego stopnia przywalało jakoś ten harmonijny dzień niedzielny. Po pewnym jednak czasie adorację tę zniesiono, a przedpołudnie wypełnione było tylko Mszą św., rekreacją i studium. Za adorację wystarczały śpiewane po podwieczorku nieszpory. I rzecz charakterystyczna: nastrój świętego dnia wcale na tym nie stracił. Owszem, chyba zyskał wiele.

Jeśli już jesteśmy przy niedzieli, wspomnieć trzeba, o naszych nowicjackich świątach, przynajmniej o tych dwu ważniejszych, o Bożym Narodzeniu i o Wielkanocy.

I znowu przeżycia religijne tych świąt chyba już nigdy nie będą tak głębokie, tak żywe, jak były tam, w nowicjacie. Na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem oczekiwało się na Adwent. A gdy on wreszcie nadszedł, każdy dosłownie dzień podnosił temperaturę naszych wewnętrznych przeżyć, które do punktu kulminacyjnego miały dojść w Wigilię i na pasterce. Wszystkie zajęcia, wszystkie przedświąteczne roboty wykonywało się w jakimś przedświątecznym Bożym zamroczeniu. Po prostu nie czuł człowiek jak szczypał go w uszy i ręce siarczysty mróz, gdy rznął i rąbał stertami bukowe drewno. Toteż chyba nikt się nie zdziwi temu, że gdy jednemu z naszych aktualnych księży ekonomów powierzono obsadzenie i ustawienie drzewka w refektarzu, tak skrupulatnie to wykonał, że gdy potem w święto Trzech Króli trzeba go było od podłogi odrywać, nie obyło się bez kolosalnej siekiery, która z największym trudem poradziła grubym jak palec, a długim jak marchew gwoździom, którymi gorliwy nowicjusz przybił podstawę drzewka do podłogi.

Niezapomnianą nigdy będzie chyba ta pierwsza Wigilia w polskim nowicjacie. Na polu śnieg, gwieździste niebo,

a w domu już czysto, świątecznie. Wymyty refektarz pławi się w przymilnym ciepłe, buchającym od oryginalnego trocinowego pieca. Białe obrusy powiększają jeszcze wrażenie jasności, która spływa z niekopcących tego wieczoru lamp. Serdeczne życzenia, łamanie opłatkiem, głęboko radosne twarze (na jednej tylko perliły się tego wieczoru łzy, łzy smutku). Ks. Prefekt ubrany w biały fartuch, wydający tego dnia potrawy z kuchni, rzewne „Bóg się rodzi” i potem coś dwie przegrane partie w szachy, oto wszystko co pozostało mi z owego wieczoru przed pierwszą w nowicjacie felsztyńskim odprawioną pasterką. Pasterka zaś tym chyba przejdzie do historii, że jeden z ówczesnych nowicjuszków, dziś bardzo dostojny ojciec znajdujący się na wybitnym stanowisku, pomógł ks. Nagyemu Franciszkowi do tego, by nie odprawiał on tradycyjnych trzech Mszy św., nalewając mu po Komunii św. hojnie wina do kielicha. Dopiero pod koniec pierwszej Mszy św. spostrzegli się obaj z dokonanego wspólnymi siłami dzieła. Do dzisiaj ten ówczesny nowicjusz wspomina, że gdyby był troszkę mniej odporny, byłby wtedy legł trupem, zabity straszliwym wzrokiem współnika sprawy.

Wycieczki, przechadzki w pierwsze święto nie było. Grałiśmy w szachy i gaworzyliśmy wesoło o wszystkim i o niczym. Dzień nam się, pamiętam, wcale nie dłużył. Tradycyjnej tomboli jeszcześmy nie znali. Toteż trudno mi powiedzieć, jak się skończyło z choinkowymi dobrociami. Dość ostra w tym roku zima, prędko zatarła bożonarodzeniowe przeżycia. Wiosna bowiem nastawiała na inną melodię świątecznych wzruszeń, na melodię paschalnego Alleluja. I trudno doprawdy powiedzieć, które z tych wspaniałych świąt było nam bliższe, które kochaliśmy bardziej. Nieraz spieraliśmy się o to, aleśmy nigdy ostatecznie sprawy nie rozstrzygnęli. Nie dziwota, przecież i Boże Narodzenie ma swoje wspaniałości i Wielkanocy ich nie brakuje. Istota zaś leży w tym, że obydwie te wielkie święta mają coś swoistego, co nie da się porównać i zmierzyć ze sobą.

Wielkanoc łączyła się nierozzerwalnie z nadchodzącą wiosną. A że wiosna oznaczała dla nas powrót do naszego

ulubionego cygańskiego życia, więc w jakiś spotęgowany sposób jeszcze oczekiwaliśmy na nią. Kościelni na długo przed samymi świętami siali żyto, potrzebne do dekoracji Grobu Pańskiego, klepali i lepili ciemnicę, smarowali papier na skały. Choć bowiem kapliczka nasza nie grzeszyła ogromem, to jednak wszystkie ceremonie wielkotygodniowe odprawialiśmy u siebie. Była więc i ciemnica w zamienionej na ten cel poczekalni, był grób w lewym rogu naszej kapliczki, były wspaniałe wielkosobotnie ceremonie, była i najuroczystsza z tego wszystkiego rezurekcja. Procesja tylko nie mogła się rozwinąć w całej okazałości, ze względu na to, że trasa jej wynosiła niewiele chyba ponad dwa metry.

Niektórym przychodziła ochota zorganizować tradycyjną strzelaninę świąteczną. Skończyło się jednak tylko na planach, częściowo dlatego, że o materiał wybuchowy było w końcowej fazie nowicjatu dość trudno. Tyle z tych najważniejszych wspomnień zachowała pamięć moja do dzisiaj na temat naszego nowicjackiego regulaminu. Byłoby wprawdzie jeszcze coś do dodania, ale trzeba wspomnieć o kilku innych jeszcze osobliwościach „tamtego roku”, które nie powinny być zapaść się w bezlitosną otchłań zapomnienia.

#### *Nasi spowiednicy i rekolekcjoniści*

Choć w paru słowach trzeba więc wspomnieć w tych refleksjach nowicjackich o gronie serdecznie oddanych nam przyjaciół-księży. Do nich na pierwszym miejscu zaliczyć należy przeznaczonego ks. Józefa Watulewicza, proboszcza parafii felsztyńskiej. Zakochany w przeszłości Felsztyna i Doliny Strwiąża, autor przyjemnie napisanej książki na ten temat, nieraz odwiedzał nas i opowiadał o wspaniałej przeszłości okolicy. Zawsze wesoły i życzliwy, zawsze gotowy do usług, nieraz oprowadzał nas po zabytkowym kościele parafialnym, tłumacząc cierpliwie i pokazując artystyczne cuda tej niepozornej na pierwszy rzut oka budowli. Musiał on opuścić ukochany przez siebie Felsztyn i od kilku lat zamieszkiwał jedną z podgórszych miejscowości. Ostatnio zachorował ciężko i najprawdopodobniej nie podniesie się już ze swojej słabości. Nie złoży więc swoich kości w wybudowanym

sobie przed kościołem felsztyńskim grobowcu. Pamięć jego charakterystycznej, niezmiernie dobrej twarzy, jego gorejących wielkich oczu i przygarbionej nieco sylwetki, pozostanie jednak na zawsze między nami.

Żywymi barwami rysuje się w wyobraźni byłego mieszkańca nowicjatu felsztyńskiego osoba katechety felsztyńskiego, ks. Stanisława Lechowicza. Ileż przemitych chwil przeżyliśmy właśnie dzięki niemu i czym on nie był dla naszego nowicjatu? Człowiek to doprawdy niepospolity. Prócz swoich kapłańskich zadań miał czas na mnóstwo jeszcze innych specjalności. I tak: był zapalonym motocyklistą i nieraz doganiał nas swoim przedpotopowym co prawda, niemniej wcale nośnym motocyklem, w naszych całodniowych wycieczkach. Prócz tego śpieszył z niezawodną pomocą naszym niezbyt markowym zegarkom, które zostawiono nam na czas postulatu. Grywał wspaniale na fisharmonii i był słynnym na całą okolicę fotografem. To właśnie dzięki niemu możemy co pewien czas nie tylko za pomocą wyobraźni upajać się widokiem naszego nowicjatu, ale w sposób bardziej realny, patrząc na doskonałą fotografię. On także na kliszy fotograficznej uwieczniał wszystkie najważniejsze wydarzenia z życia nowicjatu, przekazując potomności fizjognomie nasze z owych czasów, niektórym na chwałę, a niektórym na hańbę i zawstydzenie.

Najżywiej jednak ks. Lechowicz zapisał się w naszej pamięci w innej jeszcze roli, roli urodzonego humorysty. Było wiadomo, że jeżeli on wybierze się z nami na jakąś wycieczkę, to wesołości będzie w bród. Pamiętam jedną zwłaszcza taką wycieczkę, podczas której i najbardziej poważni jej uczestnicy fikalizowali z uciechy nogami i trzymali się za brzuchy, gdyż dosłownie bólu się dostawało, gdy on zaczął opowiadać swoje kawały. Kawały te były zresztą zawsze pierwszej jakości, a przy tym opowiadane były tak, że najlepszy komik by ich nie oddał lepiej. Przy wszystkich najbardziej uroczystych i dostojnych uroczystościach, ksiądz katecheta miał zawsze ostatnie słowo, na które zresztą zawsze czekali wszyscy.

Jeszcze dziś stoi mi przed oczyma przezacny ksiądz Cichoń, który podczas tego ostatniego słowa ks. Lechowicza

tak się straszliwie popłakał i naśmiał, że zaczął prosić o małą przerwę, bo go wszystko bolało od śmiechu. I ks. Lechowicz złotymi zgłoskami zapisał się w naszych nowicjackich wspomnieniach i on na zawsze z tamtymi czasami zostanie dla nas złączony.

Oddanym przyjacielem nowicjatu był również i ksiądz proboszcz z pobliskich Laszek Murowanych, ks. kanonik Urbanek. Pocziwy ten staruszek był wcale dobrym muzykiem i niejednokrotnie korzystaliśmy z jego usług w tej dziedzinie, gdy jakimiś śpiewami trzeba było uświetnić taką czy inną uroczystość. Zawsze bardzo serdecznie witał nas przy swoim małym kościółku pośród pomników wielkiej przeszłości, jaka rozgrywała się na terenie jego parafii. Podczas jednych z takich odwiedzin znanemu powszechnie wszystkim sercańskiemu muzykowi, wtedy bardzo okazałe prezentującemu się nowicjuszowi, przepowiedział pocziwy ksiądz kanonik, że urząd Prowincjała go nie minie w Zgromadzeniu. Toteż ksiądz ten, o ile wierzyć plotkom, jakie krążą za każdym razem, gdy kończy się triennium prowincjalskie przeżywa ciężkie chwile śmiertelnych obaw, żeby przypadkiem przepowiednia pocziwego proboszcza z Laszek Murowanych raz jeszcze nie kazała czekać. Bo że się spełni, nie wątpimy nigdy...

Innym nieodżałowanej pamięci również, a gorąco życzliwym nam człowiekiem był uwieńczony palmą męczeństwa, zmarły na posterunku, ks. Władysław Wolski, proboszcz z pobliskiego Chyrowa. Wstępował do nas zawsze, gdy koło domu naszego przejeżdżał i serdecznie nas przyjmował, gdyśmy przypadkiem u niego się znaleźli (Niektórzy z ówczesnych nowicjuszów specjalizowali się w odwiedzaniu proboszczów, z tych jeden specjalnie proboszczów ruskich, gdyż zawsze ze specjalnymi oznakami czci i szacunku był on przyjmowany przez ich rodziny.). Zginął biedak w roku 1941 wracając od chorego.

Na większą niż niniejsza wzmiankę zasługuje ksiądz proboszcz ze Starej Soli, z którym zapoznaliśmy się także w trakcie naszych wrocławskich wypraw, a który w specjalny sposób się do nas przywiązał. Nie było żadnej wycieczki, byśmy przechodząc przez Starą Sól do niego nie wstąpili.

Zawsze w takich razach był smaczny, razowy chleb ze świeżym masłem i wyborne kwaśne mleko, a potem tradycyjna wyprawa do jego stawu, nb. tkwiącego chyba w samym środku tej galicyjskiej mieściny i stąd odgrywającego dla jej mieszkańców tę samą rolę mniej więcej, co dla Krakowa powiedzmy linia A-B.

Mały był ten staweczek, toteż ścisk panował nie tylko koło niego, ale także w nim. Biedne, zamknięte jego mieszkancki z największym tylko wysiłkiem mieściły się w jego przepastnych głębinach. Jeżeli któraś z nich chciała nieco „rozprostować kości” i zażyć przestrzeni, musiała wypłynąć na powierzchnię, gdyż w głębi trzeba było siedzieć jak trusia, bo ciżba tam była niesamowita. A że widać te starosolskie rybki bardzo lubiły przestrzeń i miały niesamowity wstręt do ścisku, więc całe ich falangi hasały sobie po samej powierzchni brudnego stawu, napawając dumą, najzupełniej zresztą słuszną, poczciwego właściciela, ks. kanonika Owoca.

Pewnego jednak dnia napięta do ostatnich granic wytrzymałości cierpliwość księżyckich rybek z trzaskiem pękła i wypełniła starosolski deptak wrzawą rybiego buntu. „Nie będziemy więcej dusić się w po lichwiarsku odmierzonych nam litrach brudnej wody” — huczało koło starosolskiego Genezaret kotłującą się niezwykajnie brudną wodą. — „My chcemy przestrzeni, nie zniesiemy dłużej wyzysku i gorszego skąpstwa, żądamy respektowania naszych najbardziej elementarnych praw” — wrzało i odbijało się wskutek gniewnych uderzeń ogonów o pomarszczoną tafelę stawku. W poczuciu wyrządzonej im krzywdy poczciwe dotąd rybki postanowiły walczyć aż do zwycięstwa. Nie jadły, nie piły, tylko burzyły się coraz groźniej w brudnych otchłaniach bajorka. I poczciwy ksiądz Owoc musiał ustąpić. Pewnego późnego wieczora pogrążony w załężonym śnie nowicjat zbudził skrzyp ciężkiego wozu i nawoływania ludzi. Zaniepokojony ksiądz Kazimierz z lękiem wytknął głowę przez okno i w jasnym świetle księżycy dostrzegł niepozorną figurkę ks. kanonika ze Starej Soli, hołującego ogromny wóz, na którym piętrzyła się jeszcze większa beczka. Zbiegł więc

czempredzej do niezwyčajnego gošcia i był Źwiadkiem ostatniego aktu klęski zacnego księdzia Owoca: kotłujęcą się zawartość ogromnej beczki wylewano w sam raz do naszego stawu. Jakaż to była radość dla rybiego Źwiata, który swojå wysoce obywatelskå postawå potrafił wywalczyć należne sobie prawa. Nie mniejsza była chyba radość na drugi dzień i nowicjackiej braci, która odtąd miała jeszcze jednå wspaniałå atrakcję w swoim parku, a z czasem nie byle jakie urozmaicenie swojego skromnego menu.

Specjalny rozdział w naszych wspomnieniach felsztyńskich należy się tym, którzy służyli nam posługå duchowå — naszym spowiednikom i rekolekcjonistom. I tu na pierwszy plan wybija się bezsprzecznie niezapomniany O. Józef Machowski, spowiednik pierwszego rocznika nowicjackiego i główny rekolekcjonista. Do dzisiaj, choć przecieź już to szesnaście lat mija, jak najbardziej żywo stoi nam jego przemiła sylwetka przed oczyma: ta biała głowa, ta jasna, zawsze pogodna twarz, te niezmiernie dobre oczy przesłonięte przeciętymi okularami, ta przygarbiona nieco postać, ten powolny nieco chód. Tego nie zapomni się nigdy, jak nie zapomni się jego słów, bo zrosły się one nierozdzielnie z naszymi duszami i charakterami, bo stanowią naszą osobowość.

Człowiek ze swoim urobieniem, to wynik mniej lub więcej, powolnego procesu obrastania i przerastania życiowymi prawdami, które czerpie od wszystkiego, co go otacza, wchłania następnie w siebie i przetrawia, i w postaci charakteru wydaje na Źwiatło dzieńne. Ten wielki proces odbywa się skokami i najczęściej nie sposób umiejscowić i określić, kiedy i od kogo tej życiowej mądrości zaczerpnie się najwięcej. I otóż wbrew temu prawu utajonego oddziaływania na naszą osobowość tych, którzy nas otaczają, my pierwsi felsztyńscy nowicjusze przekonani jesteźmy, że rokiem najintensywniejszego chłonięcia, który ponad wszelkå wåtpliwość zasadniczo zaważył na nas, był rok, w którym naszym kierownikiem duchowym był ks. Józef Machowski. Bezapelacyjne zaufanie, jakim się u nas cieszył, nadzwyczajna zdolność przekonywania i zjednywania dla sprawy Bożej, jakå się odznaczał,

a w końcu to niezwykajne doprawdy oddanie, jakie żywił dla nas, decydowały o tym, że spełniał on i stanowił dla nas osobowość wychowawczą pierwszorzędnej jakości, że mógł i pokusił się sięgnąć po całe nasze dusze, aby je oddać Bogu. Pod jego rozkazami nie byliśmy w stanie odmówić Bogu niczego. Toteż z największym doprawdy żalem przyjęliśmy wiadomość o tym, że zostaje przeniesiony do Dziezic, że wobec tego nie będzie już mógł prowadzić nas po ścieżkach życia wewnętrznego. Przyjechał on jeszcze raz do naszego nowicjatu, by przeprowadzić z następnym rocznikiem nowicjackim wielkie rekolekcje św. Ignacego i niestety, wyprawa ta była ostatnimi odwiedzinami kochanego Ojca. Porażony częściowo paralizem odjechał, żegnany przez wszystkich z najgłębszym żalem, do Chyrowa. Zmarł w kilka lat później, żalowany powszechnie.

Następcą po Ojcu Machowskim był O. Siarkowski. Poczciwy, niepozorny, a przy tym przedobry staruszek. Zachowujemy o nim wspomnienie nadzwyczajnej słodyczy, spokoju i opanowania, przy równoczesnej stanowczości i serdecznej życzliwości, jaka go cechowała. Był naszym spowiednikiem i ojcem duchownym aż do samej wojny. Wyrzucony wraz z innymi OO. Jezuitami z Chyrowa, został przeznaczony do Starej Wsi, gdzie podczas wojny świątobliwie życia dokonał.

Listę oddanych nam przyjaciół pragnąłbym zamknąć drobną choćby wzmianką o poczciwym staruszku, który był stróżem we dworze państwa Ruszkowskich, a zarazem naszego domu troszkę pilnował. Sypiał on w nędznej, zbitej z desek lepiance w naszej części parku, toteż codziennie przechodził koło naszego domu idąc rano do dworu. Nieodstępną jego towarzyszką była mała brzydka suczka wabiąca się Aza. Pies ten chodził jak uwiązany za poczciwym staruszkiem, którego pamiętamy tylko pod nazwiskiem „Dziadka”. Jego siwiuteński, sumiasty wąs i poczciwa twarz o jasno czerwonych policzkach miała coś z malowanego na obrazkach św. Mikołaja, ubranego w gruby kożuch i ciągnącego sanki pełne różnych dobroci. Oddawał nam różne drobne usługi, zawsze z pogodnym uśmiechem i bezmierną życzliwością.

Ponieważ był dosyć mocno głuchy, niejednokrotnie wynikały z tego bardzo śmieszne historie. I tak, gdy pewnego razu, bodaj czy nie braciszek Paschalis zagadnął go, że jest piękna pogoda, on z uznaniem, potakując swoim „ja, ja”, dodał, chcąc wyrazić w ten sposób z pewnością aprobatę dla stanowiska swojego interlokutora — mówiłem, że konie wylecą z zagrody.

Nie należy bynajmniej sądzić, że wymienieni wyżej ludzie stanowili wyłączny krąg życzliwych naszemu nowicjatu. Jeżeli nie wymienimy reszty, to po prostu dlatego, że czas już skończyć te wspominki, które i tak za dużo chyba miejsca zajmą w jubileuszowym albumie. A po drugie gwoli sprawiedliwości należałoby wiele innych jeszcze spraw, w takim wypadku opisać. Na to jednak czasu naprawdę nie staje. Choć więc serdeczny żal się budzi na myśl, że wiele z tych wspomniałych momentów tamtych czasów zapadnie nieodwołalnie w przepaść zapomnienia, jeżeli się w tej chwili odłoży pióro, to jednak trzeba je odłożyć. Co najwyżej można tylko skierować pod adresem tych, którzy tam żyli serdeczny apel, by ten nieporadnie zarysowany obraz naszego nowicjatu uzupełnić. Kto więc następny, Felsztyniacy?

*Ks. Stanisław Nagy SCJ*

## DOBRY OJCIEC STANISŁAW — POLAK

Brazylijskie lato zapowiadało się w 1940 roku bardzo upalne. Cały listopad słońce prażyło jak nigdy, a oczekiwane deszcze jeszcze nie zjawiały się. Ludzie zaczęli mówić o posusze, a co z tym idzie w parze o nieurodzaju i głodzie, szczególnie w północnych stanach. Kto nie przeżywał tego, co znaczy brak deszczu w podzwrotnikowym klimacie, ten nie może sobie wyobrazić rozmiarów klęski posuchy.

Właśnie 1 grudnia zaokrętowaliśmy się na piękny statek Illoydu u brazylijskiego „Para”, aby udać się na Północ do Mossoro, gdzie biskup nominat na arcybiskupstwo w Pelem, ofiarował Zgromadzeniu nową placówkę. Dziwne uczucia nurtowały nasze umysły; jechaliśmy w nieznanne, mając jako rękojmię słowa biskupie tego, który za kilka lat miał otrzymać purpurę kardynalską jako arcybiskup Rio de Janeiro. Ale ks. biskup Parros de Camera był wypróbowanym przyjacielem Zgromadzenia, szczególnie ks. Germana Brandt'a, dzisiaj już zmarłego, kapłana według Serca Bożego, a mojego towarzysza w innych wyprawach fundacyjnych..., mniej udanych jak w Campos, gdzie chciano nas wykorzystać, nie dając w zamian jak suche obietnice na założenie domu Zgromadzenia. Baliśmy się również i klimatu. Mossoro leży na pięciu stopniach szerokości geograficznej i uchodzi za ośrodek, w którego promieniach rozprzestrzenia się kraina posuchy.

Podróż była spokojna. Ocean rozlewał się leniwie jak okiem sięgnąć. Jego niepomarszczona nawet lekkim tchnieniem tafła zdawała się szafirową, przezroczystą posadzką, po której nasz okręt nie płynął lecz płasał. Im dalej ku północy, tym pogodniejsze niebo, tym większy upał. W godzinach południowych żar prawdziwy zalewał wszechświat, i wtedy i tak już gorące Rio de Janeiro wydawało się nam co najmniej

Syberią... W miarę jak płynęliśmy w kierunku równika zmienił się i krajobraz wybrzeża. Zeglłowaliśmy u brzegów, bo chociaż Brazylia nie wypowiedziała jeszcze wojny Niemcom, podwodne łodzie hitlerowskie uwijały się po wodach Atlantyku, a sławny krążownik „Admiral Graf Spee” przed kilku miesiącami został zatopiony u wejścia do La Platy. Nazistowscy korsarze nie darowali nawet przybrzeżnym statkom neutralnych państw, przewożących surowiec aliantom. Kilkanaście z nich w tragicznych okolicznościach poszło na dno.

8 grudnia w święto Niepokalanego Poczęcia zawinęliśmy szczęśliwie do portu w Recife, stolicy stanu Pernambuco. Tutaj nasi confratres Holendrzy przyjęli nas nader gościnnie, a ponieważ w dalszą drogę mieliśmy się udać dopiero za kilka lub kilkanaście dni, chcieli nam pokazać niektóre bliższe swoje placówki. Skwapliwie skorzystaliśmy z zaproszenia, bo przymusowa bezczynność na okręcie domagała się upragnionego ruchu.

Ks. Brandt zrezygnował z dalszych wypraw. Dokuczał mu nieznośnie gorąc, a i z natury był on raczej skłonny do spokojniejszego trybu życia. Kiedy więc zaproponowano nam przejażdżkę do Porto Calvo, oddalonego parenaście dobrych godzin drogi od Recife, wołał on pozostać w naszym małym seminarium w Varzea, miast telepać się starym Fordem przez nie zawsze wygodne w głąb kraju drogi. Mnie Porto Calvo pociągało; wszak tutaj zginął śmiercią misjonarza pierwszy kapłan Polak, Sercanin, ks. Franciszek Stanisław Szymański.

O ks. Szymańskim słyszałem uprzednio już wiele. Moi współbracia z prowincji Południowo-Brazylijskiej wspominali o nim z prawdziwym pietyzmem. Jeden z nich opowiadał, jak ten syn polskich rodziców przyjechał z ojczystej Warmii, z podolsztyńskiego Biskupca do naszego małego seminarium w Sittard. Rodzice wsadzili chłopca do pociągu, zawieszając mu na piersiach tabliczkę z adresem przeznaczenia. Po kilkudniowej podróży, urzędnik kolejowy przyprowadził młodego alumna z wszystkimi tłumoczkami do naszego domu... Tak podróżowały często dzieci bez rodziców po Europie z końcem zeszłego stulecia. Kolej opiekowała

się nimi i takie „żywe przesyłki” docierały bez uszkodzenia do celu przeznaczenia.

Gimnazjum ukończył młody Szymański w naszym małym seminarium, nowicjat odprawił pod kierownictwem o. Andrzeja. Pierwsze śluby zakonne złożył w dniu Niepokalanego Poczęcia 1898 roku, święcenia kapłańskie otrzymał w 1902 roku. W listopadzie tegoż roku wyjechał na misje do Pernambuco, gdzie na peryferiach stolicy stanu Recife, powierzono mu parafię w Warzea.

Młody duszpasterz zajął się swoimi owieczkami z iście kapłańską gorliwością, a praca ta była trudna. Warzea należała do tych starych podmiejskich osiedli, które miały swoje tradycje, nie zawsze chwalebne. Kiedyś stała tutaj brazylijska „fazenda” gospodarstwo — dwór, zaludniony Murzynami-niewolnikami. Okolica słynęła z urodzajów. Takiej trzciny cukrowej jak tutaj nie było nigdzie. Ile krzywd, ile potu, ile łez i krwi wsiąknęło w ziemię warzyjskie, o tym lepiej nie mówić. Wieki zapisały tutaj znów jedną z tych kart niewolnictwa, które ociekają hańbą i ohydą zezwierzęcenia białego człowieka. Po dziś dzień stoją w Warzea dwa kościoły, które mają swoje dzieje. Jeden był kościołem białych wolnych panów, drugi Murzynów niewolników. I Pan Bóg był inny dla białych, a inny dla kolorowych... Niewolnik przestępujący próg domu Bożego dla białych, narażał się co najmniej na karę chłosty aż do krwi...

Kiedy ks. Szymański obejmował parafię w Warzea niewolnictwo nie istniało w Brazylii już od przeszło 20 lat. Pokutowały tu jednak skutki dawnego porządku. Ks. Szymański wytknął sobie za cel zjednoczenie parafii, zatarcie starych, niezdrowych zwyczajów, zrównanie poziomu religijno-społecznego swoich owieczek. Jego dobroć, roztropność i podejście zaczęły przynosić obfity plon. Ale niesamowity trud zwałił go wkrótce z nóg. Zachorował ciężko w 1904 roku i zdawało się, iż nic nie uratuje młodego proboszcza. Parafia uderzyła wtedy w modlitwę o życie swego ojca i duszpasterza... I oto, po otrzymaniu już Ostatnich Sakramentów, kiedy to ks. Szymański na łożu śmierci złożył ze ślubem zertwy i swoje życie Bożemu

Sercu za swoje owieczki, stan jego zaczął się polepszać. Wyzdrowiał... Poczytano to za cud... W roku następnym znów zapadł na nagminną chorobę w tych stronach — na żółtą febrę. Celem poratowania zdrowia udaje się z początkiem 1907 roku do Europy. Kilkumiesięczny pobyt w innym klimacie zniszczył w nim zaród złośliwej gorączki. Wrócił do Varzea i pracował tutaj dalej pełen samozaparcia, gorliwości i poświęcenia aż do 1916 roku. Parafia jego zmieniała się nie do poznania. Kwitnie w niej życie religijne, istnieją dobrze zorganizowane związki katolickie, Apostolstwo Modlitwy, Kongregacja Mariańska, Towarzystwo Dobroczynności... Duch sercański krzewi się wśród ludności. Ksiądz Szymański przeprowadza codzienną adorację Przenajświętszego Sakramentu, Godzinę św. wynagradzającą, pierwszopiątkowe nabożeństwa, co aż do naszych czasów przetrwało jako pamiątka po „dobrym księdzu Stanisławie, Polaku”, jak jeszcze dzisiaj o nim w Varzea wszyscy mówią.

Pierwsza wojna światowa mimo woli przerwała pracę ks. Szymańskiego w Pernambuco. Pochodził on z zaboru pruskiego i oto niecna intryga zaczęła się snuć wokół jego osoby; był poddany pruskiemu, chciano uczynić z niego Niemca... Kiedy więc Brazylia wypowiedziała w 1916 roku wojnę państwu Centralnym, uważano za stosowne podsunąć ks. Szymańskiemu myśl, by opuścić Varzeę, aby nie ściągnąć na siebie i na konfratrów Holendrów „nieżyczliwości władz”... I oto ten zacny człowiek usuwa się z Recife i udaje się do interioru brazylijskiego, do Porto Calvo.

Nowa placówka obejmowała połać kraju równą co najmniej polskiemu województwu. Pod względem materialnym była tu nędza, pod względem zaś religijnym ugór. Nie zraża się takim stanem rzeczy ks. Szymański. Zakasawszy rękawy, zabiera się energicznie do pracy. Łącznie z ks. Graaffem, Luksemburczykiem, późniejszym wieloletnim mistrzem nowicjuszków w Północno-Brazylijskiej Prowincji, objeżdża swoje terytorium, budując w ważniejszych osiedlach misyjne kaplice. A zbudował ich kilka, bo ludność widząc jego poświęcenie, spieszyła mu z pomocą. Sam nieraz chwycił za topór i piłę

i dawał przykład pracy przy budowie Domu Bożego. A „exempla trahunt”...

Dwuletnia wyteżona praca jego nie kazała długo czekać na owoce. Jak ongiś w Varzea, tak teraz w Porto Calvo, podbił on serca swoich parafian. Uwielbiano go za jego prostotę, za dobroć, za pracę, za trud i za poświęcenie. Widziano w nim prawdziwego apostoła, który nie oszczędzał siebie, by swoim owieczkom zapewnić opiekę duchową, by śpieszyć im z wszelką pomocą i ojcowską radą. Dwoił się i troił, a miał to w sobie, iż bez względu na trudności jeżące się na każdym kroku, osiągał zamierzony cel. Graniczyły nieraz z szaleństwem jego przedsięwzięcia, ale jemu wszystko się udawało.

— Urodzony szczęściarz — mówili jedni.

— Niepohamowany gorliwiec — szeptali drudzy.

A może i jedni i drudzy mieli słuszność...

Uroczystość Bożego Ciała przypadła w roku 1918 na dzień 30 maja. Wspaniałą procesją uczciło Porto Calvo Chrystusa-Hostię. Ks. Szymański nie żałował trudu, by uświetnić całą uroczystość zewnętrznym również przepychem widząc, iż w ten sposób pociągnie do Boga tych swoich parafian, którzy się jeszcze ociągali z nawróceniem z drogi notorycznej indolencji brazylijskiego katolika. Niczego więc nie brakowało; wspaniałe ołtarze tonące w zieleni i kwiatach, różnokolorowe festony, usłane w kwiecie chodniki-dywany, o pięknych symbolicznych deseniach monogramów i figur, „foguetes” — race, moździerz, zgiekliwa muzyka z przewagą bębnów i werbli; jednym słowem to wszystko, co działało na gietką wyobraźnię Brazylijczyka. Wystąpił ze śpiewami nowo zorganizowany chór, śpiewając na przemian z ludem eucharystyczne pienia... Czegoś podobnego w Porto Calvo jeszcze nie oglądano. Toteż tłumy zaległy plac przed kościołem i długo jeszcze po procesji hałaśliwie wyrażały swój zachwyt. Dopiero ulewny deszcz, prawdziwa podzwrotnikowa nawałnica, rozpedziła sejmikujących.

Zaledwie ostatnie strumienie ulewy, nagle jak nożem uciął, urwawszy się od nieba, padły ciężko na ziemię, z bramy

plebanii, na pięknym koniu wyjechał ks. Szymański w ekwipunku „wędrownego duszpasterza”. Za nim na mule człapał jego kościelny. Ks. Graaff, zegnając proboszcza, coś mu przedkładał, coś mu rozradzał. Obiecał ks. Szymański, iż przyjedzie do jednej z kaplic — wieczorkiem w Boże Ciało, aby wyspowiadać biednych „caboclo”, aby następnego dnia, w piątek po odprawieniu Mszy św., urządzić im procesję eucharystyczną...

— „Trzeba dotrzymać słowa” — mówił ks. Szymański.

— „Ale na taki czas, po takich drogach” — odpowiada ks. Graff.

— „Nic mi nie będzie, ulewa minęła. W imię Boże, naprzód”. I uderzywszy piętami boki konia ruszył ks. Szymański przodem, a za nim jego kościelny.

— „Ostrożnie przy przeprawach wpraw przez strumienie i rzeczki” — doleciał go jeszcze głos konfratry.

— „E sta bene — dobrze ” — odkrzyknął mu ks. Szymański i po chwili zniknął za węgłem domu...

Podróż zapowiadała się świetnie. Oczyszczone burzą powietrze było rozkoszne. Po nie ubitych drogach ani śladu żrącego pyłu. Słońce błyszczało w złocie. Nawet woda, stojąca kałużami w wybojach drogi, świeciła jak lustro. A kiedy ks. Szymański zagłębił się w rąbek dziewiczej puszczy, wdzierającej się klinem w uprawne pola, całą pierśią zaczerpnął balsamicznej woni, jaka płynęła ze wszech stron. Radość rozpierała mu pierś. I mimo woli, podśpiewując sobie, popędził konia, bo szmat jeszcze czekał go drogi. A puszcza dziewicza otwierała się przed nim w całej swojej krasie, zapraszając w głąbię. Palmy, smukłe jedne, sięgające jakby nieba, kłaniały mu się w rytm lekkiego, ciepłego wiewu. Drugie, przysadziste, poruszały wachlarze swoich gałęzi, jakby chłodzić chciały śmiałego jeźdźcę. Wspaniałe drzewa „caneli” — cynamonu, imbiu, tarumy, ipè, mówiły o swoim długowiecznym żywocie. U ich stóp skłócone, a jednak pełnią harmonijnej zieleni od seledynu po prawie granat urzekające, toczyły się pnące wszelkiego rodzaju i kształtu, upstrzone jaskrawym kwieciami. Z potężnych konarów spływały ku ziemi strumienie lian, strączyńców, orchidei — storczyków, tkane

złotem, szkarłatem, szafirem, tworząc ścianę, zagrządzając niby drogę do czarownej krainy odwiecznych mateczników. A wszystko jakieś dzikie a pociągające, jakieś cudowne a rzeczywiste, jakieś niegościnnie a zapraszające... Szumi puszcza pieśń swoistą, gra jak potężna harfa, śpiewa jak chór tyśiącgłosy..., a człowiek wchłania to w siebie i z jego piersi wydiera się westchnienie, które jest hymnem pochwalnym na cześć Stwórcy.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy ks. Szymański wypłynął z lasu. Zmrok zapadł z pośpiechem, właściwym tym stronom. Nie znają tu czaru podwieczerja, a sam zachód słońca choć cudowny, tak jest krótkotrwały, iż pozostawia po sobie tylko smutek i żal. I właśnie kiedy już prawdziwe egipskie ciemności zalały kirem świat, ks. Szymański stanął nad rzeką.

A dziwna to była rzeka. W porze letniej, tu i tam, świeciła w ogromnym korycie strużka wody, która od czasu do czasu chowała się w piasku, by napotkawszy dalej twarde, nieprzemakalne podłoże, zgromadzić się w głębokim wykrocie, z którego znów zaczęła się sączyć wijąc się jak srebrna nitka wśród złotych piasków. Czasem na długich przestrzeniach świeci tylko suche koryto, ale wystarczy wykopać w piasku dołek, ten wnet napelnia się wodą... Inaczej bywa w porze deszczowej. Te suche łóżyska zaczynają wtedy żyć, przeradzać się w strumienie, w potężne rzeki, którymi toczą się w stronę morza, prawdziwe wały wód niosące z sobą całe lasy. Niewinne strumyki przemieniają się w olbrzymy-rzeki, których nieujarzmiony żadną mocą żywioł potrafi spustoszyć ogromne połączenie kraju, wyrządzając człowiekowi niepowetowane szkody.

Nad taką rzeką stanął ks. Szymański o zmroku 30 maja. Znał dobrze tę rzekę. Nieraz tu przejechał suchą nogą, nieraz przebrodził ją, nieraz przepłynął. Zaczekał na jadącego za nim kościelnego. Zaczęli wspólnie szukać znanego miejsca przepraw i znalazłszy bród, wparli zwierzęta w wodę. U brzegu woda była względnie płytka, tylko bardzo rwąca. Fala zaczęła ich znosić. Koń ks. Szymańskiego szedł ostrożnie, ale śmiało naprzód. O! Te nasze przemyślne misjonarskie konie! Jakie one wspaniałe. Jak można im wierzyć! Płyną

niby delfiny, kiedy zgruntuja, odpoczywaja chwile, by znów ruszyć na głębie... Za ks. Szymańskim jechał kościelny na długouchym mule, który mniej estetyczny od konia, więcej jednak od niego uważny, roztropniejszy. Aby się nie pogubić w nocy, jeźdźcy pokrzykiwali na wierzchowce i hukali sobie na zachętę. Przeciwny brzeg musiał już być bliski, bo nagle zwierzęta wynurzyły się z głębin i stanęły na twardym gruncie, gdy wtem do uszu kościelnego doleciał krzyk grozy ks. Szymańskiego... W tej samej chwili jego muł plusnął w głębie i zanurzył się z nim... Kiedy wyłynął na powierzchnię, wokół niego panowała cisza i noc. Kilka wysiłków jeszcze i stanął na brzegu. Kościelny strząsnął z siebie wodę i zaczął wyteżać wzrok, by się rozejrzeć w ciemności. Pewnie i ks. Szymańskiego woda wyrzuciła na brzeg, a może uniosła go troszkę w dół. Jedzie więc wierny kościelny wzdłuż rzeki i woła... Milczenie mu jednak odpowiada... Po jakimś czasie słyszy jednak rzenie konia i tętent jego kopyt.

— „Padre, Senhor Padre, por aqui”<sup>1)</sup> — woła. Nie do końca już jeszcze, kiedy zjawia się przed nim koń... bez jeźdźca... I nagle biednego kościelnego ogarnia przerażenie i trwoga. Myśl jak błyskawica przywodzi mu ów krzyk ks. Stanisława. Słyszał już takie krzyki, to krzyki ginących... Szloch targnął jego piersią...

Do osiedla było niedaleko. Czekający na przyjazd księdza mieszkańcy pośpieszyli z łuczycami nad rzekę, rozpalono tu i tam ogniska. Odważniejsi wchodzą w wodę, pływają, nurkują. Daremne poszukiwania. Ranek oświecił gromadę znękanych, zapłakanych ludzi. Dopiero pod wieczór znaleziono ciało. Siniec na skroniach wytłumaczył częściowo przyczynę śmierci; oto koń ks. Szymańskiego osunął się nagle z twardego gruntu w głęboki wykrot. Przerażony ugodził pochylonego w siodle łbem w skronie. Musiało zamroczyć ks. Szymańskiego, bo inaczej byłby się wyratował. Rwący prąd poniósł go w dal. A było to 30 maja wieczorem 1918 roku. Liczył wtedy ks. Szymański zaledwie 44 lata...

Pogrzeb ks. Szymańskiego był prawdziwą manifestacją. Zwłoki przewieziono do Porto Calvo. Lotem błyskawicy roz-

niosła się wieść o tragicznej śmierci dobrego ojca, po całej ogromnej parafii, dotarła do Recife i do Varzea. Płynął lud ze wszech stron, by uczestniczyć w smutnym obrzędzie. Współbracia przybyli licznie, by pożegnać konfratru. Na cmentarzu w Porto Calvo postawiono mu piękny kamienny nagrobek, ale piękniejszy pomnik, wiecznie żywy, wyrósł w sercach tych, którzy po dziś dzień ze łzą w oku wspominają „Dobrego Ojca, Stanisława, Polaka”.

Wchodziłem na cmentarz w Porto Calvo dziwnie wzruszony. Łatwo odnalazłem grób ks. Szymańskiego, pięknie utrzymany. Złożyłem na nim kilka kwiatów urwanych w drodze. A potem po polsku zacząłem na głos odmawiać: „Z głębokości wołam ku Tobie, Panie, Panie, usłysz głos mój...”. A potem polskie „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Maryjo” i „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie”... A potem przewinięło się przed oczyma mej duszy wszystko, co mi powiedziano o ks. Szymańskim... a potem napęczniały łzami... Czy on przypuszczał kiedyś, by na jego grobie, w gorącym brazylijskim Porto Calvo, współbrat Polak mógł za spokój jego duszy odmówić polski pacierz?...

Za sobą postyszałem kroki. Strzepnąłem łzy, odwróciłem się i zobaczyłem gromadkę ludzi. Szli w moją stronę. Zakłopotani, stanęli na kilka kroków przede mną. Czułem iż pożera ich ciekawość, więc podszedłem do nich z pytaniem w oczach. I wtedy jeden z nich, siwowłosa, ale krzepki jeszcze mężczyzna odezwał się niepewnie:

— „Senhor Padre — Ksiądz jest bratem Dobrego Ojca Stanisława Polaka?”

Zawahałem się chwilę, a potem odpowiedziałem:

— „Tak, jestem podwójnie jego bratem, bo Sercaninem i Polakiem, tak jak on nim był”.

A stary wzruszony wyszeptał:

— „A ja byłem jego kościelnym...”.

Raz jeszcze klęknąłem u grobu. Wiankiem pouklękali moi brazylijscy przyjaciele i wspólna modlitwa uleciała do nieba. Widziałem łzy w ciemnych oczach Brazylijczyków, widziałem smutek w ogorzałych ich twarzach, widziałem

wdzięczną miłość, która tchnęła od ich klęczących postaci.  
I wzruszenie zasnuło mi wzrok...

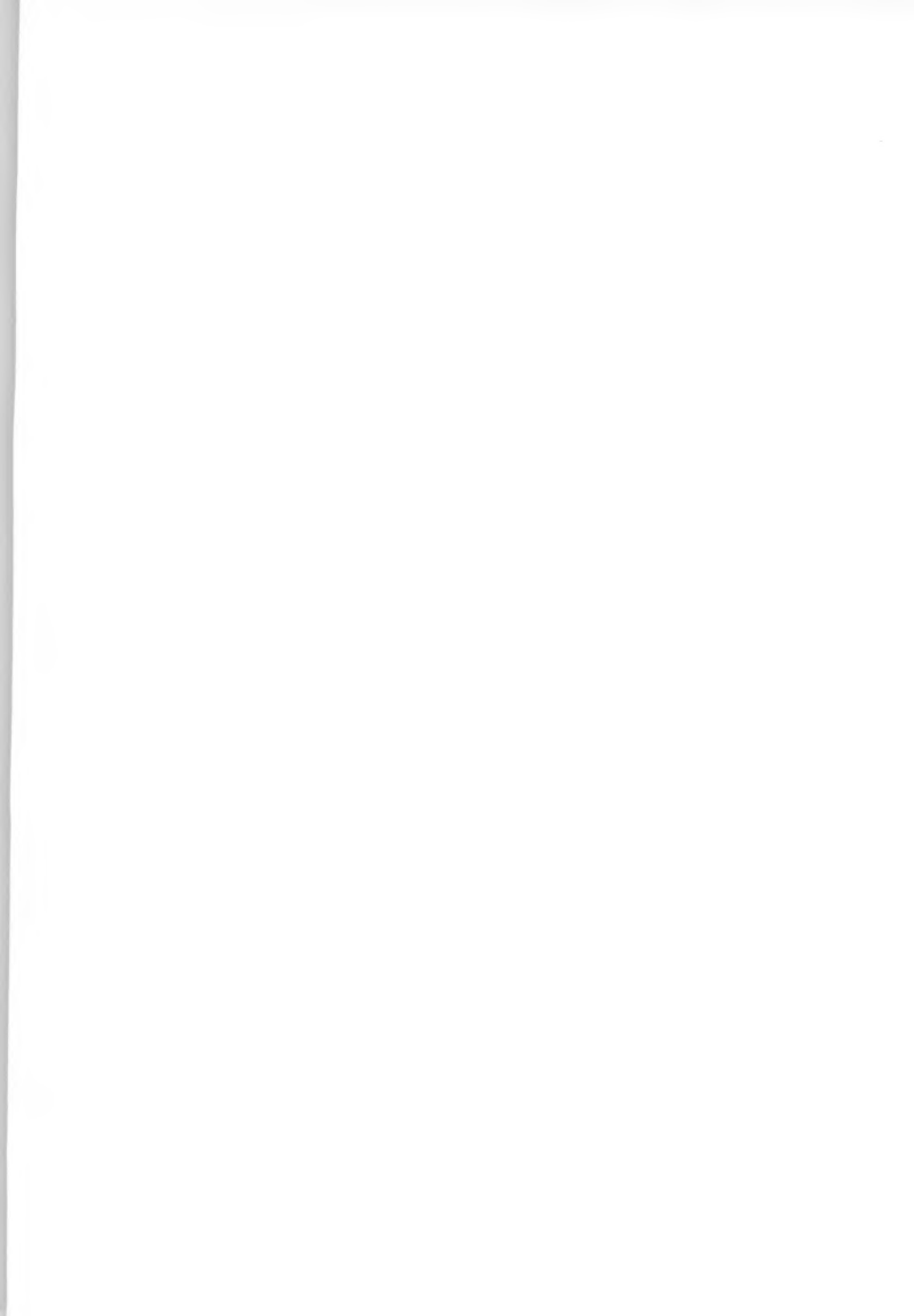
A właśnie w niedalekim zagajniku, rozśpiewał się jeden  
z nielicznych ptaków-śpiewaków brazylijskiej ziemi.

— „Ben-te vi” — zawołał — „jam-cię-widział”.

— „Tak jest” — odpowiedziałem mu po polsku — „wi-  
działeś mnie i moje łzy, lecz tych się nie wstydę...”.

*Ks. Franciszek Nagy SCJ*

# **LATA WOJNY 1939-1945**



...Wojenna zawierucha, jaka rozszalała się 1 września 1939 roku, zaskoczyła i wiele zamętu wprowadziła w maleńką grupkę Sercanów polskich. Zaskoczyła jednych w Krakowie, drugich w Felsztynie, a trzecich w Belgii.

Po kilku dniach działań wojennych wojska niemieckie tak daleko się posunęły, że 6 września kapitulował Kraków, a członkowie należący do domu felsztyńskiego odcięci zostali od swej macierzy sercańskiej — Płaszowa. Nie było innego wyjścia; wobec groźby nadchodzącego frontu opuszczono dom felsztyński, kierując się do wyznaczonego punktu zbornego, którym miała być Kołomyja. Niestety, nie wszyscy do niej doszli: jedni doszli i przeszedłszy następnie granicę rumuńską, przez Jugosławię dotarli do Włoch. Drudzy, z obawy by nie byli zaskoczeni przez szybko posuwający się front południowo-zachodni, zboczyli na południe i weszli na terytorium Węgier. I ta grupa dotarła do Włoch, chociaż z blisko miesięcznym opóźnieniem. Obie te grupy, tworząc emigrację Sercanów polskich we Włoszech, zostały zatrzymane w Prowincji Włoskiej, której Przełożeni roztoczyli nad nimi swą opiekę i doprowadzili je do kapłaństwa. Do emigracji tej należeli księża: Karol Rudzok, Kmiecik Włodzimierz, Marekvia Władysław, Kubina Roman, Anatol Pieczara, Stanisław Sidelko, Bem Jan, Stefan Mytnik, oraz ks. Marian Cichoń, który przewodził grupie uciekinierów zdążającej do Włoch przez Węgry.

Innych trzech Sercanów scholastyków: Stefana Kierpca, Stefana Rychlickiego oraz Adama Gąsiorka, zaskoczyła wojna w Belgii, w Lowanium. Grupka ta, uciekając przed szybko zbliżającym się frontem, po decyzji Przełożonych oraz zarządzeniu Konsulatu polskiego w Belgii, skierowała się ku granicy francuskiej.

Zakosztowała ona wojska polskiego we Francji, po czym w ucieczce swej przemierzyła całą Francję wzdłuż. Wojnę przepędziła w Prowincji Francuskiej, tworząc emigrację Sercańców polskich we Francji. Tam też w roku 1942 otrzymała święcenia kapłańskie, a następnie pracą swą i gorliwością wspomagała duszpasterstwo francuskie...

Tymczasem macierz sercańska w Polsce okupowanej różne przechodziła koleje, o których dowiemy się w pierwszym artykule tejże części albumu...

...Dom płaszowski przez cały okres okupacji w znacznej części zamieszkiwany był przez rodziny wysiedlonych z terenów przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej. W ciężkich warunkach odbywano studia, a po ich zakończeniu i nowicjat w Płaszowie. Wkrótce jednak (25 marca 1944) dom płaszowski został zajęty przez Wehrmacht, którego żołdacy wypełnili gwarem i zgiełkiem cały klasztor, a nierzadko ich pijackie awantury zakłócały, już i tak mocno naruszony spokój zakonnego życia. Wtedy to zrodziła się potrzeba przeniesienia nowicjatu do jakiegoś zacisza, gdzie nic by nie zamącało nowicjackiego trybu życia. Zaciszem tym stały się Stadniki, a ściślej dom pana Wojciecha Michalika.

Przewielebny ksiądz Władysław Majka SCJ, kończąc rozdział drugi swej pracy o Stadnikach, tak pisze:

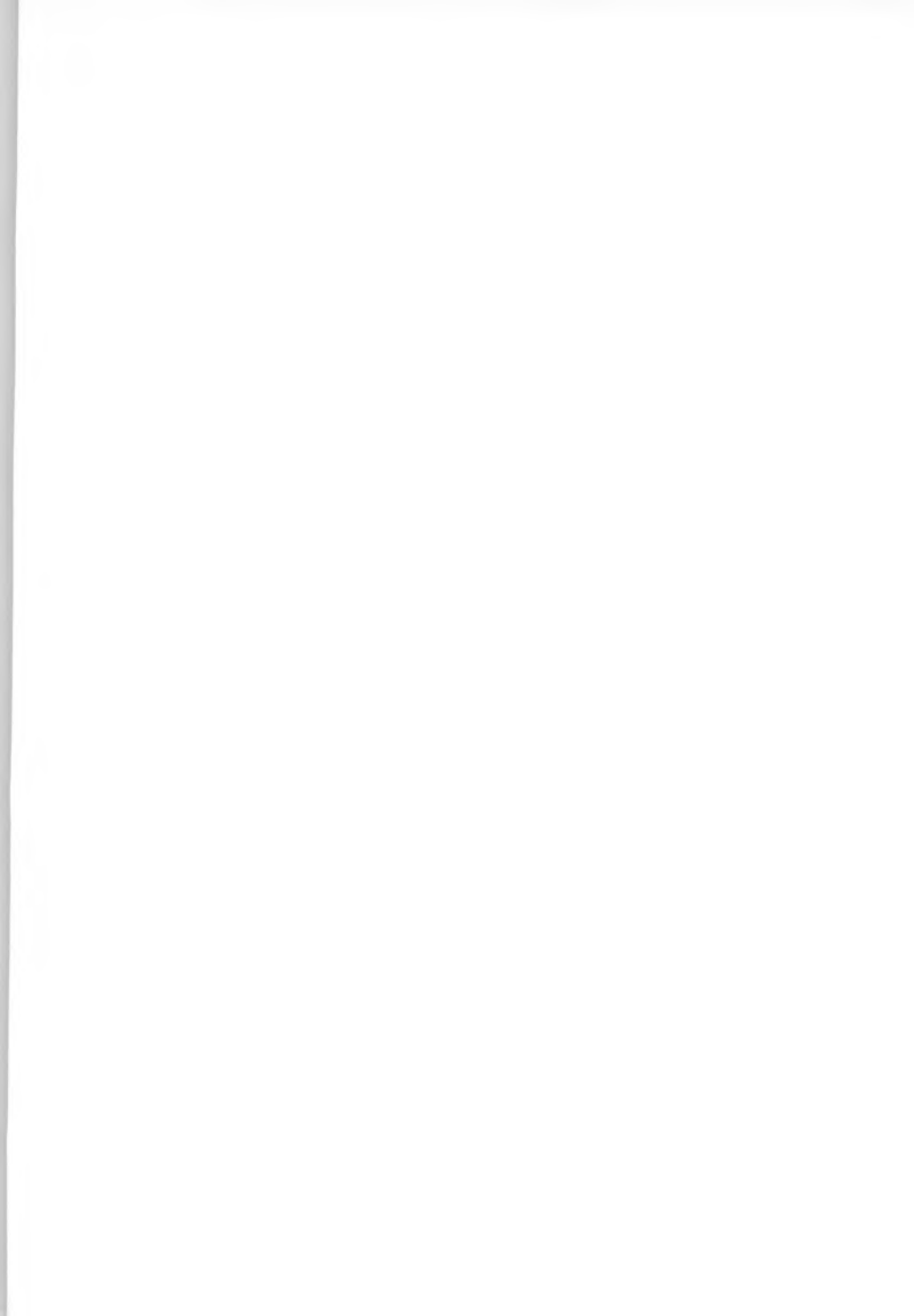
„Z wdzięczności za przeprowadzenie beznadziejnej, jak się zdawało, sprawy uzyskania pozwolenia od okupacyjnych władz niemieckich na przesiedlenie naszej młodzieży do Stadnik, ks. Michał Wietecha wystawił w ogrodzie nowicjatu, w kilka tygodni po naszym przybyciu do tej miejscowości, figurę Matki Najświętszej...

...Dzisiaj figura ta znajduje się na drugim końcu alei lipowej, naprzeciw nowicjackiego domu, zwrócona doń twarzą.

Ku Niej to w porze ciepłej, płynie co wieczór serdeczna prośba naszego nowicjatu: «Monstra Te esse Matrem...».

U Jej stóp, wśród kamieni, usłały się pliszki. Wkrótce potem wypłoszył je puszczyc, który zagnieździł się w obrębie nowicjatu. Został on jednak unieszkodliwiony. Ptaszki powrócą...”.

Tymczasem od Wschodu wzbierała znowu burza. Przybliżał się front rosyjski. Niósł on wybawienie z okupacji, ale niósł też całą grozę przeżytej już raz w 1939 roku wojny. Ogół czekał na koniec rozgrywających się szybko wypadków.



## LATA OKUPACYJNYCH MROKÓW

Tragedia polskich sercanów we wrześniu 1939 roku, była w miniaturze tragedią, jaką przeżywał w one nieszczęsne dni naród polski. Rozpędzeni po całej Europie, przybici ogromem klęski, wtłoczeni w molocho okupacyjnej maszyny, zdani na łaskę i niełaskę szatańską pychę upojonego wroga, schronili się ci, których huragan wojenny nie wygnał na obczyznę w jednym już tylko — i to mocno zagrożonym domu — w Krakowie-Płaszowie. Zajmując jego parter niemieccy policjanci, mogli w każdej chwili zażądać opuszczenia tego ostatniego naszego na ziemiach polskich schronienia, a wtedy czekał nas los tysięcy naszych rodaków, którzy wygnani ze swoich siedlisk rodzinnych, przez długie lata koszmarnej okupacji prowadzili żywot swój w warunkach zgoła niegodnych człowieka. Trzeba by było pójść na tułaczkę do obcych. To oczywiście było wtedy troską największą, a byłoby jeszcze większą, gdybyśmy byli sobie uświadomili kim byli ci, którzy przez 5 lat mieli nas trzymać pod kluczem niewoli.

Ta zresztą niewiedza i nieznajomość Herrenvolku, pod którego butem znaleźliśmy się, ta nieświadomość „krwiożerczych możliwości” okupanta, to nieprzystosowanie się do nowoczesnej okupacji były częściowo opatrnościowe. Kto wie, czy bylibyśmy się zdobyli na tyle odporności, jakiej wymagało przeżycie tych ciężkich pięciu lat, gdy bylibyśmy sobie zdawali sprawę z tego, jakich to wymagać będzie ofiar, na jakie może narazić niebezpieczeństwa. To zresztą było cechą całego narodu, który krzepiąc się nadzieją rychłego zwycięstwa — bo w pewność zwycięstwa nie wątpił nigdy — był w stanie podjąć największe ofiary, stawić dumne czoło największemu nawet natężeniu teutońskiego terroru. Czuliśmy wtedy naprawdę jedno z narodem uciemionym. A na-

ród ten po otrząśnięciu się z oszołomienia, w jakim chwilowo pograżyła go błyskawiczna klęska i utrata wolności, rychło odnalazł wspaniałe cechy swego narodowego charakteru, które miały sprawić, że podczas całej wojennej epopei niezwy-  
ciężony naród panów, nie był w stanie zgnieść pięć lat trwającego frontu, którym był niezłomny opór narodu polskiego. Walka na śmierć i życie z najeżdżcą i tępienie wszystkich oznak kapitulancja — to były hasła naczelne. A potem przetrwać, przetrwać za wszelką cenę, a jeżeli tylko się da, to pracować, ratując, co tylko wielkiego i cennego było do uratowania z myślą o wolnej Ojczyźnie.

I na tych odcinkach stanowiliśmy odbicie narodowej doli. Najdrobniejszy cień służalczości, czy małoduszności nie kaził naszej okupacyjnej przeszłości. Ani nam na chwilę nie powstało w głowie, żeby się pogodzić z klęską i sprowadzonymi przez nią warunkami. Nie straciliśmy przez moment poczucia godności wobec dufnego okupanta, którego przecież mieliśmy mieć przy sobie na co dzień, na każdą chwilę. Możemy być naprawdę dumni z tych skarg, jakie podnosili mieszkający w naszym domu Niemcy, że trzymamy się od nich z daleka, że zachowujemy stanowczo za daleko idącą powściągliwość. Ileż to razy długie upływały chwile, nim znaleziono kogoś z domu, który chciałby gadać z Niemcem mającym do nas jakiś interes. A przecież wszyscy byliśmy na miejscu i mówiąc prawdę, można było być na każde skinienie. Jakżeż żywo stoi w pamięci obrazek, który rozegrał się w ostatnim już, co prawda, okresie okupacji, kiedy to okupant wybitnie spuścił z tonu, który jednak obrazuje dobitnie nasz stosunek do wszechwładnych wrogów, jaki cechował nas przez całą okupację.

Komendant zajmującej w roku 1944 dom nasz formacji transportowej, Koenig, nie najgorszy nawet człowiek, choć posługujący się z isticie niemiecką głupotą, od czasu do czasu krzykami i groźbami, postanowił w dowód swojej dla nas życzliwości na Święta Wielkanocne złożyć życzenia ks. rektorowi, no i — co wyraźnie podkreślał — uczcić tego ostatniego butelką koniaku. Zapowiedział się więc u ks. proboszcza, że w pierwszy dzień świąt, złoży koniakową wizytę, ks. rektorowi. W do-

mu powstała konsternacja: przyjmować Szwaba z życzeniami i alkoholem...? Nie — tak nisko po czterech latach okupacji nie upadniemy. Ale przecież był on panem życia i śmierci w naszym już i tak w lwiej części zajęтым domu; jeżeli doprowadzi się go do wściekłości, wtedy może się zemścić i w ten sposób bardzo drogo przyjdzie opłacić naszą patriotyczną postawę. Długo debatowano nad całą sprawą w przeddzień wieczorem i postanowiono rzecz całą pozostawić biegowi wypadków, z tym jednak, że żadną miarą od postawy godnej Polaka się nie odstąpi. Sprawa jednak nie wyglądała wesoło. Na szczęście z pomocą tutaj przyszedł twardy sen ks. rektora i silne jego nerwy. Raniutko bowiem, około godziny pół do ósmej, butny oficer z litrówką najohydniejszej w świecie „siwuchy” zaczął się dobijać do drzwi ks. rektora. Czynił to, jak na niemieckiego oficera wcale kulturalnie, za zbyt jednak kulturalnie, żeby to mogło przeszkodzić ks. rektorowi w jego smacznym śnie, zwłaszcza że z racji pracy biurowej, spowodowanej świętami spać się położył bardzo późno. Wyelegantowany oficer, scharführer powstał chwilę pod drzwiami, porozglądał się po pustym korytarzu i sprężystym krokiem odmaszerował do siebie. Za jakieś pół godziny wrócił z powrotem. Historia ta powtórzyła się chyba ze cztery razy tak, że w końcu cały dom wiedział, że Koenig lata jak kot z pęcherzem do ks. rektora, dzierząc pod pachą oślawioną flachę gorzały. Nie mógł nareszcie nie obudzić się i ks. rektor, tak jednak długo ubierał się, że ostatecznie przedstawiciel dumnej Rzeszy niemieckiej zmuszony był złożyć przełożonemu polskich księży życzenia świąteczne przez drzwi, a swój reprezentacyjny podarek położyć na progu jego mieszkania. Oczywiście rewizyty nie doczekał się nigdy, a podarunkiem były nasze — chyba jeszcze bardziej niż dotąd kpiące spojrzenia.

I tak było przez cały czas.

Ten bierny i stanowczy opór wobec wroga nie oznaczał bynajmniej bezwładu i zastoju. Gdy tylko otwierały się jakieś możliwości działania, chwymano je w lot, by nie tracić czasu na bezczynności. Raz była to praca kształceniowo-wychowawcza, kiedy indziej roboty budowlane, a kiedy indziej jeszcze

działalność duszpasterska. Zachować godność Polaka, przetrwać i uratować co się da dla Boga i Narodu — oto hasła, które streszczają najlepiej ten smutny okres naszej historii. Przyjrzyjmy się teraz, jak to wszystko wyglądało w codziennym życiu, w tak często bolesnej szarudze okupacyjnych wydarzeń. Nie sposób wyliczyć ich tu wszystkich, nie podamy nawet najważniejszych, bo to miejsca zajęłoby zbyt dużo; wspomnimy tylko najważniejsze, trzymając się ram chronologicznych. Może uchowają się w ten sposób od zapomnienia, może coś powiedzą potomności.

Działania wojenne wyludniły dom płaszowski prawie zupełnie. Ogarnięci ogólną psychozą panującą w napadniętej Polsce, wszyscy prawie księża z wyjątkiem ks. Solaka i ks. Zawadzińskiego udali się na sławną wojenną wędrówkę. Byłoby wiele do napisania na jej temat, że tylko wspomnę o perypetiach ówczesnego księdza rektora, który o mało co nie zginął od kul polskich, jako rzekomy szpieg niemiecki, czy ks. proboszcza Ignacego Stoszki, który nocował w jakimś stogu siana, czy wreszcie ks. Wincentego Turka, jedyne go czynnego uczestnika wojny, który w charakterze kapelana dobrze powąchał prochu. Z końcem września i początkiem października uciekinierzy zaczęli powoli ścigać do domu. Za nimi zaczęli wracać również i członkowie drugiego naszego domu w Felsztynie, a mianowicie ks. Wiecheć, br. St. Nagy i br. Brandt (jeden z naszych braciszków, który zrezygnował z wyjazdu za granicę) i wreszcie ks. Majka, który wrócił późną jesienią.

Z początkiem grudnia komplet polskich Sercanów, którzy mieli w domu płaszowskim przetrwać całą wojnę, był już całkowity. Do członków Zgromadzenia w domu płaszowskim przybyło jeszcze kilkudziesięciu wychowanków, których postanowiono w tajemnicy przed władzami dalej kształcić. Utworzono trzy klasy: II, III i IV i już z końcem października rozpoczęto normalną naukę. Do zwyczajnych przedmiotów gimnazjalnych dołączono język niemiecki, którego z największym wstrętem i odrazą uczył śp. ks. Kazimierz Wiecheć. Wychowankowie zjeżdżali się aż do stycznia, po to, by w czerwcu 1940 roku niestety, w lwiej części opuścić Semi-

narium i rozpierzchnąć się po Generalnej Guberni. Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Zima 1939/40 była pierwszą zimą okupacyjną, która jakby chciała nauczyć nas, czym będzie okupacja, była zimą bardzo ostrą. Już z początkiem grudnia termometr leciał na dół, by w styczniu osiągnąć  $-20^{\circ}$  C. A tymczasem z węglem było beznadziejnie. Społeczeństwo polskie nie zdając sobie sprawy z tego, czym jest wojna, i jak potoczą się jej losy, nie było zaopatrzone na zimę w węgiel. Zniszczenia wojenne stały na przeszkodzie do rychłego uruchomienia środków transportu, a i okupant niezbyt się troszczył o to, czy podbity naród będzie cierpieć zimno czy nie. Toteż ta pierwsza zima dała się Polakom szczególnie we znaki. Odczuliśmy ją oczywiście i my. Termometr wskazywał  $-12^{\circ}$  C., a myśmy szczękając zębami i kuląc się koło zimnego pieca, czekali kiedy przyjdzie rozkaz: palimy w piecach. Onej krytycznej zimy rozkaz ten przyszedł niestety gdzieś w połowie grudnia. Wprowadził ówczesny ks. ekonom, ks. Solak, zagrzewał nas swoim przykładem do wytrwania, bo bodajże do samego grudnia codziennie maszerował do miasta w pelerynce. Niemniej choć może gorącym duchem ks. Solak się i ogrzewał, to jednak ciało doprawdy o tym nic nie wiedziało. Jakżeż zresztą miało być w tym względzie u nas, jeżeli samemu ks. Solakowi nie wystarczyło gorącego ducha do ogrzania marznącego ciała. Za swoje chodzenie w pelerynce w czasie trzaskającego mrozu zapłacił on bardzo drogo, bo bodaj czy nie trzytygodniowym leżeniem w łóżku. Swojego jednak dokonał; do grudnia nie ubrał na siebie płaszcz.

Pierwsza okupacyjna gwiazdka nie była zbyt smutna. Owszem, owiani nadzieją rychłej przemiany złego w dobre, życzyliśmy sobie, by już na przyszły rok święta obchodzić w wolnej Ojczyźnie, a nie wiedzieliśmy, że na spełnienie tych życzeń trzeba będzie czekać aż długich 5 lat. Przy wigilijnej wieczerzy i przy tradycyjnym drzewku, śpiewaliśmy tradycyjne kolędy, potem pasterka o północy w naszej kaplicy domowej, podczas której znowu były kolędy, tylko cicho oczywiście śpiewane, bo na dole w dawnej poczekalni urzę-

dowali Niemcy. Zaraz bowiem po wkroczeniu Niemców usadowiła się w naszym domu niemiecka policja, która z pewnymi przerwami przetrwała bodajże do roku 1941. Nie było z nimi zbyt wielkich kłopotów, chociaż bez przykrych się nie obeszło. Pamiętam pewnego razu, zajeżdża przed dom ciężarowe auto, z którego wysiada grupa policjantów, domagających się przełożonego. Zeszedł ks. rektor w towarzystwie ks. Wiehciecia i cóż się okazuje. Wypasieni Niemcy domagają się gwałtownie otwarcia spiżarki, która była na dole przy wejściu. Opór na nic by się nie przydał. Wobec tego zastosowano się do tego zbójckiego nakazu i spiżarkę otwarto. Było w niej dużo soli, zwykłej chlebowej mąki no i kilka, czy kilkanaście bochenków świeżo upieczonego chleba. I ten to właśnie przysmak sprowadził Niemców do naszej spiżarki. Któryś z nich bowiem, będąc u swoich kolegów stacjonujących w naszym domu, poczuł zapach tego upieczonego chleba no i zmobilizował oddział szturmowy, który dla armii niemieckiej miał zdobyć ten cenny łup. Wtedy skończyło się na tych kilkunastu bochenkach. Żałowaliśmy ich trochę, ale i utrata ich w taki sposób, skrzepiła nas nie byle jak. Jeżeli bowiem już w 1939 roku Niemcy musieli jeździć na rabunek chleba, to przecież przy znanej niemieckiej zachłanności na jedzenie, nie mogli liczyć — tak wtedy sądziliśmy — na długie prowadzenie swojej wojny. Niestety, pomyliliśmy się grubo.

Początkowy okres roku 1940, to okres przystosowania się do ciężkich okupacyjnych warunków. Brak chleba, coraz to bardziej wzrastająca drożyzna, wzmagający się z każdym dniem terror, czynił ten okres coraz to bardziej nieznośnym. Życie jednak w domu płaszowskim prędko się ustabilizowało. Coraz to bardziej zresztą zmniejszająca się ilość niemieckiej policji w naszym domu stanowiła tylko pewne zakłócenie skupionej atmosfery domu zakonnego.

Sytuacja zmieniła się w poważnym stopniu w lecie 1940 roku. Okupant odczuwając coraz to gwałtowniej zapotrzebowanie na siłę roboczą, postanowił ten głód zaspokoić rękami Polaków. Od wiosny tegoż roku, nieprzerwaną rzeką będzie płynąć młodzież polska do Niemiec, ażeby zastąpić

przy pracy na polu czy w przemyśle odpływających do armii obywateli Rzeszy. Serce się ścisnęło na widok długich kolumn mężczyzn i kobiet, gnanych pod eskortą na niepewne jutro. Prawda, wielu, bardzo wielu Polaków wyrwało się z łap niemieckich i zostało na rodzinnym zagonie, niemniej wielu poszło na tułaczkę i wielu zmarnowało się moralnie, a jakżeż wielu i fizycznie.

W lecie tego roku wyjazd do Niemiec zagroził pewnej części naszych wychowanków. I dlatego, jak również z powodu wielkiej ostrożności, odesłano młodsze roczniki do domu, a starsze po dwóch tygodniach wakacji ubrano w sutanny, aby spokojnie mogli się uczyć dalej. Wprawdzie raz po raz jeszcze i ci niepokojeni byli z takich czy innych powodów przez okupanta, ale na szczęście od wszystkiego dało się ich wybronić. Do tej grupy należeli obecni ks. Kunda, ks. Kubina Wiktor, ks. Góra, ks. Szortyka, ks. Bichler, ks. Janczak, ks. Wietecha Tadeusz. Humorystycznie oni wtedy wyglądali w tych swoich sutannach, które poszył im z najrozmaitszych resztek zacny śp. niestety już dzisiaj, brat księdza Wietechy, znany nam wszystkim pod nazwą Pietrka. Niektórych bez mała od ziemi widać wcale nie było. Inni znowu mieli tak nie księżę, bo dziecinne twarze, że się ludzie za nimi oglądali. Pomyliłby się jednak, kto by chciał wnioskować z ich zewnętrznej niepozorności o ich krzepie, życiowej werwie i wielkości ducha.

Już onego pierwszego wojennego lata dali oni dowód, iż prawdziwym jest powiedzenie: „w małym ciele wielki duch”. Nie znający bowiem spoczynku ks. rektor w niemożności zrobienia czego innego, postanowił ogrodzić resztkę naszej posiadłości solidnym murowanym parkanem. Z uratowanych przed rekwizycją cegieł postawiono mur od strony wschodniej. Robotę murarską oczywiście odstawili fachowi murarze. Fachowymi jednak pomocnikami byli właśnie ci, z samych tylko sutann ówcześni nasi klerycy. Zwózka cementu na taczkach — i to aż z ulicy Wielickiej, kopanie — fundamentów, robienie betonu i malty murarskiej, to wszystko należało do ich kompetencji. Do tego dochodziły oczywiście jeszcze zwyczajne zajęcia, związane z porządkami domowymi,

takie jak: zmiatanie, mielenie mąki na ręcznych młynkach, suszenie siana w lecie, itp. Po wakacjach tego roku ci, trochę dziwaczni klerycy podjęli dalej swoje studia gimnazjalne. Profesorowali im wtedy nieodżałowanej pamięci prof. Stuziński, ks. Wielgus, no i w charakterze profesora filozofii wykładanej oczywiście w języku łacińskim, ks. Zawadziński.

Zaznaczyć może wypada, że wyżej wymienieni klerycy nie byli jedynymi uczącymi się w naszym domu. Studia filozoficzne od jesieni 1939 roku odbywali chodzący do OO. Reformatów prawdziwi już klerycy, obecni księża: Dionizy Bucki i Stanisław Nagy. Trzon jednak stanowili ci pierwsi, przerażający już w tym czasie materiał licealny. Życie ich doznało gwałtownego wstrząsu na wiosnę 1941 roku. Wtedy to bowiem rozpoczęto u nas kurs tajnego nauczania, który w kwietniu 1942 roku zakończył się złożeniem małej matury, a w listopadzie 1943 roku dużej matury. Pod kierunkiem wybitnych profesorów z przedwojennych gimnazjów krakowskich przerobili oni gruntownie jeszcze raz cały materiał gimnazjalny, a następnie licealny. Kosztowało to pracy niemało. Toteż luźny dość tryb życia, jaki prowadzili od czasu rozpoczęcia kursu uległ zasadniczej zmianie, gdyż profesorowie wymagali ogromnie dużo. Uwiecznione to jednak zostało pełnym sukcesem. Istniało bowiem w kołach kierujących tajnym nauczaniem na terenie Krakowa przekonanie, że komplet nasz był kompletem prowadzonym na najwyższym poziomie.

Skupiliśmy naszą uwagę nieco dłużej na grupie młodzieży, która została nam z prowadzonego przed wojną małego seminarium. Może to nieco dziwić. Gdy jednak uświadomić sobie, że grupa ta była głównym przedmiotem troski naszej w tym czasie, gdyż była ona najliczniejszą w naszym domu, nadawała ona niejako ton całemu życiu, była tym zasadniczym elementem, który decydował w dużej mierze o obliczu ówczesnego naszego życia. Niemniej były jednak i inne czynniki, które życie to kształtowały w taki czy inny sposób.

I tak na wiosnę 1941 roku przybyli do naszego płaszczyńskiego domu, niestety jeszcze nowi mieszkańcy. Okupant w nienawistnej walce ze wszystkim co polskie na zachodnich

terenach Polski, rozpoczął zaraz w pierwszych miesiącach okupacji bestialskie wyrzucanie Polaków do Generalnego Gubernatorstwa. Pływała więc ta rzesza bezdomnych do większych miast centralnej Polski i przedstawiając bardzo często opłakany obraz, pukała do nie zajętych jeszcze mieszkań Polaków. Najwięcej wolnego miejsca początkowo było w klasztorach. Toteż nic dziwnego, że władze okupacyjne zarządziły tam właśnie umieszczenie tych nieszczęśliwych. Chociaż u nas stacjonowała już policja niemiecka, a potem polska, i nam przydzielono jeszcze grupę wysiedlonych. Nietrudno sobie wyobrazić, że był to dla nas cios. Mieliśmy przecież młodzież duchowną, której trzeba było stworzyć jak najlepsze warunki wychowawcze, a tymczasem wyłoniła się perspektywa dzielenia jednego dachu z ludźmi świeckimi. Niemniej od obowiązku Polaka nie uchyliśmy się bynajmniej. Przyjęliśmy tych biednych serdecznie i przez blisko cztery lata życie nasze musiało pogodzić się z drugim nurtem tak bardzo obcego życia zakonnemu życia świeckiego. Wysiedleni nasi pochodzili prawie w całości z Kalisza. Mieszkali oni w dzisiejszej sali księży oraz obecnej płaszowskiej jadalni. W pierwszych dniach trzeba było ich dożywiać, potem sobie powoli zorganizowali warunki bytowania. Można powiedzieć, że na ogół stosunki układały się wcale dobrze, zwłaszcza, że stąd i z owąd dochodziły wieści, iż niestety z wysiedlonymi klasztorami miały wiele, wiele kłopotów.

Wiosna 1941 roku po klęskach Francji, Norwegii, Jugosławii, zapowiadała dalsze niespodzianki. Już od dawna chodziły słuchy o tym, że stosunki sowiecko-niemieckie zaczynają się psuć i że konflikt wisi na włosku. Niebawem zaczęły się mnożyć oznaki świadczące o tym, że przewidywania te mogą rychło nabrać bardzo realnych cech. Od wczesnej bowiem wiosny, niewprawny wprawdzie w rzeczach militarnych laik, mógł zaobserwować przesunięcia wojsk z Zachodu na Wschód. Przesunięcia te nabrały zresztą w miesiącach wczesnoletnich takich rozmiarów, że było się całkowicie pewnym, iż starcie musi nastąpić lada chwila i tak się też stało. 21 czerwca 1941 roku, w niedzielę, raniutko,

gdyśmy szli na pierwszą Mszę św., policjanci niemieccy stojący na korytarzu, z bardzo niepewnymi minami, bo Feldzug nach Russland angefangen worden ist. Nie bardzo oni z początku wierzyli w ten Feldzug. Toteż widać było po nich szczere przygnębienie. My natomiast z całej siły musieliśmy kryć naszą radość z powodu tego, że trafiła kosa na kamień.

Teatr wojenny począł się gwałtownie odsuwać od terenów polskich. Mizerna gadzinowa prasa, której w języku polskim przedstawicielem głównym był oślawiony „Goniec Krakowski” od pierwszych dni rozpoczętej wojny zachłystywała się okrzykami triumfu z powodu błyskawicznych sukcesów odnoszonych przez armię niemiecką. Wprawdzie powodzenie znienawidzonego wroga napawało nas zrozumiałym smutkiem, ale przeczuwaliśmy, że przecież właśnie na tym teatrze wojennym wróg dobrze wyszczerbi sobie zęby.

Lato 1941 roku, to pierwsze nasze wakacje w Stadnikach. Ówczesny ksiądz rektor, ks. Michał Wietecha chciał dać chwilę odprężenia i odetchnięcia innym powietrzem, po bądź co bądź uciążliwym roku szkolnym przebytym w Płaszowie. Jakież miłe i drogie pozostawiły po sobie wspomnienia te wakacje. Z dala od okropnych wizji okupacji, która z taką siłą narzucała się w dużym mieście, żyliśmy nie widząc Niemców w zacisznym ustroniu wiejskim, używając do syta słońca, wody i dobrego, czystego, razowego chleba.

Do dzisiaj jakżeż miłym wspomnieniem stoją przed oczyma te godziny spędzane nad Rabą. Te pojedynki na kije, jazda na koniach. Jeden z uczestników określił swój upadek z konia w sposób dość oryginalny: powiedział po prostu, że spadł z niego dlatego, że konia mu brakło. Nieodłączna piłka nożna i siatkówka. Rozegraliśmy wtedy na łące koło domu p. Michalika mecz z reprezentacją Dobczyc, w którym bohaterem był broniący z niesłychaną brawurą ks. Büchler oraz grający na środkowej pomocy ks. Szortyka. Wynik brzmiał 1:1. Boisko zaimprovizowaliśmy w ciągu jednej godziny z tym, że jako bramki służyły nam paliki powiązane łańcuchami od p. Michalika.

Nie zapomnimy również nigdy jak codziennie z Ks. Rektorem na czele maszerowaliśmy do Dobczyc na Mszę św. i tylko jeden raz z racji jakiejś gwałtownej burzy z wyprawy tej zrezygnowaliśmy. Po prostu wierzyć się nie chce, że w onych czasach, gdy nieprzyjaciel tak gwałtownie srożył się na terenach Polski, tak sielsko i beztrosko można było spędzić wakacje.

Rok 1941 przyniósł objęcie przez ks. Wiechecia i ks. Turka zakładu dla osieroconych chłopców w Prusach koło Krakowa. Był to wielki zakład ufundowany przez Piotra Michałowskiego, znanego arystę-malarza, dla sierot. Po księżach michaelitach, którzy go do tej pory prowadzili, ówczesny arcybiskup krakowski Adam Sapieha powierzył prowadzenie tego zakładu nam. Przez dwa prawie lata, nasi dwaj księża z dobrymi wynikami, z zadania tego się wywiązywali.

W ciągu roku 1941 życie w domu płaszowskim powoli się stabilizowało, w tym oczywiście sensie, że przez dłuższy czas nie zachodziło nic, co zakłócałoby raz jako tako ustalony porządek. Po pewnym czasie ustąpiła z domu policja niemiecka, a zostali tylko polscy granatowi policjanci, którzy w jakiś czas potem również przenieśli się na ulicę płaszowską. Nasi wysiedleni powolutku zaczęli sobie organizować życie, niektórzy pracując w naszym ogrodzie, inni znajdując pracę w mieście. Nieodłącznymi obowiązkami naszego życia wojennego w tym okresie — myślę zwłaszcza o braci kleryckiej — było mielenie mąki na chleb i pilnowanie ogrodu w nocy. To pierwsze zadanie łączyło się bardzo z naszą egzystencją. To bowiem, co otrzymywało się na kartki pod mianem chleba, bardzo daleko odbiegało od tego, co normalnie chlebem się nazywa. Byli tacy, którzy powiadali, że znajdowali w bochenkach tego chleba paznokcie, kawałki podejrzanego twardej substancji, a inni wręcz twierdzili, że więcej tam jest trocin niż mielonej mąki. Prócz tego porcje urzędowe były tak minimalne — o ile pamiętam 15 dkg na głowę — że przy braku innych podstawowych produktów żywnościowych zachodziła absolutna konieczność organizowania wypieku chleba we własnym zakresie. Zdobyć jednak ziarna, a zwłaszcza

przemiał tego ziarna, były połączone z ogromnymi trudnościami, a niejednokrotnie groziły wręcz więzieniem a nawet utratą życia. Toteż przemiał organizowało się własnymi środkami. Powstały fabryczki domowe produkujące, wielkości mniej więcej dużej maszynki do mięsa młynki, na których mełło się żyto czy pszenicę. Oczywiście, że tak mikroskopijne wasztaty przemiałowe domagały się dużego wysiłku przy równoczesnej słabej wydajności. Toteż prawie całą dobę młynki te były w ruchu. Każdy po kolei musiał swoją porcję ziarna przemleć. Nie było to wcale łatwe, ale trud opłacał się sownicę. Nagrodzony był przecież prawdziwym pachnącym chlebem, który — choć wydzielony w dość skromnych dawkach — stanowił prawdziwy przysmak.

Jeżeli natomiast idzie o pilnowanie ogrodu, to okazało się ono smutną koniecznością ze względu na wartościowe warzywa, jakie podówczas pod kierownictwem księdza proboszcza ogród nasz produkował. Warzywa te zresztą, oprócz zaspokojenia naszych potrzeb, były do pewnego stopnia źródłem dochodu, choć z drugiej strony kusily apetyty ciemnych elementów, których wtedy jeszcze w Płaszowie nie brakowało. Od wczesnego więc lata, a ściślej mówiąc od wiosny, boć trzeba było pilnować i sadzonych flanców, noc po nocy po ogrodzie naszym krążyła czujka złożona już to z dwóch, już to z jednego sercańskiego stróża, eskortowanych przez czworożonogo Lorda czy Ursa. Było oczywiście przy pewnej romantyczności tej imprezy, sporo momentów przykrych i zabawnych, że wspomnę choćby o tym, iż jedna z takich czujek przespała całą noc w landarze dra Zurowskiego, stojącej przez czas wojny koło naszej szopy, mimo że czujka ta po północy miała zbudzić innych. W ten sposób okazało się wszem wobec, że mimo tych wart bezpieczeństwo naszych włości nie było tak bardzo zapewnione. Niemniej jednak pilnowało się całą wojnę. A od roku gdzieś 1942 nie tylko w lecie, ale i w zimie i to z nakazu władz okupacyjnych. Stworzono bowiem tzw. pogotowie przeciwpożarowe. I w ramach tego właśnie pogotowia, w każdym domu całą noc powinien ktoś być czuwać, by w razie wypadku mógł zorga-

nizować akcję przeciwpożarową. Grozono oczywiście sankcjami w razie nie zastosowania się do tego nakazu, niemniej nikt nigdy sprawdzić nie przyszedł czy wartownik przeciwpożarowy rzeczywiście czuwa.

W jednym tylko wypadku, i to całkiem przypadkowo, policja w nocy zaalarmowała czuwającego strażnika. Zaalarmowany dzwonkiem, zbiegł on wtedy do bramy i do Niemców pytających się o policję potrafił odpowiedzieć tylko tyle: „Ich bin Feuerschutzpolizei”. Oczywiście to ich wcale nie interesowało, chodziło im tylko o to, by im powiedział, dokąd z naszego domu przeniosła się policja. Zapakowali go więc do auta i kazali się zawieźć na ul. Płaszowską. Zainteresowany, bardzo poważny dzisiaj ojciec, opowiedział potem, że miał wprawdzie trochę strachu, ale że w zasadzie nie bał się wcale. Myśmy mu wierzyli, ale to samo określenie siebie, ten jego rzekomy brak strachu, stawiało go zawsze pod znakiem zapytania.

Tego rodzaju egzotyków wojennych było w naszym życiu znacznie więcej. Nie ma czasu na to, by się o nich szeroko rozpisywać, aby jednak choć w części dać wyobrażenie o nich, po prostu je wyliczymy. A więc tuziny map rozwieszonych w jadalni, czytany od deski do deski przez niektórych zwłaszcza księży „Krakauer Zeitung” czyli „Goniec Krakowski”, dokuczliwa dla wszystkich godzina policyjna, nieustanny huk samolotów nad domem, raz po raz zwłaszcza w latach 1942/43 dochodzące wieści o wykonywanych w mieście wyrokach na zdrajcach czy odwetowych publicznych egzekucjach, nieustanna groźba hulającego po Krakowie „Gestapo”, głuche wieści o masakrach na Montelupich czy w Oświęcimiu, radosne wiadomości o działalności Armii Krajowej, oto w wielkim skrócie, czym się żyło w one koszmarne lata okupacji.

Z końcem roku 1942 nadzieja na zwycięstwo naszej sprawy, na klęskę znieprawionego wroga, przerodziła się w całkowitą pewność. Walił się widocznie gmach hitlerowskiego imperium. Niezwyciężone i prące ustawicznie naprzód hordy niemieckich żołdaków, przeszły zdecydowanie w tych latach do defensywy. Bito ich na Wschodzie, nie

oszczędzano na Zachodzie. A sam Vaterland trząś się w posiadach, trzeszczał od ulewy bomb amerykańsko-angielskich. Nie spodziewaliśmy się, że ten odwrót niemiecki przyjdzie nam okupić zajęciem naszego domu przez uciekające kolumny.

W marcu 1944 roku, spokojnym naszym na wpół nowicjackim życiem (8 grudnia 1943 r. — świeżo upieczeni matrzyści odbywali swój postulat), wstrząsnęła wiadomość, że poważną część naszego domu trzeba będzie opróżnić, gdyż zajęta zostanie przez kolumny transportowe armii niemieckiej. Łudziliśmy się przez pewien czas, że może skończy się na strachu, aliści pewnego popołudnia, zajeżdża przed dom taksówka, z której wysiadł oficer niemiecki żądający przełożonego. Wyjaśnił on księdzu rektorowi, że oddziały jego kolumny, którym na kwaterunek przeznaczono nasz dom są już w drodze i niebawem będą potrzebowały pomieszczenia. Był on przekonany, że dom jest opróżniony. Jakież było jego oburzenie, gdy spostrzegł, że my najspokojniej w świecie cały dom po staremu zamieszkujemy. Do dzisiaj jeszcze huczy ten straszliwy ryk z jakim latał on po domu, domagając się natychmiastowego opróżnienia parteru i pierwszego piętra. Na niektórych z dostojnych już dzisiaj księży, ryk ten podziałał tak mobilizująco, że jak twierdzą złośliwi, jeden z nich sam o własnych siłach potrafił wynieść fisharmonię z pierwszego na drugie piętro. Samym sobie dziwiliśmy się, że tak prędko potrafimy ewakuować się z tak dużej części domu. W niespełna dwie godziny owi okupanci naszego domu, mogli zająć opróżnione mieszkania. I rzeczywiście, jeszcze tego samego wieczoru z zacisznego jak dotąd klasztoru, zaczęły w gwałtownym tempie robić się najordynarniejsze w świecie koszary. Odtąd przez prawie cały rok dom nasz wypełniony był od świtu do nocy łomotem żołnierskich buciarów, różnorodnymi przekleństwami, od czasu do czasu orgią pijańskich wybryków. Podwórzec zawalony autami, warsztatami, gratami tak, iż nie było jednego kąta, w którym spokojnie można by było pozostać sam ze sobą.

W takich to warunkach nie mogło być absolutnie mowy o tym, żeby w Płaszowie kontynuowano rozpoczęty w jakiś

czas przedtem nowicjat. Postanowiono przenieść go do Stadnik, do domu p. Michalika, w którym do tej pory spędzano wojenne wakacje. Trudności nie brakowało. Niemniej po przewycięzeniu wszystkich, 18 maja definitywnie nastąpiły przenosiny nowicjatu do Stadnik. W domu płaszowskim zostało tylko kilku księży z ks. Solakiem jako wicerektorem. Ks. rektor płaszowski, ks. Michał Wietecha przeniósł się razem z nowicjatem do Stadnik, z tym jednak, że bardzo często stamtąd do Płaszowa zaglądał. Stadnickie ustronie było w porównaniu z płaszowskim obozem wojskowym oazą ciszy i spokoju. Toteż mieszkańcy tego ustronia z rozrzewnieniem wspominają tych kilka miesięcy, które dane było im tam przeżyć. Atmosfera okupacyjna wyglądała tam trochę inaczej. Niemców widywało się tylko na lekarstwo. Stałymi zaś panami okolicy byli partyzanci, z którymi nieraz wypadało się spotkać. Zdarzało się wprawdzie niekiedy, że jak to miało miejsce w sierpniu 1944 roku, okupant rozwścieczony urządził w okolicy krwawe pacyfikacje. W sumie jednak nie można w żadnym wypadku porównać atmosfery nowicjatu w Stadnikach z atmosferą domu płaszowskiego.

To rozdzielenie jednak na dwie społeczności, z drugiej strony ograniczenia pocztowe, zrodziło wtedy i zaostrzyło problem utrzymania naszej zakonnej młodzieży. Dom płaszowski z tymi kilku księżmi, którzy w nim pozostali mógł się od biedy utrzymać. Ale kilkunastu kleryków nie było w stanie utrzymać się ze stypendiów mszalnych dwóch księży, jacy byli w Stadnikach, tzn. ks. rektora Michała Wietechy i ks. magistra Majki. Toteż w listopadzie tegoż roku ks. Wietecha wsiadł na rower i w deszcz, słońce, jesienną szarugą po błocie, a niekiedy brocząc w wodzie, objeżdżał naszych dobroczyńców, w ten sposób zyskując środki na to, aby młodzież nasza spokojnie przygotowywać się mogła do przyszłej pracy. Serce Boże błogostawiło widocznie całej tej imprezie, bo słaby na siłach ks. rektor, mimo tych nadludzkich wysiłków, nie zapadł na zdrowiu, a myśmy ani razu nie zaznali głodu.

W ten sposób przeżyliśmy ostatnie okupacyjne święta Bożego Narodzenia, po których w połowie stycznia 1945 roku

prysnął sen jak marny koszmar straszliwej hitlerowskiej okupacji. W czasie działań wojennych *communitas stadnicka*, prócz kilku przykrych epizodów, nie poniosła najmniejszego szwanku.

Gorzej natomiast było z domem płaszowskim. Na kilka tygodni przed odejściem Niemców, kolumnę transportową w naszym domu zastąpił regularny Wehrmacht. Dom się wprawdzie nieco uspokoił, niemniej daleko mu było teraz do normalnego domu zakonnego. Krytyczne dni zdobycia Krakowa dały się we znaki także i naszemu seminarium. Już w przeddzień przyjścia Armii Czerwonej, z okazji wysadzenia przez Niemców amunicji na podwórzu szkolnym, wyleciały w wielkiej części domu szyby. W nocy tego samego dnia Armia Czerwona wzięła na cel nasze seminarium i szczęściu przypisać należy, że dwa jedynie pociski dosięgły naszego domu, uzupełniając zniszczenie, jakie wieczorem spowodowało wysadzenie mostów na Wiśle. Zachodnia ściana domu została pozbawiona szyb, a jeden z granatów wyrwał pokaźną dziurę w tynku, nie powodując na szczęście większych zniszczeń. Po wyzwoleniu przez dłuższy czas ta prawa strona ziała oczodołami wybitych szyb, przez które do mieszkań po tej stronie wiatr naniósł całe wydmy śniegu.

Próbowano szyby uzupełnić dyktą, ale niewiele sobie zawieja śnieżna z tej prowizorycznej zastony robiła. Toteż trzeba było z nadchodzącą wiosną sporo trudu, ażeby mieszkania te oczyścić i przygotować do pracy. Wojna była skończona. W marcu 1944 roku ukończyli swój nowicjat nasi wojenni klerycy i ze Stadnik wrócili do Płaszowa, by przygotować się do studiów teologicznych. Niemordowany ks. Wietcha zaczął myśleć o małym seminarium, które też w kilka miesięcy w domu płaszowskim ruszyło. Trudny okres wojenny mieliśmy za sobą... Przy pomocy Serca Bożego nie ponieśliśmy żadnych istotnych strat. Dzieło Boże przetrwało i od pierwszych dni wolności zaczęło znowu wyrwać się do czynu.

*Ks. Stanisław Nagy SCJ*

## WŁOCHY

### I

Rekolekcje miały się ku końcowi. Klerycy oczekiwali z niecierpliwością na ostatnią konferencję duchową, a godziny, jak na złość, wydawały się dłuższe niż zazwyczaj. Każdy z nich miał bowiem wiele do opowiadania.

Nareszcie nadszedł ostatni dzień. Uroczysta Msza święta z błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem zakończyła całe ośmiodniowe milczenie. Po rannym „Vivat Cor Jesu” — weszliśmy w normalny tryb życia studenckiego. W momencie rozwiązały się języki nasze. Przechodząc między nami słyszało się jedno tylko słowo: „Niemcy — Niemcy”.

— „A dranie — powąchać chcą widocznie polskich naszych pięści” — wyrwało się komuś niebacznie.

Coś w tym było prawdy. Od kilku dni bowiem tor przechodzący obok naszego domu przepełniony był pociągami, wiozącymi żołnierzy na Zachód. Wiadomości też były najprzeróżniejsze, często nawet ze sobą sprzeczne. Kleryk wracający z poczty cichaczem, by ksiądz magister nie słyszał, mówił o wojsku bijącym się ponoć pod Berlinem; w godzinę później ktoś inny oblatywał współbraci donosząc, że Niemcy są już w Krakowie. Komu było wierzyć?...

Kalendarz wskazywał ostatni dzień sierpnia. W nowicjacie felsztyńskim z obcych mało kto pozostał. Pozostali jedynie stali jego mieszkańcy: ks. magister Majka, ks. Kazimierz, ks. Cichoń, ks. Brezan — Łużyczanin i kilkunastu kleryków-studentów z siedmiu nowicjuszami.

O księdzu Brezanie należy dać kilka słów wyjaśnienia. Przybył on do Felsztyna z Krakowa. Do Krakowa znów dostał się z Czech, skąd uciekł ścigany przez niemieckie Gestapo. Swe nieprawdopodobne przejścia opowiadał on kilka razy tamtejszym klerykom. W przejściu granicy polsko-czeskiej, strzeżonej bacznie przez wrogich służalców, dopomogli mu polscy kolejarze. W przebraniu kolejarzkim udało mu się zmylić czujność straży granicznej i szczęśliwie dobrać do naszego domu w Płaszowie.

Czechy nie były jednak jego ojczyzną. Był rodowitym Łużycaninem. Nad wyraz kochał on swój kraj, swój — ginący w morzu germańskim — naród łużycki i dawno nie widzianą swoją matkę, którą w swych listach nazywał czule „Maminką”.

Ostatnie dni pobytu w Czechach, a także ryzykowna przeprawa przez granicę, wyprowadziły go trochę z równowagi. Breviarz mówił prawie dzień cały i stąd, gdzie się go spotykało, zawsze odmawiał brewiarz. Polubiliśmy go bardzo — był bowiem wesoły, a także ciekawie po łużycku opowiadał swoje przeżycia i życie na placówce w Litomierzycach. Chętnie też śpiewał nam pieśni łużyckie, a szczególnie hymn narodowy, którego melodia podobna była do hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Nowiny przychodzące do nowicjatu niepokoily nas bardzo. Najbardziej oczywiście przejmował się nimi ks. Brezan. Z tego powodu na rekreacjach oblegaliśmy go jako starego wojaka (w sensie uciekiniera) i wypytywaliśmy o Niemców. Przedstawiał nam ich zawsze w ciemnych kolorach. W sercu niejednego burzyło się, a słowa same cisnęły się nam na usta: „To nie ludzie, to sza...”.

Tymczasem na torze kolejowym, idącym w stronę Chyrowa, o każdej godzinie można było widzieć powoli posuwające się pociągi. Żołnierze jadący nimi, śpiewali pieśni, twarze okazywali radosne, a niejednemu nawet się wyrwało: „Wkrótce staniemy pod murami Berlina”.

Czuli, że los Ojczyzny spoczywał na ich barkach.

Wielu z nich nie wróciło już nigdy w rodzinne pielesze. Spoczęli gdzieś cicho, nocą zagrzebani przez wiernych towarzyszy broni.

Pierwszego września jak zwykle o godzinie 5<sup>30</sup> wstawanie. Po śniadaniu, chciwi nowin, ganiałiśmy po całym domu. Nikt jednak nic nie wiedział. Pomocnik ogrodowy przebąkiwał jeno o powszechnym poborze wojskowym. Były to jednak wiadomości niepewne.

Zadumani więc, a także źli, bo nic nie można się było dowiedzieć, siedzieliśmy w kilku nad stawem. Stąd bowiem nadchodziły nowiny. Nagle... z daleka doszedł naszych uszu stłumiony warkot motoru. Serca nam bić zaczęły żywiej. Podnieśliśmy głowy. Od zachodu — a lepiej, od południowego zachodu — nadciągało górą, dość wysoko, 12 samolotów.

„Na pewno nasi” — komuś się wyrwało — „musieli już bombardować obiekty wojskowe tych psubratów”.

Idąc w stronę domu żywo rozmawialiśmy. Nagle jeden z nas stanął... Stanęliśmy wtedy wszyscy i z przerażeniem stwierdziliśmy, że z daleka dochodziły do nas detonacje pękających bomb.

„A więc to nie nasi — to oni! — A więc tak się ma cała kampania?”

Obce samoloty nad Felsztynem przenoszą piszącego o cały miesiąc wstecz. — Na Śląsku widzę okopy, bronione drutem kolczastym, żołnierzy pilnujących budynków państwowych i obiektów wojskowych, których wszędzie można było spotkać. W Krakowie zaś słyszę na Błoniach urywki mowy głównodowodzącego, gen. Rydza-Śmigłego: „...nie damy ani jednego guzika... Padniemy jeden na drugim...” itp. slogany.

A w niecały miesiąc później, wręcz przeciwnie się stało.

Po tej pierwszej obserwacji samolotów, przygnębieni udajemy się do studium i zagłębiaamy w naszych trudach studenckich. Co chwilę ktoś przewracał kartkami, co było znakiem zdenerwowania.

Od tego dnia (1 IX) obce samoloty nie dawały nam spokoju. Dzień w dzień widzieliśmy nad nami, lub daleko znikające na widnokręgu, niemieckie samoloty.

Mniej więcej do 5 września względny jeszcze był spokój. Noce nie zakłócane i nad wyraz ciepłe niejeden z nas przeleżał marząc o zwycięstwach wojsk polskich. Gorzej zaczęło

być od środy popołudnia. Ponieważ nikomu nie chciało się uczyć, ale żeby pokazać naszemu ówczesnemu prefektowi, ks. Kazimierzowi, że nie tracimy czasu, wielu siedziało z książkami w studium. — Piszący siedział sobie spokojnie na podium obok tablicy. Kilku zamiast w książkę, patrzyło w okno, bo jakoś ciekawy hałas stamtąd nadchodził. Trochę do tych hałasów już się przyzwyczailiśmy, lecz ten był jakiś inny. Nagle, nad naszym domem przeleciało zupełnie nisko 6 niemieckich maszyn. Padło kilka bomb, lecz — szczęśliwie — ugrzęzły na pobliskich łąkach. Hałasu motorów prędeż nie usłyszeliśmy, bo dom felsztyński otoczony był wysokimi, dość gęstymi drzewami, które warkot motorów tłumiły. Samoloty sunęły dość nisko.

Od środy tedy samoloty niemieckie nie dały nam spokoju. Detonacje bomb dochodziły od Chyrowa, gdzie zbombardowały dworzec; od Sambora, gdzie zniszczyły kilka pomniejszych stacyjek i przystanków kolejowych.

Kilka bomb spadło na pobliskie łąki — między naszym domem, a torem kolejowym. Głowiliśmy się dużo do czego celowano: do domu czy do toru...?

Jeśli dom dotąd był pod ostrzałem, to z nadejściem żołnierzy, ostrzał ten musiał się wzmóc. Sprawa tedy całości naszych głów pogorszyła się. Stało się to tak. Pewnego ranka (zdaje się we czwartek) zastaliśmy cały nasz park obstawiony samochodami, namiotami i biwakującymi żołnierzami. Wesole chłopaki. Mówili nam dużo o jakiejś taktyce, o wciąganiu nieprzyjaciela w głąb kraju, by później lepiej móc go pokonać i o innych podobnych sprawach. Wchłanialiśmy to wszystko chciwie — podobno „tonącego i brzytwą nie rani”. To nas podniosło na duchu. W międzyczasie pokumaliśmy się z jakimś krakowianinem, stojącym na warcie. Ten przypuszczalnie czując nieuków — no i kleryków nieobeznanych ze sztuką wojenną, opowiadał nam nader „podniosłe fakta”. Powtórzył najpierw plotki, których treść mniej więcej już znaleźliśmy, następnie z fantazji objaśniał nam plan działania. A więc „odwagą i bravurą pokonamy Niemców — bagnietami można zdobywać czołgi, kulą karabinową strącać samoloty” itp. banialuki. Że

był odważny spostrzeżliśmy to przy południowym nalocie. Jak tylko ukazał się samolot, już go nie było. Znaleźliśmy go potem zaszytego w krzakach, ale z karabinem w garści. Tłumaczył nam wtedy, że tak należy w podobnych wypadkach robić... bo... ponoć Niemcy nie żartują „Krakowiaczek ci ja...”.

Drogą obok naszego domu co chwilę przelatywały samochody. — Żołnierze to przychodzili, to odchodzili. Zmęczeni i spragnieni, prosili o wodę, siadywali na krótką chwilę w cieniu drzew (może obawiali się samolotów) i szli dalej... na wschód.

Sami nie wiedzieli... dokąd?

Brat Paschalis pierwszym razem proszącym o coś do picia żołnierzom, podał kwaśne mleko, ale za zapłatą. Kontraktację tę zauważył z okna ks. Kazimierz. Zgorszony, zjawił się na podwórzu, powiedział kilka słów gorzkich br. Paschalisowi i na przyszłość zakazał brać „flotę” za napitek. Podobno br. Paschalis się zdziwił, że ks. Kazimierz kazał dawać „gratis”. „To nie było w jego zwyczaju” — mawiał później.

W międzyczasie ks. magister załatwiał sprawy formalne. Zjawił się fotograf, porobił nam zdjęcia, tak że przed opuszczeniem nowicjatu „na zawsze”, dokumenty mniej więcej mieliśmy w porządku.

W tym samym też czasie ks. Kazimierz wyruszył w ostatnią podróż do Sambora. Wrócił po południu obładowany paczkami, a także ze świeżymi nowinami. Jedna paczka szczególnie nas zaintrygowała. Zaraz też ją rozpakował i okazało się, że nabył radio!

A więc zaciągamy radio.

Do tej akcji wciągnięto i mnie. Na strychu zawiesiliśmy długą antenę, a ks. Brezan majstrował przy samym aparacie. Wszystko było założone, a radio nie chciało jak na złość „grać”. Ks. Kazimierz stojąc tak jak wrócił z podróży — nawet swój oryginalny kapeluszek miał jeszcze na głowie — nie chciał temu wierzyć.

— „Aparat nowy” — krzyczał. Idźcie na strych — tam coś nie w porządku. Lataliśmy i stwierdziliśmy, że wszystko w porządku. Aparat świecił, ale nie funkcjonował.

Na koniec poleciał osobiście ks. Kazimierz. W międzyczasie jeden ze „współpracowników”, majstrując przy montażu tegoż „radia”, pod nieobecność ks. Kazimierza, który — obiter dictum — nie chciał pozwolić nikomu go dotknąć, skonstatował, że w pośpiechu źle połączono cewki. Przetawił więc je. Ponieważ zaś aparat był otwarty, na cały korytarz dały się słyszeć słowa: „...nadchodzi..., przeleciał..., bombarduje nr 2 — 12 — 18...”. Nieopisana radość ks. Kazimierza. Przy całej tej procedurze oberwało się najwięcej ks. Brezanowi. Jemu to ks. Kazimierz powierzył montaż aparatu i tej nieszczęsnej anteny.

Nieprzyjacielskie samoloty coraz to zuchwalej grasowały po „polskim niebie”. Nie było godziny, by ich straszne, przeraźliwe motory nie niepokoiły polskich wiosek. Nieraz leciały bardzo nisko.

W przeddzień „exodusu” spuściły nawet kilku spadochroniarzy, których jednak nie można było odnaleźć. Przypuszczalnie byli to miejscowi, dobrze znający okolicę — Ukraińcy, będący na żołdzie niemieckiego „Gestapo”. W kilka też godzin po tym wypadku ludność okoliczna zaczęła mówić cichaczem o zatruwaniu studzien, tajemniczych napadach i tym podobnych rzeczach.

W wigilię opuszczenia nowicjatu krzątaliśmy się po domu. Nowicjusze ze „spuszczonymi głowami” (jak reguła nakazywała), reszta zaś rozeszła się po ogrodzie, by gdzieś na uboczu uciąć sobie pogawędkę z żonierzami. Dzień ten spędziliśmy przeważnie na polu. Naloty bowiem samolotów nie dawały nam spokoju. Co który poszedł do domu, to za chwilę biegiem z niego wylatywał. Nawet zjeść nam nie dano. Właśnie samolot w tym dniu nie dał nam skończyć obiadu. Kilku co odważniejszych starało się obiad skosztować — lecz później opowiadali, że więcej najedli się strachu niż „ryby”. Był to bowiem piątek. Ktoś ze współbraci wyraził się, że byłaby to śmierć nie bardzo chwalebna — zginąć przy półmisku — co nie przystałoby na zakonnika. — Co innego w kaplicy?!!

Pod wieczór, kiedy naloty stały się coraz rzadsze, wysłano nas pojedynczymi grupami do Sąsiadowic — na spowiedź. Ojców Karmelitów ostatnimi dniami przybyło — między nimi zauważyliśmy kilku młodych kleryków. W drodze powrotnej usłyszeliśmy na północy długie i głucho detonacje. Prawdopodobnie bombardowano Przemyśl.

Wracając, przy samym nowicjacie zostaliśmy trochę nastrożeni. Oto nisko nad torem sunął jednopłatowiec. Kilku z nas wleciało pędem w krzaki, a reszta zdezorientowana stała na drodze i gapiała się. Szczęściem przeleciał spokojnie. Na drugi dzień mówiono o jakimś samolocie francuskim, szukającym dowództwa naszej armii południowej.

Noc przeszła względnie spokojnie. O świcie niebo jednak z powrotem pokryło się pojedynczymi eskadrami nieprzyjacielskimi. Gdzie rzuciliśmy okiem, tam zauważyliśmy czarne plamki samolotów. Detonacje bomb towarzyszyły nam wszędzie.

Mniej więcej o godzinie 12<sup>00</sup> przeżyliśmy jeszcze jeden z największych nalotów na Felsztyn. 12 czeskich „Skoda” jakby celowo zaczęło atakować nasz nowicjat. Modlitwy południowe odmówiliśmy z drzeniem serca. Ze było źle, świadczy fakt, iż ks. magister pod koniec, gdy detonacje i ryk samolotów były nie do zniesienia, kazał nam odmówić „Akt żalu”. Zdaje się, że udzielił nam nawet absolucji generalnej. Najwięcej odczuł ten nalot ks. Kazimierz. Zgrzyty ławki, a także nerwowe drapanie się w głowę, świadczyły o zenicie jego strachu.

Nalot ten prawdopodobnie zdecydował w dużej mierze o ewakuacji nowicjatu. By nas oszczędzić już przemysłowano o przetransportowaniu nas na Wschód. Termin „exodusu” miał być ustanowiony na kilka dni później, jednak fakt pojawienia się niespodziewanie nowej armii nieprzyjaciela obok Jasła — przeszła ona zapewne góry Karpaty — termin ten przyspieszył.

Do godziny 5<sup>00</sup> po południu nic nam jeszcze nie było wiadomo. Zauważyliśmy jedynie tajemnicze konferencje komendanta wojskowego z ks. magistrem i częste wołanie wojskowych do telefonu. Także dziwne zachowanie się ks. Brezana dawało nam dużo do myślenia.

O godzinie 5<sup>00</sup> zaciekaWił nas dzwonek. Kazano nam zebrać się w studium. Nadszedł ks. magister. Prosił byśmy usiedli, a podczas tego, jak się zdawało, obserwował nas uważnie.

„Drody Bracia — rzekł po chwili — Ponieważ front się niespodziewanie przybliżył, a dom nasz, jak sami zauważyliście, jest pod szczególną «opieką» nalotów, musimy się z niego na czas jakiś usunąć. Nie przerażajcie się tym. — Za parę dni znów wrócimy. By nie dać powodów do niepokoju miejscowej ludności, zrobimy to w ten sposób: o zmroku wyjdzie pierwsza grupa, złożona z trzech kleryków, a po niej, pół godziny później następna, też z trzech kleryków złożona... Starajcie się dotrzeć do Kołomyji. Co nastąpi później — postanowimy na miejscu. A więc (...) żegnajcie!”

Wstaliśmy oszołomieni. To, cośmy usłyszeli było nie do uwierzenia. A więc już... Niemcy tak blisko?!

Gorączkowo zaczęliśmy pakować nasze rzeczy. Widziałem współbraci wkładających i wykładających swoje manatki. Po godzinie zrobili to samo. Nie wiedzieli po prostu co zabrać ze sobą. „To niepotrzebne, tego szkoda, to mi się przyda..., a niech go”. Byli i tacy, którzy brali ze spiżarni całe stopy pożywienia, a nie mogąc tego unieść, zaraz za parkanem zostawiali w krzakach. — Kilku ganiało po strychu szukając schowku na swe „bezcenne” skarby — fotografie.

O zmroku wyszła pierwsza grupa. Opuściła dom, by już do niego nie powrócić.

Przedtem udzieliliśmy sobie nawzajem przestróg. Między innymi takie słyzałem słowa: „Jak cię kto zaczepi, to piaskiem w oczy..., postawa to grunt..., może zobaczymy się na tamtym świecie..., unikaj ciasnych ulic...”.

Co porabiał ks. magister, nie wiem. Porozdawał wszystkim dokumenty, dał błogosławieństwo i gdzie się ulotnił. Może nie chciał okazać swego wzruszenia!

Ks. Kazimierz tymczasem zapełniał sobą cały dom. Jego głos co chwilę dawał się słyzeć to w kuchni, to w sypialni, to w swoim pokoju. „Czego ci jeszcze potrzeba — bierz!” Ponoć jeden miał zamiar ze sobą zabrać kilka kur i o dziwo! Ks. Kazimierz mu tego nie zabraniał.

Tak to mniej więcej wyglądała sprawa przed odejściem mojej grupy. Powoli dom pustoszał; stawał się podobnym do mroku, który obejmował okolicę swymi ciemnymi mackami.

Dom przed kilku godzinami tętniący życiem... zamierał... Obecnie świeci pustkami. Brakuje mu nawet drzwi i okien, ale pamięć o nim nigdy nie zaginie. Był to bowiem pierwszy dom — Nowicjatu Księży Sercanów. Inne domy po nim będą może wspanialsze, może urobią sobie lepszą tradycję, wielcy uczeni, a może i święci wyjdą z nich, ale tego pierwszeństwa nigdy mu nie odbiorą.

Dolina Strwiąża razem z nowicjatem pójdzie w niepamięć, miłe jednak o nim pozostanie wspomnienie w sercach tych, którzy przebyli tam kilka lat.

Wybiła godzina 8<sup>00</sup> wieczorem. Dom felsztyński prawie już świecił pustkami.

Nadeszła chwila i na mnie; należałem bowiem do ostatniej grupy. Spakowany, poszedłem pożegnać się z ks. magistrem i zastałem go mówiącego brewiarz. Zdaje mi się, że łzy zabłyśły mu w oczach, gdy go zawiadomiłem, że ostatnia grupa przygotowana jest do odejścia.

„Żegnajcie... w Kołomyji...” — odrzekł i nagle się odwrócił... Wyszliśmy.

Poszliśmy jeszcze do ks. Kazimierza. Zastaliśmy go przy biurku, jak zwykle palącego papierosa. Coś rachował. Może obliczał ilość cegły i wapna potrzebnego do „nowego budynku”?

„Proszę księdza — wychodzimy”. Wejrzał na nas zdziwiony. — „A ksiądz prefekt kiedy wyruszy”? Na te słowa oczy zabłyśły mu łzami. „Ja się stąd nie ruszę” — odrzekł. Potem zupełnie innym głosem zapytał: „Czego jeszcze potrzebujecie”? Dał nam na drogę trochę miętowych cukierków, trochę drobnych pieniędzy, urznęliśmy sobie jeszcze małą pogawędkę na temat frontu... i tak, nie wiedząc jak — kiedy — znaleźliśmy się na drodze do Sambora.

Chociaż gwiazdy na niebie migotały swym niebieskim blaskiem, dosyć było ciemno. Odwróciłem się wtedy, by ostatni raz

ogarnąć okiem nowicjat. — Ciemność okalająca mnie zewsząd, nie pozwoliła go zobaczyć. Przez parkan dostrzegłem jedynie kogoś ze światłem w ręku. Przypuszczalnie był to br. Paschalis.

Szliśmy szybko naprzód. Dalekie błyski i suche detonacje idące z zachodu dawały nam znać o zbliżającym się froncie. Dwaj moi towarzysze: Jan Porada i Leon Lower co chwila odwracali się do tyłu... i coraz to... przyśpieszali kroku.

„O! Księża uciekają — to już tak źle!” od domów dolaływały stłumione głosy.

Jak wilki mknęliśmy naprzód; minęliśmy rynek felsztyński i zagłębiliśmy się w ciemnościach drogi prowadzącej do Sambora. Droga była prawie pusta. Oddechy tylko wskazywały, że ktoś kroczy obok. Czasem minęła nas furmanka, jadąca jednak w kierunku przeciwnym.

Po godzinie drogi napotkaliśmy którąś z naszych grup. Pogadaliśmy trochę, a ponieważ według naszego mniemania, szła za wolno, pożegnaliśmy się stłumionym — „Do zobaczenia w Kołomyji” — i pognaliśmy dalej. Przed Samborem takich grup minęliśmy kilka.

Przed samym miastem zastąpili nam drogę jacyś wojskowi. Oświetlili nas latarkami, zażądali dokumentów, a po sprawdzeniu ich, salutując, pozwolili iść dalej. Na nasze pytanie o stanie frontu, mruknęli coś pod nosem i zniknęli z powrotem w przydrożnym rowie.

...Pod wieczór, trochę wypoczęci, poszliśmy dalej. Ciągłe na wschód. Idąc tak lasem, naszliśmy niespodziewanie obóz kleryków jezuickich z Chyrowa, tak jak i my uciekinierów. Przyjęli nas gościnnie; drogę na wschód odbywali nawet hucznie i dobrze też byli zaopatrzeni w spyżę. Ich odjazd z lasku, w którym spotkaliśmy się, podobny był raczej do małej armii z XVI w.: na przodzie bowiem kroczył „czarny lud pieszy” a z tyłu wozy. Pozwolili nam nawet położyć nasze walizki na podwozy. Czuliśmy się trochę lepiej, bo ręce mieliśmy wolne.

Cała karawana wyruszyła mniej więcej o godzinie 6<sup>00</sup> pod wieczór, w momencie, gdy słońce za chwilę miało się

ukryć za widnokręgiem. Przypuszczaliśmy, że o tym czasie nie napotkamy nalotów nieprzyjacielskich. Tymczasem jak na złość, będąc w środku ogromnych błoń, usłyszeliśmy stłumiony warkot motoru. Od południa, wynurzyły się niespodziewanie dwa „Skoda” i skierowały swój lot na nas. — Zdębieliśmy. Kryć się nie było za czym. Do najbliższego lasu było z 300 metrów. Niebezpieczeństwo powiększyło się, gdy samoloty z przeraźliwym warkotem zaczęły się obniżać. Najpierw spłoszyły się konie. — Gnały po błoniach zwariowane, zrywały uprzęże, a dwa wozy po tym nalocie zastano wyrócone. Z każdego unosił się biały dym, lecz nie po bombach, ale w tej szalonej gonitwie popękały niektóre worki z mąką. Woźnica — w sutannie — podobny był raczej do cystersa niż do jezuita, a to z racji na biało umączonej sutanny.

Moi towarzysze stracili zupełnie głowę. Jeden z nich gnał na oślep w stronę lasu, krzycząc coś niezrozumiale. Podobno miała to być modlitwa. — Prawda, nie była odmawiana na klęcząco, ale że była z serca, to pewne. Drugi mój towarzysz ukląkł obok mnie i bijąc się w piersi szeptał: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu”. Ja też klęczałem. Moje wargi też coś szeptały. Taką modlitwę chciałbym mieć w ostatnią chwilę mego życia. — Serce Jezusa w owej chwili nie odmówiłoby mi niczego.

Dwa razy zniżały się nad nami samoloty. Już — już — myśleliśmy, posypią się kule karabinowe i legniemy cicho na zielonej murawie — przy wtórce ulatujących w dal zadowolonych pilotów. — Jednak nie nadszedł nasz czas. Po trzecim obniżeniu uniosły się w górę i odleciały w stronę Drohobycza. Po chwili straszliwe wybuchy i wysokie słupy dymne oznajmiły nam owoce ich niszczycielskiej pracy.

— „Dlaczego nas nie bombardowano?” Przypuszczalnie poznano nas; stwierdzono, że to nie była „czarna zmotoryzowana” armia, lecz zwykli „zjadacze chleba”.

Dalsza podróż odbywała się już względnie spokojnie (od nalotów). Drogi zastawialiśmy jednak zatarasowane wozami, pełnymi krzyczących dzieci, mężczyzn torujących sobie często drogę pięściami.

...Ciemno już było — myśmy jednak szli naprzód. Szalona jazda na wozie po kamienistej drodze dała się nam mocno we znaki. Nogi nie mogły się przyzwyczaić do ruchu. Strach jednak „band” i lęk frontu dodawały nam sił. Od zachodu bowiem dolatywały do nas raz po raz stłumione odgłosy kanonad. A więc dalej... dalej. O północy postanowiliśmy gdzieś się zatrzymać. Choć na godzinę. Ugościł nas jakiś staruszek — Rusin. Widzę go jeszcze doskonale — leżącego na łożku, przykrytego pierzyną, lecz za krótką, bo nogi od kolan w dół miał odkryte. Prawił nam o czasach „za cysorza”. Co ciekawe, ani słówkiem nie wspomniał o zawierusze, która nadchodziła z zachodu. Może na nią był przygotowany?

Po chwili znów byliśmy w drodze. Zrobiło się jednak tak ciemno, że za wszelką cenę postanowiliśmy gdzieś się ulokować. Ktoś z nas poszedł na poszukiwanie, lecz zaraz wrócił — oznajmiając, że tu w okolicy domów nie ma — tu wokoło las. Nie było innej rady — trzeba było iść dalej. Dopiero po drugiej godzinie natknęliśmy się na leśniczówkę. Na odważnego poszedł jezuita. Obszedł dookoła parkan, lecz nie mogąc znaleźć furtki zaczął z cicha gwizdać. Też nie pomogło.

„Czy dom pusty?” — szeptaliśmy między sobą.

Podsadziliśmy go więc na parkan i już... już miał skoczyć na drugą stronę, gdy gruby głos poderwał nas wszystkich:

„Kto tam?”

Z lękiem odskoczyliśmy w bok. Biedny jezuita, nie podtrzymywany przez sercanów, jak sam później twierdził — bez oparcia — wpadł w pokrzywy, których tam dosyć dużo rośnie.

„Czego chcecie?” — odezwało się kilka głosów zza płota.

„Gościny i noclegu” — odpowiedzieliśmy trwożliwie — „zblądziliśmy, nie bójcie się, księżmi jesteśmy!”

Zaskrzybiało. W tym samym miejscu gdzieśmy stali otworzyła się furta. Przed nami stanęło trzech ludzi ze strzelbami w nas wymierzonymi.

„Wejździe” — jeden z nich przemówił. Był to gajowy z synem i parobkiem.

Poznaliśmy się. Sprawa zupełnie inny wzięła obrót. Powitał nas radośnie i objaśniał, czemu tak musi postępować.

„W okolicy grasuje jakaś banda ukraińska” — mówił „obawiamy się napadu. Dom jest pusty — wszyscy śpimy na stogu słomy koło stodoły. Teraz zaraz was zaprowadzę. Macie szczęście, żeście wołali; już miałem kazać strzelać”.

Wypiliśmy po garnuszkę mleka, przegryźliśmy jabłkami i za gajowym pobiegliśmy chyłkiem w stronę stodoły. Po drabinie, którą nam spuszczone, wdrapaliśmy się na stóg. Cicho położyliśmy się obok śpiących dzieci. Starszych zastaliśmy tam kilku. Nie spali, ale jak tamci pilnowali dobytku z dubeltówkami pod ręką.

Twardy stóg nie był przeszkodą do smacznego snu. Prędko zasnęliśmy. Dopiero ranne słońce wyгнаło nas z barłogu. Szybko zsunęliśmy się w dół i podziękowaliśmy miłemu, ale bez dubeltówki już gajowemu — i skręciliśmy do pobliskiej wioski.

W drodze jeden z nas się przyznał, że bołą go plecy. Drugi zaś „przysięgał się”, że na stogu nie było słomy, ale chyba badyle słonecznikowe. Co właściwie tam było, nie wiem, ale i mnie „krzyże” bołały. Zgodni byliśmy, że lepiej było przespać się gdzieś pod płotem.

Tak przekomarzając się doszliśmy do końca lasu. W dali zobaczyliśmy małą wieżyczkę wśród ogromnych lip. W sam raz dzwoniło na „Anioł Pański”. W czasie jego odmawiania ni stąd ni zowąd, zjawił się obok nas jakiś podejrzany osobnik. Głowę miał na „pałę” ostrzyżoną, dość niepewny, a samo ubranie wskazywało na „kryminalistę”. Weszliśmy z nim w rozmowę. Gadał pewnie, inteligentnie, a na końcu przyznał się, że uciekł z więzienia. Na to każdy z nas się oglądnął: staraliśmy się iść razem. Coś tam jeszcze gadał, aż naraz dał susa w bok i znikł... między drzewami. Miał przed kim uciekać! — Oto na drodze stało dwóch rowerzystów, w których rozpoznaliśmy policjantów... Jakby czekali na nas!

„Dokąd to Wielebni Księża?” — uprzejmie zapytali — „Proszę wracać”. Na nasze gadanie wzruszyli ramionami. „Taki otrzymaliśmy rozkaz”. Tłumaczymy im jak możemy; ci zawsze mają jednakową odpowiedź: „Proszę wracać”. Wreszcie: „Niech będzie po waszem” — odrzekliśmy — „ale

dajcie nam przynajmniej godzinę odpocząć". Zgodzili się. Zapukaliśmy wtedy do pobliskiej plebanii.

Gospodarz tejże plebanii i w jednej osobie proboszcz parafii zwanej Ziemianką, przyjął nas nadzwyczaj gościnnie.

„Rozgoście się” — rzekł — „Czujcie się jak u siebie w domu”.

Gdy w kleryku jezuitcie rozpoznał swego ziomka, większą jeszcze do nas poczuł sympatię. Po Mszy św. jednak opuścił nas. Pojechał do Kałusza w swej osobistej sprawie i przy okazji (Opatrzność czuwała nad nami), prosiliśmy go, aby postarał się o pozwolenie podróżowania bez przeszkód aż do Kołomyji. Pod wieczór wrócił załatwiwszy wszystko pomyślnie. Noc przeszła spokojnie. Nad ranem jednak obudziły nas dalekie, głuchoe detonacje.

Przy pożegnaniu opowiedział kilka faktów świadczących o nieprzyjaznej postawie okolicznej ludności ruskiej. — Zamyślał nawet opuścić parafię, lecz rozmyślił się, gdy kleryk jezuita ofiarował się pozostać z nim jak długo będzie można.

Ciągle jeszcze wierzono w kontrofensywę naszych wojsk.

Pokazał nam nawet karabin i kilkadziesiąt naboju, przywiezionych z Kałusza. Obawiał się napadu band szowinistów ukraińskich.

Gościnność swoją zakończył tym, że nas podwiózł śliczną parą koni do pobliskiego miasteczka. Na skrzyżowaniu dróg spotkaliśmy patrole policyjne, lecz dokument „lojalnie” wystawiony w Kałuszu, otwierał nam zawsze drogę. Nawet nam salutowano!

Kilkanaście kilometrów przeszliśmy jeszcze piechotą, zanim ujrzelśmy miasto Kałusz. Było prawie że wyludnione. Przed miastem jedynie kręciły się oddziały wojska, a na pobliskich polach zobaczyliśmy okopy z wystawionymi na zachód armatami. Z rozmowy z żołnierzami dowiedzieliśmy się, że Niemcy blisko. Poradzono nam jak najprędzej uciekać. Ponieważ siły nam już nie dopisywały, a podróż

na Kochowinę o jeden dzień przedłużyła drogę, postanowiliśmy skorzystać z kolei.

Na dworcu powiadomiono nas, że jakiś pociąg się formuje. Podobno ostatni. Poszliśmy tedy kupić bilety. Z zadowolaniem pokazaliśmy nasze dokumenty, wystawione w Felsztynie i Kałuszu, lecz — o zgrozo — kasjer, zdaje się sierżant, odmówił nam wydania biletów.

„Dokumenty nieważne” — odpowiedział szeptem.

„Co mamy robić” — pytamy się. Ten, rozglądając się w tył, okazał niezdecydowanie. Nagle machnął ręką, wyciągnął bilety, podstemplował i dając je rzekł: — „Jak was wyrzucą i pytać będą, skąd macie bilety, nie mówcie”. — Dzięki Bogu, coś mieliśmy w rękę.

Nie wzbraniano nam wejść na peron. Wsiedliśmy do pociągu, lecz dopiero o godzinie trzeciej nad ranem pociąg ruszył. Mniej więcej na szóstą byliśmy w Stanisławowie.

...O godzinie trzeciej nad ranem pociąg stanął w Kołomyji. Ciemność zalegała wokoło i ciemność też pomogła nam dostać się bez przeszkód do miasta. Nikt nam nie przeszkodził. — W mieście też było ciemno, chociaż ruch był niemały; wozy, auta, żołnierze, ludność cywilna, wszystko to dążyło w jakimś nieznanym kierunku.

Nie znając miasta i ludzi zdecydowaliśmy poczekać na plantach, aż się rozwidni; później poszukać jakichś „Wielbnych Sióstr” (to przystań księżowska), umyć się, zjeść porządne śniadanie i zgłosić się — może jako pierwsi — do tutejszego księdza proboszcza, jak to nam było zlecone. — Co do joty wszystko wykonaliśmy, chociaż pod drzwiami sióstr długo musieliśmy czekać. Ale nas przyjęły.

O godzinie szóstej poszliśmy do parafialnego kościoła. W drzwiach świątyni uderzyła nas pieśń: „Matko Bolesna — do Serca Twego — mieczem boleści wskroś przeszyciego...”. Ludzi było dużo. — Prawie wszyscy trzymali twarze w dłoniach. Uklękliśmy w tyle, by nie przeszkadzać i po chwili dopiero spostrzeżliśmy, że ci ludzie płakali. Przy słowach

„Królowo Polski, módl się za nami” — w kościele podniósł się ogromny szloch. — I nam ciurkiem leciały łzy.

Zaśpiewano jeszcze „Boże, coś Polskę”. Jak to śpiewano, już sobie nie przypominam. — Płakaliśmy. Utkwiły mi tylko w pamięci słowa: „Ojczyznę wolną, racz nam wrócić, Panie”!

Śpiewali tę pieśń ci, którzy w kilka dni później znaleźli się na obczyźnie i zaczęli swą tułaczkę po obcych ziemiach.

Wielu z nich nie powróciło już nigdy i pieśń tę śpiewali może ostatni raz, w najdalszym zakątku Ojczyzny. — „Polsko! Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie, ile Cię trzeba cenić — ten tylko się dowie — kto Cię stracił!” Wielu z nich ją traciło... na zawsze!

Gdy większa część modlących się opuściła kościół, spojrzeliśmy swobodnie na ołtarz. Świece obok obrazu Matki Boskiej paliły się jeszcze. Teraz dopiero spostrzegliśmy naszych. Klęczeli w prezbiterium — wpatrzeni w ołtarz.

Nie byliśmy więc pierwsi.

„Kiedyście przyszli?” — zapytałem jednego po wyjściu z kościoła.

„Przedwczoraj” — odrzekł.

„A wy?” „My wczoraj pod wieczór”.

„Chodźmy” — nadszedł trzeci — „Pójdźmy razem przedstawić się księdzu prałatowi. — Zobaczycie, co to za miły człowiek”.

Oczywiście przyjął nas po ojcowsku. Nie znając nas, okazał nam tyle serca, że dziś jeszcze wspominam go z wdzięcznością. Cześć jego pamięci.

Zginął na stanowisku.

...Droga znów wolna. Niebo niepostrzeżenie pokryło się gwiazdami. Chłód, który wionął zewsząd, wskazywał na bliskość jutrzeńki. — Po obu stronach drogi zaczęły się wyłaniać domy. Niektóre nawet piękne, a niekiedy i piętrowe. Było to miasteczko Kosów. Dzięki Bogu! Jeszcze kilka kilometrów i staniemy na granicy.

Po rowach coraz więcej spotykaliśmy żołnierzy. Wszyscy prawie byli zajęci przewdziewaniem butów. Z opłotków przyglądały nam się dzieci, a z drzwi lepianek na biało pomalowanych wychylały się ciekawe Rusinki.

Most graniczny musiał już być niedaleko, bo przejście drogi stawało się uciążliwe. Pełno było pojazdów wszelkiego rodzaju. Były nawet armaty i czołgi. Chyłkiem więc, by nikomu się nie narazić, przesuwaliliśmy się mimo, i tak dotarliśmy do rzeki.

Most jednak łączący Polskę z Rumunią zajęty był przez wojsko. Na nasze pytania: „Czy można iść dalej?” — wstrzymano nas. „Pierwszeństwo ma wojsko” — objaśnił nam żołnierz, pilnujący porządku. Więc przy moście, jak owe dziady kalwaryjskie, rozsiedliśmy się czekając na sposobną chwilę, by przemknąć.

Na naszych oczach tymczasem przesuwały się pojazdy: tanki, nowiuteńkie — jakby prosto z fabryki, armaty z lufami owiniętymi jeszcze pakułą, autobusy, furgony, kuchnie polowe i inny wszelaki sprzęt wojskowy.

O 19<sup>00</sup> próbowaliśmy drugi raz przejść na drugą stronę. Za pozwoleniem dowódcy mostu, pułkownika, człowieka dosyć przystępnego, przeszliśmy polską część mostu i stanęliśmy przed strażą rumuńską.

Pożal się Boże, co to byli za żołnierze. Miało się wrażenie, że się jest w Afryce, na dworze jakiegoś „królika murzyńskiego”. Karabiny jakby wyjęte z muzeum, mundury post-rzępione, a bosc stopy do kolan mieli owinięte onucami. Oto obraz „obrońców królestwa Rumunii”. Takich to sześć okazów z miną, rozumie się siarczystą, przejmowało południową armię polską.

Z takimi ludźmi wszczęliśmy rozmowę. Pokazaliśmy im nasze dokumenty, przytaknęli nam i już mieliśmy przejść na drugą stronę, gdy ostatni z naszych wzbudził w nich podejrzenie. Uciekał w cywilu. I właśnie to cywilne ubranie zgubiło nas. Jak grzecznie przepuścili nas, tak teraz niegrzecznie zaczęli nas wypychać.

„Dydrom, dydrom” — mruzcili, wywijając kolbami — co miało oznaczać: „wynoście się”! Na nic przydały się nasze

prośby! Jedno tylko umieli słowo: „Dydrom, dydrom”. Zdezorientowani wróciliśmy na polską stronę.

„Nic wam nie poradzę” — odrzekł dowódca mostu, gdyśmy mu przedstawili całą sprawę. Usiedliśmy więc z powrotem przy rowie przydrożnym, prowadzącym na most. Czekaliśmy na okazję. Tymczasem mijały godzina za godziną. Na most wjeżdżały bezustannie nowe jednostki wojskowe; meldowały się dowódcy i w porządku przejeżdżały na drugą stronę. — Ktoś nam poradził udać się do pewnego senatora, mieszkającego w pobliżu. Kilku poszło, ale wróciło z niczym.

„Dobry człowiek, ale nic nam nie może pomóc” — powiedział jeden, ciężko siadając obok.

Sytuacja nasza stawała się z godziny na godzinę rozpaczliwsza. Zaczęliśmy się rozchodzić i każdy na własną rękę zaczął szukać dróg wybrnięcia z tej, bez wyjścia sytuacji. Na koniec pozostałem sam. Wstałem więc również i idąc drogą, namyślałem się, jakby z tej dziwnej sytuacji wybrnąć.

„Tu nas nie puszczą” — medytowałem — „trzeba więc próbować inaczej”.

Wszedłem tedy do pobliskiego domu i zbadawszy najpierw stan narodowy rodziny, poprosiłem gospodynię o jakieś ubranie w zamian za sutannę, płaszcz i kapelusz. Zgodziła się. Robiąc pertraktację handlową zaprosiła mnie również na kolację.

„Radzę księdzu iść w góry” — mówiła, krzątając się po pokoju — „w stronę granicy węgierskiej. Ksiądz jest młody, to dojdzie”.

Ucieszony, że znalazłem ubranie, a także że będę mógł coś wziąć „na zab” (od wczorajszego południa nie miałem nic w ustach), ochnie zabrałem się do ściągania sutanny.

Nagle — „Karol! Karol!” — doszło do moich uszu. Wziąłem pośpiesznie sutannę i wybiegłem na drogę. Spotkałem tu kilku naszych współbraci, żywo coś rozprawiających z jakimś młodym oficerem.

Widząc mnie krzyknęli: „Pojeździemy — gdzie masz swoje rzeczy?” Pędem wbiegłem do tego gościnnego domu, zarzu-

ciężem tylko płaszcz na barki, kapelusz na głowę, do ręki wziętem moją walizkę i wybiegłem.

Obok oficera zaczęli się gromadzić jacyś żołnierze. Dołączyliśmy się do nich i w toku rozmowy rozpoznałem w nich absolwentów „Państwowej Szkoły Lotniczej” z Bydgoszczy.

— „Niech się ksiądz przebiera” — mówi jeden z nich — „Mało mamy czasu”. Ściągnąłem płaszcz i sutannę w pośpiechu, nałożyłem podany mi płaszcz i beret lotniczy i dołączyłem do reszty moich współbraci, tak jak i ja już przebranych.

Jak wyglądałem — nie miałem pojęcia; lecz mundur, który podobno musiał należeć do jakiegoś „Podbipięty” — szeroki był w barach i długi.

„Gotowi?” — usłyszeliśmy z daleka głos.

„Gotowi — panie komendancie” — odkrzyknęli nasi przygodni towarzysze.

„Wsiadajcie więc — w drogę” — doszedł do nas głos z dala.

Pięknym, wygodnym autobusem przejechaliśmy granicę polsko-rumuńską. Było to 18 września 1939 roku o godzinie 7<sup>00</sup> wieczorem.

Któż pozna dziwne drogi Opatrzności Bożej! Piechotę nie pozwoliła nam przekroczyć granicy; mieliśmy ją przejechać.

Nawet nam zasalutowano! — O ironio losu!

Granicę przejechaliśmy wszyscy; pozostał jedynie Brandt. Za nic w świecie nie chciał się dać nakłonić do opuszczenia Polski.

„Wróć do Felsztyna” — „dam znać księdzu magistrowi”.

Z oczu przeglądał mu żal, gdyśmy czekali na rozkaz wsiadania. Nie umiejąc — zdaje się — znieść rozstania, zakręcił się jakoś między przechodzącymi żołnierzami i znikł nam z oczu! Nie zawiódł nas! Wrócił do Felsztyna, widział się jeszcze z księdzem magistrem, z ks. Kazimierzem, a... potem słuch o nim zaginął.

Cześć ci — dzielny bracie — miłe o sobie zostawiłeś wspomnienie! Szczęść ci Boże, jeśli jeszcze żyjesz!

...„Jeden z kleryków oddalił się od naszej grupy, szukając okazji przedostania się na drugą stronę. Błądząc, napotkał gdzieś w tyle auto z kilkoma żołnierzami. Z rozmowy do-

wiedział się, że wielu z ich kompanii «przez lasy» próbowało wrócić do rodzinnych wiosek. «Nie mieli odwagi iść na tułaczkę» — mówili. Woleli umrzeć na swojej ziemi, aniżeli być pogrzebanym wśród obcych”.

W trakcie rozmowy zauważył kilka mundurów.

„Dajcie mi taki jeden... I tak wam są niepotrzebne” — z głupia frant zagadnął. Dali mu jeden. Po chwili wynurzył się z krzaków przebrany nie za żołnierza, ale za rekruta, bo brakowało mu pasa i czapki. Pod pachą zaś trzymał zawiniątko ze swym ubraniem. Ponieważ przygodna grupa żołnierzy wahała się czy iść, czy nie — opuścił ich i począł na własną rękę szukać przygodnego samochodu, jadącego w stronę granicy. Samochody ciężarowe sunęły jednak dosyć szybko i nie miały zamiaru zatrzymywać się, by wziąć jednego „żołnierza” bez pasa i czapki. — Latał więc biedny rekrut to za jednym, to za drugim autem. Nikt go jednak nie chciał zabrać.

Nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby nie jakaś przejeżdżająca taksówka. Zatrzymała się i zamiast wziąć ze sobą naszego rekruta, jak przypuszczał, wyjrzał z niej jakiś starszy rangą oficer ze słowami:

„...Toście” — zawołał — „już szeregowy — pas i czapkę stracili — wstyd! hańba!” I pojechał dalej.

Za niecałe 5 minut później z pobliskich krzaków wyszedł nasz współbrat — ale — w stroju już duchownym.

„Resztki wstydu i hańby, pozostawiłem w krzakach” — miał się później wyrazić.

...Rankiem ruszyliśmy dalej; trochę wypoczęci mogliśmy swobodnie rozglądać się po okolicy. Wioski były jak nasze. Bieda jednak wyglądała z domostw i ludzi. Białawe koszule wypuszczone na spodnie też tego samego koloru — nie czyszczone od wielu może tygodni — charakteryzowały owych biednych mieszkańców. — Nic dziwnego więc, że tak łapczywie i natarczywie domagali się towaru, który prawie za bezcen sprzedawali żołnierze.

Na pierwszym postoju dowiedzieliśmy się, że w pobliskim mieście mają rozbrajać żołnierzy. Ciekawi tedy byliśmy, jak to się odbywa. — Przypuszczaliśmy, że otoczą nas oddziały rumuńskiej piechoty i już przemyśliwalimy, jakby się z tej matni wydostać. Całą więc drogę siedzieliśmy cicho i uradzaliśmy, jakby przy pierwszej okazji dać drapaką. Sytuacja była poważna, bo nikt z nas, prócz ks. Bełcha, nie posiadał paszportu. Przy indagacji można było wpaść w ich ręce i być odwiezionym do granicy polskiej, a to się nikomu z nas nie uśmiechało.

Wjechaliśmy do miasteczka Starożyniec! Szofer jednak prowadzący samochód „po polsku” z tym się załatwił. Zamiast przystanąć na okrzyki żołnierzy, stojących na drodze i pilnujących porządku, coś im odkrzyknął i pojechał dalej. Stanął blisko plebanii. Szybko tedy zeskoczyliśmy z wozu i chyłkiem pobieглиśmy do kościoła. Na razie azylu udzielił nam kościół. Ks. Bełch tymczasem się ulotnił. Wrócił jednak zaraz, zapraszając nas w imieniu proboszcza i wicekonsula na plebanię.

„Wicekonsul” — mówiliśmy między sobą — a co on tu robi?”

Przyjęto nas bardzo mile. Ks. proboszcz — po ojcowsku, a wicekonsul urzędowo. — Po śniadaniu wicekonsul wciągnął nas do pracy. Przyjechał bowiem umyślnie do tego miasteczka (Starożyniec) z Czerniowiec, by żołnierzom i cywilom wydawać paszporty. Nie mając zaś personelu, użył do tej pracy naszych kleryków. Przyrzekł nam przy tym, że za dobrą „pomoc” wystawi nam paszporty. Pracowaliśmy tedy cały dzień; pod oknami bowiem cisnęło się wielu uciekinierów.

By uzyskać ten urzędowy „świsstek” papieru nadawano klerykom przeróżne tytuły — zaczawszy od „wielebnych proboszczów”, a skończywszy na „jaśnie oświeconym prałacie”. O tytule kanonika już nie mówię. Kilku kleryków znów ganiało po mieście za fotografem. Znaleźli go, lecz za zdjęcia tak ich pociągnął za „portfel”, że dziś go „kwaśno” jeszcze wspominają.

Późną nocą ukończyliśmy pracę. Przychylny konsul wystawił nam za to paszporty z dodatkiem „pour tous pays en Europe”, zmienił na grubsze pieniądze i w bardzo miły sposób pożegnał.

Na noc wzięła nas do siebie pewna rodzina polska. — O! Jak miło było położyć się w czystym, długim łóżku. — Miałem ochotę zadeklamować: „Łóżko; ile cię trzeba cenić — ten tylko się dowie, kto cię stracił...”. Myśmy go nie znali od kilku zaledwie dni. A jak było ciężko...

Na drugi dzień po Mszy św. nadarzył nam się samochód jadący na południe. Skorzystaliśmy z okazji. Z paszportem w kieszeni nie obawialiśmy się już urzędników. Jazda była nader przyjemna. Słońce, pola, łąki a gdzieś tam — brzemienne w winogrona winnice — wabiły nas bardzo.

Tętno wojny oddalało się od nas coraz bardziej. Z góry nie groził nam żaden samolot. Ciężki jednak poryk samochodu drażnił nas jeszcze bardzo i odruchowo każdy z nas spoglądał w tył lub w górę. Widmo wojny bowiem dosyć długo nas prześladowało.

Przejeżdżając przez pewną miejscowość, która okazała się polską kolonią, ludność tamtejsza koniecznie chciała zatrzymać kogoś z nas u siebie. Tłumaczyliśmy im, że jesteśmy nie księża — ale klerycy. „Księża, nie księża, a przecież nosicie «rewerendy» sutanny” — mówiła jedna z kobiet. Na takie dictum, nie było innej rady jak tylko wsiąść na samochód i jechać dalej. Tak też zrobiliśmy.

Po drodze spotykaliśmy raz po raz oddziały piechoty rumuńskiej. Taszczono nawet armaty. — Ja się na tym nie znałem, ale jeden z nas się wyraził, że to były armaty chyba jeszcze z czasów wojen krzyżowych. Ubiory żołnierzy też wiele miały do życzenia. Oficerowie co do moderunku, nie najgorsi, chociaż ich wyćwiczenie sięgało chyba wieku XVIII. Podobno w Starożyńcu nie umieli się obejść z granatami.

Porządnych dróg właściwie tam nie było; mosty zaś takie, że bezpieczniej było przejeżdżać rzeki w bród.

W południe tego samego dnia dojechaliśmy do Rotosani! Miasto piękne! Jak brzydkie i zaniedbane były wsie, tak piękne i okazałe miasta, które niczym prawie nie różniły się od miast zachodnich. Sklepy obfite w towary, wieczorem zaś pięknie oświetlone ściągały dużo klientów.

Rotosani — zdaje mi się było to jedno z owych piękniejszych miast, jakie ogądaliliśmy w Rumunii.

Miasto w znacznej części jest zamieszkane przez ludność prawosławną. Długo jeździliśmy zatem po nim, nim znaleźliśmy plebanię i księdza katolickiego. Sam kościół katolicki, z dość piękną wieżyczką, zdawał się być grzybem zagubionym w ogromnym lesie domów i ulic. Proboszcz tejże placówki przyjął nas gościnnie. Uraczył porządnym obiadem i obiecał wystarać się o bilety wolnego przejazdu do Bukaresztu. Rozkład dań bardzo nas zaciekawił, obiad był suty i nieźle przygotowany. Najpierw bowiem podano nam kompoty, później mięsa, a na końcu dopiero zupkę. Głowiliśmy się, czy była to zwykła pomyłka, czy też tak zajądają sobie „smakosze rumuńscy”.

Po takim obiedzie porozchodziliśmy się. Ks. Betch z kilkoma poszedł załatwić sprawy urzędowe. Wrócił pod wieczór, ale wszystkiego nie załatwił. Na biletach brakowało mu bowiem pieczętki i podpisu „prefekta miasta”. Zmęczony, a także zdenerwowany, bo z „takimi gamoniami” — jak mówił — „ani się dogadać po ludzku nie można”. Wysłał mnie.

Wziąłem sobie do towarzystwa jednego z sercańskich „filologów” umiającego coś po niemiecku... i poszliśmy razem próbować szczęścia. Prefekturę znaleźliśmy łatwo, bo nam ją dokładnie opisano jeszcze na plebanii. Budynek naprawdę okazały. Weszliśmy więc na schody, lecz drzwi budynku zastałyśmy zamknięte, a portier — na naszą mowę „polsko-niemiecko-francuską” — otworzył usta, coś zaszwargotał; miało to oznaczać, że nie rozumie. Szczęściem nawiązał się jakiś młodzian. Dowaliliśmy do niego i naszą „nie do pogardzenia” niemczyzną próbowaliśmy mu wytłumaczyć o co nam chodzi.

„Verzeihen Sie. Wir wollen mit Herrn Prefekt sprechen — den Stempel und Unterschrift erhalten”.

„Ga — ga” — zawarczał pytany — co miało znów oznaczać — nie rozumiem i pokazał, że budynek jest zamknięty. Tłumaczyliśmy więc, że chcieliśmy w takim razie „mit Herrn Prefekt, pomówić prywatnie „privat — privat...” Skinął na to głową, że rozumie — i zaraz poprowadził nas na górę na pierwsze piętro. Tu przystanął przed jakimiś

wielkimi drzwiami i pokazał na migi, że możemy wchodzić. Poprawiłem więc sobie płaszcz, oglądałem buty, czy nie obłocone, bo nie przystałoby na „księdza” wchodzić brudno — i nieśmiało zapukałem. Mój towarzysz tymczasem obróciwszy się do okna coś szeptał; zdawało mi się, że układał sobie zdanie, jakie należy powiedzieć wtedy. Zamierzałem zapukać po raz drugi, gdy Rumun na migi dał mi do zrozumienia, że nie potrzeba pukać, lecz należy wchodzić. — Obaj wtedy chwyciliśmy za kłamkę i ... otworzyliśmy.

— O zgrozo!... zaleciał nas zapach amoniaku...

Obróciłem się do Rumuna... a ten na migi... co miało oznaczać..., że wolne!

„Trąbo”! — krzyczę mu po polsku — „przecież to nie biuro ani mieszkanie ale ustępy!” Na to bezradnie rozłożył ramiona. — Ruch ten rozbroił mnie.

...Poczekalnia w międzyczasie zaczęła się zapełniać. Ponieważ zaczęto wprost ordynarnie przypatrywać się nam, a także godzina odjazdu pociągu na południe się zbliżała, wyszliśmy na peron. Cały był już zapchany podróżnymi.

Przy samych torach zauważyliśmy tam i nazad maszerującego żołnierza. Zapatrzony w jakiś punkt przed sobą, udawał, że nic go nie obchodzą ludzie stojący obok.

Stanęliśmy na uboczu i przypatrywaliśmy mu się od niechcienia. Po kilku marszrutach, tam i nazad, przystanął. — Wypreżył się! To nas zaintrygowało. Zwróciliśmy wzrok na prawo — dokąd biegły jego oczy i zobaczyliśmy dwóch żołnierzy, tak jak i on ubranych, idących w naszą stronę. Przystanęli. Pierwszy z nich odsunął się na bok, a drugi w postawie na „baczość” — na coś oczekiwał. Zaciekawilo nas to! Nastąpiła prezentacja i wojskowa zmiana warty. — Odbyło się to w ten sposób: pierwszy zaprezentował broń i w takiej też postawie oddał swój karabin drugiemu. Teraz też drugi zaprezentował karabin, zawiesił go sobie na ramieniu i w ten sam sposób jak poprzedni, nie bacząc na nic i nikogo, równym, sprężystym krokiem, zaczął odmierzać peron.

Spojrzeliliśmy po sobie. Gdyby nie sutanna tarzalibyśmy się ze śmiechu po peronie.

Jeden reprezentacyjny karabin na cały dworzec. Przecież byliśmy na dworcu, a nie w sali teatralnej!

Ze śmiechem też wsiedliśmy do pociągu. Śmiech ten nie opuścił nas przez całą drogę. Scena z dworca podrażniła nasze „wesołości” gruczoły — i gdzie tylko spojrzeliśmy, widzieliśmy rzeczy tylko godne śmiechu! Przed nami oto usiadła jakaś gruba jejmość. Nie bacząc na nikogo umieściła swoje kosze obok siebie i oparłszy na nich głowę, zaczęła mruczeć, gwizdać. — Ks. Bełch umyślnie przysunął się do niej i niby niechcący zaczął jej wdmuchiwać w usta dym z papierosa. Żeby się zatchnęła — ale, gdzie tam? Przystawiła tylko gwizdanie na samowarek: fuch-fuch-fuch-fuch!

W drzwiach wagonu znów trzech poborowych raczyło się winem. Pili je — nie szklankami, ale wprost z ust do ust podawali sobie ogromny gąsior 20-litrowy. Wydawali przy tym takie przeraźliwe głosy, że uszy zatykać.

Na dobitkę zjawił się konduktor. Z okularami na nosie dość długo oglądał nasze bilety, kiwał przy tym niedowierzająco głową i zaczął coś w swoim pseudo-romańskim języku szwargotać. Pamiętam, że co drugie słowo kończyło się „re-sku”. Ks. Bełch przekonawszy się, że z tym biednym po nijakiemu nie można się dogadać, zwyzywał go po polsku, zaczynając od durniów, a skończywszy na „idiotyźmie”! Ostatnie słowo zdaje się zaimponowało konduktorowi, bo salutując nam — poszedł dalej! — Jak to znaczenie słowa może być zmienne!

Księżda Bełcha tak ta scena zirytowała, że już nie bacząc na nikogo i na nic, z braku miejsca, a spać mu się chciało, wywindował się na półki i tam urządził sobie legowisko. A ponieważ był to ksiądz „nie ułomek”, stąd też nogi od kolan w dół zwisały mu w przejściu i przeszkadzały przechodzącym. Coś o północy nadział się na nie jakiś strażak.

Nad ranem zawinęliśmy do Gołaczu. Niewyspani, bo nie było gdzie ani kiedy, gęsiego posuwaliśmy się do wyjścia. Przepuszczono nas. W hali dworcowej zajęliśmy wspólnie

jeden „kaćik” i jak kto mógł, urządziliśmy sobie drzemkę. Nasz prowodyr zaś, samowtór puścił się na miasto, wyszukać jakieś pobożne duszyczki, by nas nakarmiły, oczyściły i w jakiś sposób się nami zaopiekowały. Na odchodnym poodbierał nam paszporty.

Grupa dziwnie ubranych ludzi, byliśmy bowiem w kraju prawosławnym, bez waliz, zmęczeni — zaciekawiała nasamprzód podróżnych. Gapili się na nas jak na rarogów. Do nich przyłączył się następnie jakiś policjant — a nie mogąc od jednego z nas (zdaje się, że był to Borowy) nic się dowiedzieć — jeden gadał po rumuńsku, a drugi po polsku — sprowadził sobie do pomocy kilku cywilów. Ci też nie mogąc z nas nic wydobyć, kazali nam iść za sobą.

Zamknęli nas do jakiegoś biura!

„Tośmy wpadli” — mruczę do swego towarzysza, który rozespany przyczłapał za innymi, ale nie zdawał sobie sprawy, co się stało. Zaczęły się tedy indagacje. Próbowa- liśmy mówić z nimi po francusku — ale nygot — po niemiecku — nygot; po łacinie — też nygot. Oni swoje, a my swoje. W ogóle nie mogliśmy się dogadać. Pokiwali jedynie głowami, a na koniec, nie mogąc z nas nic wydobyć, porozumieli się ze sobą, a wychodząc zamknęli drzwi na klucz! — Areszt!

„Na to człowiek opuścić Polskę” — mruczał ktoś za mną — „by tutaj dać się zamknąć takim łapserdakom”.

Z ambarasu wybawił nas powracający ksiądz Bełch. Napotkawszy bowiem w pobliskim kościele jakiegoś franciszkanina, powrócił z nim na dworzec. — Jakże się zdziwił, nie zastawszy nas na dawnym miejscu! — Szukając jednak, znaleźli nas. Sprawił to ponoć obrotny franciszkanin. Uradowani, że na tym się skończyło, pocztapaliśmy z zadowoleniem za naszym „oswobodzicielem”. Ten co chwila obracał się w naszą stronę, więcej gestem niż słowem przedstawiając nasze położenie ojcu franciszkaninowi.

Zaprowadzono nas do pobliskiego domu zajezdneho; zda- je się, że był to klasztor; mniejsza jednak o to. Ważne było to, że zostawiliśmy „brudy” kolejowe na miednicach, a sami

władowali się pod czyste prześcieradła. „Spać! — Spać!” — domagało się całe nasze ciało.

„Choć na pół godziny” — mruzciliśmy, bo nasz przezacny wybawca objaśniał nam po łacinie, że zaprowadzi nas na obiad do pobliskiego klasztoru żeńskiego.

...Zwiedzając miasto, malowniczo położone w górach, spotkaliśmy jakiegoś księdza, który na wiadomość, żeśmy Polakami, zaprosił nas na obiad do pobliskiego seminarium duchownego. Zaproszenie oczywiście przyjęliśmy.

Podczas sutego obiadu — doszliśmy, że to seminarium prowadzili księża niemieccy. Ksiądz Bełch wtedy „soczystą łaciną” zaczął im opisywać sceny wojny w Polsce!... „...bombas cadere..., multos occisos vidisse..., talem populum barbarum non vidi... non sunt homines, sed bestiae...” — takie oto frazesy padały na zdumionych przedstawicieli narodu Panów!

Było to ostatnie miasto na terenie rumuńskim. Ponieważ podróż miała trwać kilkanaście godzin, zlecono mi zaopatrzyć współbraci w spyżę. Wywiązałem się z zadania zadowolająco. Za resztę bilonu rumuńskiego nakupiłem bułek, masła, owoców, kilka butelek oryginalnego wina — tak, że do samego Rzymu nie cierpieliśmy głodu. Obładowany pakunkami wróciłem na dworzec, gdzie zastałem już współbraci przygotowanych do wyjścia na peron. Nie żegnani przez nikogo, bo któż by żegnał nieznaną przybyszów z północy, wsiedliśmy do pociągu, który miał nas wyrzucić na jakiejś stacji krzyżowej w Jugosławii.

Coraz to bardziej oddalaliśmy się od naszej ukochanej Polski...

O północy do przedziału, który zajęliśmy, wepchnęło się kilku wojskowych. Byliśmy na granicy jugosłowiańskiej. Zażądali dokumentów. Podaliśmy je. Oglądali je z zaciekawieniem, bo takich paszportów jeszcze nie widzieli. Jeden z nich nawet opuścił wagon, ale zaraz powrócił, nakazując podstępować — wolny przejazd. Salutując całą ręką, poszli dalej. — Po nich wtoczył się do przedziału konduktor i oglądając

nasze bilety, przyjaźnie się uśmiechnął do nas, a mową zbliżoną do naszej oznajmił, że za jakąś godzinę musimy wysiąść, by przesiąść się do innego pociągu. Co ciekawe — mówił do nas po chorwacku i myśmy wszystko rozumieli. On jednak nas nie umiał zrozumieć. Byśmy nie pojechali za daleko, przyszedł osobiście do naszego wagonu:

„Prisiadka” — zawołał — „Orient Expres — Triest — Wenecja”.

Wysiedliśmy.

Ponieważ pociąg jeszcze nie nadszedł, usiedliśmy na pobliskiej ławce. Piękna, gwiazdzista noc, pozwoliła nam na moment zapomnieć, żeśmy w obcym kraju.

„Patrz” — szepnął mi ktoś siedzący obok — „czy nie tak samo świecą gwiazdy... tam... u nas?”

— Tak, gwiazdy były te same, ale ziemia nie taka sama... Tamta złana była obficie krwią walczących o wolność...

Z szumem, lecz bez wielkiego hałasu, wtoczył się na peron pociąg. Wsiedliśmy. Przedziały jednak zajęte były przez podróżnych, którzy przy przyściemnionym świetle, smacznie spali. Po chwili i my, ułożywszy się wygodnie, zasnęliśmy.

Ta sama procedura, co na granicy jugosłowiańskiej, odbyła się także z urzędnikami włoskimi. Obejrzeliby tylko nasze „oryginalne paszporty” i poszli dalej. O godzinie 5<sup>00</sup> byliśmy w Trieście.

Miasto piękne. Wybudowane na stoku góry, zupełnie przyległe do brzegu morskiego. Z daleka miało się wrażenie, że ulice z budynkami majestatycznie wchodzą w głębiny morskie. W godzinach porannych mało kogo spotykaliśmy na ulicy. Mieszkańcy woleli spokojnie siedzieć w domach, aniżeli być pod obstrzałem wiatru, dmącego silnie z gór. Na samym molo, dwóch tylko ludzi siedziało z istic spokojną stoicką powagą, z rozchełstaną koszulą na piersiach, spoglądało na wzburzone fale.

Jednemu z nas silniejszy podmuch wiatru strącił z głowy kapelusz. Szczęście, że tocząc się dosyć długo, oparł się bokiem o trotuar. Inaczej wpadłby w morze. Od tej też chwili, każdy z nas trzymał kapelusz w dłoni, albo też miał na głowie, lewą

ręką trzymając silnie jego boki. Wyglądało to tak, jakby każdemu przechodniowi mieli zamiar uchylić swej „siwizny”.

Po południu wstąpiliśmy do małej kawiarenki. Uprzejmy gospodarz, sam we własnej osobie — pofatygował się ku nam, ofiarując swe usługi. Tuszę miał nie byle jaką. Poznawszy jednak, że ma do czynienia z obcokrajowcami, dyskretnie się ulotnił, posyłając nam któregoś ze starszych kelnerów. Jakoś na migi dogadaliśmy się. Za chwilę pojawił się, niosąc na dość pięknej tacy kilkanaście, wielkości naparstka, filiżanek kawy. Smakowała nam bardzo, ale za to rachunek był „słony”.

„Qualche costa?” — zapytał ze zdumieniem ksiądz Betch.

Musiał zapłacić. Użył sobie na brukowym słowniku polskim, nazywając właściciela „opasłą świnią”. Na odchodnym, wyżej wymieniony głęboko nam się kłaniał, jakby dziękując za nadobny epitet.

Pochodziliśmy jeszcze po mieście i mniej więcej koło godziny trzeciej po południu, gnaliśmy już szalonym ekspressem brzegiem morza Adriatyckiego. Wspaniały widok rozlewał się przed nami. Morze dosyć wzburzone, pędziło swoje fale ku brzegom, a tu rozbijane, uspokajały się. Na ich miejsce, z takim samym pędem, napływały inne. Huk rozbijających się fal dochodził nawet do kabin pędzącego pociągu.

Zamyślony, patrzyłem w dal na morze.

„Bracie — a daleko jeszcze do Rzymu?” — doszły mnie głosy z boku. Zapytany musiał widać być podenerwowany bo odmruknął opryskliwie: „Usiądź na podłodze, spuść nogi, a plując na sufit — wyobraź sobie, że jesteś w Rzymie”.

Z pobliskich przedziałów, zaczęli wychodzić podróżni, a ogromne walizy świadczyły o celu ich podróży. „Ciagną na wczasy” — pomyślałem — „Wenecja” — obito mi się o uszy.

Aha! Dojeżdżamy do owego dziwnego morskiego miasta, mruknałem. Rzeczywiście! Przejeżdżaliśmy właśnie długi most. Ponieważ mrok już zapadł, cała trasa aż do samego dworca w Wenecji, ślicznie była oświetlona. Wysiedliśmy razem z innymi. Halę dworcową zastaliśmy w trakcie budowy. Ponieważ następny pociąg w stronę południa odchodził o północy, zamierzaliśmy przejść się trochę po tym oryginal-

nym mieście. Waliz żadnych nie mieliśmy; nie było więc obawy, by nam je „zwędzono”.

Zaraz na wstępie uderzył moje oczy widok oryginalny. Przed straganem stało sobie dwóch mężczyzn, którzy żywo o czymś rozmawiali; wywijali przy tym w taki sposób rękami i tak krzyczeli, in italiano, że zdawało mi się, że się pobijają!

„Patrz!” — trąciłem mego towarzysza — „zaraz zobaczymy hecę — bójkę na ulicach Wenecji!” Stanęliśmy więc opodal, by nie przeszkadzać przechodniom, chcąc być świadkami, jak to we Włoszech odbywają się porachunki osobiste. Inaczej się jednak stało. Podali sobie ku naszemu zdumieniu ręce i to najspokojniej; jeden z nich wejrzał jedynie dosyć podejrzliwie na nas (może na nasze kapelusze) i znikł za zaułkiem kamienicy.

Ciekawe! — Nawet bić się nie umieją — pomyślałem. I z nich korzyści nie będzie w przyszłej rozgrywce wojennej.

Po roku dopiero wyjaśniono mi, że to nie było żadne poróżnienie, ale zwyczajna pogawędka przyjacielska dwóch dawno nie widzących się osób. „Ale tak wywijać rękami i tak krzyczeć” — interpelowałem.

„Taki tutaj zwyczaj” — objaśniono mnie.

Właściwie jezdni w tym mieście nie ma. Chodnikiem bocznym mijają się ludzie, a środkiem płynie sobie spokojnie woda, zakłócona czasem rozspiewaną przejeżdżającą „gondolą” (urocza wenecka łódka) lub zwykłą motorówką.

Ks. Bełch, nasz starszy współbrat, zamierzał przy okazji zwiedzić plac św. Marka z jego piękną bazyliką. Wybraliśmy się na poszukiwanie. Napotkany Włoch, zapytany o drogę, chętnie udzielił nam wskazówek. Ale... choć uszu wyteżaliśmy jak „gacki”, nic z tych wskazówek nie zostało nam w głowie. Rozumie się, wywijał przy tym rękami, jak wiatrak skrzydłami.

„Buono, buono” — odpowiadał mylnie, ale uprzejmie ks. Bełch — „ale takim językiem mógłbyś sobie mówić do naszych krów polskich. Może by cię biedaku zrozumiały” — dodał, gdy tamten skończył objaśniać.

„Si, si” — przytakiwał dobrodusznie Włoch!

„Idź spać — i niech ci się przyśni makaron z marmoladą”.

Na odchodnym dodał jeszcze jakieś objaśnienie — ukłonił się i znikł w jakiejś sieni.

Popatrzyliśmy więc na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem.

„Gdzież więc ta droga?” — pytaliśmy się samych siebie. Ktoś doradził, by wziąć kierunek, w który nade wszystko wskazywały ręce Włocha. Poszliśmy więc w tym kierunku. Co chwilę musieliśmy przechodzić małymi mostkami na drugą stronę. Po godzinie takiej gonitwy z jednego chodnika na drugi, zauważyliśmy, żeśmy tu już byli. — Okazało się, żeśmy zrobili drogę okrężną, ale nie na plac św. Marka, ale na dworzec.

Zmęczeni wyprawą, bo nocą cóż można było zobaczyć, zawróciliśmy na dworzec. Na pociąg nie czekaliśmy długo. Nadjechał. — Był to naprawdę wspaniały pociąg. Koloru jasno-żółtego, z dala musiał być podobny do węża, ślizgającego się chyłkiem pomiędzy zielenią gajów oliwnych i winnic — urządzenia wewnętrzne też miał na „jeden”. Nie dziw więc, że takim pociągiem znaleźliśmy się w mig rankiem na dworcu rzymskim. Jak wyglądały okolice, przez które przejeżdżaliśmy, nikt nie mógł nic powiedzieć, bo każdego z nas wzięła w swe czułe objęcia Morfeusz — sen.

Roma — Rzym — Miasto Wieczne!

Któż by z nas pomyślał, że kiedyś znajdzie się w tym sławnym — świętym mieście! A jednak oczy nasze oglądały to, do czego tęskniły i tęsknią dziś jeszcze miliony serc na świecie.

Myśmy mieli zaszczyt w nim zamieszkać!

„Roma! — Roma!” — wykrzykiwał od niechcienia konduktor, schodząc powoli z pułmanowskiego wagonu. Oszołomieni hałasem, jaki rozgrywał się na peronie, wyszliśmy za nim, stanęliśmy opodal, by razem z falą podróżnych przesuwających się obok, wyjść na miasto...

...Oprzytomnieliśmy dopiero na placu dworcowym.

Teraz zaczynał się problem... „W którą stronę się udać? ...Rzym to nie pierwsza lepsza miejscina podkarpacka... Gdzie szukać siedziby naszych władz Zgromadzenia?

Z byle jakim Włochem nie warto było gadać, bo by znów mogła się powtórzyć komiczna scena z wczorajszego wieczoru. Wiatraki ręczne poszłyby w ruch, w towarzystwie dźwięcznych samogłosek — a dla nas pozostałby jedynie przyjemny uśmiech. Nie warto było próbować.

Traf jednak chciał, że właśnie obok, przepychał się jakiś ksiądz, możliwe że „prałat”, bo „kawałek czerwonego wyglądało mu spod koloratki”.

Doczepił się do niego ksiądz Bełch. Otoczyliśmy ich obu broniąc się uparcie fali podróżnych, wylewającej się z dworca, by nie być zepchniętymi na środek jezdni.

„Ubi est domus Congregationis Secerdotum Cordis Jesu?” — recytował powoli ks. Bełch. — ...via Mazzini...?”

„Utique, Domine...” — uprzejmie odpowiedział domniamany prałat, — recte dixistis — ...viale Mazzini...”. Poznawszy jednak obcokrajowców nie wdał się z nami w szerokie objaśnianie drogi, ale po prostu poszedł do tramwaju, pogadał z konduktorem — poprosił, byśmy zajęli miejsca, a na znak konduktora dodał: „debetis descendere”. To się rozumie załatwienie sprawy z rozumem. Następnie uśmiechnął się do nas, uchylił „rondelka” (oryginalne nakrycie głowy księży włoskich) pożegnał chrześcijańskim „Laudetur Jesus Christus” i znikł w tłumie.

Nasz tramwaj też ruszył z miejsca...

...Zza drzew wychyliła się ogromna budowla: uderzyła nas swoją czerwienią cegły i nie widzianym dotąd stylem konstrukcji. Była to Bazylika Chrystusa Króla, obsługiwana przez księży naszego Zgromadzenia: cel naszej podróży.

Prowadziło do niej kilkanaście schodów, zakończonych olbrzymimi drzwiami. Weszliśmy do środka skupieni, bo w sam raz przy głównym ołtarzu, który z dala wydawał się małym, rozdawano Komunię św. Uklękliśmy razem w pobliżu złożonych krzesel, które jak później wytłumaczono, wierni biorą sobie sami w dzień świąt, składając do umyślnej puszkki mały datek na cele kościelne.

Ogromna nawa przytłoczyła nas swoją wielkością. Oczy nasze przyciągał do siebie niezmiernej wielkości obraz przedstawiający Chrystusa Króla, wymalowany na tylnej ścianie prezbiterium. Z chóru dolatywały nas (raz ciche, raz głośne) tony organu.

Wpatrzeni w obraz i w przechodzących obok ludzi, wracających od balustrady nie spostrzegliśmy księdza Bełcha, który w międzyczasie się ulotnił.

„Venite” — doszedł nas szept z lewej strony.

Pochodził od postawnego sobie księdza, który ręką dawał nam znak, byśmy poszli za nim. Wprowadził nas do zakrystii. Razem z księdzem Bełchem, którego tu zastaliśmy, rozmawiającego z innym jakimś księdzem — przeszliśmy do poczekalni.

Ponieważ pozostawiono nas samych, pozajmowaliśmy dość liczne krzesła i w trakcie oczekiwania zaczęliśmy się dzielić pierwszymi wrażeniami. Obok mnie ktoś głośno zachrapał. Nie miałem czasu spojrzeć kto to był — a raczej do tego już byliśmy przyzwyczajeni, bo w drzwiach ukazał się dość dużej postawy ksiądz, uśmiechnięty, w którym bez trudu rozpoznaliśmy naszego Ojca Generała. Poznałem go zaraz, bo będąc jeszcze alumnem małego seminarium w Płaszowie, przebywałem z nim kilka dni w tamtejszym domu, dokąd był przyjechał na wizytację kanoniczną.

Uśmiech, okulary „a la O. Dehon”, a nade wszystko majestatyczna postawa, znamionowały tego nieprzeciętnego kierownika naszego Zgromadzenia.

Wchodząc, skinął nam głową i z owym nigdy nie schodzącym uśmiechem na ustach, podszedł do księdza Bełcha.

„Reverendissime Pater” — mówił ks. Bełch — „ego sum sacerdos saecularis Joannes Bełch et hi sunt clerici e Congregatione Sacerdotum Cordis Jesu. Omnes sumus exules Poloni”.

„Nostri igitur” — zdziwił się wielce O. Generał i począł się z nami serdecznie witać.

W tym właśnie momencie obudził się brat Borowy (on to w tej historycznej chwili zasnął) i widząc przed sobą

ogromną postać O. Generała, przepasanego kordonem, uratował nas wszystkich witając się z O. Generałem: „Vivat Cor Jesu!” — Prawdę powiedział Mędrzec: „Ex ore infantium et lactentium...”.

Rozmieszczono nas zaraz po górnych pokojach domu, który był dosyć duży, a jeszcze nie nadjechała „Studenteria” — czerpiąca soki wiedzy po licznych instytutach Wiecznego Miasta. Oglądaliśmy wszystko z zaciekawieniem, a szczególnie były nam drogie łózka, załane wełnianymi materacami...

„Mangiar-e-e” — budził nas braciszek około godziny 4<sup>00</sup>, pukając dość mocno w nasze drzwi.

„To już” — „kilka godzin snu..., a jakby z bicza strzelił...”.

W mig uwinąłem się z jedzeniem i wybiegłem na podcienia (tzw. portyki), gdzie już kilku z naszych gadało z O. Generałem i z kilkoma innymi księżmi. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali nowin. Wieści bowiem z Polski nadchodziły niepewne, a gazety tylko mimochodem wspominały o kampanii wojsk niemieckich w Polsce. Wielu z otaczających nas, niedowierzająco kiwało głowami, nie chcąc wierzyć, by Niemcy — ów naród kulturalny — w taki sposób mogli wojnę prowadzić.

„Impossibile — impossibile” — przysłuchując się mawiał sędziwy ks. Plissoneau, były prefekt Apostolski.

Powodzenie w opowiadaniu miał szczególnie ks. Betch, który w drodze z Polski do Włoch nabył takiej wprawy, że lepiej mu się mówiło po łacinie aniżeli po polsku. Nader barwnie umiał przedstawić barbarzyńców pruskich panoszących się nienaturalnie po naszych ziemiach.

Wieczorem, po nabożeństwie, na organach grający ks. Booz Alessio, szczerze nam oddany, zakończył tę piękną funkcję melodią „Boże, coś Polskę”. Tym chciał nam jakoby przypomnieć sprawiedliwą „wszechmoc Bożą”, która nigdy nie opuszczała naszej Ojczyzny w tarapatkach dziejowych. „...Przed Twe ołtarze, zanosim błaganie, Ojczyznę wolną razc nam wrócić, Panie”.

Tego wieczoru powiadomiono nas, że nazajutrz ma się odbyć specjalna audyencja papieska na Castel Gandolfo dla Polonii Rzymskiej, przebywającej w Wiecznym Mieście, jako dowód przywiązania i interesowania się żywo naszym bytem narodowym przez Stolicę Świętą.

Audyencja ta miała się odbyć w godzinach popołudniowych.

Mylna jednak informacja sprawiła to, że przybyliśmy na salę przyjęć kilka minut później (podwieziono nas na Castel Gandolfo taksówkami) w momencie, kiedy w imieniu Polonii Rzymskiej i Polaków w ten czas w Rzymie znajdujących się, przemawiał Jego Emin. Ks. Arcybp August Hlond, Prymas Polski. Rozumie się, że z tego przemówienia nic nam nie pozostało, bośmy go nie rozumieli, ale za to szczegółowo mogliśmy się przypatrzeć Ojcu Świętemu i innym obecnym na sali. Wzrok nasz przesunął się od wyniosłej postawy „Piusa XII” na jego dwór i na elitę Polonii Rzymskiej, na czele której ówczasie stali ambasador przy Stolicy Świętej Von Papee i ambasador przy Kwirynale gen. Wieniawa Długoszewski.

Nade wszystko wpatrzeni byliśmy w majestatyczną postać Ojca Świętego.

Po przemówieniu Kardynała Prymasa i po ucałowaniu przez niego pierścienia „Św. Rybaka” — powstał Pius XII. Na sali uciszyło się. Przemówił, ale znów w języku francuskim, którego ledwo powąchaliśmy w gimnazjum.

...Po przemówieniu Ojciec Święty zeszedł ze swego tronu i obchodził salę, dając w dowód swego współczucia i przywiązania do nas, rękę z pierścieniem „Świętego Rybaka” do ucałowania. Obok niego szedł w swych purpurach Księcia Kościoła — Kardynał Hlond.

Na zakończenie ambasador von Papee zaintonował stary hymn, śpiewany nade wszystko w krytycznych momentach naszego kraju: „Boże, coś Polskę”. Ostatnich słów nie mogliśmy dokończyć; oczy mieliśmy pełne łez.

Oto grupa Polaków w obliczu Następcy Chrystusa Pana wyzywa Boga, by raczył nam Ojczyznę wrócić „wolną”.

Podczas śpiewu Ojciec Święty stał. Zdawało mi się, że pod koniec śpiewu i jego oczy zaszyły łzami.

Udzielił nam swego błogosławieństwa..., lecz go nie dokończył. Odwrócił się nagle i znikł w tłumie prałatów, którzy mu towarzyszyli.

Z Castel Gandolfo wracaliśmy pełni otuchy. Znalazł się bowiem ktoś, kto obok Anglii i Francji ujął się za naszą Ojczyznę. Tamci wspierali ją oręcznie (powinni by), tu zaś Stolica Święta z Piusem XII na czele poparła moralnie nasze dążenie do bytu niepodległego. „Wasza Ojczyzna nie może zginąć”.

Następne dni toczyły się normalnie. Jedyne Ojciec Generał bił się z myślami: co z nami począć? Kilkunastu ludzi niełatwo umieścić w jakimkolwiek domu. Sprawa była niełatwa do załatwienia.

Najpierw zamierzano nas wysłać do Stanów Zjednoczonych, ale na przeszkodzie stanęło „morze”, już w owym czasie „niespokojne”. Mówiono następnie o Hiszpanii, ale telegraficzna odpowiedź wysłana z Madrytu przez tamtejsze władze Prowincji — też zniweczyła te zamiary. Zostaliśmy więc na lodzie. Ostatecznie przyjęła nas w swe grono — tętniąca życiem — rozrastająca się Prowincja Włoska.

W międzyczasie, kiedy Rada Generalna z Ojcem Generałem na czele decydowała o naszej przyszłości, zwiedzaliśmy w ramach możliwości Rzym podziwiając jego zabytki.

Pierwsze kroki po Wiecznym Mieście skierowaliśmy w stronę Watykanu. Godnym widzenia była naprawdę Bazylika Świętego Piotra, ze swoim sławnym, na cały świat placem. Rok rocznie na tym placu gromadzą się olbrzymie tłumy, by z balkonu znajdującego się ponad głównym wejściem do Bazyliki, otrzymać specjalne błogosławieństwo „Urbi et Orbi” udzielane przez Wikariusza Chrystusowego.

Zwiedziliśmy ją — oprowadzani osobiście przez Najprzewielebniejszego Ojca Generała.

Zaczęliśmy ten piękny fragment w naszym życiu Mszą św. odprawioną w naszej intencji przez Ojca Generała w kryptach św. Piotra. Stamtąd podeszliśmy do sławnej statuy św. Piotra, którą ze złości ucałowaliśmy, jak to jest w zwyczaju, by oddać

hołd pierwszemu biskupowi rzymskiemu, dawnemu „rybakowi” znad jeziora Genezalet. Przy akcie pocałunku zauważyłem, że miejsce dotknięcia warg — był nim wielki palec u nogi świętego Apostoła — mocno było już starte. Stąd posunęliśmy się do wielkiego ołtarza, stojącego na środku Bazyliki, na miejscu, gdzie w podziemiach miał się znajdować grobowiec św. Piotra. W przechodzie mieliśmy możliwość ogarnąć oczyma cały ogrom tej świątyni, zbudowanej w formie krzyża przez trzech sławnych architektów z okresu renesansu włoskiego.

Nie da się wyliczyć ołtarzy, statui, ornamentacji i malowideł, jakie zdobią mury wewnętrzne Bazyliki. Nie można też nadziwić się nad jednym: bo krok dalej inny nasuwa się obraz — piękniejszy od poprzedniego. Tam wszystko było piękne. Obszedłszy dookoła „Konfesję św. Piotra” prowadzono nas do zakrystii, w której, bez przesady mogłaby się pomieścić nasza kaplica płaszowska. Tu już nie piękno nas ujęło, ale bogactwo ornamentacji.

W powrotnej drodze z zakrystii do wyjścia, Ojciec Generał zatrzymał się przy ołtarzu Serca Jezusowego, który kazał wstawić Papież Benedykt XV, na usilne prośby naszego Ojca Założyciela. Wzorem naszego Fundatora, który nie omijał nigdy tego ołtarza, kiedy przebywał w Rzymie i myśmy się tam zatrzymali, by polecić się szczególnej opiece Bożego Serca. A tak tej opieki potrzebowaliśmy.

...W następnych dniach pojechaliśmy z ks. Barcelonim, przyszłym misjonarzem, przygotowującym się na wyjazd do Kongo, oglądnąć inną osobliwość Rzymu: katakumby. Jeżeli to, co się widzi na powierzchni Rzymu było obrazem rozkwitu i znaczenia, to w katakumbach można podziwiać Kościół Chrystusowy z okresu prześladowań. Katakumby są to podziemne chodniki — pozostałe po pracach ziemnych. W nich to pierwsi chrześcijanie, prześladowani i męczeni, kryli się ze swoim „Credo”, odprawiali Msze św. i grzebali męczenników, których mnóstwo dostarczały areny cyrkowe. Jest to jednym słowem

cmentarz męczenników. Cały Rzym podobno ma być podminowany owymi podziemnymi chodnikami.

Myśmy zwiedzili tylko część katakumb — zwanych katakumbami św. Kaliksta. Oprowadzał nas po nich Polak, objaśniając szeroko ich historię, kult i teren nowych badań pierwszych wieków Kościoła.

Do dziś dnia utkwiła mi w pamięci piękna statua św. Cecylii — męczenniczki, dzieła nieznanego mi bliżej rzeźbiarza. Autor wykonał ją w pozie — zaraz po śmierci, z odciętą głową, ale z trzema palcami wysuniętymi naprzód. Palce te mają wskazywać jej silną wiarę w Trójcę Świętą i zmartwychwstanie.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy do „Coloseum”. To jeden z największych cyrków okresu prześladowań. Tam każdy kamień przesiąknięty jest krwią męczeńską. Ks. Barceloni zaprowadził nas do jednego z licznych krzyżów, który na swych barkach miał przywlec jeden z pielgrzymów bawarskich. Włókł się z nim ponoć pół roku.

Przedobry ks. Barceloni wziął sobie jakoby za punkt honoru, by w tych kilku dniach jakie mieliśmy do dyspozycji, pokazać nam cały Rzym w schemacie. Po prostu były takie dni, żeśmy biegali od jednego kościoła do drugiego. Oszło mieni byliśmy tym wszystkim i dziś trudno mi sobie przypomnieć to, gdzieśmy byli i cośmy widzieli.

Z mgły jakoby wyłania się przepiękna bazylika św. Pawła za Murami. Obsługują ją oo. benedyktyni. Utkwiła mi w pamięci kaplica, w której zebrani mnisi w czarnych obszernych habitach, cudownie śpiewali po gregoriańsku „Vesperae et Completorium”.

Były jeszcze inne piękne bazyliki, monumenty, pamiątki, ale to już oglądaliśmy ze znużeniem. Nie pomagały nawet towarzyszące uśmiechowi słowa ks. Barceloniego: „Possumus videre...”.

Patrzyliśmy na wszystko oczyma ze — szkła. Za dużo tego było. Pamięć nasza już była przesycona. Dzisiaj z radością i zainteresowaniem oglądałbym bezcenne zbiory Biblioteki Watykańskiej. Ale wtedy szło się za przewodnikiem tylko — z grzeczności.

Cóż mię mogły obchodzić cenne malowidła albo rzadkie okazy kultury historycznego Rzymu, kiedy umysł raz w raz uciekał do kraju, błędząc pomiędzy mogiłami, podświadomie słysząc straszliwe ryki bombowców i niezapomniane szloch matek.

Są takie momenty w życiu człowieka, że bokiem mu wychodzą najlepsze potrawy kulinarne, a za wszelką cenę zapra gnąłby czarnego chleba spod najuboższej wiejskiej zagrody.

Przypuszczam, że w takiej sytuacji znalazła się grupa kleryków sercańskich.

Kiedy pewnego dnia wieczorem wróciliśmy z takiej „wycieczki po Rzymie”, wielką ulgą jak dla mnie były słowa Przew. Ojca Generała: „Carissimi Confratelli — cras prope rabitus ad Oropam”.

Jedna faza naszego życia się zamykała..., ale jaka będzie przyszłość? Mieliśmy opuścić Rzym, ów piękny Rzym, który powinno się było oglądać z innym nastawieniem w duszy, bo dotąd oglądaliśmy go przez pryzmat pól — gęsto zasłanych trupami i oświetlonymi dogasającymi pożarami miast.

Opuściliśmy Rzym „symbol wolności każdego człowieka” — ale jak dalej potoczą się nasze losy?

Przyszłość stała przed nami czarna, a horyzont, od kilku miesięcy zaciągnięty brzemieniami zajściami politycznymi, zamiast się rozjaśniać, coraz to bardziej przybierał kolory czerwieńsze.

Nikt nie jest w stanie odczuć walki, jaka rozegrała się w głębi naszych dusz. Słowami tego opowiedzieć nie można i nikt nie byłby zdolny wypowiedzieć, chyba że sam znalazłby się kiedyś w orbicie tych wewnętrznych zmagañ.

Nie dziw więc, że wielu nas nie umiało zrozumieć. Nawet ci najbliżsi...

Boskie Serce Jezusa opiekowało się jednak nami nadal.



## FELSZTYN — BUDAPESZT — WŁOCHY

Smutne wypadki z pierwszych dni września 1939 roku spowodowały, że musieliśmy opuścić drogie mury felsztyńskiego domu. Podzieleni na grupy, skierowaliśmy się w ucieczkę ku Kołomyży, gdzie mieliśmy się zejść i otrzymać dalsze instrukcje. Bez przeszkód dotarliśmy do Sambora — była już późna noc. Miejsce na nocleg wybraliśmy poza miastem, ale do tej decyzji przyczynił się widok rozbitego przez bomby niemieckie na dworcu w Samborze, osobowego pociągu.

Nazajutrz była niedziela 10 września 1939 roku. Cisza niedzielnego poranka sprawiła, że bez obawy wybraliśmy się do pobliskiego kościółka. Nie obeszło się jednak bez dwukrotnej, panicznej ucieczki z kościoła na skutek operacji niemieckich samolotów bombowych. Po Mszy św. powróciliśmy do stodoły, by dopełnić odpoczynku. Niestety, odpoczynek ten przepełniony był ustawicznym lękiem, przechodzącym niekiedy w nieprzytomny wprost strach. Koło stodoły, w której znajdowaliśmy się, obozowało liczne wojsko polskie, stanowiące stałą pokusę dla samolotów niemieckich. W niepewności i obawie przetrwaliśmy na owym miejscu do wieczora. Pod wieczór, korzystając że i poczta polowa wojskowa, wybierała się w drogę, władowaliśmy na jej wóz swe walizki i ruszyliśmy w drogę.

Zaraz w jej początku zaatakował naszą „karawanę” niemiecki samolot, strzelając silnie z karabinu maszynowego. Popłoch, jaki nastąpił z tego powodu, trudno opisać. Obeszło się jednak bez ofiar.

Po pewnym czasie marszu, zauważyliśmy przed sobą olbrzymią łunę — to Polmin benzynowy w Drohobyczu płonął. Niesamowity widok rozpościerał się w miarę zbliżania się do Drohobycza. Łuna pożaru sprawiała, iż na 8 kilometrów

wokół było jasno jak w dzień, skłębione zaś, gęste chmury dymu, wisały niskim pułapem nad całą okolicą.

Pod Drohobyczem zgubiłem swoją grupę, a w poszukiwaniu za nią natrafiłem na inną, zdążającą z jezuitami z Chyrowa ku Kołomyji. Jakiś czas szedłem z nimi, gdy jednak dowiedziałem się, że widziano w pobliżu księdza Majkę, opuściłem gościnną grupę, udając się w pogoń za nim. Byłem zmuszony powtórnie, i to sam, przechodzić przez płonący Drohobycz, potem przez Stryj, który opuszczałem szybko, obawiając się bombardowania. Zatrzymałem się dopiero w Morszynie. Tutaj w klasztorze oo. franciszkanów dowiedziałem się, iż moi współbracia byli u nich przed chwilą i zostawili walizki. Nie było rady — puściłem się w pogoń za nimi.

Drogi zapchane były wojskiem polskim — stale mnie legitymowano. Wreszcie oficerowie polscy na pewnym odcinku drogi zatrzymali mnie i nie pozwolili samemu puszczać się w drogę twierdząc, że pierwszy lepszy Ukraińiec może mnie zamordować. Zatrzymano nadjeżdżające auto. Jechał nim jakiś wyższy oficer francuski. Załadowano mnie. Właściciel auta przyjął mnie serdecznie, a gdy dowiedział się, że znam język francuski, że byłem we Francji, był bardzo uradowany. Częstoował mnie owocami i słodyczami. Pomimo tak miłego towarzystwa, musiałem wysiadać w Bolechowie, gdyż tutaj miałem dowiedzieć się o mych towarzyszach ucieczki. Ksiądz proboszcz poinformował mnie, że poszli oni do Jamerstalu (po polsku: Równe), jednej z kolonii niemieckich.

Ruszyłem w drogę. Strach jednakowoż nie dawał mi spokoju. Napotkani żołnierze ostrzegali mnie przed Ukraińcami, którzy czyhali na życie każdego Polaka. Wprost z każdym krokiem obawy me wzrastały. W pewnej chwili widząc z daleka na drodze grupę Ukraińców, byłem przekonany, iż śmierci nie uniknę. Zbliżając się do nich pochwaliłem Boga po ukraińsku: „Sława Ojcu, Jezu Christi!” Odpowiedzieli: „Sława na wieki!” Odetchnąłem. Możliwe, że brali mnie za swego popa.

Spotkałem wreszcie jakąś kobietę, która na moje: „Sława Ojcu...” odpowiedziała po polsku: „Na wieki wieków. Amen”. Zdziwiony tym zapytałem, skąd wzięli się tutaj Polacy. Oka-

zało się, że wszedłem na teren kolonii niemieckiej Jamerstal. Osadnicy niemieccy mieszkający tutaj musieli zamieszkiwać te tereny od 300 lat — żyli ubogo. Po ruchach i śpiewach, można było wyczuć radość z powodu zbliżających się wojsk niemieckich. Owa kobieta zaprowadziła mnie do domu, gdzie mieszkali ks. Cichoń i ks. Brezan wraz z kilkoma klerykami. Pozostaliśmy wśród kolonistów niemieckich około 2 tygodni. Było nam tam bardzo dobrze. Ten kilkunastodniowy odpoczynek wśród lasów jamerstałskich został przerwany na wiadomość o zbliżających się z jednej strony wojskach niemieckich, a z drugiej rosyjskich.

Po długich wahaniach, ks. Cichoń zdecydował by ruszyć w kierunku granicy węgierskiej. Sam jednak postanowił pozostać na miejscu. W rzeczy samej, wyruszył za nami o dzień później, schodząc się z nami w Budapeszcie.

Grupie naszej przewodniczył ks. Brezan. Droga wiodła przez wielkie lasy — unikaliśmy głównych szlaków ze względu na bliskość frontu. Wstąpiliśmy do napotkanej na drodze leśniczówki, gdzie znaleźliśmy dwóch naszych, którzy przyłączyli się do nas. Na pewnym odcinku naszej drogi, prowadził nas jakiś napotkany Ukraińiec; czuliśmy jednak przez cały czas obawę, by nas nie zaprowadził do jakiejś bandy ukraińskiej, która by nas wymordowała. Gdy z dala ukazały się domy jakiegoś osiedla, opuścił nas, bojąc się widocznie, by nie posądzono go o kumanie się z Polakami. Jakiś czas potem szliśmy sami, ale też wkrótce straciliśmy orientację. Z kłopotu wybawił nas pewien gajowy, Polak, który polecił swemu 12-letniemu synowi, na bliższe, przez wysokie góry, przeprowadzić nas do właściwej drogi. Przy przejściu przez łańcuch górski złapała nas gwałtowna burza, która przemoczyła nas do suchej nitki. Schroniliśmy się na czas jakiś przynajmniej w opuszczonym dworku, gdzie też przebraliśmy się, zrzucając z siebie przemoczone i zabłocone ubrania. Śpieszyliśmy się bardzo, gnani obawą, iż nie zostaniemy wpuszczeni na teren Węgier. To tu, to tam zachodziliśmy do domów ukraińskich, by osuszać ubrania — przyjmowano nas niechętnie, nie chąc sprzedać nawet garnuszka mleka. Późną

nocą natrafiliśmy na pewne osiedle. Przyjęto nas dość gościnnie i bylibyśmy tam spędzili noc, ale niestety, doszła do nas wiadomość, iż o północy granica będzie już zajęta przez wojska rosyjskie i zamknięta. W mokrych sutannach poderwaliśmy się do dalszego, jeszcze szybszego marszu — do granicy było przecież tak daleko. Ukraińcy straszili nas, że Węgrzy źle obchodzą się z Polakami i że doznamy niezbyt gościnnego przyjęcia. — Szliśmy stale wśród olbrzymich lasów.

Gdzieś koło północy, oślepiające światło latarki razi nas w oczy. Zostajemy zatrzymani przez Węgrów ze straży granicznej:

— „Kto tam? Wojsko Polskie?” — pada pytanie w dość śmiesznej polszczyźnie.

— „Nie! Księża polscy” — odpowiadamy natychmiast.

Ustąpili zaraz, przepuszczając nas na terytorium Węgier. Poczęstowaliśmy ich papierosami, dopytując się o drogę do najbliższej wioski. Okazało się, że do najbliższej wioski było jakieś 8 kilometrów.

Zapusciliśmy się znowu w głębokie lasy. Chłód i mokre ubrania dawały nam się we znaki, ustąpił jednak strach przed straszną wojną, a tymczasem poprawiło się nasze samopoczucie. Teraz dopiero oceniliśmy, co to jest pokój, jak wielkim dobrodziejstwem jest on dla ludzkości.

Po godzinnym marszu dotarliśmy do małego miasteczka węgierskiego Turoń. Ludność miasteczka spała — pomimo tego na ulicach panował ruch — to nasi, polscy żołnierze kręcili się wszędzie, składali broń na stosy na skutek zarządzenia władz węgierskich. Wyraz twarzy mieli przygnębiony — kosztowało ich to oddanie broni — niektórzy podobno nawet odbierali sobie życie przy tym. Wmieszaliśmy się w tłumy żołnierzy, tu i ówdzie padały przekleństwa. Dość apatycznie odnosili się do swego otoczenia. Jedna tylko myśl opanowała nas: znaleźć dom, w którym by nas przyjęto, pozwolono osuszyć mokre ubrania i zdrzemnąć się trochę. Wreszcie w jednym małym domku zobaczyliśmy światło. Natychmiast zwróciliśmy się w tę stronę. Nie zaraz nam otworzono. Mimo palącego się światła, domownicy spali: „Berek na ławce, a Rebeka

z dziećmi na piecu” — tak nazwaliśmy mieszkańców owego ubożego domku, którzy według naszych przypuszczeń byli pochodzenia semickiego. W izbie panował brud i nieporządek — opanowaliśmy uczucie wstrętu i usiedliśmy na workach z ziemniakami, byle się trochę zagrzać i osuszyć. Przebiedowaliśmy tak do rana. Rano umyliśmy się w strumyku płynącym obok domu. Wyglądaliśmy okropnie, buty, sutanny i spodnie ubłocone. Przyprawiliśmy jako tako do porządku naszą garderobę i powróciliśmy do domu Berka, by zapłacić za przytułek. Stary Żyd wymawiał się, a gdy chcieliśmy mu dać papierosów, odrzekł: „Ja nie fajcaju!”

Skierowaliśmy się ku plebanii. Po drodze wyżebraliśmy bochenek chleba od żołnierza węgierskiego. Na plebanii ksiądz proboszcz poczęstował nas tylko herbatką — chleba nie było w całym miasteczku, gdyż wszelkie jego zapasy skonsumowali żołnierze polscy. Po tym postnym śniadaniu uprzejmy ksiądz proboszcz udał się na poszukiwanie jakiegoś auta, które by nas za polskie pieniądze podwiozło do Bereksasu, miasta przez które przechodziła linia kolejowa. Stamtąd mieliśmy się udać do Budapesztu.

W niedługi czas potem, osobowym autem, śliczną drogą, wijącą się przez węgierskie Karpaty, jechaliśmy do Bereksasu. Gdy zatrzymaliśmy się na krótki postój w jakimś miasteczku, ludność przyniosła nam do auta chleb, słoninę, paprykę i wodę sodową. To Opatrzność czuwała nad nami — z wilczym apetytem skonsumowaliśmy przyniesioną żywność.

W Bereksasie przyjął nas miejscowy ksiądz proboszcz nadzwyczaj gościnnie. Ugościł nas, nakarmił i postarał się o zmianę w banku polskich pieniędzy, jakie mieliśmy ze sobą, na węgierskie. — Wiele czasu poświęciliśmy na oczyszczenie naszych sutann i obuwia, ale mimo tego wyglądaliśmy niezbyt pociągająco. Całe szczęście, że do Budapesztu, stolicy Węgier, przyjechaliśmy w nocy. Wyszedszy przed dworzec budapesztański, stanęliśmy, nie wiedząc co ze sobą począć, gdzie się udać? Ks. Brezan, jako przełożony naszej grupy, był w wielkim kłopotcie — my również robiliśmy poważne miny, namyślając się co robić. Nagle przypomniało mi się, że kiedyś oglądałem

w „Przewodniku Katolickim” rycinę przedstawiającą klasztor oo. paulinów w Budapeszcie, położony na wysokiej skale. Podzieliłem się z tą myślą z naszymi współtowarzyszami i w chwilę później atakowaliśmy w języku niemieckim szofera budapesztańskich pojazdów osobowych. Oczywiście, nie dogadaliśmy się wcale, szofer jednak kiwał głową na znak, że nas zrozumiał! Było nam obojętne, czy zrozumiał czy nie — wsiedliśmy ciekawi, gdzie nas powiezie. Przejechaliśmy długi i piękny most na Dunaju i po krótkiej jeździe auto zatrzymało się przed dużą skalistą górą. Szczyt jej tonął w mrokach wieczornych. Szofer wskazał nam ręką górę mówiąc: „Palosz”.

Po licznych schodach dotarliśmy do kaplicy oo. paulinów, gdzie odbywało się jakieś nabożeństwo. Właśnie gdy wchodziliśmy, kończyło się. Po krótkiej modlitwie dziękczynnej udaliśmy się do zakrystii. Mieliliśmy naprawdę szczęście. Pierwszy braciшек pauliński, do którego zwróciliśmy się, okazał się Polakiem. Z ubolewaniem wyznał, iż do klasztoru przyjąć nas nie mogą, gdyż jest on już przepełniony uciekinierami z Polski. Jeszcze nie skończył mówić, gdy zbliżyły się do niego jakieś dwie panie z zapytaniem, czy nie ma może Polaków, którzy by byli dotąd bez dachu nad głową. Uznaliśmy to za nowy dowód czuwania nad naszą dolą Opatrzności. Wraz z dwoma współbraćmi dostałem się pod opiekę pewnej bogatej Węgierki, która coś niecoś umiała po polsku i po słowacku. Luksusowo i bogato urządzone salony, do których dostaliśmy się, sprawiały, że czuliśmy się onieśmieleni. Rankiem spotkaliśmy się wszyscy w klasztorze oo. paulinów. Nie można nie powiedzieć tu słów parę o ustosunkowaniu się Węgrów do nas. Odnosili się do nas serdecznie, wręczając niejednokrotnie bogate jałmużny i to nie tylko nam, ale i żołnierzom polskim. Oprawdzali nas po mieście, kupowali rozmaite rzeczy. — Ofiarowali również Mszę św. w naszej intencji i modlitwy.

Po kilku dniach pobytu w Budapeszcie, zostaliśmy przeniesieni do ss. salwatorianek i tam spędziliśmy dalsze dwa tygodnie, czując się wyśmienicie.

Przez cały czas staraliśmy się o pozwolenie na wyjazd do Włoch, co nie szło jednak łatwo — zastępca konsula

powiedział nam, że pierwszeństwo mają ci, którzy wyjeżdżają do Francji, by zasilić tam szeregi wojska polskiego. Nie omieszkaliśmy niepokoić w tej sprawie i Nuncjusza Papieskiego, włoskiej narodowości. Gorzej przedstawiała się sprawa z ks. Brezanem, który nie posiadał żadnych dokumentów osobistych. Udał się on pewnego dnia do jednego z ministrów węgierskich, który wystarał się mu o paszport międzynarodowy, a za całą zapłatę zażądał błogostawieństwa, którego też udzielił mu ks. Brezan.

Na oczekiwaniach zeszedł nam cały miesiąc. W końcu załatwiliśmy wszystkie formalności i droga do Włoch stała przed nami otworem. Żał nam było opuszczać gościnne mury Budapesztu i ten przytulny kościółek oo. paulinów, gdzie codziennie zbierali się Polacy na nabożeństwo. Pamiętam, że w pewnej chwili nosiliśmy się już z poważnym projektem osiedlenia się na Węgrzech i założenia tam placówki sercańskiej. Jednakowoż osoby doświadczone, odradzały nam to.

Żegnaliśmy wspólnie Budapeszt, a zarazem oddalaliśmy się coraz bardziej od Polski.

Gdzieś po północy pociąg przywiózł nas do Triestu. Potem jechaliśmy do Mediolanu, gdzie musieliśmy się rozdzielić: ks. Cichoń z nowicjuszami pojechał do Albisoli, nowicjatu Prowincji Włoskiej, reszta, w której gronie i ja się znalazłem, udała się do Wercelli, a stamtąd do miasta Biella, koło którego znajduje się miejscowość Oropa Bagni, gdzie znajdował się w owym czasie Scholastykat Prowincji Włoskiej.

Zajechawszy do Biella, pytamy o drogę do Oropy. Jakaś pani, poznając w nas cudzoziemców, wskazała wysoki alpejski szczyt, pokryty śniegiem, a poniżej maleńki biały dom, podobny z dala do gniazda jaskółczego przylepionego do skały i mówi: — „Là è bello, ma è freddo!” (tam jest ładnie, ale zimno).

Nim wybraliśmy się w drogę, spotkał nas ks. Remor, pełniący rolę ekonomy scholastykatu, wysłany po to, by nas przyprowadzić do Oropy. Wsiedliśmy razem do tramwaju, który wił się koło godziny jak wąż, wznosząc się coraz wyżej i wyżej. Linia tramwajowa prowadziła do Sanktuarium Matki Boskiej w Oropie, położonego o jakieś 100 m powyżej naszego schola-

stykatu. Jadąc tramwajem podziwialiśmy piękno okolicy rozpościerającej się poza oknem tramwajowym. Zachwyciła nas zwłaszcza Polona, wioska rodzinna Jerzego Frassattiego.

Przed domem scholastykatu oczekiwali na nas wszyscy scholastycy — witali nas bardzo serdecznie. W gronie ich ujrzałem grupę naszych felsztyńskich towarzyszków, którzy uciekając przez Rumunię, o miesiąc blisko wcześniej od nas przybyli do Włoch.

Po kilku dniach wypoczynku i zapoznania się z nowym trybem życia, weszliśmy w rygor i twardą dyscyplinę Provincji Włoskiej. Trudności mieliśmy wiele do pokonania. Przenikliwe zimno, jakie panowało na wysokości, na której się znajdowaliśmy (ponad 1000 m nad poziomem morza), dokuczało nam najwięcej. Po kilku dniach wspomniały mi się słowa Włoszki: „*Là è bello, ma è freddo*”. Trzęśliśmy się wprost bez przerwy. O niskiej temperaturze świadczy fakt zamarzania wody w miednicy przez noc. Dzbanki z wodą (szklane) trzeba było starannie chować do szafy na noc, w przeciwnym razie można je było znaleźć rano w kawałkach.

Drugą poważną trudność stanowił język włoski, którego na gwałt trzeba było się uczyć, gdyż naukę filozofii zaczęliśmy natychmiast. Jako znający już język włoski, pomagałem w nauce współbraciom z polecenia ks. Ceresoliego. Nauka jednak wyraźnie nie wchodziła do głowy — były one bowiem przepełnione polityką i wiadomościami z kraju, chociaż skąpymi, jakie do nas docierały. Nowe środowisko, w jakim się znaleźliśmy, swą nowością nie przyczyniało się do tego, by móc ze spokojem zabrać się do nauki. Zmiana pokarmów dawała się także silnie we znaki — po dłuższym dopiero czasie przyzwyczailiśmy się do włoskich sałat i innych różności.

Do największych trudności zaliczyć należy nieufne ustosunkowanie się polskiej grupy do scholastyków włoskich, u podstaw której leżała przyjaźń Włochów do Niemców. Stwarzało to wiele konfliktów między nami, a zarazem trudnych sytuacji dla Przełożonych. Ks. Ceresoli umiał jednakowoż pogodzić jednych z drugimi, łagodzić ostre nieraz wystąpienia obu stron. Z czasem wspólne nastawienie zmieniło się, zżyliśmy się z Włochami,

wielu z nich nauczyło się po polsku. Nawet kilku z profesorów zbliżyło się do nas, otaczając nas swą życzliwością. Wśród nich wybijał się na czoło profesor Sangalli, wykładający nam język włoski i historię. Był on zdecydowanym wrogiem faszyzmu i Niemców. Pocieszał nas, że Niemcy wojnę przegrają, a Polska będzie większa niż dawniej.

Bardzo przykre były dla nas konferencje o Pituglianiego, redemptorysty, który utrzymywał, że Włosi potrzebują faszyzmu i jego dyscypliny, albowiem bez tego nie potrafią żyć dobrze. Po takiej konferencji nie biliśmy nigdy brawa, co czynili wszyscy obecni.

Nie brak było przecież w naszym życiu i rozrywek. Do nich należały cudowne przechadzki w Alpy czy też w okolice położone niżej Oropy. Zachodziliśmy często do Polone, rodzinnej wioski Jerzego Frassattiego. Nawiasem wspomnę, że siostra Frassattiego była zamężna za Polaka, niejakiego Gawrońskiego. I otóż córeczka jej, prowadziła nas zwykle na grób wujcia, niosąc klucz od grobowca, zamienionego na kapliczkę, a malowaną przez jego matkę-artystkę. Mała rozmawiała z nami raz po polsku, to znowu po włosku, czy francusku i to zupełnie poprawnie.

Innym razem udawaliśmy się do pobliskiego Sanktuarium Najświętszej Maryi Panny, by tam w modlitwie dać upust uczuciom tęsknoty za Ojczyzną. Sanktuarium obsiane było wprost kapliczkami wypełnionymi różnymi figurami tworzącymi obrazki z życia Matki Boskiej.

W zimie całe miasto Biella wylegało na narty do Oropy. Na wiosnę, okoliczne łąki pokryły się różnobarwnym kwieciami tak bogato, że o kwiaty do kaplicy nie trzeba było się martwić. Lato przynosiło ze sobą niezapomniane widoki — raz gęsta mgła na górze, a dolinę ozłacały promienie słoneczne, innym razem na dole burza z piorunami, a na górze śliczne słońce, muskające promieniami rude i bure skłębione wały chmur. Alpy rankiem i wieczorem paliły się różnobarwnym ogniem w przebłyskach wschodzącego czy zachodzącego słońca. Śliczne, nie dające się zapomnieć chwile spędziliśmy w Oropie. Niestety, już w czerwcu 1940 roku byliśmy zmuszeni opuścić

Oropę, wyjeżdżając do Castiglione dei Pepoli, leżącego między Bolonią a Florencją. W Castiglione, pod naszą willą wakacyjną przechodził tunel kolejowy o długości 18 km.

W Castiglione spędziliśmy wakacje roku 1940. Po wakacjach pojechaliśmy do Castelfranco. Było to miasteczko otoczone grubymi murami. Tutaj to właśnie pokazują piwnicę, do której wpadł św. Filip Nereusz, jadąc pewnego dnia tędy na osiołku.

Zgromadzenie nasze miało tu dom wypoczynkowy, przylegający do kościoła parafialnego. Całość tworzyła bardzo miłą i piękny zakątek Italii. Dookoła góry pokryte winnicami i zagajnikami oliwnymi, poprzęzane potokami, jarami, nadającymi okolicy specjalnego uroku. Dobrze by nam tam było, gdyby nie głód, który często skręcał nam kiszki. Rzadko w którym tygodniu znalazł się dzień, kiedy byliśmy syci. Okoliczni wieśniacy litowali się nad nami i w czasie naszych przechadzek pozwalali rwać figi i w ten sposób zaspakając głód. Korzystaliśmy z ich dobroci nie zważając na to, że przy tym zaspakajaniu głodu, raniliśmy sobie boleśnie wargi (skóra świeżych fig wydzielala bowiem sok o właściwościach gryzących). Okolice nadawały się wyśmienicie do wycieczek, toteż korzystaliśmy z okazji. W pobliżu znajdowała się słynna Alwernia, gdzie św. Franciszek z Asyżu otrzymał stygmaty.

Po upływie roku przejechaliśmy do studentatu bolońskiego, by tam rozpocząć studia teologiczne. Nowy i wspaniale zaopatrzony scholastykat włoski zachwycił nas. Każdy z nas otrzymał własną, jednakowo urządzoną celkę, wyposażoną w odpowiednie książki naukowe. Czuliśmy się naprawdę dobrze, gdyby znowu nie głód, który doprowadzał nas do rozpacz. Codziennie po bardzo lichym obiedzie musieliśmy obowiązkowo przechadzać się przez godzinę. Przyczyniało się to jedynie do zwiększenia apetytu. W połowie roku 1942 sytuacja o tyle się poprawiła, że sprowadzono z Niemiec ziemniaki. Po zaopatrzeniu się w nie, strzegliśmy ich jak oka w głowie, stale przebierając, nawet w czasie egzaminów, troszcząc się, by nie zgniły itp. Przez czas jakiś dokarmialiśmy się jadalnymi kasztanami, które ksiądz ekonom kupił w dużej ilości.

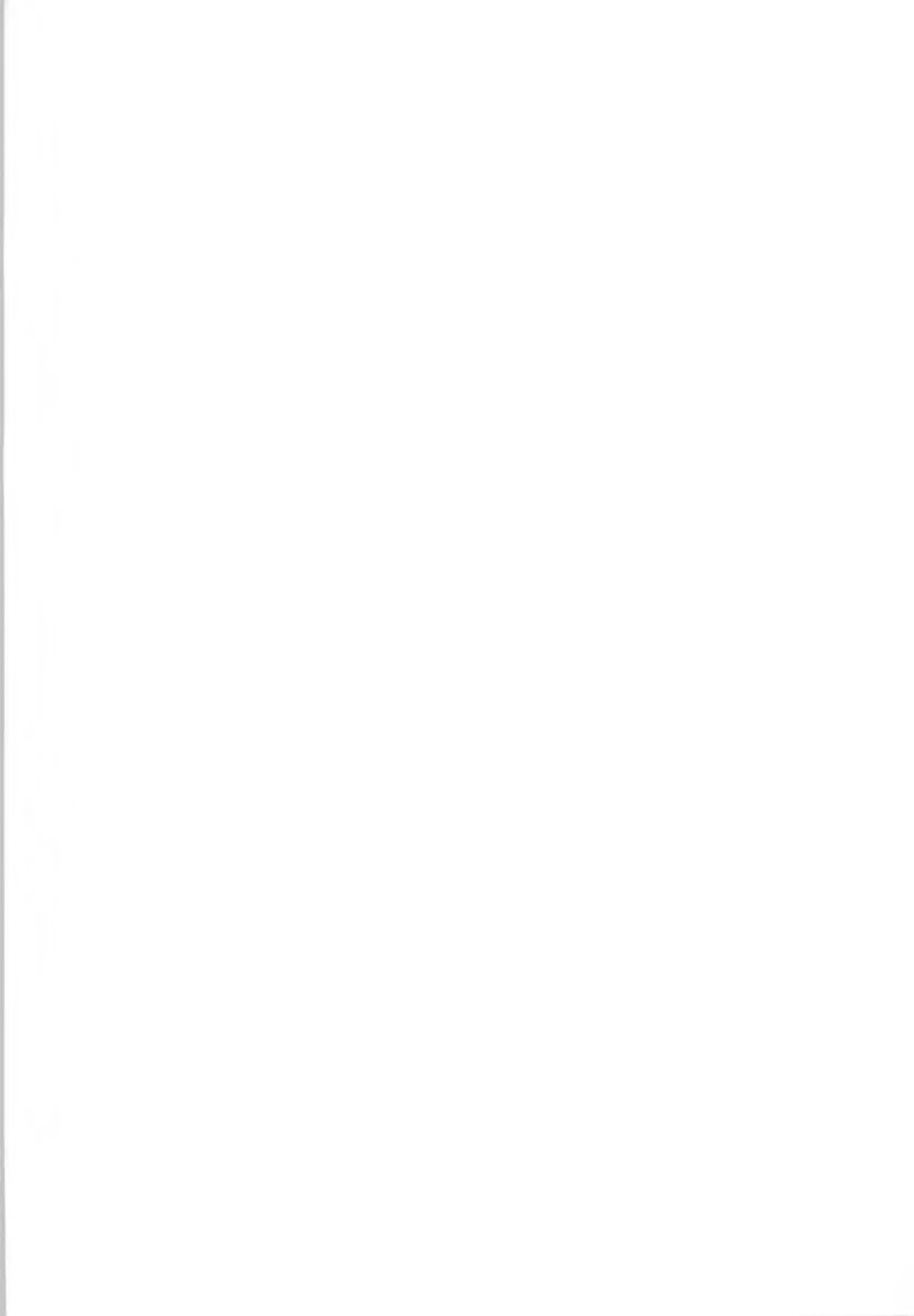
Minęły tak dwa lata, w modlitwie, nauce, w głodzie i chłdzie włoskiej zimy czy upale lata. Nadszedł moment, że zbliżał się zaczął front wojsk alianckich. Z powodu ustawicznych nalotów musieliśmy opuścić Bolonię i dalsze studia prowadzić w Castiglione dei Pepoli. Ostatnie zwłaszcza dni spędzone w Bolonii, dały nam się bardzo we znaki — ciągłe alarmy i bombardowania nie pozwalały nawet spokojnie zjeść posiłków. Wprost co chwila lataliśmy to do piwnicy, to znowu „wialiśmy” za miasto. Nasza formacja zarówno duchowa jak i naukowa cierpiała na tym bardzo. Niemniej ks. Ceresoli, który był naszym przełożonym, dokładał wszelkich starań, byśmy mimo wszystko budowali solidny gmach własnej świętości i wiedzy. Często sprowadzał wybitnych ludzi, którzy wygłaszali konferencje na przeróżne tematy — to znowu wysyłał nas na uniwersytet boloński, byśmy mogli usłyszeć taki czy inny odczyt.

W Castiglione również nie było spokoju, studiów jednak nie przerywano. Święcenia mniejsze i większe odbywały się w Bolonii, a później i w Castiglione. I tak w roku 1944 nasi klerycy Polacy otrzymali święcenia kapłańskie w prywatnej kaplicy kardynała Nasali Rocca de Corneliano.

Wśród ustawicznych nalotów i chwil pełnych lęku, upłynął czas studiów. W międzyczasie i front wojsk alianckich przybliżył się, by następnie spowodować uwolnienie spod rżymu faszystowskiego. Odetchnęliśmy zupełnie inną atmosferą. — Wojna skończyła się. Stały przed nami perspektywy powrotu do kraju ojczystego, co jednak nie zaraz nastąpiło. Niektórzy z nas kończyli jeszcze studia. Wreszcie w 1946 roku otwały się przed nami możliwości powrotu. Pierwsi, ks. Karol Rudzok i Kubina Roman opuścili gościnną Prowincję Włoską, potem kolejno grupami jechali wszyscy, gotowi do pracy na niwie polskiej Bożego Serca. Kraków witał nas radośnie gwarem małego seminarium i żywym, potężnym tętnem pulsującego życia naszej Drogiej Młodej Prowincji.

Stadniki, 25 kwietnia 1954 roku

*Ks. Stanisław Szczepan Michalik SCJ*



## FRANCJA

### *Inwazja na Zachodzie*

Lowanium (Belgia) — piątek 10 maja 1940 roku.

Obudziły mnie grzmoty dział. Waliły niesamowicie, jak nigdy jeszcze dotąd. Wzdrygnąłem się, ale pomyślałem zaraz, że widocznie odwiedziły nas jeden raz więcej samoloty niemieckie, tylko liczniej tym razem, a Belgom zabrakło cierpliwości...

Za oknem wstawał cudny, różowy poranek.

Stanąłem w oknie. Gdzieś w górze kotłowało się od samolotów. Wyteżywszy wzrok, dostrzegłem, het — het pod stropem nieba, tuż niby nad naszym domem, grającą złowrogą eskadrę. Niby ryba w wodzie, zalśnił czasem któryś samolot od słońca...

Lowańskie przeciwlotnicze działa były zaciekle. Gdzieś za naszym domem rechotał karabin maszynowy.

Spojrzałem z drugiego piętra w dół. W parku zaroilo się od wojska. Na polach widzę pełno żołnierzy. Z wykopanych niedawno rowów wystają tylko zielone hełmy... Rojno od nich i koło fortu. Są i ciężarowe auta, widocznie z amunicją, lub żywnością.

Tymczasem po celach i korytarzach wszczynał się ruch. Słychać było bicie we drzwi, rozmowy, stuk butów żołnierskich.

Zarzuciłem na siebie płaszcz i wyszedłem na korytarz.

— Wojna! Niemcy uderzyły na Holandię, Luksemburg i Belgię...

Udzieliła mi się jakaś głupia radość!... „Nareszcie!” — mówię sobie. „Przecież raz przestaniemy o wojnie czytać tylko z gazet...”

Zresztą nie byłem sam ofiarą tego dziwnego uczucia, wielu — Belgów zwłaszcza — nie ukrywało wcale swej radości.

— „Enfin! ca y est! — Nous sommes maintenant allies”  
ø mówili podając mi rękę.

Otrzymałszy rozkaz powolnego ewakuowania domu (nb. w naszym scholastykacie znajdował się sztab obrony miasta) — zabraliśmy się do przygotowań.

Zniósłszy do piwnicy sprzęt liturgiczny, oraz część ekonomatu i biblioteki, po obiedzie tegoż dnia wyruszyła w drogę pierwsza grupa scholastyków. Celem miał być nasz dom w Blaugies, tuż przy granicy francuskiej.

Ja z bratem Kantym (obecny ks. Kierpiec), otrzymałszy przed paru dniami z konsulatu polskiego wezwanie do stawienia się przed Komisją Poborową na 14 tegoż miesiąca, postanowiliśmy nazajutrz udać się do Brukseli celem zasięgnięcia informacji.

Tymczasem alarmom i strzelaniom nie było końca. Co parę chwil trzeba było schodzić do piwnicy. Tu roiło się od żołnierzy. Przez piwniczną bramę wyglądaliśmy podnieceni na niebo, na którym toczyła się walka. Nieskalany do niedawna błękit pokrył się białymi wstęgami dymów, wypuszczanych przez samoloty, oraz ciemnymi barankami chmur utworzonych przez pękające pociski przeciwlotniczych dział. Od grzmotu artylerii drżą ściany domu. Będąc w kaplicy, musieliśmy kilka razy przerywać modlitwy i schodzić do piwnicy. To samo było przy śniadaniu. Było już koło południa, gdy w pewnej chwili jeden bombowiec niemiecki z gwałtowną szybkością i przerażającym wyciem zaczął się spuszczać w dół... widocznie został trafiony i spada!... Nagle — huk straszny, jakby trzęsienie ziemi... Wkrótce dowiadujemy się, że samolot ten zrzucił trzy bomby na most w „Tirlemont”, daleko za miastem. Mostu chybił, ale trzy domy położył plackiem. Jeden żołnierz oraz kilka kobiet i dzieci leży trupem na trotuarze. Jakiś lekarz opuściwszy w nieszczęśliwych sekundach swój dom, został na ulicy rozerwany na pół wraz ze swoim autem.

Do scholastykatu nie tylko obcym, ale i naszym trudno się dostać. Przy bramie stoi warta. Kilku naszych kleryków, chcących wejść do domu, przywieziono pod karabinem przed samego księdza Rektora. „Dla pewności”!

Reszta pierwszego dnia wojny upłynęła na pomaganiu w bibliotece i pakowaniu własnych rzeczy.

Gdy nadszedł wieczór, kazano nam znosić materace do piwnicy, gdzie mieliśmy spędzić noc. Tylko jeden brat Jan, stary misjonarz konwers, uparł się, że nie ruszy się ze swej celi.

Leżeliśmy w sutannach. W pogotowiu. O zaśnięciu nie było mowy. Przez małe zakratowane okno piwniczne, patrzyła na nas noc, straszna noc wojenna...

Tuż za ścianą naszej piwnicy, znajdowała się wojskowa stacja telefoniczna. Całą noc dzwonki i dzwonki „Hallo!”. „Hallo!” A zwłaszcza ten grobowy refren, który nas do szpiku kości przeszywał i zasnąć nie pozwalał: „Hallo! Hallo! Soldat Jean Pierre, Jean Pierre Tuè — je repete; soldat Jean Pierre...” Był to zdaje się ten, który padł ofiarą bombardowania mostu.

A na czarnym niebie ciągle jeszcze słychać to złowrogie piekielne warczenie... Myśl, że lada chwila może spaść na nasz dom ciężka bomba i runąć nam na głowy kilka pięt, mroziła krew w naszych żyłach. Przygotowałem się na śmierć. Na nocnym niebie sieć reflektorów... Zaczęło mnie przejmować zimno. Przykryłem się kocem — znużony, oddawszy się opiece Boskiego Serca, począłem zasypiać...

### *Pożegnanie Lowanium*

Ksiądz Rektor (Julien Jacques) spędził noc również w piwnicy (jeszcze wczoraj wieczór obchodziliśmy radośnie jego powrót po rocznej kuracji w Szwajcarii!!!) miał przy sobie Oleje święte. Ks. May opowiada, że wczoraj o godzinie 11<sup>00</sup> w nocy widział już w mieście Anglików... Nawet rozmawiał z nimi, jechali na ciężarowych autach. Byli bardzo zmęczeni. Miasto przyjmowało ich owacyjnie.

Przed południem opuściła scholastykat reszta jego mieszkańców wraz z księdzem rektorem. Pozostał tylko ks. Zahlen z bratem Janem. Bracia Lahr i Antony przebrani za „parobków” wpakowali na wózek wszystkie walizki i — za-

przegnawszy do niego naszego starego „Morysa” (koń), mieli je wieźć do Blaugies. Za 4 dni powinni być na miejscu. Dla uzupełnienia garderoby, wsadziłem bratu Antony’emu na głowę mój polski kapelusz... (Mon cher première chapeau — qu’est-tu donc devenu?).

Na podwórzu ruch. Żołnierze, auta, motocykle...

Prócz nas dwóch, pozostało jeszcze w domu kilku najmłodszych Flamandów, spodziewających się lada chwila mobilizacji.

Około 9<sup>00</sup> przed południem, zabraliśmy wreszcie nasze walizki, by się udać tramwajem do Brukseli.

Na ulicy „de Tervüren” ruch niesamowity! Tanki, pancerne auta, motory. A wszędzie Anglicy. Nawet ruchem kieruje policjant angielski. W parku pod drzewami dziesiątki doskonale zakamuflowanych aut angielskich. Motocykliści angielscy wywijają z nieporównaną zrećnością. Ich motorów prawie że nie słychać w przeciwieństwie do motorów belgijskich, które czynią niesamowity hałas. Żołnierze angielscy prezentują się pierwszorzędnie. Noszą na sobie zgrabne zielone „wiatróvky”, na głowie najczęściej trochę na bakier — płaskie hełmy, przypominające nasze kapelusze góralskie.

Korowód pancernych aut wjeżdżał stale z ulicy w park. Niektórzy żołnierze angielscy, umajeni jak nasi drużbowie na weselu, śpiewali wesoło.

Po obu stronach alei, niby zielone krzaki, trójki Anglików z wymierzonymi w niebo działami. Wałą zaciekle. W ogóle obrona przeciwlotnicza miasta zwiększyła się dzisiaj kilkanaście razy.

Już przeszło godzinę czekamy na tramwaj. Co parę minut musimy się kłaść plackiem na ziemię, to pod mur budynków, to pod drzewa. Z głową ukrytą w ramionach i przykutą kurczowo do ziemi, czekamy na grzmot bomby, odmawiając akt skruchy. W miarę jak przybliżały się samoloty, rosło piekło przeciwlotniczych dział. Przybiłem uszy do ramion, aby nie ogłuchnąć. Gdzieś na drugim końcu miasta wybuchały bomby i drżała ziemia...

Sytuacja stawała się z każdą chwilą groźniejsza, dlatego — nie czekając dłużej na tramwaj — postanowiliśmy wydostać się z tego piekła. Wziąwszy w ręce ciężkie walizy, ruszyliśmy ulicą w kierunku Egenhoben. Biegliśmy prawie. Przystanęliśmy dopiero przy ochronce. Samoloty wprawdzie krążyły nad naszymi głowami, ale przynajmniej nie słyszeliśmy tego piekielnego huku.

Tramwaj pojawił się wreszcie, ale o dostaniu się do niego nie było mowy! Ruszyliśmy więc pieszo dalej. Uszedłszy dobry kilometr, zauważyliśmy stojące na szosie ciężarowe auto. Prosiłiśmy o zabranie nas! „Bon” — odpowiedział otyły szofer. Ładujemy się przeto pośpiesznie i ruszamy. Auto nie ma żadnego obramowania, więc siedzimy na walizkach, trzymając się wzajemnie. Po drodze przysiadło się ku nam kilku jeszcze uciekinierów. Już trzeci dzień uciekali od Kanału Alberta. Byli bardzo zmęczeni, niewyspani, brudni. Po drodze tu i tam widzieliśmy już straszne skutki bombardowania.

Z Tervüren przesiadamy się na tramwaj i jedziemy do Brukseli.

W stolicy Belgii, pełno już Anglików. Przed miastem olbrzymie armaty i tysiące samochodów stoi pod drzewami w nie kończącym się szeregu. Dziewczęta brukselskie uwijają się koło żołnierzy z bufetem. Przed wielkim stawem tłum ludzi obserwuje niebo. Podobno lecą spadochroniarze niemieccy. Ulicami przejeżdżają auta sanitarne, przejmująco dzwoniąc. Przed szpitalem wojskowym tłum. Co się pokaże auto sanitarne, wszyscy cisną się zobaczyć, czy to przypadkiem nie „ich”...

Mieszkańcy Brukseli witają z entuzjazmem wciąż napływające wojsko angielskie. Nie mogąc się dostać do żadnego tramwaju, musimy „tahać” nasze walizy aż do samego domu naszych księży. Po drodze przechodnie przyglądają się nam podejrzliwie... Był to zresztą fakt powszechny. Nawet w najniewinniejszej duszy widziało się szpiega, spadochroniarza, „Szwabą”.

Około godziny 14<sup>00</sup> zadzwoniliśmy do naszego domu przy ulicy Eugene Cattoire. Zjedliśmy obiad wraz z br. Alfonse z La-

naken, który uciekając przed frontem na rowerze, dostał szoku nerwowego, trzęsie się i płacze, że nie można się z nim dogadać. Także i nasza kucharka chodzi na wpuł oszalała. Juź pierwszy jej mąż zginął na tamtej wojnie, teraz drugi walczy gdzieś na froncie, tylko jej mały René bawi się beztrasko w ogrodzie. Na głos syreny przybiega po niego i ucieka z nim do piwnicy.

W pełnym ekwipunku żołnierskim zjawia się w pewnej chwili nasz kolega kursowy — br. Teegen. Odjeżdża na front. Wruszające jest takie pożegnanie.

*Zielone Świątki, niedziela 12 maja*

Z powodu niedobrych wieści z frontu, zaczęliśmy się zastanawiać, czy roztropną byłoby rzeczą, czekać na ową komisję aż do wtorku. Zadzwońiłem do konsulatu. Odpowiedziano nam, byśmy się stawili natychmiast. Tak też uczyniliśmy. W konsulacie wydano nam kartki do wojskowych władz polskich na granicy francuskiej w Besieux. Odjechać mieliśmy do Francji jeszcze tego samego wieczoru specjalnym pociągiem zarezerwowanym dla rekrutów polskich...

Wróciwszy na ulicę Cattoire, zastaliśmy w domu br. Henryka w hełmie i w pełnym umundurowaniu, spoczonego i z oczyma pełnymi grozy... Zdołał uciec od kanału Alberta, który Niemcy przeszli... Wiadomość ta była dla wszystkich piorunem z jasnego nieba.

Otrzymałwszy błogosławieństwo i po 50 fr. od ks. Prowincjała (ks. Gustin), upewniwszy się, że jesteśmy na drodze posłuszeństwa i woli Bożej, wyruszamy na dalszą tułaczkę wojenną...

Na dworcu kolejowym — dzień sądu... tysiące uchodźców, z oczyma pełnymi grozy, przelewają się przez hale i perony stacji. Widziałem straszne, milczące twarze starców i starszek, w łachmanach, z rozwichrzonymi włosami; młode matki ze swymi maleństwami i z całym swym mieniem zawiązanym w chustkę. Widziałem mężczyzn w sile wieku, drżących jak w febrze, z oczyma nabiegłymi krwią... Wszędzie nawoływanie, płacz, przekleństwa.

Siostry miłosierdzia i pielęgniarki uwijają się z mlekiem dla niemowląt.

Wszyscy czekają na jakiś pociąg, który by ich porwał i uniósł gdzieś daleko, jak najdalej, gdzieś, gdzie nie ma wojny...

W pewnej chwili wśród tłumu rozpoznajemy niektóre osoby z naszego konsulatu. Mają w ręce walizki.

— Ca va mal! mówimy sobie, jeżeli i konsulat już wieje...

Wreszcie nadjechał jakiś pociąg... Teraz zaczął się nie dający się opisać szturm. Zdawało się, że zdemolują wagony... Jakim cudem i myśmy się dostali do środka, żaden z nas nie był w stanie tego wytłumaczyć.

Każdy odetchnął z ulgą, gdy pociąg nareszcie ruszył.

Na zachodzie płonęła krwawa zorza wieczorna.

*Na ziemi francuskiej*

Słońce zachodziło w rudej pozodze i cisza wieczorna spływała wolno na świat, gdy pociąg zatrzymał się na stacji granicznej w Besieux. Ale nikt prawie nie wysiada. Chwila wahania... Czy i nam lepiej nie byłoby pozostać w pociągu i jechać dalej!

A oto widzieliśmy żołnierza polskiego!... Na czapce — biały orzełek, na naramiennikach dwie gwiazdki. Serce zadrgało nam na widok tego pierwszego żołnierza polskiego, zabłąkanego aż tutaj, na tej obcej stacji...

Wkrótce słyszymy głos: „Czy są jacyś studenci polscy z Brukseli?”

Wysiadamy. To widocznie sam porucznik Zaremba, do którego mamy polecenie z konsulatu.

„Nawet księża?” — pyta nieco zdziwiony, i przedstawia się „porucznikiem Zarembą”.

Z pociągu schodzą chłopaki. Rozpoznajemy kilku znanych nam już Żydków z Brukseli. Niektórzy żegnają się ze swymi siostrami, których może już nie zobaczą. Leją się łzy. Tymczasem koło porucznika Zaremby zebrała się już spora grupka studentów polskich. Poznajemy się, rozmawiamy. Porucznik Zaremba rozdaje nam ulotki w języku polskim. Były to wskazówki dla żołnierza polskiego we Francji, nakazujące powagę, ze względu na męczeństwo Ojczyzny i wzorową postawę w trosce o honor Polski. Wzywano do ofiarności

i poświęcenia. Czytaliśmy tę odezwę z powagą i wzruszeniem, jak gdyby testament najdroższy Ojczyzny.

Potem — „Zbiórka w szeregu”. Por. Zaremba odbiera nam paszporty. Teraz dowiadujemy się, że w całej grupie, jest tylko dwóch „pewnych katolików”, to my dwaj. Ten gość z konsulatu — nie wiadomo kogo wyznaje, a reszta sami Żydzi i chodź tu teraz bracie w sutannie w takim towarzystwie.

Kiszki grają nam wszystkim — jak przystoi na rekrutów — wojskowego marsza... Na szczęście zjawia się jakiś podporucznik i prowadzi nas do kafejki. Przy bufecie jakiś żołnierz angielski pije piwo. Ich wojennym zwyczajem pozdrawiamy się „kciukami” zwróconymi ku dołowi. Jakoś nam nic nie przynoszą do jedzenia, więc składamy się na wspólny posiłek. Gorzej z nami, bo mamy tylko parę franków. Dowiedziawszy się o tym żydziska, nie chcą od nas przyjąć nic i sami złożyli się na prawdziwą „bibę”. Nie obeszło się oczywiście bez wódki. Po pierwszym kieliszku zaczął się „koncert...”

...Ale największe zdziwienie ogarnęło nas, gdy w pewnej chwili któryś z Żydów zaintonował „Boże, coś Polskę...”

Był wśród nas pewien Żydek artysta-skrzypek, grywający do belgijskiego radia w Brukseli. Na naszą prośbę otworzył futerał i uciał tak wspaniałego „kujawiaka”, że myślałem iż mu skrzypce rozlecą się w kawałki.

Tymczasem zjawił się nasz podporucznik i kazał nam maszerować ze sobą na stację.

Na północ przyjechaliśmy do Lille. Maszerujemy jakąś szeroką ulicą. Ludzie biorą nas za grupę jeńców niemieckich, albo przychwytyanych szpiegów i obrzucają obelgami. Ciemnymi uliczkami zdążamy do kantyny wojskowej. Tutaj, po raz pierwszy, zobaczyliśmy żołnierzy francuskich. Obserwowaliśmy ich z ciekawością, wszak tyle o nich się słyszało i czytało! Jedna rzecz uderzyła nas od razu: wyglądali tak, jakby wojna była ich narodowym rzemiosłem, czymś „na co dzień”, z czym się oswoili, do czego przywykli, w czym się zaniedbali. Nie dbali ani o postawę, ani o strój, ani o wygodę. Uderzyła mnie również narodowa ich fizjognomia: byli przeważnie przystojni, nawet piękni, wzrostu średniego, przeważnie szczupli, o pięk-

nych ostrych rysach, o czarnych jak kruk włosach. Mówią po francusku przeważnie bardzo szybko, są rozmowni, żywi, zabawni. Mieliśmy również okazję zobaczyć po raz pierwszy osławionych „pollus” (żołnierz z czarną opaską zarostu na twarzy). Jeden z nich, podpiwszy sobie widocznie, stawał co chwila od stołu i piał jak kogut, bijąc się łokciami, niby skrzydłami po bokach...

### *Bressuire*

Rankiem, nie pamiętam którego już dnia, przybyliśmy do miasteczka Bressuire, leżącego w departamencie Deux-Sevres, gdzie znajdowała się stacja zborna Wojska Polskiego.

Na stacji witają nas serdecznie wojskowe władze polskie. Nasze sutanny zwracają uwagę wszystkich i cieszą się szcunkiem i sympatią.

„Zbiórka!” Raport. A potem — „naprzód marsz!” Wszędzie pełno polskich żołnierzy. Obserwują, czy w którymś szeregu nie rozpoznają twarzy przyjaciela, brata, syna, ojca...

Weszliśmy w wąską uliczkę, skręcamy w lewo i zatrzymujemy się na jakimś podwórku, przed stajnią. To nasze „koszary?” Tak! Jeszcze kilka raportów, po czym idziemy oglądać nasze „pałace”... Niska, stara szopa. Żłoby. Pod nimi na kamieniach deski i trochę słomy. „Bigre!” Ale — à la guerre — come à la guerre...”

Woła nas bardzo uprzejmie starszy plutonowy z bródką i każe nas prowadzić do księdza kapelana.

Po drodze dowiadujemy się, że prowadzący nas rekrut pracował niedawno przy p. Lipskim w Ambasadzie Polskiej w Berlinie. Toteż zna wiele rzeczy dotyczących wybuchu wojny i ostatnich poprzedzających ją dni. Prowadzi nas do kościoła, gdzie ksiądz kapelan odprawia teraz prawdopodobnie Mszę św. Tak było rzeczywiście. Przy ołtarzu młody, wysoki, przystojny kapłan. Służy mu jakiś żołnierz. Po skończonej Mszy św. idziemy się przedstawić do zakrystii.

Ksiądz kapelan zabiera nas ze sobą do restauracji na śniadanie. Teraz poznajemy się bliżej. Na wiadomość, że

jesteśmy klerykami Zgromadzenia Księży „Sercanów”, ten aż klaszcze w ręce i mówi: „Mam jakieś dziwne szczęście do tych Sercanów. Przecież ja waszych nowicjuszków felsztyńskich zawiózł do samego Ojca Generała, do Rzymu...!”

Nie mniej zdziwieni pytamy: „Czyżbyśmy mieli zaszczyt rozmawiać z księdzem Bełchem, o którym tyle pisali nam nasi współbracia z Włoch?...”

— „Tak, jestem Bełch” — odpowiada na dobre rozbrojony ksiądz kapelan. A co za zbieg okoliczności! Rozprawiamy serdecznie, a tematu nie brak. Na sutannie ma lekki jasny płaszcz, na głowie furazerkę z trzema gwiazdkami. Jest wysoki, przystojny. Przy tym wesoły. Wszelką choćby najpoważniejszą rozmowę, kończy zawsze tym samym zdaniem: „Powiedzcie jeszcze coś śmiesznego!”...

Nie zapomnę nigdy owej pierwszej niedzieli w Bressuire, tej polskiej Mszy św. w tym bolesnym roku 1940.

Jeszcze dziś widzę te nie kończące się szeregi chłopca polskiego (przeważnie jeszcze w cywilu), w czwórkach, równo bijącego krok, zdążające w ów poranek na polską Mszę św. do obcego kościoła i na obcej ziemi...

Z ich równego marszu można poznać, że choć w cywilu — nie „ciury” to ani rekruci, ale przeważnie starzy wojacy. Mówię przeważnie, bo i rekrutów nie brak, choćby ten — może 12 letni chłopczyk, naciągający swe krótkie nogi na końcu ostatniego szeregu...

Poszliśmy obaj na chór, by kierować ustalonym wczoraj programem pieśni. Rozległ się dzwonek, wyszedł kapłan ze Mszą św., zahuczały organy pod palcami jakiegoś żołnierza.

Już na wstępie intonujemy „Boże, coś Polskę...”. Tysiące męskich piersi podchwytuje melodię i oto płynie wiekowy polski hymn za Ojczyznę — płynie powoli i potężnie, płynie straszliwie jak skarga i jak ból, płynie jak krwawe fale Wisły i Bałtyku, Bugu i Warty, Dniepru i Niemna, jak fale wszystkich polskich rzek, jak wreszcie polskie łąki...

Świątynia cała zda się drzeć w swych posadach... To już nie śpiew, to krzyk, to ryk nawałnicy — „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę wolną, racz nam w r ó c i ć, Panie!...”

Nie byłem przygotowany na tę zmianę słów — w jednej chwili zamilkłem i rękoma zasłoniłem sobie twarz...

W czasie Mszy św. — ku naszemu zdziwieniu — zagrał także kilka wspaniałych utworów na skrzypcach wyżej wspomniany Żydek-artysta z Brukseli.

### *Jedziemy dalej*

Po tygodniu — pożegnawszy stare miasteczko Bressuire, ks. kapelana Bełcha, kleryka Łyska i państwa Fusseau, wyruszyliśmy na północny-zachód do sławnego obozu Wojska Polskiego w Coëtquidan w Bretanii.

Podróż ta, w normalnych warunkach, trwać mogła za ledwie kilka godzin. Myśmy jednak podróżowali kilka dni...  
*Coëtquidan*

We wtorek dnia 21 maja przybyliśmy wreszcie do miejscowości Coëtquidan, gdzie znajdował się największy obóz Wojska Polskiego we Francji, powszechnie i żartobliwie zwany przez naszych żołnierzy „Koczkodanem”. Nad bramą obozu, wysoko, na jasnym tle nieba, powiewały dwie wielkie poślubione sobie chorągwie: francuska i nasza, najpiękniejsza, najdroższa, białoczerwona...

Coëtquidan, to nie tylko miejscowość, ile olbrzymia połać ziemi przeznaczona na poligon i manewry wojska francuskiego. Znajdują się tam olbrzymie koszary i wielka liczba baraków. Jest duża i piękna kaplica wojskowa. Obszar porośnięty jest w większej części lasami sosnowymi, zaś na łąkach rosną obficie karłowate krzaki „joncs” przypominające nasze jałowce.

W Coëtquidan nie ma domów prywatnych. Dopiero w Bellevue spotkać można kilka budynków. Nieco dalej, znajduje się mała stacyjka kolejki — Guer. A o jakie 40 kilometrów na północny-wschód miasto Rennes, stolica Bretanii i departamentu Morbihan.

Maszerujemy wąską uliczką między barakami. Rozglądamy się na prawo i na lewo czy nie zauważymy gdzieś kogoś z naszych: Rychlickiego, Worwaga, Lewczuka, Stel-

macha... I nam się wszyscy przyglądają. A już nasze dwie sutanny szczególnie na siebie zwracają uwagę. Trochę nas to krępuje, ale co robić. Lewa, lewa, raz-dwa, raz-dwa. Skręcamy w bok. Jakiś plac. „Stój!...” Trochę nam to nie wyszło, ale oto już sympatyczny major Wróbel wita nas serdecznie, a na widok nas dwóch, rozkłada ręce i mówi: „Co ja z wami zrobię?” Każe nas prowadzić do wicekapelana obozu, księdza majora Tomczaka. Zastaliśmy go, jak chrapał w spodniach i w skarpetkach na kiepskim żelaznym łożku wojskowym. Był to średniego wzrostu, dobrze zbudowany mężczyzna, żołnierz z krwi i kości, bohater kampanii wrześnieowej, raz przysypany przez bombę, więziony na Modlinie, skąd uciekł i po nadludzkich przejściach, znalazł się tutaj. Przyjął nas serdecznie, po czym włożywszy na siebie sutannę, poprowadził do głównego kapelana obozu, księdza pułkownika Godlewskiego. Był to siwy już staruszek, niskiego wzrostu, ubrany w mundur żołnierski, na nogach cholewki, na piersiach jakiś medal. Trochę niewygadany, trochę niezaradny... Podobno jeździł dużo po świecie. Mimo to akcent miał chłopski.

W międzyczasie wszedł do pokoju ordynans ks. Godlewskiego, małe chłopię z buzią jeszcze dziecinną. Jak się potem dowiedzieliśmy, był to nowicjusz Zgromadzenia oo. misjonarzy z Lyonu, sierota Jerzy Besler (dziś kapłan świecki diecezji poznańskiej, wikary przy kościele Św. Wojciecha w Poznaniu).

Trzech „ordynansów”, to może trochę za dużo..., ale co miał z nami biedny kapelan robić? Besler więc pozostanie jego „chłopcem do posyłek”, br. Kanty będzie się nazywał „kościelnym”, a ten trzeci dragal — „sekretarzem”.

Właściwie tośmy wszyscy trzej mniej więcej to samo mieli do roboty (dokładniej mówiąc nic do roboty nie mieliśmy), ale tu chodziło o jakieś pokrycie formalne. Nie bardzo nam to było do gustu, bylibyśmy woleli dostać do ręki jaki kawałek karabinu, ale przy wojsku — jak w klasztorze — trzeba słuchać. Po tych „nominacjach” ksiądz pułkownik dał nam się napić po pół szklanki wina i odesłał nas na nasz kwaterunek.

Zamieszkaliśmy najpierw w jednym z baraków, w którym wstawione były dwa rzędy piętrowych prycz z desek. Nie bardzo nam się widział ten nowy nasz hotel, ale „à la guerre, come à la guerre!”

Na drugi dzień, czy na trzeci, każdy z nas otrzymał ubranie wojskowe: granatowe drelichy, pas, buty i furażerkę, prócz tego menażkę, łyżkę, widelec i manierkę.

Nauczono nas zaraz niektórych zwyczajów wojskowych: jak ścielić łóżko „do winkła”, jak kłaść swoje przyrządy do jedzenia, jak składać ubranie („w kostkę”), jak stawiać buty („na baczność”) etc.

W baraku było bardzo wielu porządnych ludzi, ale nie brakowało też i szumowiny. Najwięcej wlaźł nam za pazury pewien „frajter” wydający posiłki, który nie umiał się inaczej odezwać do człowieka, jak tylko ordynarnie i z krzykiem (to podobno najszybsza droga do dorobienia się w wojsku „kreski”!). Pomagał mu w tym dzielnie pewien młody plutonowy. Chociaż nas dwóch traktowali trochę inaczej, pewnego razu jeden z nas nie wytrzymał nerwowo i powiedział im parę cierpkich słów...

Obok mojego łóżka spał pewien starszy podchorąży. Pamiętam jak pewnego dnia, wieczorem, stanął przed nim, ku nieopisanemu jego zdziwieniu, własny jego syn, mający może trzynaście lat. Po klęsce wrześniowej, gdy ojciec nie powrócił do domu, uciekł od matki i przez Czechosłowację, Rumunię i Węgry przedostał się z żołnierzami aż tutaj, by szukać taty... Miał na sobie już mundur wojskowy, gdy stanął przed ojcem na baczność, zasalutował, by mu się następnie rzucić na szyję...

Na drugi czy na trzeci dzień po naszym przybyciu do Coëtquidan, siedzieliśmy sobie na krawędziach naszych prycz i dumali nad tym „jak to będzie”, gdy w drzwiach baraku rozległ się znajomy skądś głos: „Są tu jacy klerycy?” Wstajemy, patrzymy...

- Jakiś wysoki i szczupły żołnierz w okularach...
- „Przecież to Stefan Rychlicki... A bodajże cię!...”
- „A co wy tu robicie? Wojaczki wam się zachciało!”
- „A ty, co tu robisz? My tylko za tobą!...”

Łatwo sobie wyobrazić, ile posypało się pytań, ile wybuchnęło radosnych śmiechów.

Dowiedzieliśmy się, że br. Bosko, zapoznawszy się najpierw z karabinem, sztuką czołgania się na brzuchu, padania plackiem w błoto i innymi tajemnicami rzemiosła wojskowego, pracuje obecnie w biurze. W baraku gdzie śpi, ma jednego Polaka z Francji, ateusza..., z którym musi staczać zacięte walki polemiczne. Oprócz tego, plaga jego baraku — to szczury, które mu chodzą w nocy po twarzy. Dowiedzieliśmy się także od niego, że Janek Worwąg znajduje się w tutejszej podchorążówce, natomiast Lewczuk i Stelmach wyjechali niedawno na front.

Po paru dniach przeniesiono nas z owego baraku na nowy kwaterunek. Razem z klerykim Beslerem zamieszkaliśmy we trójkę obszerny i zupełnie możliwy, jak na czas wojny pokój, przy budynku gospodarczym. Nawet nasi dwaj czcigodni kapelani nie mieli takich „pałacy”. Za łóżko służyło nam tu kilka desek, ułożonych na dwóch niskich „kobylicach”. Na to kładło się skąpo słomą wypchany siennik (stanowczo za krótki na kończyny jednego z nas!); poduszka wypchana sianem, prześcieradło, a raczej tzw. przy wojsku „śpiwór” (dwa zeszyte z trzech stron prześcieradła, do których wchodziło się jak do worka, a do tego wszystkiego koc — i spanie jak sto dziadów!... Prócz łóżek mieliśmy jeszcze dwa bardzo cenne, choć równie prymitywne meble: stół i ławę.

Z Jurkiem Beslerem polubiliśmy się bardzo. Był to bardzo miły, cichy, a przy tym wesoły i pobożny chłopczyzna. Nieraz do późnej nocy rozprawialiśmy na tematy religijne, tęskniąc za naszymi murami klasztorными i za życiem — innym niż tutaj... Szybko bowiem mogliśmy zaobserwować, że życie wojskowe nie ma w sobie nic pięknego (oprócz stroju) i że żołnierz traktowany jest często gorzej od bydłęcia.

A oto jak wyglądał najczęściej nasz dzień.

Na odgłos trąbki (nie pamiętam godziny), trzeba było wstać, szybko się ubrać, umyć we wspólnej łaźni, po czym apel przed barakiem, pieśń „Kiedy ranne...” i wspólna modlitwa. Następnie śniadanie. Myśmy swoje przynosili do pokoju

i udawali się do kaplicy. Był to właściwie kościół wojskowy, leżący na skraju lasu. W wielkim ołtarzu znajdował się olbrzymi krucyfiks, a nad nim napis: „Vive le Christ, qui aime les France!” Kapelanem kaplicy był pewien, nie bardzo dla Polaków życzliwy Francuz. Księżę najczęściej było trzech, a wśród żołnierzy ministrantów wielu, więc też nie zawsze mogliśmy usługiwać do Mszy św.

Po Mszy św. i po śniadaniu, udawaliśmy się razem do ks. pułkownika Godlewskiego. Ten najczęściej żadnego zajęcia dla nas nie miał, ale Jurek szedł z reguły na pocztę (starsuszek żył ciąglą nadzieją, że może do niego ktoś kiedyś napisze), zaś piszący udzielał ks. kapelanowi lekcji języka francuskiego. Nie łatwa to była sprawa. Ktoś nauczył starsuszka wymawiać „jun” (une) i ani rusz inaczej! Pewnego dnia dałem księdzu pułkownikowi do ręki gazetę francuską i kazałem czytać: „...les allemands ont employé dans l'attaque surtout des unites blindes...”

— „Czy ksiądz pułkownik rozumie, co przeczytał?”

— „A jakże!”

— „To proszę przetłumaczyć!”

— „...tego... że Niemcy użyli do ataku nawet ludzi ślepych...!”

Zdusiłem w sobie jakoś cudownie śmiech, a na nowe zapytanie, czy robi postępy — jakżeż mogłem powiedzieć, że nie...? Jeżeli swojego „profesora” zdawał się lubić więcej od pozostałych „adiutantów”, to mniej może za te nie zawsze szczere pochwały, ile za jego sprawne trzaskanie podkówkami, co mu zawsze bardzo imponowało...

Czasem brał mnie ze sobą na spacer.

W czasie przechadzki często gdzieś schodził z drogi, to sobie usiadł na chwilę na jakimś pnisku, to znowu oddalał się gdzieś dalej i trzeba było dobrze odgadywać jego intencję, by czasem nie zapuścić się za daleko... Bo szło się z nim z reguły w milczeniu.

Nie miał też, biedaczek, wymowy Bossueta ani Skar-gi, toteż żołnierze nudzili się śmiertelnie na jego kaza-niach.

Niewiele natomiast brakowało do Skargi, a może nic, ks. majorowi Tomczakowi. To był mówca i żołnierz! Aż się krew burzyła i serce płakało, gdy mówił!...

Do dziś dnia pamiętam początek dwóch jego kazań: w pierwszym była aluzja do Bożego Ciała w Ojczyźnie:

— „Nie biją nam dzwony, nie grają nam organy...”.

A drugie słowa jakiegoś poety:

„Dwie są najdroższe istoty na świecie i obie blisko Boga: matka i dziecię...” (aluzja do Matki Bożej).

Ale powróćmy do mieszkania ks. pułkownika.

Po obiedzie dosyć sytym i sutym, na którym było zawsze mięso (jeden z nas nie mógł się przyzwyczaić do mięsa z ryżem) i garnuszek wina, a raczej bretońskiego jabłecznika („cidre”), szło się znowu do ks. kapelana, po czym „baraszkowało” się aż do wieczora.

Nie wiem, jak inni, ale piszący znajdował się w tych dniach w stanie dziwnego psychicznego przygnębienia, nic go nie cieszyło, a wszystko napawało jakimś tajemniczym bólem i tragizmem. Zresztą czemu się dziwić? Nie byliśmy tu po to, aby się bawić i weselić, lecz aby umęczonej Ojczyźnie nieść nasze młode życie w ofierze.

Piękne, ciche i wonne, dla mnie jednak pełne smutku, były wieczory w naszym obozie, gdy wokoło cicho szumiały sosny, a trąbka żołnierska grała wolno wieczorny apel.

Do najbardziej przykrych wspomnień z obozu należą nocne alarmy. Nigdy w dzień, zawsze w noc, i to niemal każdą.

Któregoś dnia, ku naszej wielkiej radości, zjawił się w naszym pokoju podchorążak „Jachu” (Jan Worwag). Opałony był jak Murzyn. Służył w artylerii. Odwiedzał nas potem często, aż pewnego dnia po pożegnalnej Mszy św. obozowej, wyjechał z całą swoją szkołą na front.

Jeszcze częściej odwiedzał nas nasz br. Jan Bosko. Wyglądaliśmy zawsze jego odwiedzin, bo nam przynosił z sobą zawsze wiele humoru. Miał zwyczaj nosić pod pachą „trzcini-

kę”, jak niektórzy oficerowie, którą systematycznie garbował skórę naszemu biednemu Jurkowi. W obozie wołano na niego powszechnie: „Rychliszczak”.

Raz przyprowadził ze sobą młodziutkiego i pięknego jak lalka żołnierzyka, blondynka, naszego nowicjusza z Amiens, Polaka, Sucharskiego. Biedny chłopak! W niecały miesiąc później straci w bombardowaniu jedną rękę, dwa palce w drugiej, a jego piękną twarzyczkę zeszepeci na zawsze szeroka blizna.

Od pierwszego do ostatniego dnia naszego pobytu w Coëtquidan, odprawiały się co wieczór nabożeństwa — najpierw majowe, potem czerwcowe. Nie w kaplicy, ale przy pięknym ołtarzu polowym, zbudowanym w lesie przy boisku sportowym. Do ołtarza wstępowało się po licznych stopniach drewnianych. Z daleka robił on wrażenie małej krytej trybuny. Jego największą ozdobę stanowił wspaniały, olbrzymich rozmiarów obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jakżeż rzewne były te nabożeństwa wieczorne! Jak obfite lały się tutaj łzy. Zwłaszcza gdy okrutną skargą jęknęła pieśń polskich żołnierzy-tułaczy:

„O Boże, któryś jest w niebie,  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!  
Wołamy z cudzych stron do Ciebie,  
O polski dach i polską broń.

O Boże, skrusz ten miecz,  
Co siekł nasz kraj!  
Do wolnej Polski  
Nam powrócić daj!  
Byś stał się twierdzą nowej siły!  
Nasz dom! Nasz dom!

O usłysz, Panie, skargi nasze!  
O usłysz nasz tułaczy śpiew!  
Z nad Wisły, Warty, Sanu, Bugu,  
Męczeńska do Cię woła krew:

O Boże, skrusz ten miecz,  
Co siekł nasz kraj!  
Do wolnej Polski  
Nam powrócić daj!  
Byś stał się twierdzą nowej siły!  
Nasz dom! Nasz kraj!

Stale jeszcze mam przed oczyma owego starszego oficera, który za każdym razem, gdy śpiewano tę pieśń, zasłaniał sobie twarz dłońmi i płakał... W każdą niedzielę przy tym ołtarzu odprawiała się Msza św. połowa. Co za wspaniały był to widok. Cały olbrzymi stadion sportowy zamieniał się w jedno żywe i ruchome mrowisko ludzkie. Gdy już wszystko było gotowe, cwałem na koniu wpadał na stadion dowódca obozu, generał Korytowski, zatrzymywał się przed wojskiem nagle, aż spod kopyt końskich wydobywała się chmura kurzu i rzucał pozdrowienie:

— „Czołem żołnierze!”

— „Czołem, panie generale” — grzmi odpowiedź, niby grom!

— „Do — modlitwy!”...

Odkrywają się tysięczne głowy, nogi wysuwają się na „spocznij”, słychać dzwonek, zaczyna się Msza św...

Niby potężny szum lasu, płynnie z tysiąca piersi ojczysta pieśń:

„Pod Twą obronę,  
Ojczy na niebie,  
grono Twych dzieci,  
swój powierza los...!”

Po ewangelii — kazanie, dobrze jak kolej wypadła na ks. Tomczaka. Pod koniec Mszy św. znowu:

— „Ojczyznę wolną, racz nam wrócić, Panie...!”

Z orkiestrą przymaszerowały pułki na Mszę św. — z orkiestrą wracają! — Słyszysz? Grają:

„Wrócimy tam! Wrócimy tam  
Wszyscy —  
Młodzi i starzy...  
Wrócimy do kraju —  
O którym serce nasze marzy...!”

Żołnierze polscy we Francji, znani byli z tego, że dużo i pięknie śpiewali, czego nie znają Francuzi. I czego nam zazdroszczą. „Wy nie potraficie” — mawiali — „przejść paru kroków bez śpiewania...!” Zapomnieli może o swoim przysłowiu: „Le peuple qui chante — Est un peuple qui vit!

### *Likwidacja obozu*

Dnia 18 czerwca koło północy tzw. „ostrzy alarm” postawił cały obóz na nogi. Nie mówią nam nic, tylko każą się szybko spakować i być w pogotowiu.

Gdzieś koło godziny 9<sup>00</sup> dowiadujemy się, że armia nieprzyjacielska w swoim tryumfalnym pochodzie, tak bardzo się do nas zbliżyła, iż lada godzina naszemu obozowi grozi otoczenie przez wojska nieprzyjacielskie. Wiadomość ta spadła na cały obóz niby grom. Nawołują do zachowania spokoju i odwagi, chociaż cały sztab generalny obozu, mając do dyspozycji auta, nawiał jeszcze w nocy, pozostawiając tysiące polskich żołnierzy na pastwę losu. Ogłaszają likwidację obozu i dają nam do wyboru trzy możliwości:

1. pozostać w obozie i dać się wziąć do niewoli;
2. kto ma swoją rodzinę lub znajomych we Francji niech stara się do nich przedostać;
3. kto się czuje na siłach, może się przyłączyć do tych, którzy będą próbować przedrzeć się do Anglii.

Bez zastanowienia postanowiłem przyłączyć się do tych ostatnich. Br. Kanty z Jurkiem byli niezdecydowani. Pobiegliśmy po radę do Stefka. Ten się ze mnie wyśmiał i orzekł, że się nigdzie z miejsca nie rusza. To jednak nie zmieniło mojej decyzji. Nie wiedząc co robić z ciężką walizką, w którą spakowałem swoją sutannę i wszystko, z czym tutaj przy-

byłem, nie chcąc jej porzucać w obozie, na pastwę losu, postanowiłem zanieść ją do najbliższych domów rodzin oficerskich (francuskich) i tam pozostawić. Podobnie uczynił br. Kanty oraz Jurek, którzy w międzyczasie postanowili przyłączyć się do mnie.

Na czele naszego oddziału, mogącego liczyć około 100 chłopca, stanął rotmistrz Koprowski. Przed nami jedzie tabor z żywnością itp. Do któregoś auta włożyłem i ja swoją małą walizeczkę z najpotrzebniejszymi rzeczami. Wśród nich znajdował się także — pamiętam — „Zbiór poezji Marii Konopnickiej” oraz cenny zeszyt z zapiskami od roku 1936. Walizeczki tej nie miałem, niestety, już nigdy oglądać.

Chociaż to połowa czerwca, bierzemy ze sobą płaszcze i koce, bo nie wiadomo gdzie i jak przyjdzie nam spędzać noc. Płaszcze ubieramy na siebie, bo — mimo wszystko — tak będzie jeszcze najwygodniej w marszu. Przez jedno ramię zarzucamy zwinięte koce, przez drugie — manierki napętnione winem.

Oto już stoimy w czwórkach, gotowi do drogi. Jest godzina 10<sup>00</sup>, zanim rotmistrz Koprowski da rozkaz wymarszu, rozpala nasze serca płomiennymi słowy:

— „Żołnierze! Wróg otoczyć chce nasz obóz i dostać nas w swe szpony. Ufni w opiekę Bożą, wymkniemy mu się z paszczy! Raczej śmierć niż niewola! Wyparci z Ojczyzny, wyparci i stąd, pójdziemy walczyć na nowe lądy, za morza, ale nie poddamy się, bo «Polska jeszcze nie zginęła» Chłopy, w imię Boże, naprzód marsz!”

I płynie falą kolumna polskich tułaczy, polskich strażników. Płynie potężnie, płynie z mocą, słyszysz? Śpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy! Co nam obca przemoc wzięta, szabłą odbierzemy. Marsz! Marsz! Polonia — Ty dzielny narodzie, Odpocznijemy po swych trudach, w ojczystej zagrodzie!”

I tak śpiewać będziemy przez całą drogę. Francuzi wychodzą przed swe domy i patrzą na nas ze wzruszeniem.

— „Nous reviendrons!” — wołam wtedy do nich po francusku.

— „Oh! Revenez, revenez seulement!” — odpowiadając, zalewają się łzami.

Idziemy już kilka godzin. Bez odpoczynku. Niektórzy żołnierze zabrali ze sobą naładowane walizki, ale — powoli — nie bez bólu serca — zmuszeni są zostawić je w rowie, na pastwę losu.

Gdzieś koło godziny 3<sup>00</sup> wreszcie na jakiejś łące, w cieniu drzew, skorzystałem z okazji, by zmienić do nitki przepoconą wojskową koszulę. To mnie kosztowało utratę zegarka, wiecznego pióra, oraz portfela z pieniędzmi, gdyż zabierając się w pośpiechu do dalszej drogi, zapomniałem o rozłożonej na słońcu koszuli, w której kieszeniach znajdował się jedyny mój majątek... Zwróciłem na to uwagę dopiero po kilku kilometrach drogi, gdy już nie było mowy o powrocie...

Słońce zachodzi krwawo nad jakąś wioską. Rotmistrz Koprowski daje hasło do nowego odpoczynku. Jesteśmy zmęczeni i trapi nas potworne pragnienie... Idziemy do jednego domu. Pusto. Schodzimy do piwnicy i orzeźwiamy się „Sidrem”, potem siadamy na fosie przydrożnej trzymając nogi do góry. Doskonały to podobno środek na zmęczone kończyny... Jabłecznik zawrócił nam w głowie, morzy nas straszliwie sen, ale oto już rozlega się gwizdek na zbiórkę. Nie czas na wywczasy, tu ściga nas wróg! Maszerujemy znowu pod zachodzące słońce. Maszerujemy resztkami sił.

Już zmrok zapadał, gdy stanęliśmy u bram miasteczka Redons. Nagle dał się słyszeć coraz to bardziej zbliżający się warkot motorów... To jadą auta z wojskiem... To nasi! Polacy!... Na nasz widok przystają. Kazań nam wsiadać. Co za szczęście! I co za radość. Wsiadamy szybko, gdzie się da. Br. Kanty wsiadł razem ze mną, natomiast Besler wpakował się na inne auto. I tak los na zawsze rozłączył nas z Jurkiem...

Po drodze dowiadujemy się od żołnierzy, że uciekają z frontu, który Niemcy przełamali i prą niepowstrzymanie naprzód. Jadą do portu, chcąc się przedostać do Anglii.

Nie kończący się sznur aut ciężarowych, wypełnionych naszym wojskiem, pędzi wśród księżycowej nocy po wspianej szosie, okolonej baldachimem drzew, zastawiających

nas przed samolotami nieprzyjacielskimi. W aucie jest ciasno. Gniewimy się między beczkami z benzyną. Jesteśmy biali od kurzu.

W środę 19 czerwca rano, przybywamy do miasteczka Cholet. Nasze auto zatrzymuje się. Innych aut nie widać, jesteśmy sami. Myjemy się i spożywamy śniadanie. Nie rozchodzimy się daleko, bo lada chwila mamy jechać dalej, ale mija jedna godzina, druga, a szofera nie widać... Wkrótce dowiadujemy się że nas zdradził. Zamiast nas wieźć do portu, zбочzył w inną stronę, powiózł nas w głąb Francji i oto teraz nawiał. A był to Francuz. Widocznie gdzieś w pobliżu ma swoją rodzinę, i oto egoizm wziął u niego górę nad poczuciem obowiązku i szlachetnością. Co teraz począć?! Jesteśmy zrozpaczeni. Na próżno szukamy jakiegoś szofera. Zresztą i benzyny już nie ma. Pozostały nam znowu tylko nasze poczciwe, wierne nogi... Rozpraszamy się. A raczej małymi grupkami wyruszamy w kierunku najbliższego portu. Jest już po 12<sup>00</sup>. Idę z br. Kantym. Idziemy w milczeniu, jak skazańcy, których odeszła nadzieja ratunku. Na szczęście, jakiś poczciwy właściciel taksówki podwiózł nas z 10 kilometrów, a na pożegnanie funduje nam podwieczorek w przydrożnej kafejce. Mamy już ruszać w dalszą drogę, gdy oto stwierdzamy, że br. Kanty zostawił w taksówce moją teczkę z naszym wspólnym majątkiem, z żywnością, bielizną itp. Nowa rozpacz. Dopytujemy się o adres szofera. Na szczęście mieszka niedaleko. Br. Kanty wybiera się przeto na poszukiwanie swej zguby, podczas gdy jego towarzysz czeka na niego pod przydrożnym krzyżem. Po dobrej godzinie czekania, na horyzoncie pojawiła się sylwetka mego towarzysza niedoli, i — ku mojej radości — z teczką w ręce...

Ruszamy dalej, kierując się na Pouzauges i na Bressuire, dokąd zamierzamy dotrzeć i tam zatrzymać się u naszych znajomych sprzed kilku tygodni, i poczciwych kościelnych, przy ul. Juillot.

Jakaś dobra dusza podwozi nas znowu aż do samego Pouzauges i tu funduje nam kolację w jakiejś rodzinie. Życzliwi nad wyraz ludziska zatrzymują nas u siebie na noc

i dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami, prowadzą nas do przeciwległego domu, gdzie mieszka polska rodzina Chudych. Tu otwierają się dla nas nie tylko drzwi, ale i serca, pełne dobroci, wzruszone na widok dwóch polskich kleryków-rozbitków wojennych. Tylko gruby, kulawy „wujek”, patrzył na nas nieufnie i — jak się potem dowiedzieliśmy „przestrzeżał” wszystkich, by nam zbyt nie ufali, „bo to mogą być szpiedzy...”

W przyszłości, już po zawieszeniu broni, będziemy do siebie pisywać, a pocziwa pani Chudy, przyśle nam niejedną paczkę żywnościową do St. Cirgues, a potem na moją prośbę do ex-brata Lewczuka w niewoli.

Wypoczęci wczesnym rankiem 20 czerwca wyruszamy w dalszą drogę. Niemców mamy za sobą podobno tylko o jeden dzień drogi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy zbliżaliśmy się do portu La Rochelle. Na horyzoncie, niby gigantyczne drzewa, wznoszą się czarne dymy — to palą się zbiorniki benzyny.

Spotykamy naszych żołnierzy, którzy opowiadają nam, że Niemcy bombardowali dziś rano okręty z wojskiem polskim, usiłującym przedrzeć się do Anglii.

Po całodniowym marszu, postanowiliśmy noc przespać. Mimo wszystko — człowiek, to nie czołg! Zresztą i czołgowi może zabraknąć benzyny... Noc zastała nas gdzieś na odludziu. Przed nami ocieniony drzewami asfalt, a po prawej i po lewej stronie — pola i pola... Ani jednego domu, ani jednego światła. Nie ma innej rady, tylko trzeba się zdrzemnąć gdzieś na łonie nocnej przyrody... Tylko gdzieś daleko od szosy, by nas, przypadkiem, w nocy nie znaleźli Prusacy!... Bo wtedy... nawet na żal za grzechy nie będzie czasu!... Schodzimy z gościńca i idziemy przez łąki i pola. Jest cudna księżycowa noc. Uszedłszy spory kawał, minawszy jakieś — zasłaniające nas od drogi krzaki, napotkaliśmy kopy siana. „Voilà! qui sera bien! La guerre, comme à la guerre...!” Jedna kopa — dla każdego. Jazda kopać w niej otwór, by choć połowie ciała dać przytulne i miękkie legowisko! Nogi są mniej wymagające, a przede wszystkim spragnione świeżego

powietrza!... Zdejmujemy „godasy” i skarpety... Biedne kończyń!... Ale nie czas na rozczulanie się! To wojna. Pacierzcie i spać! W jasnym blasku księżycy, na dalekim, obcym ścierisku, klęczą czterech polskich żołnierzy — rozbitków...

Ktoś nuci obozową pieśń:

— „O Boże, któryś jest na niebie!...”

Odurzający zapach siana przyśpiesza sen... Gdzieś grają świerszcze...

Śnią nam się ojczyste łąki i pola.

Była może północ, gdy potworny huk zerwał mnie na równe nogi...

Serce tłucze się o zebra... Co się dzieje?...”

Grzmot drugi i trzeci...

Niemcy?

Nie, to burza! W tej samej chwili wpadł między nasze kopy wiatr, chciał je przewrócić, ale nie zdołał... Znowu potworny grzmot, jeden i drugi... To pioruny!... Zdają się targać w strzępy niebiosy i spadać z piekielnym hukiem gdzie tuż obok nas... Wreszcie lunął deszcz.

Wciągnąłem nogi do środka, zatkałem otwór sianem i ponawiając akty doskonałego żalu — czekałem, kiedy piorun rąbnie w moją kopę... Jakoś jednak dał spokój. Powoli grzmoty rzedyły i oddalały się, tylko deszcz padał i szumiał bez przerwy...

Byłem zziębnięty, przemoknięty i chory, gdy kapral rano pociągnął mnie za nogę, by wstawać... Najgorsze — że buty zostały na polu i są pełniuteńkie wody.

Ale oto stawiamy już pierwsze kroki na lśniącym od deszczu asfalcie... Ubrania mamy niesamowicie pomięte, twarze wymęczone... Jakoś nam się nie chce rozmawiać... Co za noc! Chwała Bogu choć za to, że Niemców mamy jeszcze za sobą i... że żyjemy jeszcze wszyscy!

Nasi dwaj towarzysze mają pieniądze (tak przynajmniej twierdzą) i — nie mogąc dłużej maszerować — postanowili za wszelką cenę postarać się o rowery. Kupić, ukraść, albo nawet przemocą komu odbić... A la guerre, come à la guerre. Nas też namawiają do tego (tzn. do kradzieży, bo pieniędzy nie mamy), tłumacząc nam z przekonaniem prawdziwych

„moralistów”, że na wojnie wszystko wolno, zwłaszcza gdy idzie o ratowanie swego życia.... Ale jakoś nam to nie trafiało do przekonania, toteż odłączyliśmy się od nich w najbliższym miasteczku i postanowiliśmy dalej, jak długo tylko się da — iść „pedibus cum jambis”.

Po drodze przyłączamy się do innych żołnierzy i idziemy wciąż na południe. Na próżno usiłujemy kupić gdzieś jakąś mapkę Francji! Kierujemy się po prostu słońcem. Czasem pytamy tylko o właściwy kierunek stron świata... Naszym jedynym celem — to Hiszpania, której granica — jak słyszymy — jest otwarta... Byle tylko zdążyć, zanim dopędzi nas wróg!...

Gdy jednak sił poczęło ubywać (a jednemu z nas dokucać bardzo przepuklina) — przypomnieliśmy sobie, że przecież gdzieś w środkowej Francji posiadamy dom w Neussargues. Tylko gdzie on się właściwie znajduje, w jakim departamencie?... Jedno tylko pamiętaliśmy: nazwa departamentu zaczyna się od litery „C”.

W najbliższej „kafejce” widzimy na ścianie mapę Francji. Rzucamy się ku niej. Szukamy gorączkowo... Jest! „Calais” Niestety! Na samej północy Francji! Tam już króluje Hitler! (NB. Oczywiście był to błąd, który ku nieopisanej radości odkryliśmy nieco później!).

Przybici i zrezygnowani idziemy dalej. Nogi nam się płaczą coraz więcej. Idziemy w milczeniu, nieraz długie kilometry... Bo, o czym tu gadać? Każdy przeżywa w sobie jakieś gorzkie myśli... Jak się to wszystko skończy? Gdzie ostatecznie „wylądujemy”? Czy wyjdziemy żywi z tej katastrofy? Jak godna zazdrości wydawała nam się w tej chwili hen — daleko — Polska, wprawdzie umęczona, ale już spokojna i taka cicha... a nasze matki nawet nie przypuszczają..

W drodze dowiadujemy się, że Niemców mamy za sobą tylko o dwa dni drogi... Trzeba koniecznie pozbyć się reszty żołnierskiego umundurowania! Próbujemy nabyć marynarki cywilne. Na próżno! Każdy się boi, dopatrując się podstępów (ułatwianie dezercji, nabywanie — przez wymianę — efektów wojskowych, etc.). Nie ma co, trzeba gdzieś zboczyć z drogi i by nie spotkać się z Niemcami — albo iść polami, albo też

zatrzymać się u kogoś... Ale u kogo? Chyba gdzieś w jakimś klasztorze, albo seminarium duchownym. Dowiadujemy się, iż w pobliskim miasteczku (nie pamiętam już nazwy), znajduje się takowe. Tak rozważając, słyszę za sobą jakieś auto, więc machinalnie jeden raz więcej wystawiam rękę w nadziei, że może nas zabierze. I rzeczywiście zwalnia, skręca i przystaje. Przedstawiamy się i prosimy o podwiezienie nas. Szofer — jakaś katolicka dusza — czyni to bardzo chętnie, żałując tylko, że nie może nas podwieźć dalej, bo seminarium do którego zdążamy znajduje się zaledwie o 14 km drogi, a on jedzie aż do samego Bordeaux (ponad 100 km).

Po drodze, poczciwy nasz kierowca, studiując na swej kierownicy mapę, o mało na dobre nie rozjechał jakiegoś młodego uciekiniera... Potłukł go tylko, za co zabrał go wraz z towarzyszami do swojej taksówki i powiózł — chyba aż do samego Bordeaux.

Wysiadłszy po 14 km i pożegnawszy uprzejmego szofera, zbczyliśmy w prawo, drogą wiodącą do jakiegoś miasteczka. Tam to zdawało się otwierać dla nas swoje gościnne progi nieznane seminarium duchowne. Ale uszedłszy zaledwie kilkadziesiąt kroków, mówię do mego kompana:

— „Wiesz co, Stefek, tak mi coś mówi, że źle robimy! Przecież tam seminarium na pewno w tych dniach puste! Kto nas tam przyjmie? I komu w ogóle będzie się chciało nami zajmować?... Dopóki się da, to idźmy naprzód, może nam się uda dostać do Anglii z Bordeaux, a jak nie, to do Hiszpanii!...

Mój towarzysz był tej samej myśli.

Ale, po cośmy w takim razie wysiadali z tej taksówki? Bylibyśmy zajechali do samego portu!... Są pytania, na które nie ma odpowiedzi!... Odpocząwszy na chwilę w cieniu przydrożnej topoli, powróciliśmy — źli na siebie — na znaną nam szosę. Na próżno patrzyliśmy za naszą taksówką!... Ani śladu.

Któryś z nas westchnął i zanucił piosenkę z lat zakładowych:

„Tułacze znamię dał mi Bóg!...”

Koło południa docieramy do miasta Santes. Trafiamy do miejscowego małego seminarium. Tutaj jesteśmy przed-

miotem iście matczynego przyjęcia. Tę rolę „matki” odegrał jeden z księży, którego wyjątkowo nazywano „Père” (zakonnik?). Najpierw nas dobrze nakarmił, potem zaprowadził nas do łazienki i kazał nam się wykapać, następnie zmusił nas, byśmy się nieco przespali na materacach w opustoszałej sypialni. Mieliśmy spać tylko godzinę czy dwie — ale — widząc jak byliśmy utrudzeni i spali jak zarżnięci — przedłużył nam sen, zaglądając na nas co chwila, jak matka. Trzeba było jednak wstać i uciekać dalej, bo wróg tymczasem nie spał... Przetartszy oczy i twarz zimną wodą, poczciwy ojciec poprowadził nas znowu do refektarza, karmi i wyposaża na drogę... Dał nam nawet swój własny scyzoryk, byśmy mieli czym krajać i smarować chleb, a do flaszeczki nalał nam... wódki, która miała pełnić w dalszej tułaczce rolę niezawodnego lekarstwa na dolegliwości... Co więcej, wręczył nam bilecik polecający do księdza dziekana w Pons.

Niech ci Bóg wynagrodzi, drogi nieznany księżu, za tyle okazanego nam serca!

Ksiądz dziekan w Pons, po przeczytaniu bilecika, przyjął nas bardzo serdecznie i zatrzymał na noc.

Nazajutrz rano wręczył nam 200 fr., a nie mogąc nas załadować na autobus, zatrzymał jakąś prywatną taksówkę, którą pojedziemy przeszło 100 km, bo aż pod miasto portowe Bordeaux. Jak się okazało życzliwym kierowcą był jakiś żołnierz francuski, który z pewną misją wojskową jechał do tego miasta.

Dowiedziawszy się po drodze o niedawnym strasznym bombardowaniu tego portu i o zatonięciu kilku okrętów z wojskiem polskim, na widok pożarów i dymów zakrywających miasto, postanowiliśmy iść dalej na południe. Toteż wysiedliśmy w Quatre Pavillone, unikając Bordeaux.

Tak więc utraciliśmy ostatnią szansę przedostania się do Anglii, z czego zdawał się raczej cieszyć jeden z nas, mając straszną odrazę i strach do śmierci na morzu...

Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, odpoczęliśmy na chwilę w cieniu zakurzonego żywopłotu, zjedli śniadanie, a — ponieważ konserwy wojskowe zaczęły się już psuć, postanowiliśmy wysmarować nimi nasze „godasy”...

### *Sobota 22 czerwca*

Nadchodzi jeden więcej wieczór... Przybywamy do wioski Cambes. Jeden z nas na widok kościoła proponuje, jak zwykle, zapukać na plebanię i prosić o nocleg, czym irytuje swego towarzysza, który chciałby nawet nocą uchodzić jak najdalej przed nieprzyjacielem, póki jeszcze siły w nogach i póki jeszcze czas... Ostatecznie... trzeba słuchać starszych! Co zresztą i tym razem okazało się szczęśliwe.

Dopytujemy się o plebanię. Przedstawiamy się i prosimy o nocleg. Lecz proboszcz nie ufa nam, bo się wymawia, że nie wolno nikogo nocować, by nam choć pozwolił ułożyć się na betonie w swoim garażu... To go ruszyło. „Macie jakieś papiery?” — pyta. Papierów żadnych właściwie nie mamy, ale pokazujemy mu to, cośmy zdołali uratować: „świadczenie minorków” i kilka zdjęć w sutannie. Przypatrzwszy się nam, uśmiechnął się życzliwiej i poprosił do środka. Trochę mu nieprzyjemnie, tłumaczy się, przeprasza. Mówi, że pełno szpiegów niemieckich krąży w sutannach, podaje się za kleryków, itd. Prosi do stołu.

...Kolacja, a potem — łóżka. Tej nocy jednak żaden z nas nie śpi. Obaj chorujemy na żołądki. Ach, te konserwy!...

### *Niedziela 23 czerwca*

Wysłuchawszy Mszy św., ruszamy w dalszą drogę. Cały dzień mży deszcz.

Po południu docieramy do wioski Languiran. Przy moście — zatrzymują nas francuskie władze wojskowe i odsyłają na żandarmerię... „Bigre”! Pytają się nas, czy jesteśmy cywilami, czy też żołnierzami. Jesteśmy „w kropce”, nie wiemy co odpowiedzieć, jak lepiej... Ponieważ jednak wyczuliśmy przychylnie do nas nastawienie i podejrzewając o jak najlepsze zamiary, gramy „cywilów”...

— „A te buty wojskowe?”

Struchleliśmy... Wykręcamy się, jak możemy... w końcu odsyłają nas do wójta.

Ale wójta nie zastajemy. Pojechał na wesele i musimy czekać, aż wróci. Mijają tymczasem cenne godziny, a wójta jak nie ma tak nie ma... Przyjechał dopiero późnym wieczorem.

Oczywiście, jest mocno podпиты, toteż trudno nam się z nim dogadać... w końcu, nadymając się i sapiąc, wziął do ręki pióro, by nam wydać zezwolenie na przekroczenie granic jego gminy. Jest już noc.

Na moście — światelko, a potem głos:

— „Halte — là”!

Stajemy.

— „Avencez!”

Czynimy parę kroków. Staje przy nas dwóch żołnierzy pod karabinami. Jeden — Murzyn. Pokazujemy co dopiero zdobyty „paszport”.

— „O c'est bien. Allez!”

Odetchnęliśmy!...

A teraz nie widzimy w ogóle świata Bożego... Mży deszcz, jest zupełnie ciemno. Nigdzie światelka, a drogi nie widać. Przypomniała mi się posłyszana kiedyś w Lowanium na lekcji psychologii doświadczalnej rada, by w takim wypadku patrzeć przed siebie z ukosa, albowiem obraz formuje się na tzw. żółtej plamce, która znajduje się z boku gałki ocznej. i rzeczywiście — idąc w ten sposób i „zezując” można cośkolwiek rozróżnić drogę od reszty.

W pewnej chwili otarłem się łokciem o coś twardego... To jakiś mur ogrodu... a tam — coś, jakby budynek... Tak. Nawet błyszczą słabe światelko... Co za szczęście! Podchodzimy. Oto już brama wejściowa. Dzwonek... Dzwonimy... Czekamy. — Nic. Dzwonimy raz, drugi i trzeci — nikt nie wychodzi. Nie ma co, trzeba iść dalej! Pod nogami, rozpoznajemy jakby trotuar... Znowu jakiś mur, ściany... Weszliśmy do jakiegoś miasteczka... Znowu światelko w jednym oknie. Pukamy.

— „Qui est là?”

— „Deux séminaristes polonais!...”

— „Qu'est que vous voulez?”

— „Ayez la bonté, s'il vous plait, de nos leger...”

— „Pas moyen, pas de place!”

— „De grace, m'importe où. Nous sommes fatigués, et nous ne savons où aller, car il faut complètement noir...”

— „On ne vous connaît pas! Qui est-ce qui peut nous prouver, que vous n'êtes pas des espions... Et quoi, il n'y a pas de place!!!

Słysząc trzaśnięcie drzwi.

Idziemy po omacku dalej. Ale nigdzie więcej światełka...

A to co? Kościół?

— „Wiesz co, nie pozostaje nam, jak przeczekać do rana... Poszukajmy jakiegoś kąta, gdzie deszcz nie pada...”  
Stąpamy po schodach. Oto drzwi wejściowe. Oczywiście — zamknięte, ale umieszczone we wnęce i tutaj deszcz nie sięga. Nie ma co szukać więcej, lepiej nie znajdziemy! Siadamy na zimnym kamieniu, opieramy i tulimy do siebie, by nam było cieplej.

A nad naszą dolą płacze deszcz...

Gdy się przebudziłem nad ranem, dygotałem na całym ciele... koło nas kręciły się psy. Deszcz nie tylko nie ustał, ale zamienił się w ulewę, która trwać będzie kilka dni, co nas bynajmniej nie powstrzyma od marszu.

*Poniedziałek 24 czerwca*

Jesteśmy na obiedzie u księdza proboszcza w Podensac. Mijamy Langon. Nie masz już na nas suchej nitki!... Gdzieś lituje się nad nami jakiś szofer i podwozi nas do miasta: Bezas. Tu spotykamy pełno wojska, zwłaszcza lotników. Jakiś stolarz pozwala nam schronić się przed deszczem i przed nocą do swej stolarni. Służąca proboszcza w Ponderac dała nam 10 fr, więc kupujemy bochenek chleba i trochę marmolady. Najgorsze jest to, że wszystko na nas mokre, trzęsiemy się z zimna, a nie mamy nic na zmianę. Co robić! Trzeba próbować tak zasnąć, na gołej podłodze...

*Wtorek 25 czerwca*

Gdyśmy rano pozbierali swe dygocące z zimna i ogniecione od podłogi kości, na polu nadal padał deszcz... Jak tu ruszać w dalszą drogę? „Zaczekajmy jeszcze chwilę, może coś zelży”. Rozwinęliśmy tymczasem koszule, żeby pręcej wyschnąć. W pewnej chwili jednak wpadł rozsierdzony stolarz, nawymyślał nam i kazał nam się wynosić...

I tak stanęliśmy znowu na czarnym, mokrym asfalcie...

Powoli deszcz ustawał. Idziemy w kierunku Captieux. W drodze trafia nam się wojskowe auto ciężarowe, które nas zabiera aż do Mont-De-Marsan (ok. 60 km). Tutaj staramy się o nocleg. OO. kapucyni odmawiają. O wiele bardziej ludzki, a nawet ojcowski okazał się „mgr l'Archiprete”. Przyjął nas serdecznie, poczęstował winem, ofiarował 50 fr, ale mówi tak: „Moje drogie dzieci, z przyjemnością bym was przenocował, ale lada chwila spodziewamy się w mieście... Niemców. Może nie wiecie, że rząd francuski zawarł z Hitlerem zawieszenie broni i właśnie przez nasze miasto ma przechodzić strefa okupacyjna. Trzeba wam przeto czym prędzej opuścić terytorium miasta, a tym samym departamentu, i udać się do następnej wioski, do Grenade-sur-Adour, tam już będziecie spokojni...”

O małośmy nie szaleli z radości... Pożegnawszy pocztowego księdza infułata, zaopatrzeni w bilecik polecający do jego przyjaciela, księdza dziekana w Grenade-sur-Adour, wyruszyliśmy natychmiast w drogę. Już się ściemniło na dobre i deszcz lunął znowu, ale nie uważaliśmy na nic. Zresztą, w pewnej chwili, gdy tak maszerujemy mimo ulewy, skręca ku nam i zatrzymuje się jakaś taksówka...

— „Où allez-vous, Messieurs?”

— „Vers Grenade-sur-Adour, avant que les Roches arrivant!...”

— „Montez, alors!...”,

Jedziemy, szturchając się lekko łokciami, na znak, że mimo wszystko, mamy szczęście...

Deszcz bębni po dachu taksówki, spod kół tryskają na wszystkie strony fontanny wody...

Oto już witają nas pierwsze światełka i pierwsze domy miasteczka Grenade-sur-Adour. Skręcamy w jakąś uliczkę... Kościół...

— „Et voici le presbytere!” — mówi szofer i zatrzymuje taksówkę przed samymi drzwiami plebanii.

To był wtorek 25 czerwca, godzina gdzieś 8<sup>00</sup> wieczór. Od tej chwili los miał się nam okazać z każdym dniem coraz życzliwszy. U życzliwego dziekana w Grenade mieliśmy pozostać cały tydzień, zanim zdołaliśmy nawiązać kontakt

z naszym domem w Neussargues. „Odkrywszy” bowiem w drodze właściwy departament, w którym dom ten się znajdował, nazajutrz rano napisaliśmy tam list, z prośbą o radę i pomoc. Czekając na odpowiedź, spaliliśmy całymi dniami, nie mogąc się wyspać, chodziliśmy do pobliskiej rzeki Adour na ryby, oraz rżnęli i rąbali księdzu dziekanowi drzewo...

W kronice wojennej czytam:

*Czwartek 27 czerwca*

„Jakaś miłosierna osoba, dowiedziawszy się widocznie o nas, posyła nam, przez księdza wikarego 50 fr.”

*Piątek 28 czerwca*

„Rąbiemy księdzu dziekanowi drzewo. Ktoś ofiarował mi gumowe buty”.

*Sobota 29 czerwca*

„Rżniemy drzewo. Telegram i list do Neussargues”.

Czuliśmy doskonale, że dla księdza proboszcza byliśmy ciężarem, tym bardziej, że oprócz nas, żywił już całą rodzinę uciekinierów z Belgii, ale cóż miał z nami biedny robić? A tu odpowiedź z Neussargues, jakoś nie przychodziła.

W niedzielę 30 czerwca rano zjawił się na plebanii jakiś zakonnik (O. Olivier), przyjaciel księdza dziekana, i dowiedziawszy się o nas, zaproponował nam, byśmy napisali do księdza kard. Hlonda, znajdującego się wówczas w Lourdes. Mając się tam udać jutro ze swoimi sprawami, list nasz osobiście księdzu kardynałowi doręczy. Tak też i uczyniliśmy. Tego samego dnia w południe, otrzymaliśmy list z Neussargues. I — o dziwo! Odpisuje nam nasz przełożony z Lowanium — ks. Jacques!... Co to ma znaczyć? Skąd on się tam wziął?... Z listu dowiadujemy się, że w Neussargues znajduje się cały nasz scholastykat belgijski i... ks. Jacques radzi nam przekroczyć granicę hiszpańską...(?). W międzyczasie jednak na skutek zawieszenia broni, granica ta została zamknięta. A zatem trzeba będzie próbować dostać się do Neussargues.

Tymczasem na kalendarzu pojawił się 1 lipca. Piękne słoneczne przedpołudnie tego dnia spędzamy z wędką w zarosłach rzeki Adour. Po obiedzie pamiętam: na deser była odrobina (jakżeż w tych dniach smaczna!) konfitur na białych

talerzykach — zjawił się życzliwy O. Olivier z listem od kard. Hlonda. Biała długa koperta. Drobnuteńkie, jak mak, piękne pismo. Serce nam bije mocno i ogarnia nas wzruszenie... Chciałoby się ucałować ten list, jak relikwię... Otwieramy. Duża biała karta. Czerwony nagłówek: „Prymas Polski”. Czytamy:

Prymas Polski

Lourdes, dnia 30 czerwca 1940 r.

Moi Kochani!

Otrzymałem Wasz list i rozumiem Wasze położenie. Jestem zdania, że powinniście przyjechać do Lourdes, gdzie będziecie się mogli zatrzymać, aż do porozumienia się ze swymi przełożonymi zakonnymi co do dalszych studiów. Oczekuję Was tu zatem.

Z serdecznymi pozdrowieniami i błogosławieństwem

+ *August Kard. Hlond*

Do listu dołączony był banknot 200 frankowy. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić z radości, czy śmiać się, czy płakać, czy się bić... Wybraliśmy pierwsze i ostatnie. Nie długo jednak trwała walka, rychło nastąpiło „zawieszenie broni”, bo trzeba było myśleć o podróży. Wraz z nami cieszył się zapewne i poczciwy ksiądz dziekan, bo wreszcie pozbędzie się „darmozjadów”.

We wtorek 2 lipca, o godzinie 5<sup>00</sup> rano, opuściliśmy nigdy niezapomniane Grenade-sur-Adour.

O godzinie 10<sup>00</sup> pociąg zatrzymał się w Tarbes. To już musi być niedaleko od Lourdes, bo o Tarbes czyta się w żywocie św. Bernadetty. Wjeżdżamy w Pireneje. W pociągu przeważnie robotnicy. Gadają głośno i klną siarczyście. Ten i ów spojrzy na nas nieufnie, zwłaszcza, gdy usłyszy naszą obcą mowę.

— „Et voilà Lourdes!” — mówi któryś z pasażerów, patrząc na pierwsze kamienie przez szybę.

Serce nam zabiło gwałtownie na wiadomość, że wjeżdżamy do miasta cudów...

— „Powiedz, Stefek, czy bylibyśmy kiedyś marzyli o tym, że będziemy w Lourdes?”

Pociąg tymczasem wjechał w rodzaj wąwozu. Z jednej i z drugiej strony wznoszą się wysokie góry. Na jednej z nich jeszcze śnieg — druga caluteńka zielona, pokryta trawą. Pociąg zwalnia. Robotnicy cisną się do wyjścia. Wsiadamy i my. Wychodzimy na miasto. Z oddali widać wspaniałą, białą sylwetkę bazyliki. Ku niej to kierujemy swe kroki. Pytamy się o pałac biskupi, gdzie mieszka nasz Prymas. Wskazują na piękny budynek, pośród drzew nad bazyliką.

Jest południe. To nie pora na wizytę u kardynała. Trzeba zaczekać kilka godzin. Chodźmy tymczasem zwiedzić bazylikę i dowiedzmy się o miejscu cudownej grotty.

Idziemy piękną aleją kasztanową. Kilkaset metrów przed bazyliką — to jakby jeden wielki park: drzewa, aleje, trawniki, posągi... Na samym początku — „Św. Michał”, potem „Calvaire Breton”, wreszcie — przed samą bazyliką — zachwycająca w swym wyrazie — figura Niepokalanej. Czyżby to była ta, do której pozowała sama Bernadetta, w trakcie wykonania której nawrócił się jej autor?

Sama bazylika spoczywa na cudownej skale i składa się z trzech części: na dole, jakby na parterze, z pięknej, okrągłej „kaplicy różańcowej” mieszczącej w sobie 15 kaplic, ze wspaniałymi mozaikami, przedstawiającymi tajemnice różańcowe — oraz, na górze — olbrzymia dwupiętrowa świątynia gotycka.

Niezliczone wota dosłownie pokrywają jej ściany. Są tu też różne proporce i sztandary, wszystkich chyba narodowości świata. Na jednym z nich rozpoznaliśmy orła polskiego i ciemny wizerunek „Częstochowskiej”.

Do tej górnej bazyliki prowadzą z dwóch stron, jak gdyby wspaniałe, po trzykroć w półkole zarysowujące się „wiadukty”, wsparte na potężnych arkadach. Można też skrócić sobie drogę schodami do kaplicy różańcowej.

Co za wspaniały rozciąga się stąd widok na Lourdes i na Pireneje!

Ale najwięcej pociąga nas do siebie cudowna Grota!... Idąc za wskazaniem jakiegoś Francuza, schodzimy w dół i przechodzimy pod łuki wiaduktu. Tu wita nas bulkot wartkiej, górskiej rzeki. To sławna „Gave”! Idziemy jej brzegiem. Tabliczki umieszczone na drzewach zapraszają pielgrzymów do milczenia. To już musi być niedaleko. Serca nam biją mocno... Po lewej stronie — jakieś zabudowania. To słynne „sadzawki”, w których tysiące chorych odzyskało zdrowie. A oto widać już rzędy ławek i tłum ludzi wpatrzonych w skały... Jedni siedzą w ławkach, drudzy klęczą, inni jeszcze stoją z rozkrzyżowanymi rękoma. Z rąk zwisają różańce. A oto... święta grota.

Na tle ciemnych skał oraz zieleni pnących się zarośli — widać bieluchną figurę „Niepokalanej”. Stoi w naturalnej skalnej niszy, w tym samym miejscu, w którym ukazała się Bernadette. Nimbem wokoło Jej głowy układa się napis: „Je suis L’Immaculée Conception”. U Jej stóp, gdzie kwitnie krzak dzikiej róży, ten sam napis w gwarze Bernadetty: „Que soy era Immaculada Councepciu”.

Pod figurą i nieco w lewo — właściwa Grota — z ołtarzykiem, gdzie w tej chwili odprawia się Msza św. Z boku przed „Niepokalaną”, na oryginalnym kilkupiętrowym, okrągłym świeczniku, jarzą się setki świec... Przed całą Grotą niby balaski — wysoka żelazna krata — w Grocie, a zwłaszcza na nagiej skale z boku, wiszą tysiące „kul”; najwymowniejsze „wota” uzdrowionych kalek. Po prawej stronie Groty — ambona, a nad wszystkim, hen — w górze, na skale, ogromna i wspinała bazylika.

Szelest różańców, szept ludzkich warg i szum „Gavy” — łączyły się w jedną wielką modlitwę: „...Je vous salue, Marie” — „Bądź pozdrowiona, Maryjo!”

Wśród rozbitków wojennych, przed cudowną Grotą, klęczy zablakanych aż tu — dwóch młodych „sercanów” Polaków. Płaczą. Ze szczęścia, jak dzieci, które odnalazły swą matkę!...

Do Prymasa zaprowadził nas jakiś poczciwy kapelan bazyliki, Francuz. Mogła być godzina 4<sup>00</sup> po południu. Nigdy nie zapomnę owej chwili... W otwartych drzwiach swego

pokoju czekał na nas — wspaniały w swej postawie i godności wielki nasz kardynał Hlond — wojenny rozbitek i tułacz, jako i my.

Widocznie nie my jedni z polskich rozbitków przekroczyliśmy jego próg, bo w pierwszej chwili — nie może się zorientować, kogo ma przed sobą... Zresztą, choćby nas wyglądał, to spodziewał się zobaczyć kleryków, zaś kleryków widuje się zazwyczaj w sutannie. A tu stanęło przed nim dwóch wynędzniałych, na wpół po cywilu, na wpół po żołniersku ubranych chłopaków... Dopiero, gdy wspomnieliśmy o „liście” i zaczęli dziękować za pieniądze, zorientował się i wyciągnął do nas swe ojcowskie ramiona. Usiadł obok nas na tej samej kanapie (tak, że piszący dotykał jego kolan) i zaczął nas krzepić gorącymi słowami otuchy i nadziei w nasze ostateczne zwycięstwo... Pamiętam, jak powtórzył kilka razy: „portae inferi — non praevalent”. Kazał nam odpocząć w Lourdes kilka dni, po czym pomoże nam dostać się do naszych Ojców w Neussargues, co w owym czasie nie było sprawą łatwą, gdyż wszelka prywatna komunikacja była wstrzymana. Następnie kapelanowi swojemu, ks. drowi Filipiakowi kazał nas odprowadzić na nocleg do kapelanii bazyliki. Był to olbrzymi, kilkupiętrowy gmach, znajdujący się tuż obok cudownej świątyni. Każdy z nas otrzymał po pięknym pokoiku i w tak wymarzonych warunkach, u boku Niepokalanej Matki, spędzić mieliśmy cały tydzień. Jedno tylko popełniliśmy głupstwo: gdy się nas Prymas pytał czy mamy pieniądze na żywność, powiedzieliśmy, że „tak” i ten brak szczerości i odwagi zemścił się potem na nas w postaci głodu... Dwa pierwsze dni dało się jakoś wytrzymać, ale potem jadaliliśmy trzy razy dziennie chleb z winem (którego można było dostać litr za trzy franki). Pewnego dnia właścicielka jakiegoś sklepu żywnościowego, jakby domyślając się naszej sytuacji, dała nam potajemnie przed swoim mężem — kilka bananów, oraz spore pudełko pasztetu... Owego popołudnia, w jednym z pokoików kapelanii w Lourdes, odbywała się prawdziwa „uczta Baltazara”!...

Br. Kanty, poluje w Lourdes na jakiegoś księdza, podobnego do siebie wzrostem... Aż trafił na jednego kapelana i wydebił od niego sutannę... Niedługo potem i jego towarzysz przyoblekł — dawno już nie noszoną, najdroższą ze wszystkich na świecie — suknię, którą mu ofiarował jeden z kleryków polskich, przybyłych tutaj wraz z kardynałem Hlondem z Rzymu. Trochę była krótka, trochę nie na niego..., ale któż na to dzisiaj zważał... Albo kogo, w tych dniach, dziwiły pod sutanną — głośno stukające gwoździami i podkówkami, żółte, wojskowe buty? — „A la guerre — come à la guerre”.

W środę — 3 czerwca poszliśmy zwiedzać miasto i okolice: przepiękną parkową „Drogę Krzyżową” i rodzinny dom Bernadetty. Kupiliśmy kilka skromnych pamiątek: medaliki i po różańcu dla naszych matek.

W pewnej chwili widzimy na ulicy dwóch brodatych misjonarzy. Mają kordony... Czyżby to „nasi”?... Podchodzimy i pytamy się.

— „Qui, nous sommes fils du P. Dehon!” Ten młody, szczupły brunet, to ks. Bernard, a ten starszy, kulawy — to ks. Aimond. Mieli wracać do Afryki, gdy wojna zastała ich w Bordeaux, skąd przedostali się do Lourdes, czekając na decyzję przełożonych. Dowiedziawszy się o naszych ciężkich warunkach żywnościowych, zapraszają nas z sobą do restauracji. I odtąd codziennie będą nam płacić obiady. Wprawdzie były one więcej niż skąpe i wstawalo się od stołu z podrażnionymi tylko żołądkami, ale tak już było w owe dni w całej Francji.

Ks. Aimond zdradził nam pewnego dnia przyczynę swego kalectwa. Pewnego dnia w Kamerunie jadąc autem z naszym rodakiem, br. Zjezdrzałką, ulegli oni obaj nieszczęśliwemu wypadkowi, w którym Polak zabił się, on zaś nabawił się kalectwa.

Któregoś dnia poznajemy się z O. Duchownym Gnieźnieńskiego Seminarium Duchownego — ks. Wietrzykowskim (dziś rektor Seminarium Duchownego w Poznaniu).

Powoli myślimy o naszej dalszej drodze. Br. Kanty ma jechać jutro do Prefektury w Tarbes, celem uzyskania przepustek, niezbędnych w owych dniach do jakiegokolwiek po-

dróży. W pomoc przyszedł nam „ nasz sąsiad z za ściany, ks. dr Bernacki (obecnie biskup gnieźnieński), ofiarował nam — choć sam biedny — 50 franków i obiecał wystarać nam się o pomoc.

A oto, co czytam w ocalałej z owych pamiętnych dni „kroniczce”.

#### *Sobota, 6 lipiec*

— W noc burza. Raniutko Stefek pojechał do Tarbes, przy okazji kupić coś do zjedzenia mnie i ks. Bernackiemu. Tymczasem przymieram z głodu. „Stef” wrócił dopiero o 3<sup>00</sup> po południu z przepustkami.

Po południu u kardynała. Potem przed Cudowną Grotą.

Wieczorem odwiedził nas ks. Bernacki. Opowiadał nam wiele ciekawych rzeczy, między innymi o ostatnich chwilach Piłsudskiego, oraz o naszych Polakach ze Strassburga.

#### *Niedziela 7 lipca*

Przed południem — u Prymasa. Otrzymaliśmy 200 franków, medaliki Serca Jezusowego z napisem „Serce Jezusa, nadziejo Polski”, oraz list polecający na dalszą drogę. Na obiedzie z naszymi misjonarzami. Potem — na stacji. Jutro chcemy jechać dalej. Po południu — w Grocie Niepokalanej. — Wieczór wizyta u ks. Bernackiego. Deszcz. Tak smutno pożegnać Matuchnę!...

#### *Poniedziałek 8 lipca*

Rano na Mszę św. w Bazylice. Potem pożegnanie z „Mamą”... Łzy... „O, Matko, daj nam tutaj jeszcze powrócić przed śmiercią”!

O godzinie 13<sup>56</sup> — odjeżdżamy do Neussargues. Pociąg — właściwie towarowy. Wlecze się jak żółw... (12 km na godzinę). Nie kończące się postoje.

#### *Wtorek 7 lipca*

Nocujemy u „Braci Szkół Chrześcijańskich” w Tuluzie. Po przeczytaniu listu od naszego Prymasa — podejmują nas, jak synów królewskich!...

#### *Środa 10 lipca*

Drugą noc w podróży spędzamy na plebanii w Aurillac. Przez cały czas jedziemy przepiękną kotliną między górami

i wzniesieniami Masywu Centralnego. Naprawdę, przepiękna jest ta Francja.

O godzinie 2<sup>00</sup> po południu dojeżdżamy wreszcie do upragnionego Neussargues. Już z dala wita nas duży biały krzyż i wyciągnięte do nas ramiona Bożego Serca na naszym Zakładzie.

Tutaj dowiadujemy się, że nasz scholastykat belgijski przeniósł się przed paru dniami do St. Georges, gdzie zamieszkał w wakacyjnej willi seminarium duchownego St. Flour.

Wyjeżdżamy tam niebawem. Co za radość z odnalezienia się.

Po miesiącu jednak — nasz scholastykat wraca do Lowanium. My — zostaniemy na drogiej ziemi francuskiej, by tutaj w St. Cirques spędzić najpiękniejsze lata naszego życia, których ukoronowaniem będzie dzień 29 czerwca 1942 roku, kiedy to — „Męczennik z Dachau ks. biskup Piquet włoży w Clermont na głowy nasze swe piotrowe ręce i każe nam wyruszyć na podbój dusz. „Tu es sacerdos in aeternum”.

Nie zapomniał o nas w tym dniu nasz ukochany, wielki kardynał-tułacz. Wróciwszy ze święceń do St. Cirques, czekał na nas duży biały list:

Prymas Polski

Lourdes, dnia 26.6.42.

Moi kochani Neoprezbiterzy!

Od siebie i od całej Polski cierpiącej, od niezłomnej i pewnej swych religijnych posłannictw, zasyłam Wam na wielki dzień Waszych święceń kapłańskich czułe gratulacje oraz życzenia łask Ducha Św. i błogosławionego apostołowania w służbie Najśw. Serca Jezusowego, w duchu Waszego Zgromadzenia.

Stajecie od altare Dei w wielką, pokutną wigilię nowych czasów w dziejach Kościoła i narodów, by swe młode porywy kapłańskie poświęcić chrześcijańskiemu kształtowaniu życia

pokoleń. Niech Was wśród tego posłannictwa podtrzymuje w świętości i gorliwości zdrojami łask swoich Boskie Serce Jezusowe, saturatum oprobriis, vita et resurrectio nostra. A gdziekolwiek Wam posłuszeństwo zakonne wyznaczyło zagony, ofiarujcie swe pacierze, swe memento mszalne za odbudowujący się kraj ojczysty i reprezentujcie godnie jego imię w posługiwaniu wiernym i karnym. Idą ku nam czasy wielkie, w których zwłaszcza zakonni kapłani wznieść się powinni na szczytne poziomy ducha i poświęcenia, pełniąc służbę Bożą z integralnym oddaniem, w głębokiej pokorze, z ogromnym ukochaniem dusz.

Ad multos annos, Moi Kochani Księża! Prześlijcie Polsce swe błogosławieństwo prymicyjne et omnipotentem Deum etiam pro me orate.

Z czułym oddaniem i błogosławieństwem prymasowskim

+ *August Kardynał Hlond*

Napisał

*Ks. Anioł Maria Gąsiorek SCJ*

# **PO WOJNIE OD 1945–1953**



Burza nadchodząca ze Wschodu przewaliła się z łoskotem ponad murami prastarego Krakowa, nie czyniąc mu prawie żadnej szkody. Wyparty okupant niemiecki w gwałtownej ucieczce zdążył w kierunku swego Vaterlandu. Kraj budził się do nowego życia...

Sercanie polscy natychmiast po wyzwoleniu, chociaż nieliczni, szybko przystąpili do organizacji nowego życia. Oczywiście, na pierwszym planie znalazła się sprawa troski o nowe, młode kadry sercańskie — stąd też jeszcze w roku 1945 (wrzesień), uruchomiono małe seminarium w Płaszowie.

Nowicjat, mieszczący się w domu p. Michalika w Stadnikach, obejmował kilku nowicjuszów, których liczba od roku 1946 miała stale wzrastać.

Dla wychowanków małego seminarium, zarówno jak też i dla kleryków, których grono ustawicznie wzrastało, potrzebne były odpowiednie pomieszczenia, których nie dawał przeznaczony dom płaszowski. Pałaca potrzeba dała impuls do rozpoczęcia robót budowlanych. Powstaje najpierw wschodnie skrzydło domu płaszowskiego, a potem kościół i dom nowicjatu w Stadnikach, scholastykat w Tarnowie, domy gospodarcze w Stadnikach i Płaszowie. Wszystko to w krótkim okresie lat sześciu i w warunkach niezbyt sprzyjających wszelkiego rodzaju budowom. Prace prowadził ksiądz rektor domu płaszowskiego, ksiądz Michał Wietecha, który po ustanowieniu w roku 1947 Prowincji Polskiej, został mianowany pierwszym przełożonym prowincjalnym. Po większej części powyższe budowy dokonały się w czasie trwania jego pracowitego „sześćciolecia”. Słusznie też nazwać go możemy „budowniczym” naszej drogiej Prowincji, dla której poświęcił swe zdrowie...

Rok 1947 przywraca nam utraconych we wrześniu 1939 roku księży. Wracają oni z zagranicy, zasilając poważnie grupę, która spędziła okres wojny w Ojczyźnie. W tym też roku, rozpoczynają już na dobre nasi księża prowadzić re-kolekcje ludowe, szerząc znajomość naszego Zgromadzenia po wszystkich dzielnicach Polski.

W roku 1948 zostaje oddany do użytku nowy dom nowicjatu w Stadnikach, a w roku następnym zostaje utworzony pierwszy odrębny scholastykat Prowincji Polskiej w Tarnowie, a tym samym Zgromadzenie wychodzi poza obręb diecezji krakowskiej. Prowincja rozwija się w szybkim tempie. A że nie jest to tylko rozwój ilościowy, świadczy o tym praca nad pogłębieniem naszej duchowości i podanie jej w przystępnej syntezie członkom, zwłaszcza młodym naszej Prowincji, podjęta przez ks. Władysława Majkę, której owocem jest książka „Życie miłości i wynagrodzenia”. Świadczy o tym również troska o najbardziej podstawową literaturę Zgromadzenia, jaka też ostatnimi laty ukazała się w polskim tłumaczeniu w naszym domach.

Smutnym rokiem dla naszej Prowincji w okresie powojennym był rok 1950, w którym to roku odszedł od nas ks. Kazimierz Wiecheć, założyciel Prowincji, by spocząć na cmentarzu podgórskim w Krakowie.

Podobnym był rok 1952, kiedy to nastąpiła kasata małego seminarium przez władze państwowe i konfiskata części zabudowań płaszowskich. Niemniej wypadki te, jak i ciężkie warunki życia, nie tylko, że nie załamały ducha członków Prowincji, ale przyczyniły się do nabrania ducha bojowości, a zarazem i wielkiej ufności w Serce Jezusowe.

Ważnym rozdziałem w historii powojennej Prowincji Polskiej jest życie młodzieży. Począwszy od roku 1948, liczba powołań zwiększa się, powstają trzy scholastykaty: tarnowski, płaszowski i stadnicki, tętniące młodym życiem sercańskim. Rok 1951 przynosi ze sobą założenie pisemka scholastyków „Ecce Cor...” oraz początki „Kółka Dehoniańskiego”. Obydwa te dzieła, wpłynęły na ożywienie i bliższe zainteresowanie ogółu życiem Zgromadzenia.

Ostatnie lata, w związku ze zbliżającym się 25-leciem naszego istnienia na ziemiach polskich, wzmożyły zainteresowanie całej Prowincji historią lat ubiegłych. Przewielebny ksiądz Majka po śmierci ks. Wiehecia, na polecenie ks. Michała Wietechy, ówczesnego przełożonego prowincjalnego, zaczyna opracowywać historię Prowincji Polskiej. Inicjatywa niniejszego albumu jest również wynikiem historycznych skłonności chwil obecnych...

20 września 1953 roku, cała Prowincja obchodziła uroczystości jubileuszowe, zorganizowane w domu macierzystym Prowincji, tj. w Płaszowie. W przeddzień odbyło się uroczyste nabożeństwo dziękczynne, z poświęceniem się Najśw. Sercu. W samym dniu 20 września odbyło się gros właściwych uroczystości... Dzień ten spędzony „in unum” stać będzie przed oczyma wszystkich, którzy brali w nim udział, jako coś, czego się nie da zapomnieć. Jako przeżycie zapadło głęboko w nasze serca i dusze...



## GDY USTĄPIŁA NOC NIEWOLI

Ślicznie wygląda łąka na wiosnę. Różnorodność kolorów i zapachów oczarowuje niejednego. Historię Kościoła w swej piękności i złożoności można porównać do tej wiosennej łąki. Otóż mamy zwrócić uwagę na jeden malutki kwiatek tej cudownej łąki — historii Kościoła, jakim jest historia naszej Polskiej Prowincji po wojnie w kraju.

Dziwnie lekko i radośnie czuje się chyba malutka roślinka oziminy, skoro poczuje pewnego ciepłego dnia wiosennego, że rozpułyła się gdzieś przygniatająca i mrożąca skorupa śniegu. Z ciepłem promieni słonecznych wstępuje w nią radosna nadzieja rozwinięcia się w najbliższej przyszłości. Podobne uczucia ożywiły nasze serca, kiedy 18 stycznia 1945 roku usunęła się sponad nas sprężysta okupacja niemiecka. Błysnęła nadzieja rozwinięcia w całej pełni naszych sił dla dobra Zgromadzenia i Kościoła w Polsce. Jak kiefek pękającego ziarnka przebija swym czepkiem twardą skorupę ziemi, szukając odpowiedniej gleby i wilgoci, by rósć i rozwijać się, tak sama mała garstka Sercanów polskich, licząca ośmiu księży, rzuciła się z zapalem, by usunąć skutki okupacji i frontu, a przez to stworzyć możliwe warunki do pracy i dalszego rozwoju.

Pierwszą odskocznją była pierwsza profesja ośmiu nowicjuszy (ks. Szortyki, ks. Büchlera...) 21 marca 1945 roku. Niedługo po profesji, bo 26 marca wyruszyło ich kilku pieszo ze Stadnik do Płaszowa jako ekspedycja porządkowa tamtejszego domu. Ksiądz rektor płaszowski, ksiądz Michał Wietecha musiał niektórych z nich przenocować w jednym ze swych dwóch pokoi, ponieważ w całym domu nie było odpowiedniego miejsca na nocleg. Wszystkie bowiem szyby od strony zachodniej były powybijane, a w niektórych miejscach

i sufity pouszkadzane przez szrapnele. Mieszkać we wschodniej części domu bez uprzedniego dłuższego przygotowania było rzeczą niemożliwą. Jedyne nasz dom w Polsce był porządnie przyniszczony. Szklenie okien we własnym zakresie ciągnęło się przez kilka miesięcy. Natomiast pozostałości niemieckie znajdujące się w podwórku i w ogrodzie jak: prowizoryczne garaże, bunkry, zniwelowaliśmy w kilku dniach. W święta wielkanocne mogła już swobodnie tamtędy przejść procesja rezurekcyjna.

Największą troską otaczana zawsze była u nas młodzież, jako przyszłość Prowincji. Klerycy: Dionizy Bucki i Stanisław Nagy kończyli podówczas swoją kombinowaną teologię. Brat Stefan Stawczykowski został przy nowicjacie, a pozostała siódemka neoprofesów, będących już po maturze, zaczęła uzupełniać swoje wiadomości filozoficzne pod kierunkiem profesora Juliana Majki. Przez trzy miesiące, tj. od 15 kwietnia do 15 lipca, dzielili oni czas między naukę i konieczne prace w domu. Dzień 15 lipca zakończył uroczyste ten swoisty kurs filozofii i ponadto zgromadził na naszym płaszowskim parterze licznych gości na naprawdę piękne prymicie dwóch pierwszych Sercanów wychowanych, wykształconych i wyświęconych w Polsce, tj. ks. Dionizego Buckiego i ks. Stanisława Nagyego. Były one odnowieniem stosunków przyjacielskich między Płaszowem a Zgromadzeniem, oziębionych za okupacji.

Od września 1945 roku popłynęło, można powiedzieć, mniej więcej unormowane życie. Przyjęto pierwszych pięciu powojennych wychowanków (Mucha Jan, Wielopolski Tadeusz, Czarnynoga Konrad, Gołuch Jan oraz Żechowski Józef) i zajęto się ich wychowaniem i nauką, a klerycy w starożytnej liczbie siedmiu zaczęli uczęszczać na regularne wykłady teologii do oo. franciszkanów.

Dzień 15 marca 1946 roku był dniem żywiołowej radości: dniem w którym przez niespodziewany przyjazd ks. Rudzoka i podówczas jeszcze kleryka Romana Kubiny, zabłysła nadzieja odzyskania w krótkim czasie naszych współbraci-emi-grantów.

W ostatnich latach wojny począwszy od roku 1942, liczba księży przyszłej naszej Prowincji, rok rocznie się zwiększała, biorąc pod uwagę naszych kleryków rozrzuconych po Francji i Włoszech. W 1942 — ks. Gąsiorek, ks. Kierpiec; w 1943 ks. Michalik Stanisław, ks. Rychlicki; w 1944 — ks. Rudzok, ks. Kmiecik, ks. Marekvia Władysław; w 1946 — ks. Kubina Roman; w 1947 — ks. Bem Jan; w 1948 — ks. Mytnik.

Przymusowi nasi emigranci zachęteni przykładem księdza Rudzoka i kleryka Romana Kubiny, zaczęli, stęsknieni zlatywać po sześcioletniej tułaczce jak ptaszki do rodzinnego swego gniazdka płaszowskiego, by tu stanąć wspólnie do pracy na rodzinnej niwie polskiej. Przyjazd jednak pierwszych, i to tak w nadzwyczajny sposób, bo z ks. kard. Sapiałą, wywarł wielkie i niezatarte wrażenie. Cieszyliśmy się również, że grono nasze zwiększyło się poprzez odzyskanie utraconych. Nie można było poprzestać na tej radości, ale musieliśmy myśleć o źródle stałego powiększania się na przyszłość, czyli o małym seminarium i wychowankach.

W poczuciu szczupłości jedyne go naszego domu płaszowskiego, rozpoczęliśmy wspólnym wysiłkiem w czerwcu 1946 roku budowę wschodniego skrzydła tegoż domu. Rzeczywiście był to wspólny wysiłek, bo najpierw wychowankowie wraz z klerykami kopali doły pod fundamenta, a gdy pierwsi rozjechali się na wakacje, ani klerycy, ani nawet księża nie uchylali się od pracy przy wykopach, cegle czy betonie. Pamiętamy dobrze, że po takim betonie niezmiernie smakował nawet suchy chleb na drugie śniadanie, czy podwieczorek. Łopata czy taczki niejednen pęcherz zostawiły na naszych dłoniach, jako dowód ciężkiej pracy. Świadomość, że kładziemy fundamenty pod przyszłość sercańską kazała nam zapomnieć o wszystkim. Pamiętna była płyta drugiego piętra, która zgrupowała i zjednoczyła koło betonu nie tylko robotników, ale także kleryków i księży. Już od tego czasu spędzanie większej części wakacji przy ciężkiej pracy budowlanej zdaje się przechodzić do tradycji kleryków sercańskich.

Lata 1946 i 1947 są niezmiernie ważkie w życiu naszej Prowincji. Młodzi księża zjechawszy się do jednego domu

z różnych formacji, z początku obserwowali się wzajemnie. Następnie po bliższym poznaniu swoich minusów i plusów, w długich nieraz dyskusjach następowało skonfrontowanie zdobytych wartości duchowych przez poszczególne formacje w czasie okupacji. W dyskusjach tych, nieraz bardzo ożywionych, zacieraly się skrajności, a wychodziła wypadkowa naszej duchowości. Słowem formował się nasz duch sercańsko-polski.

Po zatarciu się z grubsza różnic wyływających z wychowania różnokrajowego, stanęli do wspólnej pracy. A płynęła ona na razie w trzech kierunkach, a mianowicie: wychowanie naszej młodzieży sercańskiej w małym seminarium, stała praca duszpasterska w parafiach i katechezie, i dorywcza praca duszpasterska przez rekolekcje i misje, na które dopiero teraz księża nasi mogli się odważyć. O pracy ściśle naukowej na razie nie mogło być mowy. Ten odcinek pracy pozostaje jeszcze przez naszych nienaruszony, poza zdobyciem kilku stopni magisteriów i dwóch doktoratów.

Z roku na rok liczba wychowanków w Płaszowie zwiększała się, a zwłaszcza we wrześniu 1947 roku wprowadzono się do nowo wybudowanego wschodniego skrzydła domu. Pierwsze „Jasełka” grane przez naszych wychowanków na korytarzu szkoły publicznej w styczniu 1948 roku poruszyły cały Płaszów. To było impulsem do wybudowania w przyszłości — z resztek materiału — sali teatralnej. Liczba wychowanków w małym seminarium przedstawiała się mniej więcej następująco:

w 1949/50—80

w 1950/51—70

w 1951/52—69.

Studium nauk humanistycznych przed nowicjatem szło u nas należycie, natomiast wykończenie tych nauk po nowicjacie niezmiernie kulało. Jak bolesną jest również rzeczą to, że młodzież nasza studia filozoficzne i teologiczne musi odbywać włącząc się po obcych uczelniach. Są to nieuniknione bolączki początków. Jednym więc hasłem następującego 25-lecia to zorganizowanie, o ile warunki pozwolą, studiów wszystkich stopni u siebie na odpowiednim poziomie.

Z radością powitaliśmy 2 kwietnia 1951 roku pierwszy egzemplarz „Ecce Cor...”, jako próbę sił i szkołę zaprawy do przyszłych wielkich dzieł redakcyjnych. Wielkim bodźcem i zachętą w kierunku naukowym były prace obecnego księdza prowincjała „Życie miłości i wynagrodzenia”, „Nasza Droga”, a także przetłumaczenie „Reguły” i naszego „Dyrektorium”. Pomijam to, iż prace te pchnęły daleko naprzód w rozwoju naszego ducha sercańskiego.

„Mam wrażenie, że jedną z dat pamiętnych dla naszej Prowincji będzie data (styczeń 1952), ukazania się pierwszego numeru niniejszego pisma”. — Tak pisał do współbraci ksiądz prowincjał Michał Wietecha w przedmowie do pierwszego numeru „Unum”, jako pisemka wewnętrzno-informacyjnego. Piękne wysiłki i piękne początki. Całe nieszczęście, że pierwsze nasze kroki w tej dziedzinie wydawniczej przypadły na okres wprost niemożliwy pod względem redakcyjnym. Mamy nadzieję, że w przyszłości sił nam nie zabraknie na tym odcinku.

Ściśle łączy się z tymi naszymi wysiłkami historia naszej biblioteki, której monografię może ktoś w przyszłości opracuje szczegółowo. Przechodziła ona dziwne i nadzwyczajne koleje. Początek biblioteki płażowskiej przywiózł prawdopodobnie śp. ksiądz Kazimierz Wiecheć z zagranicy w paru walizkach. Przed wojną i z początkiem okupacji zasób jej pomieścił się na kilku półkach w pierwszej stancji na drugim piętrze od podwórka. Po zaokupowaniu tego pokoju przez Niemców 25 marca 1944 roku, ówczesny ksiądz magister po pewnym czasie zgromadził rozproszone jej egzemplarze w swojej czwartej stancji na drugim piętrze od podwórka. W czerwcu tegoż roku przewieziono autem p. Rysia znaczną jej część do Stadnik. W 1946 roku zgromadzono książki rozproszone po prywatnych etażerkach w wyłącznie na to przeznaczonym ostatnim pokoju na drugim piętrze od ulicy. We wrześniu 1947 roku znajdowała się ona na parterze nowego skrzydła domu w ostatnim pokoju od podwórka. W tym czasie ściągnięto ze Stadnik do tejże biblioteki niepotrzebne tam książki nieascetyczne. W 1949 roku przeniesiono ją na korytarz pierwszego piętra tego skrzydła. I tutaj uległa ona częściowej

konfiskacie. W chwili likwidacji małego seminarium liczyła ponad 4 000 tomów. Rosła ona z latami nie tylko przez dorywcze zakupy ale i przez darowizny jak np. śp. Michała Wietechy (krewnego obecnego rektora domu piaszowskiego, ks. Michała Wietechy), śp. księdza prałata Matusza Jeża.

Scholastykat tarnowski dorobił się też w krótkim czasie zmuśną pracą równie pięknej biblioteki.

15 luty 1947 roku to dzień odczucia swojej siły i zadowolenia z poczucia gruntu pod nogami; wszak zostaliśmy samoistną komórką Kościoła i Zgromadzenia — odrębną Prowincją Polską. Zepolił on nas jeszcze ściślej w jedną rodzinę wokół osoby pierwszego prowincjała. Był to dzień, naprawdę wielkiej radości, ale także i dzień wspólnego i cichego postanowienia — dać z siebie wszystko, by Prowincja nasza nie pozostała, przynajmniej w tyle, za równocześnie utworzonymi prowincjami: hiszpańską i angielską. Poczuliśmy, że pracujemy dla siebie, dla Polski, dla swojej rodziny — jaką stała się nasza Prowincja.

Dnia 2 kwietnia 1949 roku siedmiu następnych diakonów położyło się krzyżem w bazylice oo. franciszkanów, by ostatecznie przygotować swoje dusze na sakrament kapłaństwa. Najlichnieszka grupa dotychczas święconych, dodawała otuchy innym, że przy tak zwiększonej liczbie kapłanów-sercanów, można będzie podjąć większe prace. I rzeczywiście tak się stało, bo za parę dni, około 8 kwietnia, księża nasi objęli małą i ubogą parafię we Florynce (diecezja tarnowska). Jak na każdej z naszych uprzednich placówek, tak i tam praca musiała iść ab ovo. Jest rysem charakterystycznym wszystkich naszych obecnie istniejących dzieł, że zaczynały się w niedostatku i pracy — w duchu czysto sercańskim.

Na uboczu, z dala od wartkiego nurtu życia powojennego, zdobywała sobie warunki do życia kuźnia dusz sercańskich — nowicjat stadnicki. Kandydaci do niego rekrutowali się zaraz po wojnie jedynie wprost „ze świata”. Wynieśli oni stamtąd bardzo wiele miłych i historycznych wspomnień. Nietety, wspomnienia te nie mają charakteru czysto nowicjaciego, ale są związane z budową obecnej placówki stadnickiej,

rozpoczętej 10 czerwca 1947 roku. W tym dniu bowiem ks. prowincjał poświęcił teren pod budowę i rozpoczęto kopać doły pod fundamenty. Budowa trwała przeszło rok. Dniówki przepracowane przez tamtejszych ludzi przy budowie, ówczesny ksiądz magister (Władysław Majka) skrupulatnie spisał i przekazał potomności, ale dniówki, pot i zdrowie naszej młodzieży i księży zapisało tylko samo Serce Jezusowe.

Poświęcenie kamienia węgielnego, zainstalowanie się w nowym domu, poświęcenie kościoła i otwarcie parafii, to są tylko historyczne i jasne dni tego nieustannego trudu i cicho płynącej ofiary. Wspomnijmy szczegółowiej o tym dniu 14 sierpnia 1948 roku, dniu przeprowadzki z tymczasowego nowicjatu u pana Michalika do nowego domu. Nowicjusze, scholastycy, łącznie z teologami pod kierownictwem księdza magistra uwijali się jak mrówki na ścieżkach łączących te dwa nowicjaty. Jedni przenosili niektóre rzeczy na rękach, silniejsi na plecach, inni jeszcze na pożyczonym tragaczu. Kursowała też w tym dniu na tej drodze jednokonna fura zabierając cięższe kawałki. Zabieraliśmy wszystko, począwszy od osobistych drobiazgów poprzez kuchenne garnki i chochle, aż do wypróżnionej już beczki po kiszonej kapuście. Pod wieczór przyszedł ulewny deszcz, który trwał aż do późnej nocy. Pomimo błota i ulewy przewoziliśmy nasze ostatki blisko aż do godziny 23<sup>00</sup>, ma się rozumieć z wielkim nakładem zaparcia się siebie, ponieważ tak pogoda, jak i mioniony dzień mrówczej pracy odebrały nam młodzieńcze zapały. W starym domu została tylko kapliczka, do której nowicjusze uczęszczali przeszło przez miesiąc i to parokrotnie na dzień, bez względu na warunki atmosferyczne.

Podobnie tułacze życie, ściśle rok później prowadzili w Tarnowie na początku swego przyjazdu nasi scholastycy. Przez cały czas pracy nad wykończeniem domu tj. od 17 sierpnia 1949 aż do 7 września tj. do chwili poświęcenia pierwszej kaplicy domowej, musieli chodzić na Msze św. do pobliskich dwu kaplic życzliwych im klasztorów.

Dziwne były koleje naszej domowej kaplicy w Płaszowie. Historia jej jest ściśle związana z naszym życiem

i dlatego trzeba ją tu pokrótce nakreślić. Jeszcze w roku 1944 musieliśmy pod naporem Niemców zlikwidować ją z pierwszego piętra od ulicy, dotychczasowego jej stałego miejsca. Po paru dniach urządzono kapliczkę w jednej z ostatnich stacji na drugim piętrze od ulicy. Ciasnota miejsca dawała się odczuć i w kaplicy. W dwa miesiące później całe urządzenie kapliczki przewieziono do Stadnik. Zanim urządzono w starym domu kaplicę, co nastąpiło dopiero po miesiącu pracy nad uporządkowaniem domu u pana Michalika, nowicjusze chodzili na Msze św. do Dobczyc. W pierwszy dzień Zielonych Świątek 1944 roku poświęcono kapliczkę w starym nowicjacie z ołtarzem i umeblowaniem przywiezionym z Płaszowa. Następnie ten sam ołtarzyk był w nowym kościele stadnickim, bocznym ołtarzem Matki Boskiej, przy którym odprawiały się wszystkie nabożeństwa maryjne. Skoro ufundowano w Stadnikach obecny ołtarz Matki Boskiej (10 grudnia 1950), stary ołtarz płaszowski rozebrano i złożono na strychu na odpoczynek. Aż dopiero w maju 1951 roku oczyszczono go i postawiono w kaplicy nowicjackiej, gdzie obecnie się znajduje.

Po froncie w 1945 roku otworzono w Płaszowie kaplicę domową na starym miejscu na pierwszym piętrze od ulicy. Ufundowano tam nowy ołtarz, z miękkiego drewna, malowany na seledynowo ze złotymi ozdobami na antypedium z barankiem. W 1947 roku przeniesiono ją w całości na drugie piętro do nowo wybudowanego wschodniego skrzydła domu. Stąd została usunięta przemocą pod koniec 1952 roku po likwidacji małego seminarium.

Tułaczy tryb życia wraz z nami prowadził przez te minione 25-lecie nieodłączny nasz Przyjaciel — Eucharystyczne Serce Jezusa. 12 grudnia 1950 roku jedyny raz w przeciągu minionego 25-lecia zatrzepotała nad Prowincją Polską chorągiew żałoby. Śmierć polskiego fundatora śp. ks. Kazimierza Wiechecia odczuliśmy wszyscy tym więcej, że była pierwszą w Prowincji i że zostaliśmy przez nią niespodziewanie zaskoczeni. Pierwszy z nas odszedł po zapłatę za bóg o Królestwo Serca Jezusowego.

Jak bomba, która rujnuje i odbiera siły i chęć do pracy, uderzył w Prowincję naszą fakt likwidacji małego seminarium w Płaszowie.

Trzeci lipiec 1952 roku pozostanie niezatartym w naszej pamięci i historii. Oscylacja między uzyskaniem utraconych budynków a więzieniem, wyczerpała nerwowo przełożonych, a wszystkim wytrąciła z ręki poważną pracę. Źródło stałego dopływu kandydatów — wyschło. Kilku księży profesorów zostało bez zajęcia. Zgodzono się przeto z łatwością na propozycję ks. arcybiskupa Baziaka, aby objąć przynajmniej na rok w administrację parafię Węglówka. Auto pana Czernka po mozolnym wydrapaniu się do Węglówki zainstalowało tamże od 1 września 1953 roku pobyt Sercanów.

Najświeższe wypadki podane w schemacie dat, każdy z nas ma wpisane na razie w wyobraźni i może z niej snuć osobiste wspomnienia. Wypada jeszcze tylko rzucić parę słów na temat naszej wspólnej nazwy „Sercanie”. Przed wojną nazywaliśmy się i nazywano nas pełnym tytułem „Księża Najświętszego Serca Jezusowego”. Znajomość naszego grona w naszej Ojczyźnie miała podówczas bardzo szczupły zakres. Jako dowód niech posłuży fakt, że gdy w roku 1936 wyjechałem po raz pierwszy do małego seminarium, to nawet Księża Jezuici w Krakowie przy ulicy Kopernika nie wiedzieli, czy w ogóle są w Krakowie tacy Księża Najświętszego Serca Jezusowego. Nazwa „Sercanie” urobiła się w czasie po okupacji, gdy księża nasi zaczęli się częściej zjawiać na placówkach zewnętrznego duszpasterstwa. Stan obecny zilustruje nam następujące zdarzenie. Będąc w lipcu tegoż roku w kurii biskupiej w Olsztynie, tamtejszy kanclerz autochton podkreślił z radością, iż spotkał się już z naszymi misjonarzami aż na drugim końcu Ziemi Odzyskanych, w Zgorzelcu. Świadczy to, iż synowie Ojca Dehona nie próżnują.



## WAŻNIEJSZE DATY W PROWINCJI POLSKIEJ

### Rok 1945

- 18 stycznia      Oswobodzenie Krakowa.  
21 marca        Pierwsza Profesja w Stadnikach, którą złożyło ośmiu nowicjuszy (Szortyka, Būchler, Kunda...).
- 15 kwietnia     Rozpoczęcie trzymiesięcznego uzupełniającego kursu filozofii.
- 8 lipca          Pierwsze święcenia kapłańskie dwóch Sercanów w Polsce (ks. Bucki i ks. Nagy St.).
- 15 lipca        Prymicje i zakończenie domowego kursu filozofii.
- 1 września     Pierwsi powojenni wychowankowie w liczbie pięciu, i rozpoczęcie św. teologii u oo. franciszkanów.

### Rok 1946

- 15 marca        Przyjazd do Polski ks. Rudzoka i kłeryka Kubiny Romana.
- 20 kwietnia    Przyjazd do Polski ks. Michalika.
- 30 kwietnia    Przyjazd ks. Kmiecika, Marekwi, Oleksego i br. Borowego.
- 5 maja         Zorganizowanie się międzygromadzkiego komitetu budowy kaplicy w Stadnikach.
- 6 maja         Powrót do Polski ks. Gąsiorka i ks. Kierpca.
- 7 czerwca      Rozpoczęcie budowy wschodniego skrzydła domu płażowskiego.
- 15 września   Pierwsza profesja trzech nowicjuszy (Topielec, Stoszko J., Nawieśniak J.).

- 19 września Dekret erekcyjny Kurii Metropolitalnej w Krakowie domu Księży Sercanów w Stadnikach.
- 10 listopada Święcenia kapłańskie ks. Romana Kubiny.
- 3 grudnia Posiedzenie Rady Generalnej Zgromadzenia, na którym zostało postanowione utworzenie Prowincji Polskiej.
- 18 grudnia Kanoniczne erygowanie Prowincji Polskiej przez Stolicę Świętą.

### Rok 1947

- 10 stycznia Nominacja pierwszego prowincjała i jego rady.
- 15 lutego Objęcie obowiązków przez pierwszego księdza prowincjała i jego radę.
- 15 marca Kontrakt darowizny z p. Wojciechem Michalikiem.
- maj Powrót ks. Rychlickiego do kraju.
- 10 czerwca Poświęcenie terenu pod budowę w Stadnikach i rozpoczęcie kopania fundamentów.
- 10 lipca Powrót ks. Bema do kraju, a w parę dni później ks. Franciszka Nagyego.
- 13 lipca Poświęcenie kamienia węgielnego kościoła stadnickiego.

### Rok 1948

- 17 stycznia Pierwsze większe powojenne „Jasełka” wychowanków (grane w szkole publicznej).
- 25 kwietnia Poświęcenie Wielkiego Ołtarza w Płaszowie przez J. E. Ks. Bpa Stanisława Rosponda.
- 14 sierpnia Przeprowadzka ze starego domu do nowego nowicjatu w Stadnikach.
- 15 sierpnia Objęcie urzędu przez pierwszego rektora nowego domu nowicjatu w Stadnikach.
- 26 sierpnia Wyjazd księdza prowincjała Michała Wietechy do Zakopanego na leczenie.
- 19 września Poświęcenie kościoła w Stadnikach.

- 18 grudnia Święcenia kapłańskie księdza Stefana Mytnika.  
Końcowe Poszukiwania za scholastykatem.  
miesiące

### **Rok 1949**

- 13 lutego Pierwsza profesja czterech nowicjuszy (Marekvia K., Mucha, br. Zięba).  
2 kwietnia Święcenia kapłańskie siedmiu teologów.  
8 kwietnia Objęcie parafii we Florynce (diec. tarnowska).  
29 czerwca Nominacja pierwszego rektora scholastykatu w Tarnowie (ks. J. Bem).  
17 sierpnia Przenosiny scholastyków do Tarnowa.  
18 września Rozpoczęcie budowy domu gospodarczego w Stadnikach.  
20 września Rozpoczęcie studiów sercańskich w seminarium duchownym w Tarnowie.  
26 września Rozpoczęcie roku szkolnego w studium domesticum licealnego w Tarnowie.  
13–14 grudnia Pierwsza wizytacja kanoniczna w Tarnowie.  
20 grudnia Pierwsza profesja dziewięciu nowicjuszy (Łukasik St., Skowronek, Ogarek...).

### **Rok 1950**

- 19 lutego Przydzielenie pierwszego stałego ojca duchownego w scholastykacie w Tarnowie.  
czerwiec Wychowankowie rozpoczęli kopać doły pod fundamenty domu gospodarczego w Płaszo-  
wie.  
20 lipca Ks. Czesław Kunda mianowany socjuszem mistrza nowicjuszy.  
17 października Pierwsza profesja ośmiu nowicjuszy (Wciśło, Kania...)  
12 grudnia Śmierć ks. Kazimierza Wiechecia.

### **Rok 1951**

- 16–18 lutego Wizytacja kanoniczna w Stadnikach.  
1 marca Erekcja ekspozytury w Stadnikach.  
2 kwietnia Ukazanie się pierwszego numeru „Ecce Cor...”.  
13 września Pierwsza profesja jedenastu nowicjuszy (Halama, Koźluk...).

### **Rok 1952**

- styczeń Ukazanie się pierwszego numeru „Unum”.  
6–9 marca Wizytacja kanoniczna w Tarnowie.  
3 lipca Likwidacja małego seminarium w Płaszowie.  
21 sierpnia Ks. Bem przybywa do nowicjatu w charakterze mistrza nowicjuszy.  
23 sierpnia Objęcie rektoratu domu tarnowskiego przez ks. Stanisława Nagyego.  
1 września Objęcie parafii w Węglówce (diec. krakowska).  
21 grudnia Pierwsze święcenia kapłańskie w kaplicy scholastykatu tarnowskiego udzielone przez J. E. Ks. Bpa Dra Karola Pękałę.

### **Rok 1953**

- 10 marca Professio fidei drugiego prowincjała Prowincji Polskiej.  
10 kwietnia Rozpoczęcie wizytacji kanonicznej domów Prowincji przez nowego prowincjała.  
27 maja Początek budowy nowych stajen w Płaszowie.  
16–18 czerwca Kapituła Prowincjalna.  
5 lipca Święcenia kapłańskie w Tarnowie (Stawczykowski, Topielec, Stoszko J., Nawieśniak J., Marekwia K.).  
10 sierpnia Zakończenie procesu w Płaszowie.

*Ks. Czesław Kunda SCJ*

## OKIEM POWOJENNEGO SERCANINA

Był piękny poranek jednego z pierwszych dni lipca 1945 roku. Ulica Płaszowska, podobnie jak i dzisiaj w porze letniej, pełna śmieci i kurzu unoszącego się za przejeżdżającymi autami, przedstawiała widok mało przyjemny dla oka. — Wraz z siostrą księdza Turka zdążyłem w kierunku Płaszów-kościół. Byłem tutaj po raz pierwszy — w płaszowskie zaułki nie zapuszczałem się nigdy, chociaż odcinek Wisły: Zabłocie — Mogiła, był mi bardzo dobrze znany.

Czas włókł się powoli a droga także; wreszcie zza zakrętu wychylił się dom i kościół płaszowski ze szkołą, której małą wieżyczkę brałem z daleka za sygnaturkę kościoła.

Więc to jest ten Płaszów? — pomyślałem. Przyznam się, że żadnego specjalnego wrażenia nie wywarł na mnie ten dom z licznymi oknami i dużym stromym dachem. Oceeniłem pobliskie łąki jako nadające się do piłki...

...Doszliśmy do domu. U wejścia na korytarz pełno gruzu i odrapanego tynku ze ścian; cały korytarz nie wyglądał również lepiej — znać było gorączkową pracę, jakieś przeróbki wewnętrzno-domowe.

Zaczekaliśmy pod oknem na korytarzu. Po chwili zeszedł do nas ks. Turek i rozgadaliśmy się. W trakcie naszej rozmowy przyłączył się do naszej grupki ówczesny ksiądz rektor domu płaszowskiego, ks. Michał Wietecha. Ks. Turek przedstawił mnie jako przyszłego kandydata do Zgromadzenia. Zostałem przywitany bardzo serdecznie. Nie pamiętam już dobrze na jaki temat potoczyła się rozmowa, w każdym razie rozmawialiśmy wesoło dłuższą chwilę, a z rozmowy tej odniosłem wrażenie, które do dziś dnia pozostało we mnie i które odnosi się do wielu ludzi (o czym przekonałem się na własne uszy) w zetknięciu

się z naszymi księżmi — to są inni księża, inni niż ci, z którymi spotykałem się dotąd. Ta bezpośredniość, serdeczność i pełna inicjatywy postawa, wzięła mnie od razu za serce.

Po odejściu księdza rektora, zbliżył się ku nam jakiś ksiądz niskiego wzrostu, za okularami. Przedstawiono mnie podobnie. Ksiądz ów przedstawił się: Solak Franciszek — profesor od łaciny — dodał ks. Turek. — Od łaciny? — powtórzyłem w myśli, i z szacunkiem spojrzałem na poważny, choć bardzo miły i serdeczny wyraz twarzy płaszowskiego „łacinnika”. Z łaciną miałem już coś niecoś do czynienia, gdyż zdążyłem do końca czerwca 1945 roku przerobić pierwszą klasę gimnazjalną.

Rozmowa dalej toczyła się serdecznie. Koło nas przechodzili, to szybko, to znów powoli rozmaici księża, kiwając uprzejmie w naszą stronę głowami. Wydawało mi się, że jest ich dość sporo. W pewnej chwili od strony kuchni, wyszedł szybko jak zwykle, kleryk, a dzisiaj ks. Stawczykowski i zręcznie pokonawszy skręt na schody, pędząc po cztery stopnie na raz, zniknął w górze. Nie przypuszczałem wtedy, iż z owym klerykiem przeżyjemy wiele lat we wspólnej pracy i w jednym scholastykacie. Co to za scholastykat, nie miałem jeszcze wtedy zielonego pojęcia.

Przypatrywałem się wszystkiemu chciwie i z zainteresowaniem. I ja tu kiedyś będę — myślałem — ale stać się to miało za równe dwa lata.

A Płaszów wrzał pracą...

Tyle można było zaobserwować, jako zewnętrzny widz w Płaszowie, w tych pierwszych miesiącach powojennych.

Po tej pierwszej wizycie odwiedzałem Płaszów często, bywając u ks. Turka, to znowu korzystając z wykładów „łagodnego łacinnika płaszowskiego”. Za każdą wizytą można było zauważyć w domu płaszowskim coraz to większy ruch. Od września 1945 roku, małe seminarium płaszowskie wypełniło się wychowankami. Obserwowałem ich niejednokrotnie ciekawie, nie wiedząc, iż z wieloma spośród nich będę kiedyś żył pod jednym dachem scholastykatu. Okazję do

odwiedzenia małego seminarium dawała mi rola dostawcy filmów, kinooperatorowi płażowskiemu.

Od marca 1946 roku poczynają powracać polscy księża Zgromadzenia z zagranicy z emigracji włoskiej i francuskiej. W tymże samym roku rozpoczęto budowę wschodniego skrzydła domu płażowskiego. Jak mogłem sam naocznie stwierdzić, w pracy brali udział wszyscy, tak klerycy jak i wychowankowie. Do pracy przy tej pierwszej budowie sercańskiej po wojnie, chociaż nie należałem oficjalnie do Zgromadzenia, i ja swój wkład uczyniłem zakładając z ks. Turkiem oraz z jednym z mych kolegów instalacje oraz lampy elektryczne. Mały to był oczywiście wkład, ale był on wstępem do pracy, w jakiej mieliśmy już wspólnie, przy budowie nowicjatu i kościoła stadnickiego, złączyć się w pełni w sercańskim czynie.

Na fakt utworzenia Prowincji Polskiej naszego Zgromadzenia w lutym 1947 roku, nie zwróciłem specjalnej uwagi; nawet muszę powiedzieć, że nie wiedziałem o nim. Było to na pół roku przed moim wstąpieniem do nowicjatu. Do Płażowa w tym czasie nie chodziłem, gdyż nieobecność ks. Turka, który w tym okresie rozpoczynał swą karierę misjonarza ludowego, onieśmiałała mnie, poza tym i bezpośrednio przygotowywanie się do małej matury pochłaniało mi wiele czasu.

Nadszedł wreszcie okres ukończenia gimnazjum. Po otrzymaniu świadectwa i hucznym pożegnaniu kolegów gimnazjalnych, wśród którego nie brakło obfitych rad i wskazówek odnoszących się do mego przyszłego stanu — odetchnąłem — czułem się już strasznie dojrzały. Po kilku dniach wypoczynku, udałem się do Płażowa, chcąc zbadać, co tam zadecydują odnośnie do mojej osoby. Zastałem wszystko gotowe, tzn. do przyjęcia mnie do nowicjatu. Otrzymałem natychmiast numer, który noszę do dnia dzisiejszego na wszystkich swych przypadłościach. Zgłosić się miałem koło 21 lipca.

Miałem jednak wyraźnego pecha, gdyż z powodu niešťęśliwego zbiegu okoliczności, auto jadące z cegłą do Stadnik, uciekło mi sprzed nosa. Optymistycznie nastawiony do

całej sprawy ówczesny ksiądz rektor piaszowski (ks. Stanisław Nagy), poradził mi przyjść nazajutrz.

Nazajutrz, był to dzień św. Magdaleny — 22 lipca. Rano, już dużo wcześniej wyszedłem z domu, by zająć na czas do Piaszowa. Pech jednak prześladował mnie w dalszym ciągu. W dniu 22 lipca, jako święto Odrodzonej Polski (Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego), nie tylko nie jechało auto z cegłą do Stadnik, ale i nie kursował żaden autobus w pobliską Stadnikom stronę. Z dobroczynności innego środka lokomocji, jak np. z kolei również nie można było skorzystać, albowiem obeznanym w tej sprawie wiadomo, iż w okolice Gdowa czy Dobczyc nie zdołano przeprowadzić kolei żelaznej.

Oddano mnie pod „opiekę” jednego z ówczesnych wielce sympatycznych kleryków, a obecnego ks. Józefa Stoszki. Razem z niezwykłą w naszym wieku cierpliwością, czekaliśmy na ulicy Wielickiej w Podgórzu na jakieś okazyjne auto, które by nas zabrało w kierunku Gdowa. O ile dobrze pamiętam, czekaliśmy około dwóch godzin, ale nie na darmo. Trafiło się nam bowiem auto ciężarowe z elektrowni krakowskiej, pełne żelaziwa i szmelcu wszelkiego rodzaju. Szofer zabrał nas chętnie. Dołączyliśmy się więc skwapliwie do sporej gromadki pasażerów znajdujących się już na wierzchu auta. Jazda odbywała się bez większych przeszkód. Dzień był raczej pochmurny. Minęliśmy szybko Wieliczkę — pech jednak nie opuszczał nas nawet i poza Krakowem, gdyż parę kilometrów za Wieliczką, a przed Łazanami, jak się mówi pospolicie: „nawaliło nam koło”. Rzuciliśmy się do naprawy wraz z szoferem. — Po pół godzinie jechaliśmy dalej.

Z Gdowa pieszo, na bliższe przez Rabę (na przewoźnika) i ispinę, zdążyliśmy ku Stadnikom.

Rozglądałem się i rozpytywałem o wszystko. W pewnej chwili, gdy wyszliśmy na tyle z krzaków, iż można było szerzej rzucić okiem, sympatyczny i wielce rozmowny kleryk Stoszko wskazał palcem kępę wysokich dość drzew przed nami, wśród których czerwienił się przeświecający przez listowie dach.

„To nowicjat” — powiedział.

Miejsce spodobało mi się od razu. Przyznać muszę, iż czułem podświadomy lęk przed ciężkimi murami klasztornymi, pozbawionymi jakiegokolwiek zieleni przyrody. Było inaczej. Odetchnąłem i rozglądałem się śmieiej. Przed nami na południu, widniała zalesiona pod szczytem góra, nazwana później przez nas „stadnicką”, po obu jej stronach rozciągały się niższe pagórki, pokryte z rzadka drzewami. Z lewej strony, z doliny Raby, wznosiła się nagle Stryszowa, pokryta od strony rzeki gęstym lasem liściastym i krzakami.

W parę minut byliśmy przy domu. Witają nas olbrzymie wiązy okalające dom nowicjatu, oraz kasztan olbrzym, stojący tuż przy bramie (wycięto go niestety za naszego jeszcze pobytu w nowicjacie). Sam dom nowicjatu, własność p. Wojciecha Michalika, robił wrażenie bardzo sympatyczne. Był to stary dworek wiejski z balkonikiem z frontu, podparty dwiema grubymi kolumnami. Czerwony dach odbijał ostro od biało-żółtych ścian i nadawał swym kształtem całemu domowi charakter jak gdyby jednej z kondygnacji pagody chińskiej, przez swe szerokie i wystające okapy.

Weszliśmy do wnętrza i przez wąskie, strome schody dotarliśmy na piętro, do właściwej siedziby nowicjatu. Na dole bowiem poza kuchnią, której używał nowicjat, resztę miejsca zajmował p. Wojciech Michalik.

Po nawiedzeniu kaplicy, poszliśmy zameldować swe przybycie księdzu magistrowi, ks. Władysławowi Majce. Przez dużą salę, która służyła za refektarz, zakrystię, studium i salę rekreacyjną, przeszliśmy do małego, ciemnego pokoiku, który, jak można było zauważyć, utworzony został z wielkiej sali poprzedzielanej drewnianymi ściankami. Mój towarzysz zapukał do jednych drzwi. Otwarł je jakiś znajomy mi ksiądz za okularami.

— Co za surowa twarz — pomyślałem z mimowolnym przestraszonym, domyślając się, iż mam przed sobą mistrza nowicjuszów. Byłem jednak gotowy na wszystko — coś niecoś słyszałem o „surowości” stadnickiego mistrza nowicjuszów, resztę dopełnił swymi opowiadaniem w drodze kleryk Stoszek. Trwało to jednak tylko moment, gdyż serdeczny uśmiech księdza magistra sprawił, iż stanąłem

pewniej na nogach i zdołałem się przywitać, odpowiadając na kilka uprzejmych pytań. Następnie zaprowadził nas do refektarza, a w chwilę później nieznany mi jeszcze brat Paschalis, przyniósł nam obiad. Było już dobrze po obiedzie, a więc refektarz był pusty. Zabraliśmy się z apetytem do jedzenia.

Św. Jan Ewangelista zanotował w swojej Ewangelii moment powołania go do służby Chrystusowej, pamiętał on dobrze godzinę w której to się stało: „Hora autem erat quasi decima”. — Nie pomnę już dobrze, która była to godzina mego przybycia do nowicjatu, możliwe iż była 14<sup>30</sup>, jedno jednak dobrze pamiętam, a to, że na obiad były ogórki.

Zapoznawszy się z przyszłymi mymi konfratrami, siedzącymi pod dębem, wybrałem się razem z nimi nad Rabę.

Wieczorem odbyło się przyjęcie naszej grupki do postulatu. Było nas wszystkich, wraz z dwoma kandydatami na braci, siedmiu.

Nazajutrz, od rana, znajdowaliśmy się w pracy przy budowie rozpoczętego w czerwcu jeszcze nowicjatu i kościoła w Stadnikach. Jedni nosili cegły, inni pomagali przy robieniu betonu, a jeszcze inni przesiewali piasek potrzebny do wapna, pod kierownictwem starego pana Chamowskiego, wiecznie gderającego i wiecznie trzymającego swą fajkę w zębach.

Po obiedzie Raba — co za rozkosz, móc się wykapać po pracy fizycznej w upalny dzień lipcowy.

Poczęły płynąć więc jednostajne dni postulatu, dni modlitwy i pracy. Normalnie cztery razy na dzień składaliśmy cegłę z aut przyjeżdżających z Krakowa. W niedługim czasie straciliśmy wszystkie siedem naskórków na palcach u rąk i z trudnością tylko mogliśmy wykonywać jakąś pracę. Zapał jednak nie ostygł. Pracowaliśmy chętnie w poczuciu, iż pracujemy dla siebie i swych współbraci.

Na dzień 21 września 1947 roku, wszyscy postulanci wraz z mistrzem nowicjuszów udali się do Krakowa, aby w dniu tym przywdziać sutanny. Zajechaliśmy do Płaszowa ciężarówką pana Prochowskiego. Tutaj rozentuzjasmowani rzuciliśmy się witać wszystko i wszystkich, zapominając o ol-

brzymiej walizie pozostawionej na aucie, w której znajdowały się nasze świąteczne przyodziewki. W efekcie wraz z autem pojechała ona do garażu, znajdującego się na drugim końcu Krakowa. Po spostrzeżeniu jej nieobecności, wprowadziliśmy w ruch wszystkie telefony i wolne rowery i za cenę wielkiej ofiary kilku współbraci walizka znalazła się z powrotem w naszym posiadaniu.

Przywdzianie przez nas sutann łączyło się z uroczystością prymicji ks. Bema, odbywanych w dniu 21 września 1947 roku w Płaszowie. Jak zwykle w uroczystych chwilach, ustawiono na korytarzu parteru domu płaszowskiego stoły i tu też przyjmowano gości uroczystym, trwającym trzy godziny obiadem.

Dnia 22 września rano, autobus kursujący na linii Kraków — Gdów, wiózł nas już w sutannach w kierunku nowicjatu.

I znów wróciliśmy do życia modlitwy i pracy.

Dom pana Michalika, zwany starym nowicjatem w odróżnieniu od nowego, budowanego dopiero, posiadał uroczy ogród i otoczony był półtorametrowym murem kamiennym. Chcąc dostać się na teren budowy, znajdujący się o jakieś 800 metrów od starego nowicjatu, trzeba było obchodzić z zewnątrz cały ogród nowicjacki. W celu zaoszczędzenia sobie drogi, sprytni postulanci wpadli na pomysł przeprowadzania się przez mur ogrodu. W przeciągu może miesiąca w murze widniał już dość spory otwór, który zapraszał na bliższe do starego nowicjatu tych, którzy przychodzili od strony budowy. Ku wielkiej radości postulików, podpatrzono pewnego razu, jak przez ów otwór przesunął się mistrz nowicjuszów. Uważano wtedy, że ta droga jest już zupełnie legalną, a gdy po jakimś czasie i ówczesny ksiądz prowincjał prowadzący budowę stadnicką, aprobował to przejście, uznano, że pożytecznym byłoby zrobić tu furtkę. W kilka dni później znikło z muru w wyżej wymienionym miejscu kilka dużych kamieni, przez co wyrąb w murze tak się powiększył, iż można było spokojnie przezeń przejść, bez narażania na szwank swojej osoby.

Pracowaliśmy zaś nie tylko na samej budowie, ale często i nad Krzywą czy też Rabą ładując szuter lub piasek na

furmanki. Bywały dni bardzo przeładowane pracą — nas młodych jednak praca fizyczna na świeżym powietrzu hartowała. Jedliśmy każdy za trzech, a w nocy spaliśmy jak „susły”. Pewnego ranka, po dniu pracowicie spędzonym przy układaniu płyty na pierwsze piętro nowo budowanego domu, spaliśmy tak twardo, iż przeznaczonego ksiądz magister, chcąc się nas dobudzić pół godziny wcześniej niż zwykle ze względu na pilne prace, musiał przez chwilę dzwonić na korytarzu, a 10 minut później w naszej sypialni, a gdy i pomimo tego nikt nie wstawał, wszedłszy do sypialni zapytał: „Co to, dzisiaj nikt nie wstaje?” — Na wpół przytomni ubieraliśmy się szybko, by następnie „na raty” przychodzić do kaplicy.

Postulat przedłużał nam się z różnych powodów. Wreszcie 8 stycznia 1948 roku, rozpoczęliśmy rekolekcje przednowicjackie. Rekolekcje głosił nam ks. Franciszek Nagy, który z wiosną tegoż roku powrócił do Polski z Brazylii. Niezapomniane rekolekcje! — Tym bardziej, że dla niektórych były to w ogóle pierwsze rekolekcje zamknięte, jakie odprawiali w swym życiu. Ileż w nich było życia, wzniosłych ideałów i zapału. Nie brakowało również i opowiadań o Żararaka-Zu i innych bandytach brazylijskich. Byliśmy nie tylko zachwyceni, ale i gotowi na coś więcej, niż na zwykłe odprawianie nowicjatu. Sama osoba misjonarza, wysoki, szczupły, o czarnym gęstym zarostcie, czyniła na nas wielkie wrażenie!

17 stycznia 1948 roku rozpoczęliśmy nowicjat. W związku z tym ograniczono bardzo naszą swobodę, tym bardziej, że w zimie nie było żadnych prac na budowie. Dlatego też żelazne ramy rozkładu dnia nowicjackiego nie były nigdy przekraczane — Pewne wyłomy poczęły czynić dopiero wiosenne prace przy budowie.

Z wiosną, podobnie jak w postulacie, wróciliśmy do pracy fizycznej, której potrzebowała wzrastająca z dniem każdym budowa nowego nowicjatu. Czas biegł szybko.

Nadszedł czerwiec, a z nim oczekiwania nasze, na zapowiedziany przyjazd nowych kandydatów do postulatu, którzy w liczbie ponad dziesięciu, mieli przyjechać do Stądnik. Wreszcie w którymś dniu pod koniec czerwca, przybyła do

starego nowicjatu gromada małoseminarzystów z Płaszowa. Witaliśmy ich z radością. Stary nowicjat zappełnił się, a można nawet powiedzieć, że przeppełnił się młodymi ludźmi. W każdym wolnym kącie postawiono łóżko, oraz sterczały pinkle, walizki i toboły. Zaczynało być ciasno w starym nowicjacie. Było tak przez dobre dwa tygodnie. Tymczasem wnętrze nowego domu wykończono w szybkim tempie.

Na dzień przed świętem Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, zajechał do Stadnik przewielebny ksiądz prowincjał, ks. Michał Wietecha, a wraz z nim pierwszy rektor domu nowicjackiego, ks. Adam Gąsiorek. Po dłuższej naradzie z księżmi, ks. Michał Wietecha zarządził przeprowadzkę jeszcze w tym samym dniu do nowego domu. Z radością i pośpiechem rzuciliśmy się do przygotowania domu na przyjęcie pierwszych mieszkańców. A pracy było tyle, że można było ręce załamać... — ale było nas też i 20 chłopca.

Pracę mniej więcej zakończono koło godziny 7<sup>00</sup> wieczór. Teraz rozpoczęto przeprowadzkę. P. Franciszek Michalik swym wozem zwoził co grubsze sprzęty, resztę postulanci i nowicjusze przenosili na swych własnych barkach. Wszystko to wyglądałoby bardzo romantycznie, gdyby nie deszcz i wiatr, który pod wieczór zerwał się, utrudniając w wysokim stopniu nasze przenosiny. Grzęźliśmy w błocie, wywracaliśmy się, ale nie dawaliśmy za wygraną. Dwóch nowicjuszów niosąc troskliwie swój pulpit wypchany pobożnymi zapiskami, potknąwszy się przed samym wejściem do nowego domu, gdzie było największe błoto, wysypało całą jego zawartość w błoto. — Wichura wzmagała się tak, iż chwilami nie można było nawet myśleć o zrobieniu kroku naprzód. Przeprowadzka jednak trwała w dalszym ciągu. Koło godziny jedenastej w nocy, zmęczeni, zabłoceni, zebraliśmy się na korytarzu, na parterze nowego domu, zapchanym rozmaitymi gratami, by asystować obrzędowi poświęcenia domu przez ówczesnego księdza prowincjała dokonaniem. Historyczny ten moment został przerwany na chwilę na wiadomość, iż urwał się tłok u nowo założonej pompy studziennej. Zostaliśmy bez wody. Trzeba było, dobrze już po północy, nosić wodę od sąsiadów i zlewać ją do przygotowanej beczki, w przeciwnym

razie obiad w dniu następnym musielibyśmy zjeść zupełnie na sucho!

Po dokonaniu poświęcenia domu, rozpoczęto rozkładać przytасzczone ze starego nowicjatu sprzęty. Mało kto spał tej nocy, a jeśli spał, to rano nie mógł rozprostować kości; spało się bowiem tam, gdzie się dało.

15 sierpnia 1948 roku — dzień to historyczny dla naszej Prowincji — uruchomienie nowego domu nowicjatu. W południe w kaplicy starego nowicjatu, której nie przeniesiono z powodu, iż kaplica w nowym domu nie była jeszcze gotowa na przyjęcie Sanctissimum, miała miejsce „Professio fidei” pierwszego rektora nowego domu nowicjatu w Stadnikach, ks. Adama Gąsiorka. Potem uroczysty obiad, a potem goście, którzy zjechali z Płaszowa na tę skromną uroczystość, poczęli nas opuszczać.

Początkowo nowicjat niepodobny był do nowicjatu. Robotnicy miesza­li się po domu z nowicjuszami i postulantami, wszędzie było pełno bałaganu, nie pokończonych prac itp. Na poranne ćwiczenia oraz wieczorną adorację chodziliśmy do starego nowicjatu, często po deszczu i błocie. Inne ćwiczenia odbywaliśmy w oratorium nowego domu. Dumni byliśmy z nowego domu, przecież tyle pracy każdy z nas włożył weń i czekał z niecierpliwością na jego ukończenie! Odczuwaliśmy jednakowoż żal za starym nowicjatem, za tą nastroszoną i przytulną kapliczką, za uroczym ogrodem, za małym domem, ubogim może w miejsce, ale jakże miłym. Roku spędzonego tam nie zapomnimy nigdy; jak felsztyńscy nowicjusze wspominają Felsztyn, tak my wspominać będziemy stary, stadnicki nowicjat...

W dniu 19 września 1948 roku nastąpiło poświęcenie kościoła stadnickiego. Poświęcenia dokonał ks. prałat St. Mazanek z Krakowa. Duży dom nowicjatu w dniu owym nie mógł pomieścić wprost gości, przybyłych na tę uroczystość.

Sanctissimum ze starego nowicjatu przeniósł w uroczystej procesji ks. Stanisław Michalik. Sumę natomiast odprawił ks. prałat Mazanek, w czasie której występował chór i orkiestra złożona z naszych księży i wychowanków płaszowskiego małego seminarium.

...Skończyły się uroczystości, a wraz z nimi i nienormalny tryb życia. Nowicjat zaczął przybierać wygląd nowicjatu. Powoli wprowadzono klauzurę, począwszy od drugiego piętra, a skończywszy na schodach sięgających parteru.

Czas biegł...

Z początkiem lutego rozpoczęliśmy rekolekcje, które miały nas przygotować do złożenia I profesji. Rekolekcje głosił nam ks. Jan Bem SCJ. Kończyło więc nowicjat pierwsze pokolenie nowego stadnickiego nowicjatu, a należeli do niego nowicjusze: Marekvia Kazimierz, Adam Włoch, Mucha Jan oraz br. Józef Zięba. Grupka ta w dniu 13 lutego 1949 roku złożyła pierwszą profesję.

W dwa dni później, ciężarówką, opuszczaliśmy nowicjat stadnicki po spędzeniu w nim blisko 20 miesięcy, udając się do Płaszowa. Opuszczaliśmy go z radością, a jednocześnie i z żalem...

Płaszów pochłonał nas swym gwarnym małoseminaryjnym życiem. Zamieszkaliśmy na „Olimpie” — poddaszu dobudowanego w roku 1947 skrzydła do starego domu płaszowskiego. Cały dzień prawie spędzaliśmy w biurze pod kierownictwem „dyrektora” biura ks. Fr. Zawadzińskiego. Wspominamy jeszcze do dnia dzisiejszego biuralne miętowe cukierki, którymi częstował nas nasz „dyrektor”, chcąc położyć tamę naszej gadatliwości. Dwu spośród nas pobierało na „Olimpie” lekcje francuskiego, o ile się nie mylę trzy razy na tydzień, a które prowadził p. prof. Julian Majka. W ten sposób zleciał nam bardzo szybko czas do wakacji roku 1949.

W międzyczasie przełożeń czynili gorączkowe poszukiwania miejsca, gdzie można by utworzyć dom studiów. Trzeba wiedzieć, iż poza naszą czwórką, znajdowali się w Płaszowie starsi od nas scholastycy, którzy kończyli w tym czasie studia humanistyczne i przygotowywali się do egzaminu dojrzałości. Razem tworzyliśmy dziesiątkę najmłodszej sercańskiej braci kleryckiej. Co prawda byli jeszcze diakoni w liczbie siedmiu, ale ci 2 kwietnia 1949 roku przez swe święcenia kapłańskie, które wtedy otrzymali, odbili się od nas całkowicie. Wracając do naszego przyszłego scholastykatu, — chodziły słuchy, iż

prawdopodobnie w Tarnowie, to znowu we Włocławku czy nawet w Lublinie miało się znaleźć miejsce dla nas. W końcu, w czerwcu 1949 roku, stało się pewnym, iż Tarnów będzie miastem, które przyjmie scholastyków sercańskich w gościnne swoje mury.

...Rok szkolny dobiegał końca i rozpoczęły się wakacje, jedno z najbardziej pracowitych wakacji, jakie przeżyłem w Zgromadzeniu. Podczas gdy cała dziewiątka współbraci pojechała na żniwa do Florynki, ja pozostałem w Płaszowie, pełniąc wszelkie „urzędy”, które tylko byłem w stanie spełniać, począwszy od kościelnego, a skończywszy na refektarzowym. Na moje szczęście spędzało w naszym domu płaszowskim wakacje dwóch małoseminarzystów — jednym z nich był obecny scholastyk płaszowski Wilhelm Nycz — którzy swą ofiarną pracą wspomagali mnie w rozpaczliwym niejednokrotnie położeniu. W drugiej połowie lipca wrócili opaleni i spracowani współbracia z Florynki, by na zmianę kolejno wyjechać na parę dni do swych domów rodzinnych.

Po powrocie z wakacji, skorzystałem pewnego dnia, by wraz z ks. prowincjałem udać się autem ciężarowym do Tarnowa i zobaczyć nasze przyszłe miejsce zamieszkania. Auto pana Czernka wiozło rozmaite materiały potrzebne do wykończenia domu tarnowskiego — jak wiadomo bowiem, kupiono w Tarnowie dom, a raczej same mury — resztę wykańczano za staraniem ks. Michała Wietechy, prowincjała a zarazem budowniczego naszej Prowincji.

Wyjechaliśmy z Płaszowa koło godziny 10<sup>00</sup> rano. Koło południa minęliśmy Brzesko, Wojnicz, most na Dunajcu i wdrapaliśmy się przy akompaniamencie silnego warkotu samochodu na stromą od strony zachodniej Zbylitowską Górę. Siedziałem na szczycie ciężarówki, mając pod sobą jakieś deski i futryny okienne. Dzień był piękny, powietrze czyste. Ciszę pobliskich pól zakłócał jedynie ciężki warkot naszego auta. Rozglądałem się wokoło — pierwszy raz w życiu byłem w okolicach tarnowskich...

Przesunęliśmy się pod linią wysokiego napięcia, ciągnącą się przez Zbylitowską Górę wzdłuż Dunajca. Jeszcze

jedno maleńkie wzniesienie, zakręt i znaleźliśmy się na szczycie wzgórza. Spojrzałem przed siebie... — naprawdę śliczny to był widok! Przed nami prosta szosa wybita kostką, sięgająca Tarnowa, obsadzona wysokimi drzewami, pomiędzy których w wąskim przesmyku drogi widniało zgrupowanie domów wznoszące się trochę do góry, a ponad nimi górowała wysoko tarnowska katedra...

Pierwsze wrażenie na widok Tarnowa było bardzo dodatnie.

Szybko, ponieważ z góry, zbliżaliśmy się do Tarnowa. Z bliska jednak oglądając Tarnów, traciło się poprzednie dodatnie wrażenie. Ciasna, niewielka i brudna miejscina. Ulicą Krakowską pojechaliśmy kawałek w górę w kierunku śródmieścia, następnie skręciliśmy w ulicę Sowińskiego, by przejechawszy całą jej długość dostać się na Rogoyskiego. Zatrzymaliśmy się przed blokiem domów, wśród których jeden świecił nagim szkieletem dachu i ciemnymi otworami okien. Przed nim, kilka kup piasku, po którym skakała dzieciarnia.

Wnętrze domu ciekawiło — miał to być przecież nasz dom — nasz scholastykat!

Dom był niewielki, dwupiętrowy, posiadał po 5 pokoi na każdym piętrze, a na parterze 6. Wyjrzałem na podwórko — przeraziłem się! Było mniej więcej wielkości boiska do siatkówki. Zaglądałem wszędzie...

Pod wieczór wybraliśmy się w drogę powrotną. Przewielebny ksiądz prowincjał to tu, to tam załatwiał rozmaite interesy. Było już dobrze po północy, gdy zajechaliśmy do Płaszowa.

...Przez cały sierpień p. Czernek ze swoim autem robił częste tury Kraków — Tarnów. Za każdym razem ładowaliśmy na samochód co innego, raz drzewo, drugi raz jakieś żelaziwo, to znowu cement czy też jeszcze inne materiały potrzebne do budowy. Przy ładowaniu pracowała solidarnie cała nasza dziesiątka. Nie obeszło się bez tragiczno-komicznych wypadków. Tak na przykład pewnego razu przy ładowaniu cementu na auto, jednemu ze współbraci maturzystów dosłownie „pę-

kła żyła” w ramieniu czy szyi, już dobrze nie pamiętam, wynikiem czego nie mógł on przez tydzień ruszać głową...

Z końcem sierpnia, na auto pana Czernka załadowała się klerycka brać płaszowska, za wyjątkiem trójki, do której i ja należałem, i opuściła Płaszów. W parę dni potem i nasza trójka, via Stadniki, gdzie rozegrała mecz piłki nożnej z nowicjuszami, odnosząc przy pomocy dzielnych postulantów sukces 6 : 1; autem pana Czernka dobiła do Tarnowa.

Jako właściwi gospodarze, przystąpiliśmy natychmiast do wykonywania swych urzędów w domu. Najgorsza rola przypadła chyba mojej osobie — zostałem mianowany tymczasowo kuchaczem scholastykatu. Oczywiście pociągnęło to za sobą pewne wydatki, gdyż trzeba było zaopatrzyć kucharza przynajmniej w dwie książki kucharskie w myśl zasady: „timeo hominem unius libri!” Poza tym, skutkiem trzecztygodniowego mego kucharzenia, tak niektórzy współbracia jak też i sam kucharz do dnia dzisiejszego czuje chroniczny wstręt do pewnych potraw! Z kłopotów kucharskich wybawił mnie dopiero przyjazd p. Matuskowej, który nastąpił w ostatnich dniach września.

Ciekawie też wyglądały pierwsze dni pobytu naszego w Tarnowie. Wyglądały one zresztą analogicznie do całego domu, co można streścić, iż był niesamowity wprost bałagan. Nie wiadomo było, w co ręce włożyć... Sypialnię mieliśmy na drugim piętrze, oczywiście w oknach ani jednej szyby. Drzwi, jeśli chodzi o nie, to w ogóle nie istniały. Rywalizacji pod względem miejsca w sypialni nie było. Gdzie kto wstawił łóżko, tam spał. Trudno było niekiedy zewnętrznemu obserwatorowi odgadnąć, gdzie znajdują się nogi, a gdzie głowa danego osobnika. Zdarzały się nawet wypadki, że i sam właściciel tychże, niezupełnie jasno zdawał sobie sprawę, gdzie ma nogi, a gdzie głowę? Jednemu, gdy mu zwrócono uwagę, iż niewłaściwie leży w łóżku, spoczywając głową tam gdzie winny znajdować się nogi, odparł:

„Macie rację — a ja myślałem iż mnie głowa boli, a to bolą mnie nogi!” (a było to po dniu ciężkiej pracy).

W ciągu dnia, poza kuchaczem, robili wszyscy co się tylko dało. To przenosili deski z jednego kąta podwórka

w drugi, ot tak dla wprawy, to znowu urządzali polowania na biedne szczury, które przywędrowały zobaczyć nowych mieszkańców na Rogoyskiego 12, a byli i tacy, co polowali nawet na nic złego nikomu nie robiące wróble. Po tyłu jednak przejściach, zmianie powietrza itp., nie było się czemu dziwić. Zresztą, na pewno i jedzenie, podobno anormalnie gotowane, jak się wyraził jeden ze współbraci — zrobiło swoje!

Po objęciu domu przez pierwszego rektora scholastykatu tarnowskiego (ks. Jan Bem), a opuszczeniu tegoż przez robotników wszelkiego kalibru, atmosfera scholastykatu zaczęła się upodabniać coraz bardziej do zakonnej.

Pierwsza niedziela spędzona wspólnie w Tarnowie, przyniosła nam niezbyt miłe przeżycie, a to z powodu rekolekcji, lecz nie zwykłych rekolekcji, ale karnych. Coś przeszkrobaliśmy wspólnie, w wyniku czego napełnialiśmy skupieniem przez całą niedzielę dom tarnowski! Od tego momentu uważaliśmy za rozpoczęte dzieje scholastykatu...

Dni płynęły szybko... 29 września, pięciu naszych starszych współbraci rozpoczęło studia filozoficzne w diecezjalnym seminarium tarnowskim, odległym od naszego domu o 4 minuty drogi. Co do nas, to mieliśmy podążyć w ich ślady za rok, ale na razie, czekał nas znój studiów licealnych. Naukę rozpoczęliśmy w połowie października. Zaczęliśmy ją od lekcji łaciny; wiadomo, najważniejszy przedmiot — następną lekcją była łacina, a potem znowu łacina — taki się zresztą utarł zwyczaj, że ilekroć była wolna lekcja, zapelniano ją łaciną — dla wprawy! Studia licealne odbywaliśmy w tempie wielce przyspieszonym, pod kierownictwem znakomitych zresztą profesorów świeckich dochodzących do nas. Do maja, a więc w okresie 10 miesięcy przerobiliśmy materiał 2 klas licealnych i rozpoczęliśmy zdawanie egzaminu dojrzałości, który trwał od 24 maja do 26 września 1950 roku.

Zaraz nazajutrz po ukończeniu „matury”, rozpoczęliśmy studia filozoficzne w tarnowskim seminarium. Zaczęło się wielce jednostajne życie studiów, przerywane niekiedy wakacjami. Trudno było doszukać się w nim czegoś ciekawego,

dlatego też zamykam ten rozdział, stanowiący wycinek sercańskiego życia widziany okiem młodego, powojennego Sercanina. Gdyby ktoś chciał jednak czegoś się dowiedzieć więcej, to odsyłam go do kronikarzy tarnowskich, którzy nie omieszkali z pewnością zaznaczyć w kronice scholastykatu ważniejszych faktów z życia scholastycznego.

*Br. Adam Jerzy Włoch SCJ*

## SERCAŃSKIE MISJE LUDOWE

Straszna zawierucha wojenna, jaka przeszła nad naszą ojczyzną w ostatnim dziesięcioleciu, pozostawiła swe straszne i brzemiennie w następstwa piętno na naszym narodzie. Każda bowiem wojna, niesie normalnie ze sobą obniżenie religijności oraz obyczajów. Stwierdziliśmy to aż nazbyt boleśnie w naszych polskich warunkach, w naszym kraju, w katolickiej od wieków Polsce. I właśnie ten ból, to zrozumienie tego, iż naród nasz, katolicki naród polski, odchylił się od Boga, zrodził natychmiastowy czyn ze strony kleru polskiego tak świeckiego jak i zakonnego, w postaci stworzenia awangardy misyjnej, mającej na celu ratowanie zachwianej w swych posadach religijności i moralności naszego narodu. W następstwie czego cały nasz kraj, w niedługi czas po wojnie, pomimo niewielkiej liczby kleru, przeorany został misjami ludowymi, które stały się skuteczną bronią do zwalczania zła posianego przez wroga na niwie serc katolików polskich.

W akcji powyższej brało i bierze czynny udział Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego. I gdy rzucimy okiem wstecz i obejmiemy całość historii naszej Prowincji, od chwili przybycia pierwszych Sercanów do Płaszowa w roku 1928 do chwili obecnej, tj. do roku 1953, to nie może nie rzucić się nam w oczy działalność misyjna i rekolekcyjna naszych pierwszych misjonarzy ludowych, pracujących na terenie naszej ojczyzny. Praca ta, jest niczym innym jak tylko wynikiem celu naszego Zgromadzenia, jakim jest „amor et reparatio”, oraz naszego szczególnego powołania, wyrażonego tak pięknie w naszych „Regulae ac Praescriptions” w numerze 7:

„Finis autem peculiaris Congregationis nostrae — scilicet vita amoris et immolationis in spiritu reparationis erga Cor Jesu, omnes Nostros impellat ad subeundum omnimodum laborem pastorałem ubique terrarum, et sic extendatur regnum amoris eiusdem SS. Cordis in singulis animabus et in toto societate humana”.

Prowincja Polska nie mogąca w czasie obecnym rozwinąć w pełni swej działalności misyjnej, jaką stanowiłoby zasilanie jej członkami personelu misji zagranicznych, wypełnia w zupełności swe powołanie, pracując nad rozszerzeniem znajomości Serca Jezusowego wśród naszego polskiego ludu, propagując i wsączając miłość Bożą w proste polskie dusze.

Jakkolwiek Sercanie przebywali na ziemiach polskich już od roku 1928, to jednak działalności misyjno-rekolekcyjnej rozwinąć nie mogli wcześniej, jak dopiero po ostatniej wojnie światowej. W pierwszych latach bowiem, aż do ostatniej wojny, było nas za mało, abyśmy mogli poświęcić się pracy rekolekcyjnej i misyjnej. Z tego samego powodu nie można było myśleć o tym w czasie wojny od roku 1939 do 1945. Dopiero czas powojenny, przyniósłszy nam zwiększenie liczebne naszych księży, przez powrót tychże z zagranicy, jak również i przez święcenia innych w kraju, pozwolił na pomyślenie o tej sprawie. Ale i pomimo dość pokaźnej liczby naszych księży, nie od razu można było zabrać się do pracy, a to z powodu braku doświadczenia jak też i najrozmaitszych trudności, które rozdziły się na każdym kroku. W okresie przedwojennym czy wojennym można zanotować pojedyncze rekolekcje dawane przez naszych księży, są to jednak sporadyczne wypadki, które nikną w porównaniu z działalnością, jaką rozwinęli i rozwijają nasi misjonarze w czasie powojennym.

Działalność ta została zapoczątkowana rekolekcjami głoszonymi w roku 1937 przez ks. Franciszka Nagyego. Po wyjeździe tegoż do Brazylii w roku 1938, działalność tę podjął ks. Wincenty Turek, który głosił najpierw rekolekcje do młodzieży szkolnej w Płaszowie w roku 1939 i 1940, potem w Podgórzu dla dzieci szkół powszechnych w latach 1940, 1944 i 1945, oraz w Kalwarii Zebrzydowskiej w roku 1945. W czasie swego

dwuletniego pobytu w Zakładzie Św. Józefa w Prusach koło Kocmyrzowa, głosił nauki rekolekcyjne w tym zakładzie. Następnie w roku 1941 wygłosił pierwsze czterodniowe rekolekcje wielkopostne w Raciborowicach. Tam to zapoznali się z nim księża z sąsiednich parafii, a w następstwie tego w roku 1942 zaprosił go do Węclawic na triduum eucharystyczne tamtejszy ksiądz proboszcz, ks. Andrzej Bauer. Kiedy zaś potem tenże ks. Bauer został mianowany proboszczem w Krakowie na Prądniku Czerwonym, nie omieszkął zaprosić ks. Turka z rekolekcjami do nowo objętej przez siebie parafii. Były to dwutygodniowe rekolekcje dla poszczególnych stanów.

Wszystko to było na razie dorywczą pracą rekolekcyjną, której ks. Turek oddawał się chętnie pomimo obowiązku katechety, jaki pełnił w dwóch płaszowskich szkołach powszechnych.

Spowiadając w roku 1945 w czasie misji prowadzonej przez oo. redemptorystów, a w roku 1946 przez oo. jezuitów, obserwował pilnie pracę misjonarzy, czynił notatki, zapisywał spostrzeżenia. W roku 1947 przeprowadził kilka serii rekolekcji wielkopostnych i dwie renowacje misji z polecenia o. Jarosza, jezuity. Terenem tej pracy rekolekcyjnej były: Leszczyny k. Białej, Leńcze, Sułkowice, Izdebnik, Krzywaczka i Biskupice. Z powodu jednak nauki religii w szkołach płaszowskich, którą w nich prowadził do roku 1947 (czerwiec), musiał ograniczać się w swej działalności rekolekcyjnej. Nie przestawał jednak myśleć poważnie o misjach i często z ust jego padało zdanie: „Jakby to dobrze było gdybyśmy mieli własnych księży misjonarzy i głosili misje tak jak to czynią oo. jezuiti, redemptoryści, salwatorianie i inni”. Były to na razie tylko marzenia. Nie można było opuścić nauki w szkole, a księży wciąż jeszcze brakowało.

Jednakowoż sama Opatrzność Boża stworzyła odpowiednie warunki i nasunęła sposobne okoliczności, by Prowincja nasza mogła rozwinąć działalność misyjną na ziemiach naszej ojczyzny. Otóż ks. Kazimierz Dobrzycki, kapłan świecki z Krakowa, propagator „osobistego poświęcenia się Sercu Jezusowemu” w swych poszukiwaniach mających na celu

pozyskanie sobie towarzysza do pracy misyjnej, zwrócił się do ówczesnego księdza rektora domu płaszowskiego, ks. Michała Wietechy z prośbą o pomoc. Dotychczasowy pomocnik ks. Dobrzyckiego zachorował ciężko i trzeba było zastąpić go innym kapłanem. Ks. Michał Wietecha zaproponował ks. Turkowi współpracę z ks. Dobrzyckim postanawiając, że w razie zgody, któryś z księży zastąpi go w szkole w nauczaniu religii.

Tym sposobem wyjechał ks. Turek z ks. Dobrzyckim do Opatówka, miasteczka znajdującego się koło Kalisza (4000 dusz), w diecezji włocławskiej. Misja rozpoczęła się w wigilię Zielonych Świąt i trwała 8 dni. Na tej to misji zaprawiał się do pracy misyjnej pierwszy misjonarz ludowy ze Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego. Owoc misji był nadspodziewany. Dwaj misjonarze uzupełniali się znakomicie; obaj gorliwi szerzyciele nabożeństwa do Serca Jezusowego, ale różni indywidualnościami. Ks. Dobrzycki mówił spokojnie i z dobrocią, ujmując za serce wiernych swą pobożnością i gorliwością. Ks. Turek grzmiał, gromił, zapalał się. — Misja wydała owoc godny włożonej w nią pracy. Nie trzeba dodawać, iż wpłynęło to wielce dodatnio na samopoczucie i inicjatywę misyjną ks. Turka.

Następną misję w Rajsku koło Kalisza przeprowadził po raz pierwszy już sam ks. Turek. Ks. Dobrzycki zmuszony wyjechać nagle do Warszawy, w ostatniej chwili pozostawił samego swego sercańskiego towarzysza. Misja była nad wyraz ciężka, ponad siły jednego kapłana-misjonarza i to nowicjusza. Parafia w Rajsku liczyła 4 500 dusz. Niemniej i tu Serce Jezusowe błogosławiło naszemu misjonarzowi tak, iż zakończona została ta misja z podobnym skutkiem co i misja w Opatówku.

Dla ciekawości, a zarazem i dla zorientowania się w pracy powyższej, i lepszego jej zilustrowania, dobrze będzie zapoznać się z pewnymi szczegółami planu przeprowadzenia tej pierwszej samodzielnej misji sercańskiej.

Misja intronizacyjna w Rajsku w dniach od 4 do 15 czerwca 1947 r.

Hasło misji: „Najświętsze Serce Jezusa, przyjdź Królestwo Twoje!”

Misję rozpoczęto w środę wieczorem o godzinie 6<sup>00</sup> od śpiewaniem hymnu „Veni Creator” oraz nauką wstępną.

Porządek pierwszego dnia misji:

- 8<sup>30</sup> Nauka.
- 9<sup>00</sup> Msza święta.
- 10<sup>30</sup> Suma i nauka.
- 16<sup>00</sup> Nauka dla dzieci szkolnych.
- 16<sup>30</sup> Różaniec z objaśnieniami tajemnic.
- 17<sup>00</sup> Nauka dla wszystkich.
- 17<sup>30</sup> Nieszpory — Nauka dla „Żywego Różańca”.

W czwartym dniu misji odbyło się po Komunii św. generalnej poświęcenie się Najśw. Sercu Jezusowemu. W poszczególnych dniach wygłoszone zostały nauki stanowe raz dla panien, drugi raz dla mężatek, trzeci dla matek, to znów ojców itp. W ostatnim dniu misji nastąpiło powtórne poświęcenie się Najświętszemu Sercu Jezusowemu, co uczyniły wszystkie stany po Komunii św. generalnej.

Po misji w Rajsku szła misja w Stawie, również w kaliskim. O tyle jest ona ważna, że na jej zakończenie przyjechał ks. bp sufragan włocławski Fr. Korszyński, który z niezwykłym uznaniem odniósł się do pracy misyjnej ks. Turka, udzielając mu błogosławieństwa pasterskiego i zachęcając do dalszych wysiłków na tym polu.

Odtąd dalsze i bliższe okolice Kalisza często widywać zaczęły sercańskich misjonarzy ludowych. Księża zapraszani do pomocy w spowiedziach misyjnych zapoznawali się z naszymi misjonarzami, w następstwie czego zapraszali ich do pracy w swoich parafiach.

Jeszcze w roku 1947, we wrześniu, zaczęli podbijać nasi misjonarze nowy teren dla swej pracy. Były to znowu okolice Białegostoku. Na skutek zaproszenia ks. Jacewicza z Gródka (koło Białegostoku) wyjechało tam dwóch Sercańców: ks. Turek i ks. Rychlicki. Powoli i tutaj na drugim krańcu Polski, szerzyła się znajomość sercańskich misjonarzy.

W tymże samym roku 1947, powrócił z Brazylii ks. Franciszek Nagy. Również i on, jako misjonarz w pełni tego słowa znaczeniu, zabrał się do pracy misyjnej na niwie polskiej. I jego po wielokroć oglądały rozmaite parafie białostockie i pińskie.

Rok 1948 został zapoczątkowany serią rekolekcji wielkopostnych oraz dwoma misjami przeprowadzonymi w Zgorzelcu oraz Głuszycy koło Wałbrzycha przez ks. Franciszka Nagyego i ks. Jana Domżałskiego. Równocześnie przeprowadził rekolekcje w Ciężkowicach koło Szczakowej, w Jaworznie i w Biskupicach ks. Turek oraz ks. Stanisław Sidelko. Jak z tego widać poważnie wzrosła liczba misjonarzy naszych w roku 1948. Wraz ze wzrostem ilości misjonarzy, proporcjonalnie wzrastały i skutki prowadzonych prac. Na ten też czas wypada jedna z najpiękniejszych i skutecznych misji w Andrychowie, odbyta w dniach od 1 do 8 maja. Przewodniczyli jej trzej misjonarze: ks. Franciszek Nagy, ks. Turek i ks. Sidelko. Nie brakło w ciągu jej trwania wielkich i głębokich wstrząsów w duszach, oraz prawie cudownych nawróceń, czego dowodem jest choćby jeden z faktów: Na pierwszych naukach misyjnych zjawiała się grupa młodzieńców, którzy jednak bynajmniej nie zamierzali skorzystać ze Słowa Bożego. Celem ich było wykpienie i wyszydzenie łatwowierności ludzkiej, skłaniającej się do słuchania słowa głoszonego przez „klechów”. Grupka tej młodzieży stanowiła najgorszy element pod względem moralnym Andrychowa. Niezbadane są jednak drogi Opatrzności — zamiar swój wykonali, ale tylko w części, reszty dokonała za nich, a zarazem i w nich, łaska. Uczęszczali na nauki, usiłowali przeszkadzać w nich i w końcu sami padli ofiarą propagandy „klerykalnej”. Pod koniec misji słowa zasłyszane przez nich z ambony wydały owoc, a była nim spowiedź misyjna ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich obywateli Andrychowa. Jeden z tych młodzieńców uklękłszy przy konfesjonale, po wyznaniu swych win zasłabł z przejęcia i skruchy, jakie wywołał w nim akt spowiedzi świętej.

Misji o podobnych skutkach jest coraz więcej. Mnożą się też prace: to misje, to rekolekcje, to renowacje misji.

Lata 1949, 1950 i 1951 obfitują we wszelakiego rodzaju prace. Nasi misjonarze w liczbie czterech: ks. Turek, ks. Fr. Nagy, ks. Rychlicki, ks. Sidełko, którym dorywczo pomagali w pracy ks. Jan Góra oraz ks. Czesław Kunda, nie mogą wprost podołać pracy, jaka spadła na ich barki. Zwiększył się również w tych latach i zakres terytorialny pracy o diecezję tarnowską.

Rok 1952 przynosi ze sobą zmniejszenie zamówień na przeprowadzenie misji parafialnych, a to z powodu niesprzyjających warunków pracy. Zwiększa się natomiast praca rekolekcyjna. Do listopada 1952 roku na skutek zamówień zajęty był już pracą rekolekcyjną dla 4 księży cały okres Wielkiego Postu w roku 1953. Stan podobny utrzymuje się do dnia dzisiejszego. Przez cały miniony okres pięcioletniej działalności naszych misjonarzy ludowych, stanęło w różnych zakątkach naszej ziemi polskiej około 50 krzyży misyjnych, a wyryte na nich inicjały: „S.C.J.” lub „Księża Sercanie” świadczą chlubnie o apostołskim duchu naszej Prowincji. W tymże pięcioletnim okresie wygłoszono ponad 70 serii rekolekcji, nie wliczając w tę liczbę renowacji misji czy też uroczystych triduów przeprowadzonych przez naszych misjonarzy.

Aby nie być gołosłownym w opiewaniu owocnych skutków powyższych misji, podam dwa sprawozdania, jakie mamy pod ręką. Sprawozdania cyfrowe, popierające dowodowo, to co było wyżej powiedziane.

W Krzywaczce od 23 kwietnia do 1 maja 1949 roku przeprowadziło misję dwóch księży, parafia liczyła 1 800 dusz. Rozdano w czasie trwania misji 1 650 Komunii św.; do sakramentu pokuty przystąpiło 1 600 osób.

W czasie misji prowadzonej w Rajczy od 8 do 17 września 1949 roku, przystąpiło do spowiedzi św. 6 500 osób; Komunii św. rozdano w czasie misji 12 600. Misję tę prowadziło trzech księży.

Dla ciekawości warto jeszcze przytoczyć pewne wzruszające fakty, świadczące o skutecznym działaniu łaski Bożej towarzyszącej działalności naszych misjonarzy.

W czasie odwiedzania chorych, na misji przeprowadzonej w Gliwicach, jeden z naszych misjonarzy zdecydował się odwiedzić chorego bezbożnika, sztygara Kuretnia, który nie był zgłoszony na listę chorych, sporządzoną według zwyczaju przez miejscowego księdza proboszcza. Człowiek ten, ciężko chory, przyjął bardzo grzecznie kapłana, zastrzegając się jednak, iż spowiadać się nie będzie. Po dwugodzinnej rozmowie, zmienił jednak zdanie, a wypowiadawszy się poprosił o szybkie przyniesienie mu Wiatyku, obawiając się, iż może umrzeć bez Chrystusa. Obawa jego nie była płonna, gdyż niewiele mu jednak zostało życia, prawie tyle, by przyjąć Chrystusa Eucharystycznego, wyrzec się swych błędów, prosić sąsiadów, którzy zesłali się tłumnie słysząc o jego nawróceniu, o przebaczenie za dane zgorzsenia, dzieci upomnieć, by zawróciły ze złej drogi, oraz by zadysponować odnośnie do swego pogrzebu. W parę godzin po przyjęciu Wiatyku, skonał na rękach kapłana. Pod koniec misji odbył się skromny pogrzeb, w którym wzięła udział cała parafia, poruszona tym namacalnym dowodem miłosierdzia Bożego.

Inny podobny wypadek zdarzył się w Mogilnie koło Sącza. W czasie misyjnej wizyty chorych, pewna chora sekiarka-apostatka, nie chciała w ogóle słyszeć o Bogu i o religii. O Najświętszym Sakramencie wyraziła się: „Co mi pomoże ten kawałeczek chleba, który mi dasz”? Kapłan odszedł. Było to w maju 1951 roku. W dwa miesiące później, tak się jakoś złożyło, iż ten sam misjonarz bawił w Mogilnie. W pewnej chwili wzywają go do chorej, która jest prawie konająca. Udając się do niej co prędzej, nie biorąc jednak Sanctissimum, albowiem według relacji wzywającego, chora miała być zupełnie nieprzytomna. Chorą tą okazała się być owa sekiarka. — Bóg okazał się dla niej łaskawy, — w chwilę bowiem po przybyciu kapłana odzyskała przytomność. Cierpiała bardzo (skręt kiszek). Mogąc na chwilę mówić, złożyła wyznanie wiary, wypowiadała się i otrzymała sakrament Ostatniego Namaszczenia. Po dokonaniu ceremonii kapłan pojechał, ale to tak naprawdę co koń wyskoczy, po Najśw. Sakrament. Niestety, chora nie doczekała się powrotu kapłana. Gardząc

w przeszłości Chrystusem Eucharystycznym, nie otrzymała łaski, by mogła Go przyjąć w godzinie swej śmierci.

Dziś Ojczyzna nasza dźwiga się powoli z ruin i zgłiszcz wojennej pożogi. Religijność i moralność naszego narodu nie może pozostać w tyle, ale winna zdążać za postępem odbudowy i odrabiania tego, co stracone. Wiele się już zrobiło na tym polu, wiele jest jednak jeszcze zła i nie trzeba się łudzić, że zło to prędko zniknie, bo dużo trzeba będzie włożyć pracy w to, by pogłębić religijność ludu polskiego, by odrobić to, co zepsuła wojna. Nie martwmy się tym jednak; Serce Jezusowe ma o to staranie, a my czynmy wszystko, co w naszej mocy, by być wiernymi swemu powołaniu. I w ten sposób jedni przez naukę, drudzy przez pracę, inni jeszcze przez właściwą pracę misyjną, a wszyscy przez gorliwe realizowanie swej osobistej świętości, niech przygotowują odrodzenie religijne naszego narodu.

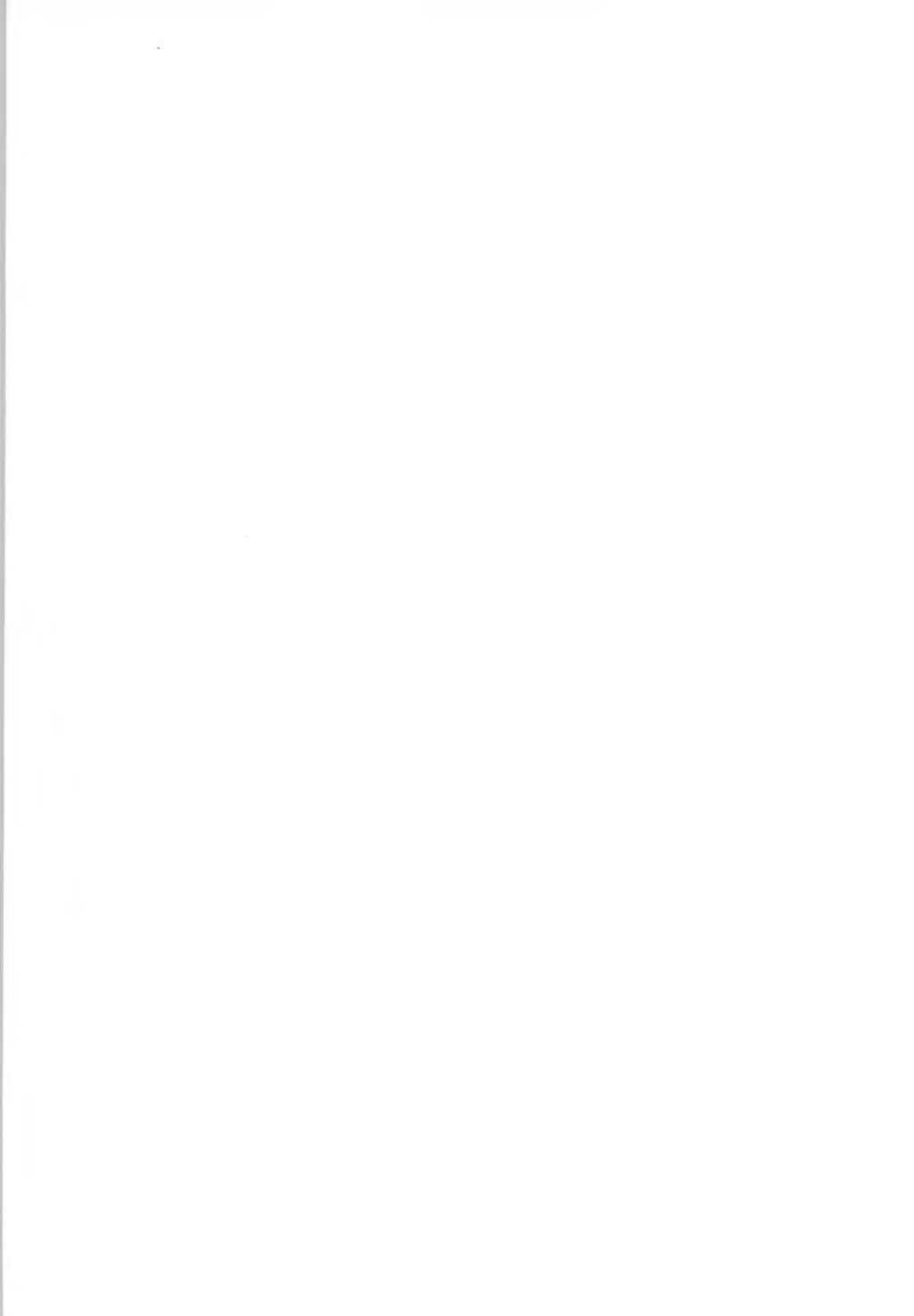
Serce Jezusa, Króluj nam!

Kraków, dnia 1 II 1953 roku

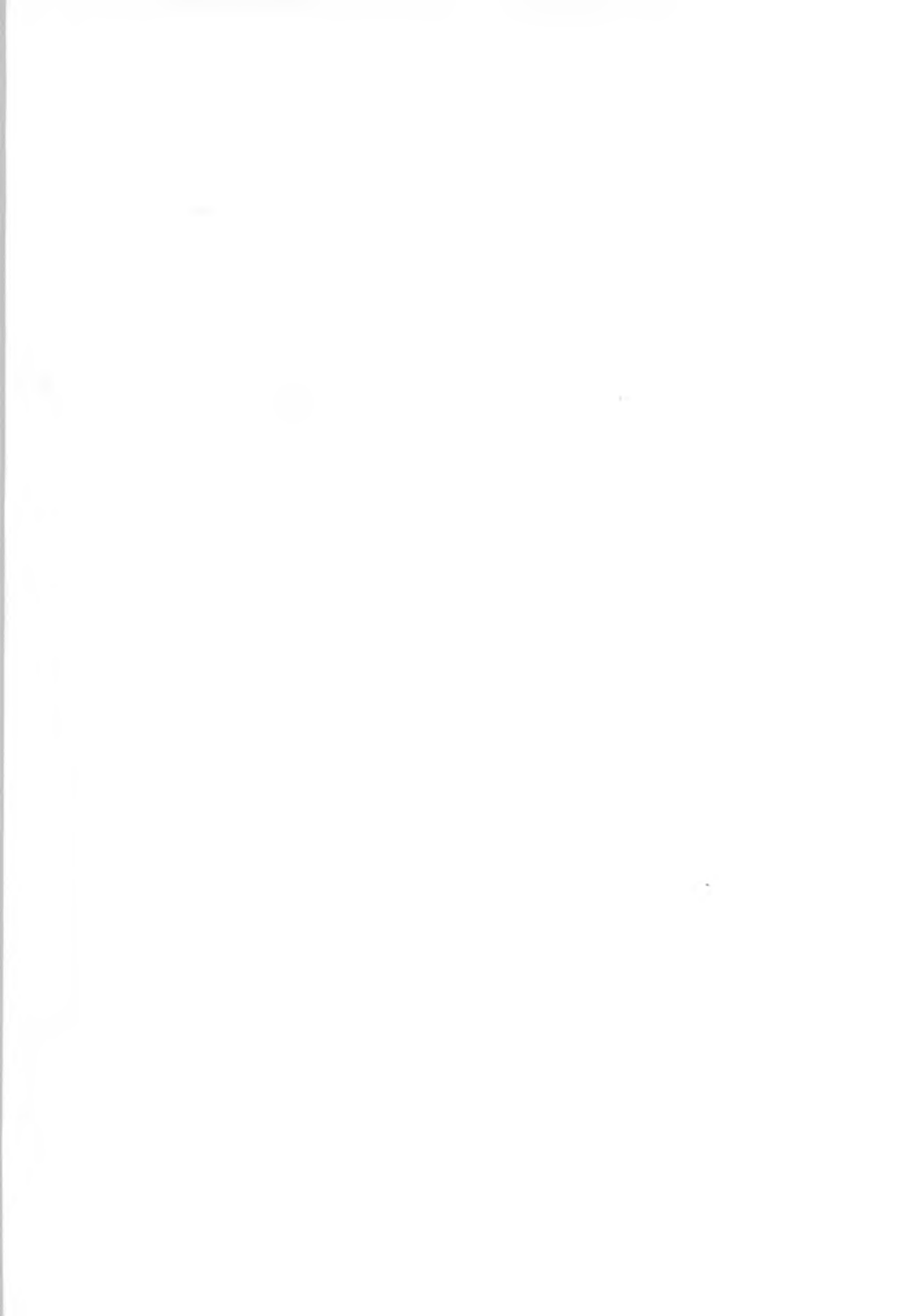
Misjonarz  
*Ks. Wincenty Turek SCJ*



*Rok 1953 zamyka pierwszy, początkowy rozdział naszych dziejów. Pierwsze dwudziestopięciolecie mamy już poza sobą. Po spojrzeniu wstecz z perspektywy tych 25 lat naszego istnienia w Polsce, myśl samorzutnie powraca do początków naszej historii, by tam zatrzymać się przy wydarzeniu, o którym zapomnieć nie możemy i które w swych skutkach odbija się na naszym Dziele; tym wydarzeniem jest błogosławieństwo Ojca Założyciela udzielone pierwszym Sercanom. Dzięki niemu, z pewnością, spływa na nas błogosławieństwo Serca Jezusowego, które — możemy powiedzieć — znaczy każdą kartę naszej historii. Przeczytawszy stronicę niniejszego albumu, łatwo się o tym przekonać. Dlatego dziękując za łaski minionych lat, z ufnością patrzymy w przyszłość. Cokolwiek nam ona przyniesie, będzie naznaczona podwójnym błogosławieństwem: błogosławieństwem Bożego Serca, poprzez stygnącą rękę Ojca...*



**WAŻNIEJSZE DATY  
Z HISTORII ZGROMADZENIA  
I PROWINCJI POLSKIEJ  
1843–1953**



### **Rok 1840**

9 listopada Urodził się w Teil (Płd. Francja) o. Andrzej Prévot SCJ. Na chrzcie św. otrzymał imię Leon.

### **Rok 1843**

14 marca Urodził się w La Capelle (Aisne) we Francji Ojciec Leon Jan od Najświętszego Serca Jezusowego Dehon, Założyciel Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego.

24 marca Chrzest Ojca Leona Jana Dehona w kościółku w La Capelle. Chrztu udzielił Mons. Hecart.

### **Rok 1854**

4 czerwca Ojciec Leon Dehon przystępuje w dzień Zielonych Świąt do I Komunii św. w La Capelle.

### **Rok 1855**

sierpień Podróż Ojca Dehona do Paryża na Wystawę Powszechną.

1 października Ojciec Dehon wstępuje w mury kolegium w Hazebrouck.

25 grudnia Pierwsza myśl Ojca Dehona o powołaniu kapłańskim.

### **Rok 1857**

1 czerwca Ojciec Dehon otrzymuje sakrament bierzmo-  
wania w Kolegium w Poperinghe (Belgia)  
z rąk msgr Malona, biskupa Bruges.

### **Rok 1859**

16 sierpnia Ojciec Dehon poddaje się egzaminowi do-  
jrzałości w Douai.

Październik Ojciec Dehon udaje się na studia do Paryża  
(Institution Barbet, rue des Feuillantines).

Grudzień Ojciec Dehon rozpoczyna studia prawnicze  
w Paryżu.

### **Rok 1860**

- Styczeń** Ojciec Dehon wraz ze swym bratem Henrykiem studiuje prawo świeckie.
- Lipiec** Ojciec Dehon poddaje się pierwszemu egzaminowi z prawa.
- Listopad** Drugi egzamin z prawa.

### **Rok 1861**

- Kwiecień** Ojciec Dehon udaje się w podróż do Anglii.
- Czerwiec**
- 22 lipca** Ojciec Dehon otrzymuje stopień bakalaureatu z prawa cywilnego w Paryżu (dyplom datowany 6 stycznia 1862).

### **Rok 1862**

- Kwiecień** Ojciec Dehon odbywa drugą podróż do Anglii.
- 18 sierpnia** Ojciec Dehon uzyskuje stopień licencjatu z prawa świeckiego — teza: „Sur la Tutelle” (dyplom datowany 7 września 1864).
- 12 września** Ojciec Dehon wpisuje się na członka Francuskiego Towarzystwa Archeologicznego w St. Etienne.
- Listopad** Ojciec Dehon rozpoczyna czwarty rok prawa.

### **Rok 1863**

- Lipiec** Ojciec Dehon poddaje się egzaminowi z prawa świeckiego, przez który uzyskuje stopień doktora.
- 12 sierpnia** Podróż Ojca Dehona po Niemczech, Austrii, do 11 listopada Bawarii, Danii, Szwecji i Norwegii.
- Listopad** Ojciec Dehon rozpoczyna piąty rok prawa.

### **Rok 1864**

- 2 kwietnia** Ojciec Dehon broni swej tezy doktorskiej z prawa świeckiego w Paryżu.
- 23 sierpnia** Ojciec Dehon rozpoczyna swą podróż na Wschód.

### **Rok 1865**

- 25 marca Ojciec Dehon w swej podróży na Wschód przybywa do Jerozolimy. (Pobył Ojca Dehona w Palestynie trwał od 25 marca do 16 kwietnia 1865 roku).
- Maj Ojciec Dehon decyduje się na wstąpienie do Seminarium Francuskiego w Rzymie.
- 25 października Ojciec Dehon wstępuje do Seminarium Św. Klary w Rzymie i rozpoczyna pierwszy rok filozofii w Uniwersytecie Gregoriańskim.
- Listopad Ojciec Dehon rozpoczyna rekolekcje w Seminarium Św. Klary w Rzymie (które głosił o. Rubillon, asystent generalny TJ), po których przywdział sutannę.

### **Rok 1866**

- Lipiec Pod koniec lipca Ojciec Dehon udaje się do Francji, by tam spędzić wakacje w domu rodzinnym.
- Październik Ojciec Dehon rozpoczyna drugi rok studiów w Seminarium Francuskim (studia teologiczne w Uniwersytecie Gregoriańskim).
- 22 grudnia Ojciec Dehon otrzymuje tonsurę w Bazylice Św. Jana na Lateranie w Rzymie.
- 23–26 grudnia Ojciec Dehon otrzymuje święcenia niższe.

### **Rok 1867**

- Październik Ojciec Dehon rozpoczyna trzeci rok studiów w Seminarium Św. Klary w Rzymie.
- 21 grudnia O. Dehon otrzymuje w Rzymie subdiakoniat.

### **Rok 1868**

- 6 czerwca Ojciec Dehon otrzymuje w Rzymie święcenia diakonatu.
- Lipiec Pod koniec lipca Ojciec Dehon odbywa podróż do Flandrii.

- 4 września Ojciec Dehon uzyskuje stopień bakalaureatu z teologii w Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie.
- 2 listopada Rodzice Ojca Dehona przybywają do Rzymu.
- 19 grudnia Ojciec Leon Jan od Najświętszego Serca Jezusowego Dehon otrzymuje w Rzymie w Bazylice Św. Jana na Lateranie, święcenia kapłańskie.

### **Rok 1869**

- Czerwiec Choroba Ojca Dehona i wyjazd na odpoczynek do Francji.
- 11 lipca Ojciec Dehon odprawia Mszę św. prymicyjną w La Capelle.
- Październik Ojciec Dehon po swej podróży do Normandii powraca do Rzymu, gdzie uczestniczy w Soborze Watykańskim jako I stenograf.
- Listopad Ojciec Dehon zyskuje licencjat z teologii.

### **Rok 1870**

- 3 lutego Ojciec Dehon otrzymuje stopień bakalaureatu z prawa kanonicznego w Rzymie.
- 19 lipca Ojciec Dehon zyskuje stopień licencjatu z prawa kanonicznego w Uniwersytecie „Apolinarium” w Rzymie.

### **Rok 1871**

- 1 czerwca Ojciec Dehon otrzymuje stopień doktora z teologii w Rzymie.
- 23 lipca Ojciec Dehon zyskuje stopień doktora z prawa kanonicznego. Odprawia rekolekcje i decyduje się na wstąpienie do asumpcjonistów.
- 1 sierpnia Ojciec Dehon powraca do Francji oraz odbywa podróż do Lowanium.
- 3 listopada Ojciec Dehon zamianowany został wikariuszem przy kolegiacie w Saint-Quentin.
- 8 listopada Ojciec Dehon obejmuje stanowisko siódmego wikariusza kolegiaty w Saint-Quentin.

### **Rok 1872**

- 23 czerwca Ojciec Dehon rozpoczyna pracę w Dziele Św. Józefa (z 40 dziećmi).
- 17 sierpnia Patronat Św. Józefa zostaje umieszczony przy rue des Bouloire.
- 8 października Pierwszy kontakt Ojca Dehona z Leonem Harmelem.

### **Rok 1873**

- Marzec Ojciec Dehon otrzymuje nominację na kapelana Sióstr Franciszkanek w Saint-Quentin.

### **Rok 1874**

- Lipiec Katolicki Uniwersytet w Lille proponuje Ojcu Dehonowi katedrę prawa naturalnego.
- Grudzień Ojciec Dehon zakłada dziennik „Le Conservateur de l’Aisne” w Saint-Quentin.

### **Rok 1875**

- 15 maja Ojciec Dehon mianowany drugim wikariuszem kolegiaty w Saint-Quentin.

### **Rok 1876**

- 26 października Ojciec Dehon otrzymuje nominację na honorowego kanonika Soissons.

### **Rok 1877**

- Marzec Ojciec Dehon wraz z msgr Thibaudierem udaje się do Rzymu.
- 27 czerwca Ojciec Dehon decyduje się na założenie zgromadzenia zakonnego Oblatów Najświętszego Serca Jezusowego.
- 13 lipca Ojciec Dehon zakłada Zgromadzenie Oblatów Najświętszego Serca Jezusowego.
- 14 lipca Kupno przez Ojca Dehona domu pod Zakład Św. Jana w Saint-Quentin.

- 16–31 lipca Ojciec Dehon odprawia rekolekcje u Sióstr Służebniczek Najświętszego Serca, w czasie których pisze konstytucje dla założonego Zgromadzenia.
- 15 sierpnia Kanonik Dehon zakłada Instytut Świętego Jana.
- Październik Ojciec Dehon zostaje mianowany przełożonym Instytutu Świętego Jana.

### Rok 1878

- 28 czerwca Ojciec Dehon składa na ręce bpa Thibaudiera swe pierwsze śluby zakonne, w oratorium Instytutu Świętego Jana, przybierając imię zakonne Jana od Serca Jezusowego.
- 14 września Otwarcie pierwszego nowicjatu Księży Najświętszego Serca Jezusowego w Domu Najświętszego Serca Jezusowego w Saint-Quentin (pierwszy nowicjusz: ks. Rasset).
- 25 listopada S. Maria od Jezusa (Magdalena Uhlrich) ze Zgromadzenia Służebniczek Najświętszego Serca ofiaruje swe życie w intencji uproszenia zdrowia dla O. Dehona. Bóg przyjął ofiarę i 25 sierpnia roku następnego (1879) zabiera ją do siebie.

### Rok 1879

- 25 sierpnia Umiera s. Maria od Jezusa (Magdalena Uhlrich), która złożyła w ofierze swe życie, wypraszając w ten sposób zdrowie dla O. Dehona.
- 10 grudnia Dom Oblatów Najświętszego Serca na rue Richelieu obejmuje 14 osób: dwóch księży, dwóch nowicjuszów oraz 10 studentów.

### Rok 1881

- 29 grudnia Pożar Instytutu Świętego Jana prowadzonego przez Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego.

### **Rok 1882**

- 11 lutego Umiera w La Capelle p. Aleksander Dehon, ojciec kanonika Dehona.
- 17 września Zgromadzenie zyskuje dom w Sittard, w Fayet oraz dom studiów w Lille.

### **Rok 1883**

- 19 marca Umiera w La Capelle matka kanonika Dehona.
- 28 listopada „Consummatum est” — decyzja Stolicy Świętej, nakazująca rozwiązanie Zgromadzenia Księża Oblatów.
- 8 grudnia Ojciec Dehon otrzymuje dekret od Stolicy Świętej, znoszący Zgromadzenie Księża Najświętszego Serca Jezusowego.

### **Rok 1884**

- 28 marca Wskrzeszenie Zgromadzenia Oblatów Najświętszego Serca po „Consummatum est” oraz zmienienie jego nazwy z Oblatów na Księża Najświętszego Serca Jezusowego.

### **Rok 1885**

- 21 maja Ojciec Andrzej Prévot (imię świeckie Leon) wstępuje do Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego.
- 22 września Po czteromiesięcznym nowicjacie, za indultem papieskim, składa swe pierwsze śluby zakonne Ojciec Andrzej Prévot.

### **Rok 1886**

- 10 września Rozpoczęcie obrad pierwszej Kapituły Generalnej Zgromadzenia w Saint-Quentin (od 10 do 15 września).
- Październik Księża Najświętszego Serca Jezusowego rozpoczynają pracę w charakterze kapelanów w Val-des-Bois.

24 grudnia      Pozdrowienie Księża Najświętszego Serca Jezusowego: „Vivat Cor Jesu...” zyskuje aprobatę biskupa Thibaudiera listem z dnia 24 grudnia 1886 roku.

### **Rok 1887**

8 września      Składa swe pierwsze śluby zakonne o. Herman Schmitz, jako pierwszy członek Prowincji Niemieckiej.

### **Rok 1888**

21 lutego      Pertraktacje Ojca Dehona o przyjęcie misji w Republice Ekwadoru.

25 lutego      Zgromadzenie Księża Najświętszego Serca Jezusowego otrzymuje od Leona XIII Dekret Pochwalny „Vepres inter spinas”.

6 września      Ojciec Dehon na audiencji u Leona XIII: „Prechez mes encycliques”.

Pod koniec września zostaje założony nowicjat Księża Najświętszego Serca Jezusowego w Fourdrain koło Crepy (Aisne).

10 listopada    Ojciec Założyciel wysyła pierwszych misjonarzy Zgromadzenia ks. Gabriela Grisona i ks. Blanca do Ekwadoru.

15 grudnia      Ks. Blanc i ks. Grison osiedlają się w Quito, stolicy Ekwadoru.

### **Rok 1889**

25 stycznia      Założenie miesięcznika „Le Regne du Coeur de Jésus dans les ames et les societes”.

8 lutego      Kanoniczne zatwierdzenie przez biskupa Soissons „Stowarzyszenia Miłości, Wynagrodzenia i Ofiary” — późniejsze „Adveniat Regnum Tuum”.

7 kwietnia      Kilku księży wyjeżdża do Ekwadoru w celu wspomżenia swą pracą misji prowadzonej przez ks. Grisona i ks. Blanca.

- Czerwiec Ojciec Dehon wyjeżdża do Sittard, oraz do Luksemburga (założenie domu w Clairefontaine).
- 2 września Wstępuje do szkoły apostolskiej w Calirefontaine jako 12-letni chłopiec, późniejszy ks. bp Philippe, drugi Przełożony Generalny Zgromadzenia oraz biskup Luksemburga.

### **Rok 1890**

- Sierpień Ojciec Dehon wizytuje domy w Sittard, w Laon, w Fourdrain, Val-des-Bois (założenie domu w Dijon).
- 14 grudnia Ojciec Dehon na audiencji u Leona XIII.

### **Rok 1891**

- 13 maja Stolica Apostolska wydaje pozwolenie na wydanie własnego „Ordo” dla Zgromadzenia Księży Najśw. Serca Jezusowego.
- 13 czerwca Pozwolenie na przeniesienie nowicjatu Zgromadzenia z Francji do Sittard (Holandia).

### **Rok 1892**

- 16 lutego Ojciec Dehon udaje się do Rzymu. Założenie w Rzymie na via Giulia domu studiów.

### **Rok 1893**

- 28 czerwca Ojciec Dehon zostaje wybrany przewodniczącym Komisji Studiów Społecznych.
- Październik Zgromadzenie zakłada misję w Brazylii.
- 6 września Rozpoczyna obrady trzecia Kapituła Generalna Zgromadzenia w Fourdrain (6–7 IX 1893).
- Grudzień Ojciec Dehon odbywa podróż do Afryki Północnej (Sycylia, Tunis, Algier, Kartagina, Konstantynopol).

### **Rok 1894**

- 3 marca                   Communitas domu przy kościele Santa Maria del Suffragio na via Rupe Tarpeia (Prokuratura Generalis).

### **Rok 1895**

- 24 kwietnia           Ojciec Dehon na audiencji u Leona XIII.

### **Rok 1896**

- 29 lutego               Urodził się w Pychowicach pod Krakowem ks. Kazimierz Jan od Serca Jezusowego Wiecheć, założyciel Prowincji Polskiej Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego.
- 12 czerwca             Pracujący w Ekwadorze (w Bahía) księża naszego Zgromadzenia z powodu prześladowania ze strony masonów zmuszeni są opuścić Ekwador.
- 24 lipca                Patronat Świętego Józefa w Saint-Quentin przechodzi z rąk Księży Najświętszego Serca Jezusowego do rąk obcych.
- 31 sierpnia            Rozpoczyna swe obrady Czwarta Kapituła Generalna Zgromadzenia w Saint-Quentin (od 31 sierpnia do 1 września 1896 roku).
- 31 sierpnia            Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego dostaje się na terytorium Belgii przez otwarcie domu w Brukseli.
- Grudzień              Publikacja napisanych przez Ojca Dehona „Retraite du Sacré-Coeur”.

### **Rok 1897**

- 22 stycznia            Ojciec Dehon wraz z Leonem Harmelem na audiencji u Leona XIII.
- 25 marca               Ojciec Założyciel przyjmuje pracę misyjną w Kongo.
- 11 kwietnia            Leon XIII mianuje Ojca Dehona konsultorem Kongregacji Indeksu.

- Maj Ojciec Dehon udaje się do Brukseli, gdzie w czasie audiencji u króla Belgii przedstawia pracę misyjną swych księży w Kongo Belgijskim.
- 17 października Ks. Gabriel Grison i ks. Lux osiedlają się w okolicy Stanleyville w Kongo Belgijskim.
- 25 grudnia Założenie misji w Kongo Belgijskim w St. Gabriel przez ks. Grisona.

### **Rok 1899**

- Lipiec Ojciec Dehon odbywa podróż do Hiszpanii.
- 14 września Rozpoczęcie obrad V Kapituły Generalnej Zgromadzenia w Saint-Quentin (14–15 września).

### **Rok 1900**

- 28 września Ojciec Dehon na audiencji u Leona XIII wraz z kardynałem Mathieu oraz Leonem Harmelem.

### **Rok 1901**

- 23 marca Wcielenie „Stowarzyszenia Wynagrodzenia, Miłości i Ofiary” do arcybractwa istniejącego w Rzymie przy kościele Santa Maria della Pace.

### **Rok 1902**

- 11 września Rozpoczęcie obrad VI Kapituły Generalnej Zgromadzenia w Lowanium (od 11 do 12 września).

### **Rok 1903**

- 28 marca Wygnanie Księży Najśw. Serca Jezusowego z ich domu w Saint-Quentin.
- 4 kwietnia Zgromadzenie otrzymuje nazwę „Congregatio Presbyterorum a Sacro Corde Jesu”.

- 5 kwietnia Rozproszenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego przez dekret marcowy, wydany przez rząd francuski.
- 23 kwietnia Pozwolenie na przeniesienie siedziby generalnej Zgromadzenia z Francji do Belgii — do Brukseli.
- 23 kwietnia Księży Najświętszego Serca Jezusowego rozpoczynają pracę apostołską w Brazylii Płd.

### **Rok 1904**

- 8 lutego Ojciec Dehon na audiencji u Papieża Piusa X.
- 3 sierpnia Misja w Kongo Belgijskim zostaje podniesiona do godności prefektury Apostolskiej.

### **Rok 1905**

- 1 maja Tymczasowe zatwierdzenie Konstytucji przez Stolicę Świętą.
- 4 listopada Śmierć ks. Rassetta SCJ, pierwszego asystenta generalnego Zgromadzenia.

### **Rok 1906**

- 14 lutego Ojciec Dehon na audiencji u Papieża Piusa X.
- Czerwiec Pod koniec czerwca Ojciec Dehon wyjeżdża do Brazylii, Paragwaju i Argentyny.
- 4 lipca Ostateczne zatwierdzenie Zgromadzenia, oraz „Ad decennium” Konstytucji przez Piusa X.

### **Rok 1907**

- Luty Ojciec Dehon na audiencji u Piusa X.
- 19 marca Ojciec Dehon mianowany kanonikiem honorowym katedry w Perigeux.
- Kwiecień Ojciec Dehon rozpoczyna swą podróż z Brukseli przez Kolonię, Berlin, Pragę, Szczecin, Sztokholm do Helsinek, w czasie której

w drodze powrotnej przez Petersburg, Moskwę, Smoleńsk, Mińsk, Brześć Litewski przybył do Warszawy.

### **Rok 1908**

- 10 marca Prefektura Apostolska w Fals w Kongo Belgijskim podniesiona do godności Wikariatu.
- 10 marca Zgromadzenie rozpoczyna pracę misyjną we Finlandii.
- 14 września Pozwolenie na otwarcie nowicjatu w Asten w Holandii.
- 15 września Rozpoczęcie obrad VII Kapituły Generalnej Zgromadzenia w Lowanium (od 15 do 16 września).
- 6 października Kanoniczne zatwierdzenie przez Stolicę Świętą Prowincji Niemieckiej.
- 6 października Pozwolenie Stolicy Świętej na podział Zgromadzenia na dwie prowincje: Wschodnią i Zachodnią.
- 11 października Ks. Grison otrzymuje w Rzymie sakrę biskupią.
- Listopad Przybywa do Krakowa scholastyk (subdiakon) Mayerink z Prowincji Holenderskiej, celem nauczania się języka polskiego. Przebywał 8 miesięcy w Krakowie, od lipca 1906 roku, mieszkając przez cały czas u ks. prałata Mateusza Jeża przy ul. Jabłonowskich 18, II piętro, ówczesnego katechety jednego z gimnazjów krakowskich.
- 30 listopada Nominacja pierwszego przełożonego prowincjalnego Prowincji Niemieckiej.

### **Rok 1909**

- 6 marca Zgromadzenie otrzymuje pozwolenie od Stolicy Apostolskiej na zbieranie jałmużn.
- Lipiec Scholastyk z Prowincji Holenderskiej br. Mayerink przebywający w Krakowie, po-

wraca do Holandii i zabiera ze sobą do małego seminarium 4 Polaków: Jeża Broniśława (bratanka ks. Mateusza Jeża), Józefa Woźniaka, Dulę Michała oraz Pfeiffera.

### **Rok 1910**

- Luty W lutym 1910 roku przybywa do małego seminarium w Tervuren (Belgia) ks. Kazimierz Wiecheć, przywieziony tam przez br. Mayerinka, który w tymże czasie po raz drugi bawił już w Krakowie.
- 15 marca Stolica Apostolska udziela pozwolenia na otwarciu przez Zgromadzenie Księży Najśw. Serca Jezusowego kaplicy publicznej w Helsinfore w Finlandii.
- kwiecień Zgromadzenie Księży N.S.J. rozpoczyna pracę w Kanadzie.
- 25 kwietnia Zgromadzenie nasze otrzymuje przywilej od Stolicy Świętej na odprawienie w każdy I piątek miesiąca Mszy św. o Najśw. Sercu Jezusowym.
- 25 kwietnia Prowincja Niemiecka stara się o misję w Kamerunie.
- 3 sierpnia Rada Generalna Zgromadzenia ustanawia Prowincję Holenderską.

### **Rok 1911**

- 4 marca Stolica Apostolska pozwala na otwarciu nowicjatu w Albino we Włoszech.
- 8 kwietnia Zatwierdzenie przez Stolicę Świętą założonej w roku poprzednim Prowincji Holenderskiej.
- 8 kwietnia Ojciec Dehon po swej podróży na Wschód, zdaje sprawozdanie w Kongregacji Rozkrzewienia Wiary. (Podróż swą rozpoczynał w roku poprzednim, a szlak jej wiódł przez Kanadę, Stany Zjednoczone, Japonię, Koreę,

Mandzurię, Chiny, Wyspy Filipińskie, Jawę, Cejlon, Indie Angielskie oraz Palestynę).

### **Rok 1912**

- 21 lutego Ojciec Dehon uzyskuje audiencję u Piusa X, w czasie której otrzymuje specjalne błogosławieństwo papieskie dla swego Zgromadzenia.
- 21 lutego Założenie misji w Kamerunie.
- 11 kwietnia Zgromadzenie przedostaje się na teren Czechosłowacji.
- 30 sierpnia Układ pomiędzy Msgr Bitterem a Ojcem Dehonem i o. Van Halbeckiem, Przełożonym Prowincjalnym Prowincji Holenderskiej, dotyczący przyjęcia dwóch parafii w Szwecji przez księży holenderskich naszego Zgromadzenia.

### **Rok 1913**

- 1 września W Szwecji zostają powierzone naszemu Zgromadzeniu trzy placówki: parafia Św. Eugenii w Sztokholmie, kościół w Göteborgu i parafia Św. Pawła Gefle.

### **Rok 1914**

- 28 kwietnia Misja w Kamerunie podniesiona do godności Prefektury Apostolskiej z tytułem „Prefectura in Adamana”. Ks. Lenartz jej prefekt apostolski, otrzymuje godność biskupa tytularnego.
- Czerwiec Przybywa do nowicjatu w Brugelette (Belgia) ks. Kazimierz Wiecheć.
- 19 czerwca Po przyspieszonym kursie studiów humanistycznych, dwaj Polacy, ks. Kazimierz Wiecheć oraz Józef Woźniak przywdziewają w Tervuren sutanny.
- 23 czerwca Ks. Kazimierz Wiecheć oraz Józef Woźniak zostają przyjęci do postulatu w Brugelette.

### **Rok 1915**

- 28 sierpnia Czcigodny Ojciec Założyciel uwięziony w mieście Saint-Quentin przez okupacyjne wojska niemieckie.
- 31 października O. Dehon ciężko chorą. Niebezpieczeństwo śmierci w nocy z 30 na 31 października.

### **Rok 1916**

- 3 czerwca Składa swą pierwszą profesję w Tervuren (Belgia) ks. Kazimierz Wiecheć, założyciel Prowincji Polskiej.

### **Rok 1917**

- 12 marca Ojciec Dehon jest zmuszony opuścić Saint-Quentin i udać się do Enghien.
- Październik Ojciec Dehon na skutek interwencji Ojca św. Benedykta XV otrzymuje pozwolenie od okupacyjnych władz niemieckich na wyjazd za granicę.

### **Rok 1918**

- 3 stycznia Ojciec Dehon na audiencji u Benedykta XV.
- 23 kwietnia Ojciec Dehon na pożegnalnej audiencji u Benedykta XV. Przed powrotem do Belgii odwiedza scholastykat w Bolonii.
- 29 maja Umiera śmiercią tragiczną w Porto Calvo (Brazylia) ks. Franciszek Szymański.
- 11 listopada Uroczysty obchód w Bolonii (Włochy) kapłańskiego jubileuszu Ojca Dehona (50-lecie).
- 26 grudnia Ojciec Dehon na audiencji u Benedykta XV.

### **Rok 1919**

- 6 marca Otwarcie nowicjatu Zgromadzenia w Kanadzie.
- 29 lipca Rozpoczyna obrady VIII Kapituła Generalna Zgromadzenia w Heer (od 29 do 31 lipca).

- 8 grudnia Ks. Plissoneau otrzymuje nominację na prefekta apostolskiego Prefektury w Adamana w Kamerunie, która też zmienia od tego czasu nazwę z Adamana na De Foumban.
- 25 grudnia Zgromadzenie zaczyna swą obecność na terenie Hiszpanii w Puente-la-Reina.

### Rok 1920

- 25 marca Ambasador Belgii przy Stolicy Świętej z ramienia rządu belgijskiego czyni starania w celu założenia oddzielnej prefektury apostolskiej w Afryce, która by obejmowała terytorium Kenii i części Ugandy, i by ta prefektura obsługiwana była przez misjonarzy narodowości jedynie belgijskiej.
- 18 maja Położenie kamienia węgielnego pod świątynię Chrystusa Króla w Rzymie przy via Mazzini.
- 8 czerwca Ustanowienie wikariatu apostolskiego we Finlandii i nadanie ks. Buckx godności administratora apostolskiego z przywilejami prefekta apostolskiego.
- Lipiec W ostatnich dniach lipca, wkrótce po swych święceniach, ks. Kazimierz Wiecheć przyjeżdża do Krakowa. Pierwszą Mszę św. odprawia w Krakowie-Dębnikach.
- 25 lipca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Bolonii ks. Kazimierz Wiecheć, założyciel Prowincji Polskiej.
- Sierpień Ks. Kazimierz Wiecheć w poszukiwaniu powołań przyjeżdża do Myślenic i z poręki ks. dra Kościółka (proboszcza) pozyskuje dla Zgromadzenia Juliana Lubowieckiego, ucznia z ukończoną IV klasą gimnazjalną.
- 20 września Udzielenie przywileju przez Stolicę Świętą na antycypowanie brewiarza dla członków Zgromadzenia (matutinum et laudes).

- 27 września Założenie Prowincji Włoskiej.  
 5 listopada Nominacja pierwszego prowincjała Prowincji Włoskiej (ks. Gasparri).  
 2 grudnia Zatwierdzenie kanoniczne Prowincji Włoskiej.

### **Rok 1921**

- 18 stycznia Otwarcie nowicjatu w Puente-la-Reina w Hiszpanii.  
 1 lutego W „Gazecie Kościelnej” z dnia 1 lutego tegoż roku ukazuje się artykuł pióra ks. Mateusza Jeża, będący odezwą do polskiego duchowieństwa; traktuje o naszym Zgromadzeniu.  
 31 października Święta Kongregacja Rozkrzewienia Wiary, listem z dnia 31 października 1921 roku (numer 3108/21) proponuje Zgromadzeniu Księżu Najświętszego Serca Jezusowego pracę misyjną w Indiach Wschodnich.  
 30 listopada Święta Kongregacja Rozkrzewienia Wiary proponuje naszym księżom z Prowincji Holenderskiej pracę misyjną na wyspie Jawie.

### **Rok 1922**

- 15 czerwca Audiencja u Ojca Świętego Piusa XI.  
 18 lipca Stolica Święta pozwala na nominację Ojca Dehona Przełożonym Generalnym do końca jego życia.

### **Rok 1923**

- Marzec Ojciec Dehon zamierza wysłać ks. Buschera i Mayera do Afganistanu w celu założenia placówki misyjnej Zgromadzenia.  
 14 marca Kanoniczne zatwierdzenie Stowarzyszenia „Adveniat Regnum Tuum” przez Stolicę Świętą.  
 29 marca We Włoszech, w domu nowicjatu w Albisoli, składa profesję zakonną pierwszy brat

- konwers, Polak, br. Mikołaj Paschalis Świder.
- 25 maja Msgr Buckx zostaje mianowany wikariuszem apostolskim wikariatu w Finlandii. Konsekrację otrzymuje w Finlandii z rąk kard. Van Rossum 15 sierpnia 1923.
- 12 czerwca Założenie prefektury apostolskiej Gariep w Płd. Afryce (obecna diecezja Aliwal).
- 15 sierpnia Ks. Buckx otrzymuje sakrę biskupią w Finlandii z rąk kard. Van Rossum.
- 5 grudnia Ostateczne zatwierdzenie Konstytucji Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego przez Papieża Piusa XI.
- 27 grudnia Założenie misji na Sumatrze przez księży z Prowincji Holenderskiej.

#### **Rok 1924**

- 10 stycznia Założenie prefektury apostolskiej w Benkoelen (Wschodnia Sumatra) i powierzenie jej Prowincji Holenderskiej.
- 31 maja Wyniesienie ks. Henryka Smeetsa do godności tytularnego prefekta apostolskiego w Benkoelen (Wschodnia Sumatra).
- Wrzesień Pierwsi dwaj polscy Sercanie, scholastycy, Władysław Majka i Ignacy Stoszko, spotykają się po raz pierwszy z Ojcem Dehonem.

#### **Rok 1925**

- 4 sierpnia Ostatnia Msza święta Ojca Założyciela, do której w części (modlitwy u stopni ołtarza) usługiwał mu polski scholastyk Władysław Majka.
- 12 sierpnia W Brukseli o godzinie 12<sup>10</sup> umiera Czcigodny Ojciec Założyciel. Na dwie minuty przed śmiercią udziela swego ostatniego błogosławieństwa dwóm młodym scholastykom polskim: ks. Wł. Majce i ks. Ignacemu Stoszce.

19 sierpnia Uroczystości pogrzebowe Czcigodnego Ojca Założyciela w bazylice Saint-Quentin z mową pogrzebową biskupa Soissons mons. Bineta. Złożenie drogich zwłok w grobowcu Zgromadzenia na cmentarzu w Saint-Quentin.

### **Rok 1926**

19 stycznia Rozpoczyna swe obrady IX Kapituła Generalna Zgromadzenia w Rzymie, w czasie której ks. Józef Philippe zostaje wybranym drugim z kolei przełożonym generalnym (Kapituła trwała od 19 do 26 stycznia).

### **Rok 1927**

19 stycznia Ks. Van Oort otrzymuje godność prefekta apostołskiego prefektury Benkoelen (Wschodnia Sumatra) w miejsce ks. Smeetsa, który był zmuszony misje opuścić.

### **Rok 1928**

24 marca Ksiądz Ignacy Stoszko oraz ks. Władysław Majka otrzymują święcenia kapłańskie w Strassburgu jako pierwsi wychowankowie tamtejszego międzynarodowego seminarium.

24 maja Pozwolenie Stolicy Apostolskiej na otwarcie domu nowicjatu w Taubaté w Płd. Brazylii.

1 sierpnia Wyjazd ks. Kazimierza Wiehecia wraz z Turkiem i Michalikiem do Albisoli i Rzymu.

20 sierpnia Przyjazd pierwszych polskich księży: ks. Władysława Majki oraz brata Paschalisa (Mikołaj Świder) do Krakowa i zamieszkanie w Domu Księży Emerytów w Krakowie przy ul. Świętego Marka.

22 września Przewielebni księża: Kazimierz Wieheć, Władysław Majka oraz brat Paschalis (Mikołaj

Świder) przenoszą się z Domu Księży Emerytów w Krakowie do Płaszowa na ulicę Koszykarską 7. Przeprowadzka odbyła się wieczorem.

### **Rok 1929**

- 13 kwietnia Ustanowienie przez Radę Generalną Zgromadzenia Prowincji Francuskiej.
- 14 lipca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Strasburgu ks. Julian Lubowiecki SCJ.

### **Rok 1930**

- 15 stycznia Przyjazd do Płaszowa br. Turka i br. Michałika.
- 21 marca Nominacja pierwszego prowincjała Prowincji Francuskiej, który urząd obejmuje 1 X 1930.

### **Rok 1932**

- 16 lipca Otrzymuje w Strassburgu święcenia kapłańskie ks. Franciszek Solak SCJ.
- 22 sierpnia Rozpoczęcie obrad X Kapituły Generalnej Zgromadzenia w Lowanium (22–29 sierpnia 1932).
- 6 września Wyjazd na studia do Lille (Francja) br. Wielgusa, br. Michała Wietechy, br. Turka, br. Michałika wraz z księdzem Solakiem.

### **Rok 1933**

- 1 listopada Ks. Wilhelm Cobben SCJ mianowany wikariuszem apostolskim Finlandii. Sakrę biskupią otrzymał 19 marca 1934 roku.
- 18 listopada Stolica Apostolska zatwierdziła Prowincję Brazylii Płd. naszego Zgromadzenia. Powstaje Prowincja Ameryki Płn.
- 21 grudnia Otrzymuje święcenia kapłańskie w Strasburgu ks. Franciszek Nagy SCJ.

## Rok 1934

- 10 lutego Ks. Kamil Verfaille mianowany wikariuszem apostolskim wikariatu w Stanleyville w Kongo Belgijskim. Konsekrowany na biskupa 27 V 1934.
- 26 maja Ustanowienie przez Stolicę Świętą wikariatu w Foumban w Kamerunie oraz nominacja ks. Bouquet na tytularnego wikariusza apostolskiego. (Konsekrowany 21 listopada 1934 roku).
- 8 czerwca Nazwa Zgromadzenia od dnia tego brzmi: „Congregatio Sacerdotum a Sacro Corde Jesu” w miejsce używanego „Presbyterorum” od 4 kwietnia 1903 roku weszło teraz słowo „Sacerdotum”.

## Rok 1935

- 25 kwietnia Ks. Józef Philippe, drugi przełożony generalny Zgromadzenia zostaje mianowany biskupem koadiutorem Luksemburga z prawem następstwa.
- 9 czerwca Ks. Józef Philippe otrzymuje sakrę biskupią z rąk kardynała Marchetti-Selvaggiani wikariusza Papieża Piusa XI.
- 7 lipca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Bolonii z rąk kard. Nasali ks. Franciszek Zawadziński.
- 14 lipca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Lille ks. Michał Wietecha.
- 24 października Ks. Wilhelm Govaart zostaje wybranym przez Kapitułę Generalną Zgromadzenia trzecim z kolei przełożonym generalnym Zgromadzenia.
- 24 października Otwarcie obrad XI Kapituły Generalnej Zgromadzenia, w czasie której zostały zatwierdzone bez zastrzeżeń nasze „Regulae

ac Prescriptiones ac Statum pro Missionibus Sacerdotum a Sacro Corde Jesu”.

### **Rok 1936**

Marzec Ks. Ignacy Stoszko mianowany rektorem „ad interim” domu piaszowskiego.

### **Rok 1937**

Maj Zawarcie kontraktu, na mocy którego Zgromadzenie nasze w Polsce poczęło dzierżawić dom w Felsztynie. Kontrakt podpisali: ze strony Zgromadzenia ks. Franciszek Nagy, ze strony miejscowych dziedziców pani Ruszkowska.

10 maja Otwarcie domu nowicjatu w Felsztynie przez Prowincję Polską.

Czerwiec Ks. Majka mianowany rektorem domu felsztyńskiego oraz pierwszym mistrzem polskiego nowicjatu.

21 czerwca Ks. bp Wilhelm Cobben SCJ, wikariusz apostołski Finlandii, przebywając w Piaszowie, przewodniczy odbywającym się tam w tym czasie obłóczynom dzisiejszych księży: Nagyego St., Kubiny Romana, Rudzoka, Markewi Władysława, Kmiecika, Buckiego, Pieczary oraz brata Alojzego Żurka.

24 czerwca Przyjazd pierwszych mieszkańców sercańskich do Felsztyna oraz odprawienie pierwszej Mszy świętej w kaplicy domowej nowego domu przez miejscowego proboszcza, ks. dziekana Watulewicza, który w tymże samym dniu dokonał poświęcenia nowo kupionego domu.

4 lipca Otrzymuje święcenia kapłańskie w katedrze w Lille z rąk kard. Dieward ks. Wincenty Turek SCJ.

Sierpień Zgromadzenie przedostaje się do Anglii.

## Rok 1938

- 23 lutego Umiera w Kamerunie brat Kazimierz Zjezdżałka, pierwszy brat konwers polskich Sercanów.
- 22 września Pierwsza profesja nowicjusów Zgromadzenia naszego na ziemiach polskich. W Felsztynie składają swe pierwsze śluby zakonne: Nagy Stanisław, Kubina Roman, Włodzimierz Kmiecik, Anatol Pieczara, Karol Rudzok, Władysław Marekvia oraz Dionizy Bucki.
- 27 września Ks. Michał Wietecha mianowany rektorem domu płaszowskiego.
- 20 listopada Z pierwszych braci konwersów Prowincji Polskiej, składają w Felsztynie pierwszą profesję bracia: Jan Gerard Jurowski oraz Alojzy Stanisław Żurek.
- 31 grudnia Konsekracja wotywnego kościoła Najświętszego Serca Jezusowego pod wezwaniem Chrystusa Króla w Rzymie.

## Rok 1939

- 1 stycznia Ks. Ignacy Stoszko mianowany proboszczem ekspozytem parafii Płaszów (pierwszy proboszcz Zgromadzenia w Polsce).
- 11 lipca Ks. Mekkelholt zostaje mianowany tytularnym wikariuszem apostolskim wikariatu Palembang na Sumatrze (konsekrowany 29 X 1939).

## Rok 1940

- 21 listopada Składa we Włoszech swą pierwszą profesję zakonną brat zakonny, Polak, br. Antoni Borowy.

## Rok 1941

- 22 maja Otrzymuje święcenia kapłańskie pierwszy kapłan Prowincji Angielskiej ks. Edward Bradshaw.

### **Rok 1942**

- 13 lutego Umiera w Stanleyville po 50-ciu latach pracy misyjnej mons. Emil Gabriel Grison, pierwszy misjonarz i biskup naszego Zgromadzenia.
- 29 czerwca Otrzymują święcenia kapłańskie w Clermont (Francja) ks. Stefan Kierpiec SCJ i ks. Adam Gasiorek SCJ.

### **Rok 1943**

- 24 kwietnia Wielka Sobota —Otrzymuje święcenia kapłańskie w Bolonii ks. Stanisław Michalik SCJ.
- 29 czerwca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Clermont ks. Stefan Rychlicki.

### **Rok 1944**

- 22 maja Zostaje przeniesiony nowicjat polski z Krakowa do Stadnik, do domu p. Michalika.
- 22 czerwca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Bolonii ks. Włodzimierz Kmiecik SCJ.
- 25 czerwca Otrzymują święcenia kapłańskie w Bolonii księża: Władysław Marekwa SCJ oraz Karol Rudzok SCJ.

### **Rok 1945**

- 17 marca Otrzymuje święcenia kapłańskie w Bolonii ks. Stanisław Sidelko SCJ.
- 8 lipca Otrzymują święcenia kapłańskie w Krakowie w kościele oo. karmelitów bosych księża: Dionizy Bucki SCJ oraz Stanisław Nagy SCJ.
- 22 lipca Otrzymuje święcenia kapłańskie we Włoszech ks. Anatol Pieczara SCJ.
- Wrzesień Przybywa w pierwszych dniach września do płażowskiego małego seminarium pierwszy kandydat Paweł Leks.

### **Rok 1946**

- 10 listopada Otrzymuje w Krakowie święcenia kapłańskie ks. Roman Kubina SCJ.
- 3 grudnia Rada Generalna ustanawia Prowincję Polską i Angielską.
- 18 grudnia Zatwierdzenie przez Stolicę Świętą Prowincji Polskiej i Angielskiej.

### **Rok 1947**

- 10 stycznia Nominacja pierwszego przełożonego Prowincji Polskiej, ks. Michała Krzysztofa Wietechy SCJ.  
Nominacja pierwszego przełożonego Prowincji Angielskiej, ks. Alfonsa Wilibrorda Putsa SCJ.
- 15 lutego Pierwszy prowincjał Prowincji Polskiej, ks. Michał Wietecha obejmuje swój urząd.
- 21 kwietnia Rozpoczęcie prac koło budowy kościoła i domu nowicjatu w Stadnikach.
- Maj Ks. Wincenty Turek SCJ rozpoczyna po raz pierwszy w naszym kraju — przez nasze Zgromadzenie — misje ludowe.
- 22 czerwca Ks. Nagy Franciszek SCJ wyjeżdża z Rio de Janeiro na statku francuskim „Croix” w drogą powrotną do Polski, po blisko 10-letnim pobycie w Brazylii.
- 1 lipca Otrzymuje w Bolonii święcenia kapłańskie ks. Jan Bem SCJ.
- 13 lipca Składa swe pierwsze śluby zakonne w Stadnikach brat zakonny Antoni Szewc SCJ.
- 9 października Ks. Wilhelm Govaart SCJ powtórnie wybrany przełożonym generalnym Zgromadzenia.

### **Rok 1948**

- 26 maja Nominacja pierwszego rektora nowo wybudowanego domu nowicjatu w Stadnikach (ks. Adam Gąsiorek SCJ).

- 15 sierpnia Pierwszy rektor nowo wybudowanego domu nowicjackiego w Stadnikach ks. Adam Gąsiorek obejmuje swój urząd.
- 19 września Poświęcenie kościoła parafialnego Najśw. Serca Jesusowego w Stadnikach. Ks. Adam Gąsiorek pierwszym rektorem kościoła w Stadnikach.
- 18 grudnia Otrzymuje święcenia kapłańskie w Krakowie w kościele oo. franciszkanów ks. Stefan Mytnik SCJ.

### **Rok 1949**

- 13 lutego W nowo wybudowanym domu nowicjatu w Stadnikach składają w kaplicy publicznej swe pierwsze śluby zakonne nowicjusze: Sidelko Jan, Marekvia Kazimierz, Włoch Adam, Mucha Jan, Tadeusz Wielkopolski oraz brat Zięba Franciszek.
- 10 marca Podzielenie wikariatu apostolskiego Falls na dwa oddzielne wikariaty: Stanleyville oraz wikariat w Wamba. Ks. Józef Wittebols zostaje mianowany wikariuszem apostolskim nowego wikariatu Wamba (konsekrowany 16 VI 1949).
- 2 kwietnia W bazylice oo. franciszkanów w Krakowie otrzymują święcenia kapłańskie księża: Szortyka Czesław, Büchler Albert, Kunda Czesław, Adolf Janczak, Kubina Wiktor, Wietecha Tadeusz oraz Jan Góra.
- 30 czerwca Nominacja pierwszego rektora polskiego scholastykatu w Tarnowie (ks. Jan Bem SCJ).

### **Rok 1950**

- 15 lutego Po raz drugi z kolei przełożonym prowincjalnym Prowincji Polskiej zostaje mianowany ks. Michał Wietecha SCJ.

12 grudnia Po krótkiej chorobie umiera nad ranem ks. Kazimierz Wiecheć SCJ, założyciel Prowincji Polskiej.

### **Rok 1951**

1 marca Stadnicki kościół Najśw. Serca Jezusowego staje się kościołem parafialnym, a pierwszym proboszczem-ekspozytem zostaje ks. Czesław Kunda SCJ.

15 marca Założenie na terenie scholastykatu w Tarnowie pierwszej redakcji w Prowincji Polskiej, redagującej pisemko pod nazwą „Ecce Cor...”.

19 marca Składa w Stadnikach pierwszą profesję brat Stanisław Jasek.

2 kwietnia Ukazuje się pierwszy numer pisemka scholastyków polskich w Tarnowie „Ecce Cor...”.

24 lipca Ks. Stefan Kierpiec SCJ obejmuje stanowisko rektora domu stadnickiego jako drugi z kolei rektor.

### **Rok 1952**

23 kwietnia Składają pierwszą profesję bracia konwersi: Łatka Czesław oraz Młeczko Jan.

20 maja Rozpoczęcie procesu informacyjnego o cnotach i życiu Ojca Jana Leona Dehona, Założyciela Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego.

19 czerwca Powstaje nowa prefektura apostolska na Sumatrze pozostająca w rękach Prowincji Holenderskiej. Prefektem apostolskim mianowany zostaje w dniu 26 czerwca 1952 roku, ks. Albert Hermelink. Prefektura otrzymuje nazwę De Tandjung-Karang.

25 czerwca Otrzymuje doktorat z apologetyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim ks. Stani-

sław Nagy (pierwszy doktorat zdobyty przez Sercanina w Polsce).

1 września Obejmuje urząd mistrza nowicjuszków polskiego nowicjatu w Stadnikach ks. Jan Bem SCJ, drugi z kolei mistrz polskich nowicjuszków.

1 września Objęcie przez Księżę Najśw. Serca Jezusowego parafii Węglówka w diecezji krakowskiej. Pierwszym proboszczem zostaje ks. Adam Gąsiorek SCJ.

### **Rok 1953**

9 stycznia Nominacja na przełożonego prowincjalnego Polskiej Prowincji ks. Władysława Majki (drugi prowincjał Prowincji Polskiej).

24 marca Powstaje nowa prefektura apostolska De Aar pozostająca w rękach księży z Prowincji Ameryki Północnej, której prefektem apostolskim zostaje ks. Alojzy Dettmer SCJ.

5 lipca Otrzymują święcenia kapłańskie w katedrze tarnowskiej z rąk ks. bpa sufragana dra Karola Pękali scholastycy tarnowscy: Stawczykowski Stefan, Topielec Tadeusz, Stoszko Józef, Nawieśniak Józef oraz Marekvia Kazimierz.

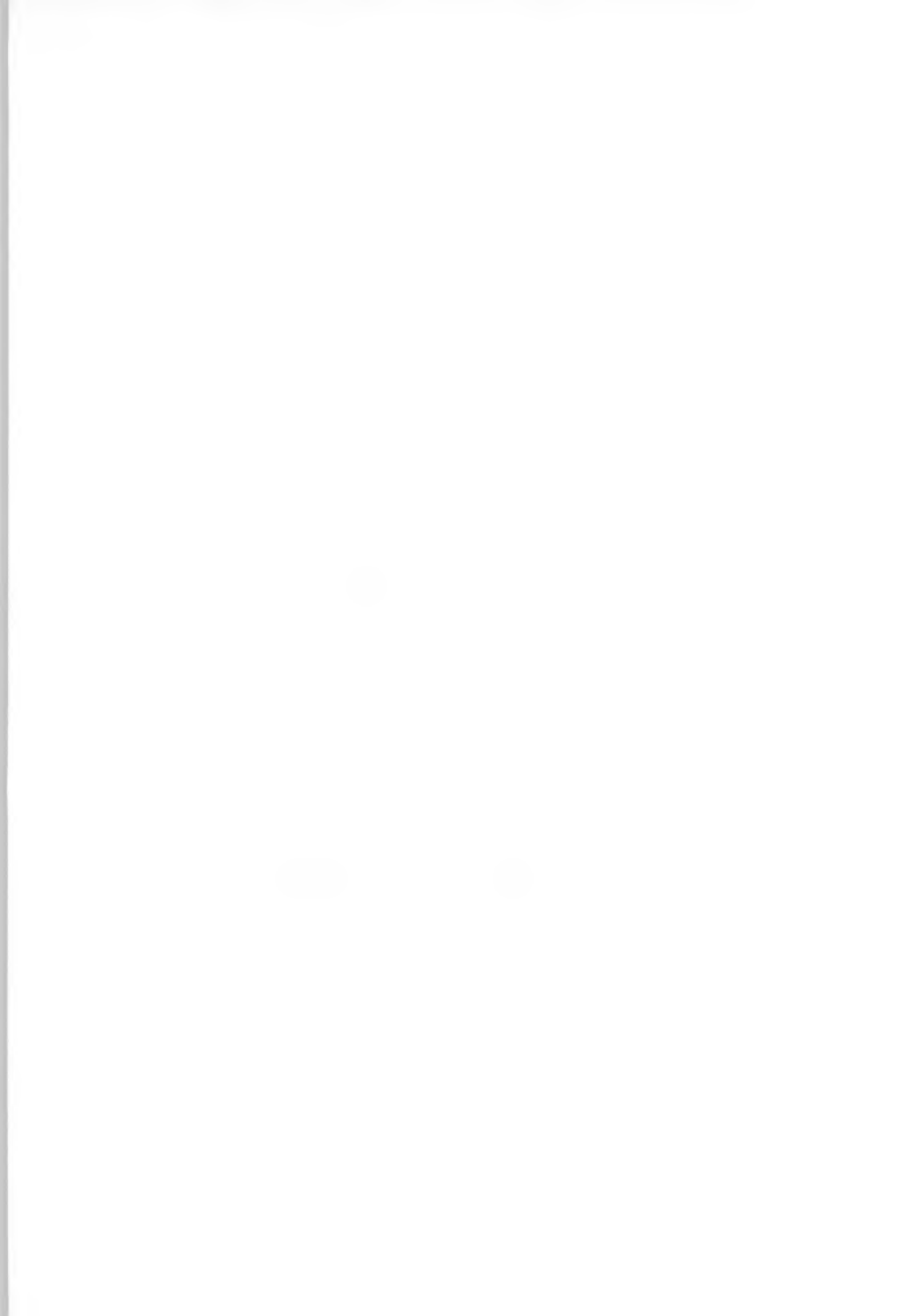
7 września Umiera w Rzymie O. Wilhelm Govaart trzeci przełożony generalny naszego Zgromadzenia.

21 września Odbył się zjazd członków całej Prowincji Polskiej w Krakowie obchodząc uroczyste Srebrny Jubileusz osiedlenia się w Polsce Księżę Najświętszego Serca Jezusowego.

*Opracowali:*

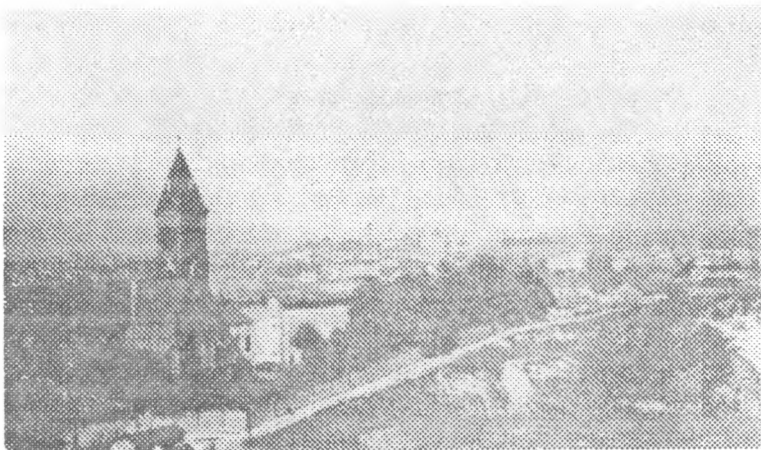
*br. Adam Jerzy Włoch SCJ*

*br. Józef Alojzy Karpierz SCJ*





Pierwsi Sercanie Polscy. Siedzą od lewej: ks. Ignacy Stoszko,  
śp. ks. Kazimierz Wiecheć oraz Kudas (wystąpił ze Zgromadzenia)  
od lewej: ks. Władysław Majka, ks. Marian Cichoń,  
ks. Julian Lubowiecki oraz br. Paschalis (Mikołaj Świder)



Kraków — widok z Krzemionek



Chata w Pychowicach pod Krakowem, gdzie urodził się  
O. Kazimierz Wieheć — Założyciel Prowincji Polskiej SCJ



Die 12. Decembris anni 1930

Abd in Domino Crucifixus

REVER. AC DILECT. IN CORDE. SLSU

**Rev. CASIMIRUS JOANNES WIECHEĆ**  
FUNDATOR CONGREGATIONIS REDemptoris in POLONIA

REVER. PUNK ANNO 35<sup>o</sup> MENSEMENS REVER.  
SIGILL 35<sup>o</sup> MENSEMENS 35<sup>o</sup> MENSEMENS 35<sup>o</sup>

**ANIMA DEI INTRAGIS ZOBALUM COMPENDATUR**

ESAT QUI IN CORDE 1930 MENSEMENS

Small text at the bottom left of the postcard frame.

MISSIETENTONSTELLING

↳ BREDa: ↵

Inzending

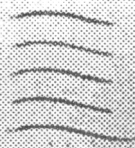
der Priesters van 't H. Hart.

De Missiezakken der Congregatie  
zijn verkopen in CONGO, KAMEROEK,  
NOORD- EN ZUID BRAZILIË, CANADA  
en ZWEDEN.

De studietoelen zijn:

Groot Seminarie Liesbosch-Princenhage  
en Javenmät Bergen-op-Zoom.

*Handwritten text in Dutch, partially obscured by a stamp and postmark.*

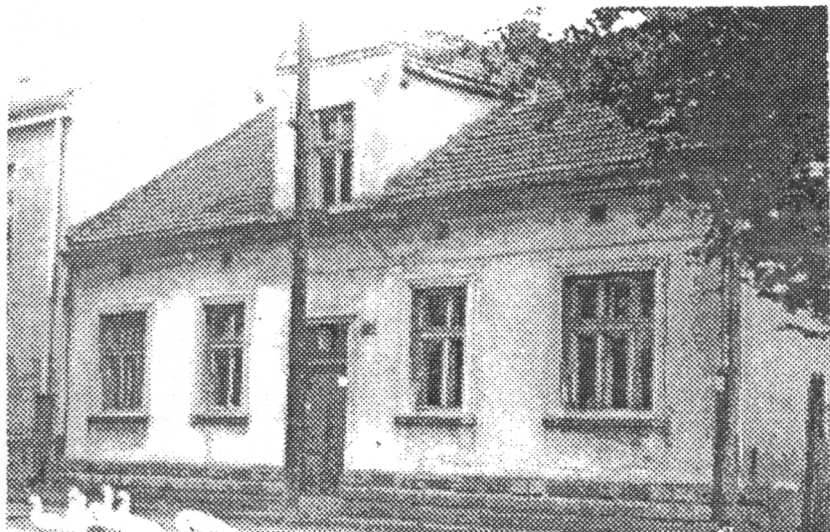


*Handwritten address in Dutch:*  
P. Casimirus Wiecheć  
via Roma Italia  
Saluziana  
Italia

Kartka pocztowa pisana w roku 1920 przez Czciwego Ojca  
Założyciela do ks. Kazimierza Wiecheća przebywającego w tym czasie  
we Włoszech w Bolonii



Ks. Prałat Mateusz Jeż protektor i dobroczyńca Zgromadzenia Księży  
Najświętszego Serca Jezusowego w Polsce



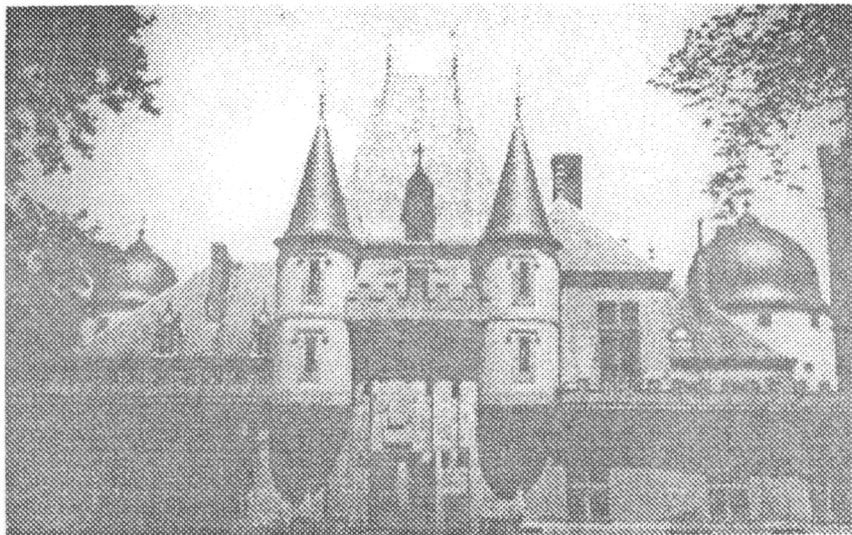
Kraków-Płaszów Koszykarska 7, pierwsza siedziba Sercanów Polskich



Kraków-Płaszów rok 1937 Ks. Biskup Wilhelm Cobben (Wikariusz Apostolski w Filnandii) w otoczeniu postulantów w dniu ich obłóczyn.



Kraków — Dom Księża Emerytów przy ulicy św. Marka gdzie mieszkali przez pewien czas w roku 1928 pierwsi Sercanie Polscy



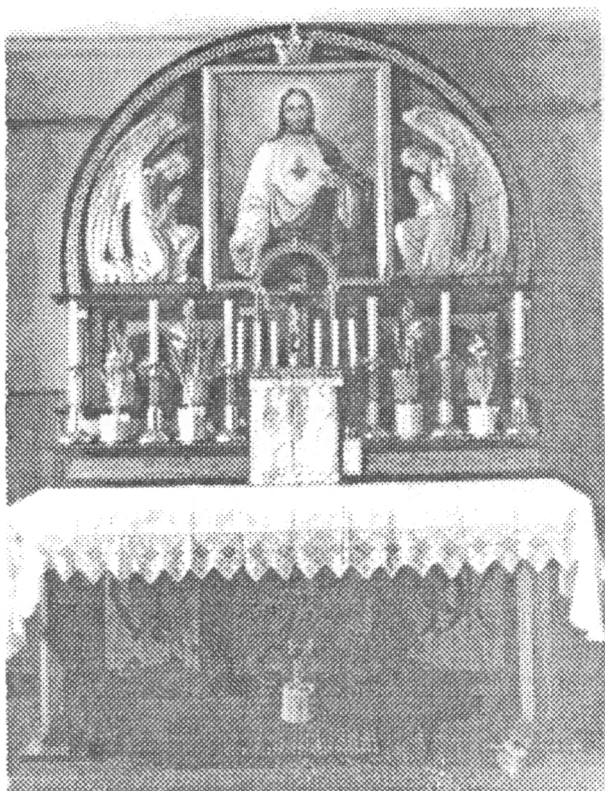
Francja — Saint-Cirqes — scholastykat



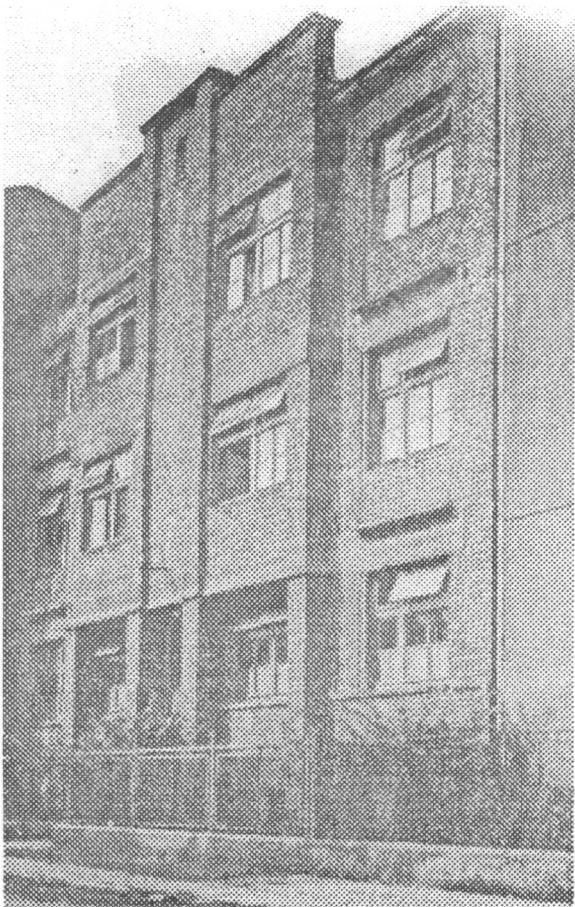
W tym opustoszałym a wyremontowanym przez nas zamku mieścił się od roku 1940 do 1945 nasz francuski scholastykat, a od 1945 do 1947(48) nowicjat. Tu ukończyliśmy po wojnie teologię i otrzymaliśmy święcenia kapłańskie



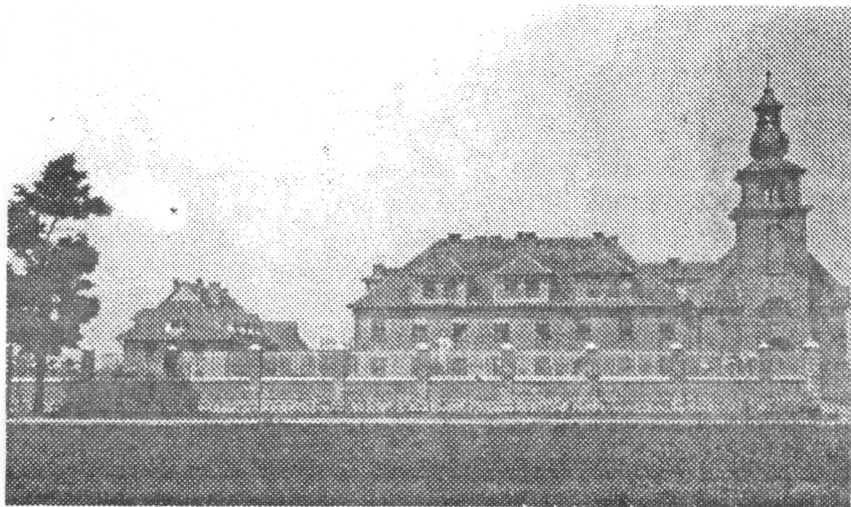
Stadniki — dom p. Wojciecha Michalika, gdzie od roku 1944 do sierpnia 1948 odbywali swój nowicjat nowicjusze Prowincji Polskiej



Pierwsza kaplica pierwszego domu Księży Najświętszego Serca  
Jezusowego w Polsce w Płaszowie przy ulicy Saskiej 2



Tarnów — pierwszy scholastykat Prowincji Polskiej



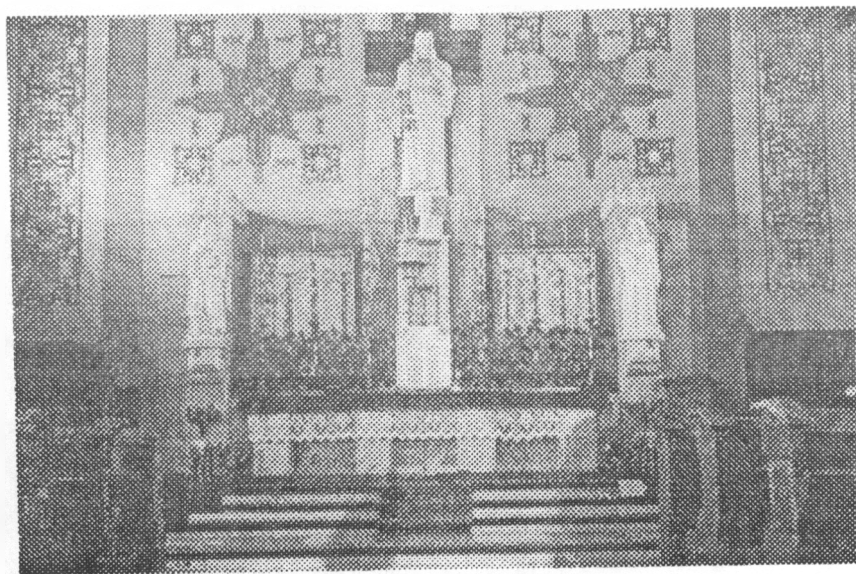
Stadniki — kościół Najświętszego Serca Jezusowego oraz dom nowicjatu



Tarnów — kaplica scholastykatu



Kraków-Płaszów — kościół Najświętszego Serca Jezusowego



Kościół parafialny Najświętszego Serca Jezusowego w Płaszowie  
oraz dom macierzysty Prowincji Polskiej — Kraków-Płaszów  
ulica Saska 2



Madonna Piaszowska

## SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA	7
WSTĘP	9
A ZACZEŁO SIĘ TAK	15
ZAŁOŻYCIELE	23
KS. KAZIMIERZ WIECHEĆ	29
KS. PRAŁAT MATEUSZ JEŻ	41
POCZĄTKI (1928-1939)	47
POLSCY SERCANIE WE WŁOZCZACH	55
PŁASZÓW	65
FELSZTYN	75
„DOBRY O. STANISŁAW — POLAK”	103
LATA WOJNY (1939-1945)	113
LATA OKUPACYJNYCH MROKÓW	119
WŁOCHY I	135
FELSZTYN — BUDAPESZT — WŁOCHY II	175
FRANCJA	187
PO WOJNIE (1945-1953)	227
GDY USTĄPIŁA NOC NIEWO’	233
WAŻNIEJSZE DATY	243
OKIEM POWOJENNEGO SERCANINA	247
SERCAŃSKIE MISJE LUDOWE	263
WAŻNIEJSZE DATY Z HISTORII ZGROMADZENIA I PROWINCJI POLSKIEJ (1843-1953)	275